



**SHANNON OCORK**

---



---

***TITANIC Kruchy jak lód***

---

# Rozdział 1

---

Środa, 10 kwietnia 1912 roku

**E**j, Smoke, patrz, no patrz... To chyba on, to na pewno on!  
Och, chodźże szybciej!  
Tłum był ogromny, zaś atmosfera po prostu ekscytująca. Smoke najchętniej zostawiłaby w tej cizbie Swan, swoją głupią siostrę-bliźniaczkę, marzyła bowiem tylko o tym, żeby jak najszybciej wsiąść na ów piękny statek. Żeby przechylić się przez burtę *Titanica*, a potem patrzeć, patrzeć i patrzeć...

Gdyby umiała malować, uwieczniłaby na płótnie cały ten elegancki tłum, kłębiący się w porcie pod zachmurzonym niebem późnego poranka. Najpierw namalowałaby czarną, ponurą wodę, leniwie pluszczącą przy nabrzeżu i łamiącą się na potężnej burcie statku drobnymi falami, ozdobionymi delikatną koronką piany. Potem przyszłaby kolej na następne pociągnięcia pędzla, kreślącego sylwetki innych, skromniejszych jednostek, cumujących u nabrzeża Southampton, takich jak *Oceanic*, który mijała z siostrą, spiesząc na pokład, czy *New York*, kołyszący się na wodzie nieco dalej, posępny, z pustym pokładem, na którym nawet nie widać było wachty.

A potem zostałyby już tylko zamglony styk bladobłękitnej toni i szarego nieba, zaznaczony czarną kreską falochronu. Pasażerowie wiedzieli aż za dobrze, że za tą granicą, i dalej, gdzie kończyły się bezpieczne wody kanału, czyhają już tylko złowrogie monstra oceanicznych przestrzeni...

Na przykład smoki o długich pazurach, skryte w kłębiących się oparach mgły, które czekają na statek, błędzący ślepo wśród fal. Czekają, by pochwycić go w potworne, białe szpony i wbić pod powierzchnię, w nieprzeniknioną głębię. Ta śmierć potrafi atakować tak cicho i błyskawicznie wśród milczącego bezmiaru wód, że nawet bystre ludzkie oczy zdolne są uchwycić tylko jej cień - zwykle wtedy, gdy jest już za późno.

Smoke wzdrygnęła się na tę myśl. Nie, lepiej namalować barwny ludzki strumień, cienką strużką wlewający się z nabrzeża na trap i wypełniający pokłady ogromnego, lśniącego białą *Titanica*. Oddać ten niezwykły nastrój podniecenia, oczekiwania, radości i zachwytu nad wspaniałym statkiem. I jeszcze piętrzące się w nieskończoność zwały kufrów i pudeł...

Och, jej obraz byłby prawdziwym arcydziełem, jednym z wielu, które namalowałyby w tej podróży - gdyby oczywiście została malarką, a nie kapitanem żeglugi wielkiej, jak ostatnio marzyła.

Razem ze Swan miały już prawie po szesnaście lat. Ubrane były w identyczne podróżne kostiumy o długich spódnicach z niebieskiego welwetu, lamowanego ciemnym futrem norek. Jasne włosy, szesane do tyłu, trzymały starannie wywiązane, acz proste, niebieskie kokardy. Czarne rękawiczki chroniły dłonie, by nie posieka ich słony morski wiatr, zaś wysokie, sznurowane buciki na obcasach dodawały obu siostrom co najmniej trzech centymetrów.

Teraz na krótką chwilę zostały same, bez opieki w tym niezwykłym, egzotycznym dla nich miejscu. Ich guwernantka, pani Twigg, pakowała jeszcze ostatnie walizy w hotelu, nieustannie napominając tragarzy, by starannie się z nimi obchodzili. Mogły wreszcie posmakować wolności i poczuć się niczym dorosłe kobiety. Pospacerować, poobserwować, zachwycić się niecodziennym widokiem.

Ale tej głupiej Swan wszystko było obojętne - atmosfera, ludzie, pejzaż. Przez cały czas wypatrywała pewnego angielskiego chłopaka, z którym korespondowała, a którego nigdy nie widziała na oczy. Był ze wsi, jego edukacja zaś pozostawiała wiele do życzenia. Ostatnio nabazgrolił jej ołówkiem, ręką nienawykłą do pisania: „ćwiczyłem całom noc”, gdyż próbował dostać się do orkiestry na *Titanicu* jako trzeci skrzypek.

I udało mu się. Teraz cieszył się podwójnie, wiedział bowiem, że będzie mógł wreszcie poznać Swan osobiście. Napisała mu w jednym z listów, że razem z rodziną wraca do Anglii po tygodniu spędzonym w Paryżu, a potem popłynie do domu, do Nowego Jorku, pierwszym

rejsiem *Titanica*.

„Czy wiesz, że myślę o tobie wcionż, kiedy ćwiczę?” - pisał do niej. A raz napisał tak: „Te kartofle były niestrawne i zwruciłem je za burzę, ale nie napisze o tym mamie”. Romantyczny kawaler, prawda?

W jego listach w ogóle roiło się od podobnych kwiatków i Smoke szydziła z nich bezlitośnie. Swan natomiast ignorowała jej kpiące miny.

Bo Swan lubiła tego chłopaka - tak przynajmniej mówiła - i zawsze mu odpisywała. Wysłała mu nawet na Boże Narodzenie swoją fotografię, taką malutką, w ładnej srebrnej ramce.

W styczniu otrzymała w rewanżu jego zdjęcie - wytarte, postrzępione i popękane, za co usilnie przeproszał. „To najlepsze, jakie miałem, Swan, nie gniewaj się. I tak już zresztom tak nie wyglondam. Pszez rok zdążyłem wyrosnąć!”

Zdjęcie - oczywiście bez ramki - zostało opakowane w zwyczajny szkolny papier w żółte linie, na którym chłopak pisał swoje listy. Po sposobie ujęcia i kadrowania widać zaś było, że i fotograf musiał być nędzny.

- Śmieć - prychnęła wtedy Smoke. - Brzydziłabym się to wziąć nawet pensetą!

Ale Swan była bardzo zadowolona i natychmiast wsunęła fotkę za ramę lustra na toaletce. A kiedy zaczęło się zwijać, troskliwie przykleiła je papierową taśmą.

Ów angielski chłopak nazywał się Danny Terence Bowen i był synem Roberta - dla przyjaciół Boba - oraz Anny z domu Monaghan. Jego ojciec był listonoszem i niedoszłym śpiewakiem operowym. „Papcio miał głos - zwierzał się Danny swojej korespondencyjnej przyjaciółce - ale nigdy nie umiał zapamiętać wszystkich obcych słówek, a poza tym bolało go, kiedy ciągnął wysoko, no to przestał”.

Matka, jak opowiadał, dawała lekcje gry na skrzypcach i na fortepianie. Ten ostatni widać było zresztą na zdjęciu, które Danny przesłał Swan. On sam miał na nim poważną minę, jasne, starannie uczesane włosy i zamyślony wzrok. Swan uważała, że Danny wygląda na nim łacinie, jak poeta. Gdyby zadbał o siebie i ubrał się

porządnie, mówiła, byłby nawet przystojny.

No, ale Swan taka właśnie była - życzliwa wobec wszystkich, Skora do pochwał i szukająca w ludziach wyłącznie zalet. Sama uwielbiała czarować swoim dziewczęcym wdziękiem i ładnie się ubierać. W gruncie rzeczy była z niej niezła flirtiara, choć o romantycznej duszy. Wszędzie, gdziekolwiek się pojawiała, zjednywała sobie mężczyzn i igrała z nimi niczym wprawna uwodzicielka. A kiedy odchodziła, zabierała ze sobą złamane serca, by zarejestrować kolejne zdobycze w swoim oprawnym w skórę pamiętniczku.

Smoke była inna, o wiele poważniejsza. Smoke nie interesowali chłopcy, uważała bowiem, że szkoda na nich czasu. I było jej wszystko jedno, w co się ubiera. Na szczęście to pani Twigg na spółkę ze Swan dbała o ubrania bliźniaczek.

Zresztą, jakie znaczenie mogły mieć podobne błahostki? Smoke i tak już zdecydowała, że gdy dorośnie, zostanie kapitanem żeglugi wielkiej, takim jak ojciec jej ojca, a także jej pradziadek, założyciel rodzinnego klanu, stary kapitan Lockholm. Była to postać owiana legendą, a jednocześnie rodzina czarna owca. Wszyscy zgadzali się, że stary Lockholm był sprytny i inteligentny, ale również zły i przebiegły...

- Ja też jestem inteligentna i przebiegła, tak jak nasz pradziadek, stary wilk morski. Dlatego nie apróbuję takich ludzi, jak Danny Terence Bowen, jakichś biedaków z londyńskich przedmieść - oświadczyła pewnego dnia siostrze.

Swan wzruszyła tylko ramionami, nie podejmując tematu. I dalej pisała do „pana Bowena”, co środę wieczór, czekając, aż wyschną jej włosy, umyte przez panią Twigg, którą Smoke nazywała Twiggusią.

Nawiasem mówiąc, Smoke również miała korespondencyjnego znajomego, wszyscy bowiem w klasie panny Graham musieli prowadzić korespondencję w ramach szkolnych obowiązków. Tyle że ojciec tego chłopca mieszkał w samym Londynie i był angielskim lordem.

Smoke napisała do niego tylko raz, prosząc o odpowiedź, która

zresztą niezwłocznie nadeszła. Tę krótką wymianę listów z Dexterem Poindexterem Lloydem uznała za całkowicie wystarczającą. Cóż to był za nudziarz! Kiedy zwierzyła mu się w liście, że lubi żeglarstwo i ma nadzieję, że pewnego dnia, tak jak jej dziadek i ojciec, a wcześniej słynny pradziadek Lockholm, zostanie kapitanem żeglugi wielkiej, uraczył ją w odpowiedzi formułkami matematycznymi. Kto wie, może wziął ją za chłopaka? W każdym razie zdrowo znienawidziła tego kretyna i miała nadzieję, że nigdy go nie zobaczy.

Cóż, większość dziewczyn z jej klasy uważała ową przymusową korespondencję za dopust boży i porzucała pisanie przy pierwszej okazji.

I tylko Swan Josephine Lockholm była inna. Wytrwale słała listy, zaś Danny Bowen solennie na nie odpisywał.

I oto - proszę! Swan oznajmiła, że wreszcie się z nim spotka! Na dodatek nie byle gdzie, bo na pokładzie *RMS Titanic*, w jego pierwszym rejsie przez ocean.

- Jakie to romantyczne! - zachwycła się Swan.
- Cholernie - burknęła Smoke.

On został zatrudniony jako czwarty muzyk i trzeci skrzypek w orkiestrze grającej w okrętowej „Cafe Parisien”. Ona miała oczywiście płynąć pierwszą klasą, była bowiem pasażerką, której ojciec, John Bayard Lockholm III, właściciel White Star Line, należącej do trustu International Mercantile Marine J.P. Morgana, był *de facto* właścicielem samego *Titanica*.

„Można właściwie powiedzieć, że jestem córką twojego szefa - pisała Swan do Danny'ego. - Kabina mamy i taty znajduje się blisko kabiny pana Ismaya, prezesa White Star Line, a zatem będą mogli lepiej się poznać. Ale Smoke i ja mamy kabinę B-41 tylko dla siebie, choć pani Twigg, nasza guwernantka i przyzwoitka, będzie spała tuż obok, w B-35...”

Smoke coraz bardziej nie podobały się te głupie wywody. Smoke wietrzyła podstęp.

- Nie kochasz go, Swanny. Ty sobie tylko z nim igrasz, jak kot z

myszka. To naprawdę okrutne, po prostu barbarzyńskie. Przecież nie mogłabyś pokochać kogoś tak niskiego stanu; kogoś, kogo nigdy nie widziałaś na oczy. Chcesz tylko powiększyć grono swoich wielbicieli kosztem tego naiwnego chłopaka. Jesteś zepsuta i prózna, wiesz?

- Och, Smoke - zachnęła się Swan - ty zaraz myślisz, że to coś zdrożnego. Powiedz, czy nie jest miło mieć wielbiciela przez całą drogę przez ocean? - Swan chwyciła ramię siostry podekscytowanym ruchem i zniżyła głos. - A poza tym - mówiła - będę miała o czym pisać w moim ukochanym pamiętniczku.

- Flirciara - skrzywiła się Smoke. - Flirciara z ciebie i tyle.

- A co w tym złego? Wolę czytać listy od chłopców niż tkwić z nosem w żeglarskich książkach, tak jak ty.

Smoke przypomniała sobie tę rozmowę i natychmiast wysunęła rękę z dłoni siostry, ciągnąc ją w stronę statku. Niech Swan ma tylko dla siebie tę wymarzoną chwilę spotkania ze swoim skrzyptem. Ona nie miała ochoty go oglądać. Po co? Gdyby mama dowiedziała się o istnieniu Danny'ego Bowena, byłaby wściekła. I choć utrzymanie całej sprawy w tajemnicy wróżyło dobrą zabawę, w sumie, zdaniem Smoke, nie było dla kogo ryzykować. Ten chłopak i tak nie miał szans, by wejść do ich kręgu.

Jakie to żalosne, myślała ze wzgardą. Nawet Dexter Poindexter Lloyd byłby lepszy niż ten prostak, ten niewykształcony grajek. Ale dobrze, niech Swan sama się przekona.

Swan, poirytowana ociąganiem się siostry, puściła ją wreszcie i zaczęła przepychać się ku trapowi. Zaraz rozdzielili je ludzie. Swan parła do przodu, nie oglądając się na nic i nie martwiąc się, czy Smoke nadąży. Jeszcze chwila i wbiegła na pomost. Fałdy niebieskiej spódnicy zatańczyły na wietrze, a potem Swan pospieszyła ku czekającemu już na pokładzie chłopakowi.

Był wysoki, minę miał poważną, a kołnierzyk sztywny i niedopasowany. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do noszenia wysokich kołnierzyków. Dla Smoke było to jasne, nawet z daleka.

Smoke została w tyle, sama w tłumie. Jak miło, pomyślała, jak

dobrze! Niech ta głupia gęś romansuje sobie, ile chce; ona, Smoke, na pewno nie uczyni z miłostek sensu życia. Dla niej sensem życia będzie poznawanie świata, zdobywanie go, może nawet w części na własność, kto wie? Jeśli będzie miała na to ochotę...

Usiłując ogarnąć na raz wzrokiem wszystko i wszystkich, rozpoznała w tłumie pana Astora. A dokładnie Johna Jacoba Astora IV, pułkownika i właściciela bajecznej fortuny. Był ze swoją świeżo poślubioną małżonką, młodziutką Madeleine. Za pazuchą niebieskiego surduta troskliwie niośł szczeniaka rasy airedale terier.

- Halo, panie Astor! - zawołała Smoke i pomachała mu ręką, on zaś uprzejmie uchylił przed nią kapelusza. Nowa pani Astor, której Smoke nie została jeszcze oficjalnie przedstawiona, uśmiechnęła się do niej spod zdobnego koronkami czepca.

Pan Astor miał za sobą ciężki rozwód, po którym szybko znalazł sobie nową żonę - tak przynajmniej twierdziła Tory VanVoorst, najbliższa przyjaciółka matki. Wedle słów Tory, poślubił on kobietę „na tyle młodą, że mogłaby być jego córką, niższego stanu i do tego nie nazbyt piękną”. Ale Victoria VanVoorst sama była tak piękna, że rzadko która z kobiet zyskiwała jej pochlebny ocenę. Powiedziała też, że Pułkownik - jak nazywali Johna Jacoba IV ci, dla których nie był po prostu Jackiem - musiał zapłacić pastorowi tysiąc dolarów za udzielenie ślubu...

Cóż, nie ma dymu bez ognia, jak mówiła Twiggusia, co zawsze śmieszyło Smoke, gdyż brała to wyłącznie do siebie. „Skoro ja jestem dymem, to kto jest ogniem?” - pytała. - „Może ty, Twigg...”

No właśnie. Smoke miała ochotę mocno potrząsnąć swoją głupią siostrunią. Skoro taki Jack Astor wdał się w romans z parweniuszką i teraz wszyscy wytykają mu, że popełnił mezalians, to nie inaczej będzie ze Swan Lockholm. Uważaj, idiotko, bo wpadniesz w taki sam pasztet, jak Jack! - to właśnie powinna usłyszeć naiwna Swan od swojej siostry.

Tyle że Swan za nic miała podobne ostrzeżenia.

Pradziadek Johna Jacoba Astora również bulwersował towarzystwo. „Nie miał za grosz ogłady - tłumaczyła bliźniaczkom



pani Twigg, która wiedziała wszystko i mówiła o wszystkim, z wyjątkiem własnego wieku - ale prawdę mówiąc, nie miał jej skąd wziąć. Nie uczono go dobrych manier, tak jak nauczono ich was, dziewczęta."

Według pani Twigg, pan Astor, handlarz futer, urodził się w rodzinie niemieckich imigrantów jako syn rzeźnika, który choć z łatwością mnożył miliony dolarów, do końca życia wydmuchiwał nos bez chusteczki. „I w ogóle bez niczego - podkreślała z oburzeniem pani Twigg. - Wyobraźcie sobie, że robił to, kiedy tylko miał ochotę, niezależnie od tego, czy był w swoim salonie, czy u kogoś na balu!"

Smoke Lockholm z trudnością mogła sobie wyobrazić podobne zachowanie. Jak można wysmarkać nos, nie mając chusteczki? Jakim sposobem?

- Zwierzęta też nie noszą chusteczek - skomentowała wtedy Swan, jak gdyby to miało wszystko tłumaczyć. Smoke nie podjęła tematu, gdyż nie wdawała się w dyskusje z siostrą, chyba że sprawa była naprawdę tego warta. Swan nie dorównywała jej po prostu inteligencją i nigdy nie dawała się przekonać, więc szkoda było zachodu.

Ten pan Astor wyraźnie lubuje się w skandalach, rozmyślała teraz, patrząc na jego najnowszą żonę. Najpierw jedna pani Astor, potem kolejna, a teraz już czwarta. Być może Twiggusia miała rację - grzech ma się we krwi i nic na to nie można poradzić...

Na przykład przyjaciółka mamy, pani Peerce - ona również była niezłą skandalistką. Dove Peerce była wdową - a dokładnie mówiąc, świeżo upieczoną wdową - kiedy jej córka, Nicole, poślubiła angielskiego lorda wraz z jego herbem i została markizą Denton. Zdarzyło się to przed laty, w tym samym roku, kiedy pobrali się rodzice Smoke, jeszcze przed przełomem wieku.

Po pierwsze więc - a w owym czasie takie rzeczy szokowały - pani Peerce wcale nie odwołała ślubu córki, kiedy nagle zmarł jej mąż. Po drugie, ubrała się zbyt strojnie jak na kogoś, kto powinien pozostawać w żałobie. Zaś po trzecie - i to było najlepsze -

Dove Peerce, wdowa z zaledwie miesięcznym stażem, bezwstydnie rzuciła się wraz z pannami po ślubny bukiet, gdy jej córka cisnęła go w tłum zgodnie z weselnym zwyczajem. Mało tego - to właśnie ona go złapała!

Na ten widok całe Newport wstrzymało dech. I nawet teraz, po tylu latach, wciąż wracano do tamtego zdarzenia. Nie ma bowiem jak stary, dobry skandal.

Smoke nie wyobrażała sobie, że mogłaby stać się przyczyną skandalu, ale ze Swan wszystko było możliwe. Pokręciła zde gustowana głową i w zamyśleniu patrzyła za oddalającą się siostrą, która mijala właśnie jakąś przystojną starszą parę, znaną Smoke tylko z widzenia.

Gdy widywała ową parę w Nowym Jorku albo w Newport, pytała za każdym razem panią Twigg albo matkę, któż to taki, one jednak odpowiadały niezmiennie: „Nie wiem, kochanie. To chyba jacyś Żydzi... Może znajomi pana Belmonta?”.

W każdym razie ta dwójka nieznajomych, choć nie należała do wytwornego towarzystwa w Newport, z pewnością miała lepsze maniery niż ten dorobkiewicz Astor i jego przodkowie. Pani Twigg opowiadała im kiedyś, że stary pan Astor nasiusił pewnego razu do kominka sąsiadki w trakcie noworocznego przyjęcia - i to w przytomności tejże pani! Podobno omal nie zemdlala, kiedy ujrzala, jak Astor rozpina rozporek, nie przerywając pogawędki o pogodzie ani zlizywania z palców drugiej ręki resztek tortu.

Ale nie, może to wcale nie był tamten pan Astor, tylko ktoś zupełnie inny. A może w ogóle się to nie zdarzyło... Tak czy inaczej, biedna kobieta nigdy nie otrząsnęła się z szoku.

Niewiarygodne, prawda? A jednak pani Twigg zaklinała się, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Prawdę mówiąc, Smoke nie wierzyła, żeby ktokolwiek, nawet taki nieokrzesany gbur, jak pan Astor, który był dla pani Twigg koronnym przykładem dorobkiewi-czowskiego braku manier, mógł popełnić równie haniebny wyskok. Beknąć i nie przeprosić - w to jeszcze by uwierzyła. Nawet jej się to raz zdarzyło (ależ ją wtedy

Twigg obrugała!). Co innego jednak załatwić się przy wszystkich. To było nie do pomyślenia i czegoś podobnego nie zrobiłby nikt, nawet największy cham i prostak.

No, chyba żeby był... tym, no... libertynem.

Smoke z uśmiechem wkroczyła na trap *Titanica*, smakując w myślach to modne i ekscytujące słowo. Słowo „libertyn” łączyło się w jej wyobrazeniach ze swobodą, wyzwoleniem z krępujących konwencji, łączyło się z prawdą. Ona sama będzie właśnie taka. Ani upadła, zepsuta dziewczyna, ani posłuszna i przykładna żona - po prostu pewna siebie libertynka.

Bardzo kusząca perspektywa, nieprawdaż?

A Swan Josephine, jej bliźniaczka, której teraz w głowie tylko chłopcy, z pewnością zostanie kiedyś nudną matroną. Tak najczęściej bywa z kobietami jej pokroju...

Wracając do pana Astora - podobno na pewnym balu debiutantek zrobił kiedyś coś naprawdę strasznego. Coś przy czym sikanie do kominka to całkiem niewinny występki. Jednak pani Twigg, choć Smoke nie raz ją w tej sprawie naciskała, nie chciała wyjawic, o co poszło. „Byłabyś zdruzgotana, moje dziecko - mówiła tylko. - Poczekaj trochę, a gdy dorośniesz, sama wszystkiego się dowiesz...”

Smoke westchnęła, wspominając tę chwilę. Tyle ciekawych rzeczy dowie się jeszcze o życiu! Uwielbiała zdobywać tę wiedzę. Może jeśli odpowiednio zbliży się do Madeleine, ta powie jej prawdę o Johnie Jacobie Astorze I.

Z pokładu *Titanica* rozległ się przeciągły dźwięk syreny, zapowiadający początek rejsu i gotowość do odbicia od wypełnionego tłumem nabrzeża. Smoke aż podskoczyła z podniecenia. Wysoka burta wznosiła się przed nią jak urwisko. Szybko dała krok na pokład i wiedzona intuicją, niemal natychmiast odnalazła siostrę w gromadzie pasażerów. Swan pomachała do niej energicznie ręką, pomachał również chłopak stojący za jej plecami. Smoke szybko obrzuciła go wzrokiem i... zamarła z wrażenia.

Po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się Danny'emu Terence'owi Bowenowi i ten pierwszy raz wystarczył, by ów prostak

oczarował ją swoją niezwykłą urodą.

Danny był wspaniały, po prostu piękny.

I pewnie lowelas, pomyślała od razu. Biedna Swan, powinna się mieć na baczności.

Teraz wszystko stało się dla Smoke jasne. Danny będzie próbował rozkochać w sobie jej siostrę i z pewnością mu się to uda. Gotowa była się założyć, że ten piękniś oświadczy się Swan, zanim jeszcze *Titanic* zacumuje przy nowojorskim nabrzeżu.

A Swan, ta głupia Swan, powie „tak”...

Rodzice oczywiście każą jej zerwać z ukochanym, a gdy się nie zgodzi, pošlą ją na rok do Francji, do klasztornej szkoły w Lyonie, żeby zapomniała o głupiej miłości.

O rany, myślała z przejęciem Smoke. Szykuje się niezły dramat. Swan już zaczyna głupieć, a jeśli ten jej zakochany skrzypek zacznie wygrywać nocne serenady pod ich kajutą, całkiem straci dla niego głowę. Biedna, biedna Swan!

Pomachała im energicznie dłonią i uśmiechnęła się do nich przyjaźnie, starając się, by ani Smoke, ani Danny nie odgadli jej myśli. Tak jest, kochana siostrzyczko, westchnęła w duchu, nie igra się z miłością. Dziedziczka fortuny, która pozwala, by uganiaли się za nią absztyfikanci niskiego stanu, sama ściąga sobie na głowę kłopoty.

Hm, w razie czego tata może zatrudnić go jako szofera.

Edward John Smith, komandor RMS *Titanic*, stał na kapitańskim mostku i uśmiechał się nieznacznie do swoich myśli. Z satysfakcją starego weterana po raz kolejny w swoim życiu przeżywał owe tak niezwykle ostatnie chwile przed rejsem, kiedy to wszystko jest już gotowe i dopięte na ostatni guzik, a wszyscy marzą jedynie o wypłynięciu.

Do ostatniej chwili sprawdzano każdą śrubkę, choć już wcześniej zrobiono to dokładnie w stoczni w Belfaście, a wszyscy oficerowie, poza nim, spędzili noc na pokładzie, kontrolując to, co już wcześniej było wielokrotnie kontrolowane.

Statek był gotowy do drogi.

Ale kapitan Smith jeszcze nie.

Tego ranka sam, osobiście i dokładnie, sprawdził wszystko jeszcze raz - sprzęt, ładunek i zgromadzone zapasy. Nawet potężne kotły w maszynowni zostały zaszczycone jego gospodarskim spojrzeniem.

Oczywiście, nie obeszło się bez problemów, na szczęście drobnych. Przy załadunku na taką skalę można się było spodziewać kłopotów, z gatunku tych, co to je trzeba rozwiązać dosłownie w ostatniej chwili. Nie widział w tym nic złego, przeciwnie. Podobne zadania mobilizują załogę, sprawiają, że staje się ona zwarta, pewna i sprawna jak dobrze naoliwiona maszyna.

Tak, wiedział, że marynarze są przesądni i że im wcześniej uznają *Titanica* za solidną jednostkę, tym lepiej dla niego i dla jego dowódcy. Zawsze kiedy nowy, nie opływany statek ma ruszyć w pierwszy rejs, załoga wczuwa się w niego, aby zdecydować, czy go „lubi” i czy on „lubi” załogę.

Cóż, w tym zawodzie ciągle straszy stary mit o statku-zabójcy, który nienawidzi swoich pasażerów. Również i teraz załoga miała ogłosić werdykt, uznając *Titanica* albo za „swego”, albo za „wroga”. I ani kapitański nakaz, ani zapewnienia najlepszych specjalistów, że tylko pan Bóg mógłby zatopić to cudo, nie zdołają usposobić przychylnie do statku marynarzy, harujących wśród jego wielu pokładów. Tylko oni mogą osądzić, zapewne jakimś marynarskim szóstym zmysłem, czy *Titanic* jest zdatny do żeglugi i czy będzie się w stanie zmierzyć z wyzwaniem wielkich wód. Cóż więc wobec tej niepewności znaczyły drobne zdarzenia w porcie?

Najpoważniejszym spośród nich okazał się niewielki pożar w jednej z zasobni węglowych. Ogień musiał się tam tlić od tygodnia, kiedy to załadowano węgiel w Belfaście i zapomniano połączyć go wodą. Kapitan Smith winił za wszystko strajk górników, który właśnie przed załadunkiem statku się zakończył. Górnicy niewiele uzyskali i niezadowoleni ze swoich zarobków pracowali byle jak.

Na szczęście ogień w porę wykryto i ugaszono, można więc było zapomnieć o całym incydencie. Ręczył za to pan Bell, starszy mechanik. Palacze przegarniali węgiel i polewali go wodą z węży, by

przestał się tlić. Zapytany przez przedstawiciela ubezpieczeń, czy jako kapitan „podejmie ryzyko”, E.J., jak powszechnie go nazywano, odparł, że oczywiście tak. Nie stwierdzono w końcu żadnych uszkodzeń grodzi ani kadłuba; sprawdzał je osobiście. *Titanic* nie doznał szkody, a tylko chwilowego zakłócenia pracy maszynowni.

A w ogóle niech diabli wezmą górników i innych robotników, którzy bezczelnie winią pracodawców za swoją sytuację i domagają się nie wiadomo czego! Związki zawodowe mówią o nierównościach, o klasach społecznych, które trzeba znieść... A przecież klasy były, są i będą. Nie można ot, tak, porzucić swojego stanu. Cokolwiek byś nie mówił i nie robił, człowieku, twoje pochodzenie zawsze wyjdzie na jaw.

Ledwie ucichło na temat pożaru, już zaczęła się wrzawa wokół Lightollera. Nie dalej jak poprzedniego dnia prezes Ismay ściągnął Henry'ego Wilde'a z *Olympica* i zatrudnił go jako starszego oficera na *Titanicu*, co zepchnęło Murdocha na pozycję pierwszego, a Charlesa Lightollera - drugiego oficera na nowym statku.

- Obojętne, czy jesteś pierwszym, czy drugim po Bogu, mój chłopcze - pocieszał go E.J. - Ważne, że znalazłeś się tu, na pokładzie, nieprawdaż? To się liczy! Spraw się dzielnie, a zapewniam cię, że zrobisz jeszcze karierę. Kto wie, jak wszystko dobrze pójdzie, może za rok staniesz za sterami tego kolosa! Pomyśl tylko, chłopcze...

Na szczęście Lightoller dał się przekonać.

Tak więc ogień ugaszono, zażegnano niebezpieczeństwo konfliktu wśród załogi i podpisano protokół gotowości do wypłynięcia. Oficerowie oraz załoga objęli wyznaczone stanowiska i teraz wszyscy czekali już tylko na to, by wyruszyć wreszcie w inauguracyjny, historyczny rejs.

E.J. z aprobatą skinął głową, patrząc z wysokości mostku na wypucowany do połysku pokład. Wreszcie nadszedł moment, w którym naprawdę miał poczuć, że dowodzi tym wspaniałym, lśniącym nowością i blaskiem liniowcem.

Taki statek! Majestatyczny, potężny i piękny. Boski!

Drugiej takiej jednostki nigdy już nie będzie - tego E.J. był pewien.

Lord Pirrie i jego zespół, dumni konstruktorzy statku, przeszli bowiem sami siebie, a stocznia Harland & Wolff z Belfastu osiągnęła szczyty technicznej perfekcji w wykonaniu. Ten statek miał przed sobą długie lata niepodzielnego panowania na oceanach. Dzięki niemu White Star Line zdoła zyskać przewagę nad swoim wielkim konkurentem - Cunard Line. Doprawdy, prezes Ismay może spać spokojnie.

Poczucie, że stanowi część tak wspaniałej maszyny, napełniało E.J. Smitha prawdziwą dumą. Trzeba było jednak przyznać, że zasłużył on sobie na podobne wyróżnienie. W czasie długiej kariery wilka morskiego odnosił same sukcesy. Spędził ćwierć wieku na mostku kapitańskim i nie dopuścił do ani jednego wypadku. Mało tego - nie było ani jednego zapisu w dzienniku okrętowym, którego musiałby się wstydić...

Chyba... chyba żeby przypomnieć tę kolizję na *Hawke* z września ubiegłego roku...

Tam jednak sytuacja była wyjątkowa i E.J. nie czuł się winnym tego wypadku. Śledztwo zresztą oczyściło go ze wszystkich zarzutów. Wyszedł z całej tej sprawy z czystym kontem, a gdyby było inaczej, nie powierzono by mu przecież dowództwa na *Titanicu*.

Tak, kapitan Edward John Smith niewątpliwie zasługiwał na to, by dowodzić najnowszym, największym i najbardziej luksusowym spośród wszystkich oceanicznych liniowców. Na mostku kapitańskim mógł stanąć tylko on - najlepszy marynarz Anglii.

Chwilę wcześniej E.J. zdążył po raz chyba setny i ostatni przed wypłynięciem przejrzeć wszystkie mapy, locje, trasę; przejrzeć i upewnić się, że jego tajny plan ma szansę powodzenia.

Oto pierwszy rejs *Titanica* miał być zarazem ostatnim rejsiem E.J. Smitha, ukoronowaniem jego morskiej kariery i przyczynkiem do wiecznej marynarskiej sławy. Doprowadziwszy bezpiecznie *Titanica* do wybrzeży Ameryki, a potem z powrotem do Southampton, E.J. Smith miał odejść na zasłużoną emeryturę i spokojnie dokończyć żywota, odcinając kupony od chwały, jaką osiągnie, dokonując ostatniego wyczynu, który zapewni mu miejsce w annałach

oceanicznej żeglugi.

Zamierzał bowiem pobić rekord. *Titanic* miał planowo zawinąć do nowojorskiego nabrzeża w siedem dni, ale on postanowił przyprowadzić go w sześć! I stać się zdobywcą słynnej Błękitnej Wstęgi - nagrody dla statku, który najszybciej przebył Atlantyk.

I tak, zgodnie ze swoim tajnym planem, zamierzał nakazać mechanikom, by nie żalowali pary i szeroko otworzyli przepustnice potężnych silników. Dziób *Titanica* będzie pruł fale w rekordowym tempie. Ha, chłopcy! Może myślicie, że się nie uda?

Zadziwią świat - on i *Titanic*!

Na pokład ciągle jeszcze przybywała załoga - najgorszy sort, ludzie powolniejsi i bardziej tępi, zamustrowani w ostatniej chwili, Ale to dobrzy ludzie, zawsze potrzebni, nie tylko na statku. Prawdziwa sól ziemi. Ktoś przecież musi być 'obywatelem trzeciej kategorii.

EJ. Smith nie lubił jednak tej szarej ludzkiej masy. Tacy toporni prostacy nie pasowali do jego zamiarów, do jego poziomu. Ani do klasy statku.

Szybciej, szybciej, ciule! - miał ochotę wrzasnąć na nich i przyspieszyć ich ospałe ruchy. Milczał jednak i czekał, niczym koń, sprężony i spięty, gotów w każdej chwili ruszyć w szarży w bitewny ogień. Stał na mostku - wysoki, przystojny, z budzącą szacunek białą brodą i wąsami krótko przyciętymi według praktycznej, marynarskiej mody - i nie poznałbyś po nim ani znużenia, ani zniecierpliwienia. Zbliżał się do sześćdziesiątki, lecz wyglądał czerstwo i zdrowo. Tak też się czuł - rozpierał go młodzieńczy zapał i chęć sprostania wyzwaniu, jakie sobie narzucił.

Czwarty oficer, Joseph Boxhall z Liverpoolu, zjawił się właśnie u jego boku z kubkiem parującej herbaty.

Boxhall był jednym z faworytów EJ.. Już wcześniej pływali ze sobą i nigdy się na nim nie zwiódł.

- Proszę, sir - powiedział teraz, podając mu aromatyczny napój. - Pierwsza klasa już rozłokowana. Jak tak dalej pójdzie, będziemy mogli odbijać za niecałą godzinę. Ma pan dalsze rozkazy, sir? Jakież



specjalne zamówienie dla orkiestry?

E.J. chciał, żeby orkiestra Wallace'a Hartleya zaczęła grać już teraz, by pospieszyć pokładowych maruderów. Czterech spośród muzyków ustawiło się naprzeciwko paradnych Wielkich Schodów, żwawo przygrywając ragti-me'y. W pierwszej klasie, na spacerowym pokładzie A, roznoszono na srebrnych tacach szampana.

Kapitan Smith nie przepadał za taką muzyką. Wolał kościelne hymny i marsze wojskowe, podobały mu się też słodkie, melodyjne walce, przy których miękły wszystkie bez wyjątku kobiety. Cóż, kiedy Londyn ogarnął szal ragtime'u, a pasażerowie *Titanica* chcieli słuchać tego, co modne.

Nie od razu odpowiedział Boxhallowi. W skupieniu dmuchał na herbatę, jakby to była powierzchnia oceanu, na której postanowił wzburzyć fale. Tak, marzył, by już wyruszyć; gnał go na morze instynkt starego marynarza. Ale bynajmniej nie uchylał się od tradycyjnego marynarskiego przywileju poznania pięknych dam, które miał zaszczyt powitać na swoim pokładzie.

Choć od lat prowadził, wielkie pasażerskie liniowce dla White Star Line, te obiecujące chwile przed wypłynięciem, kiedy wszystko ma się dopiero zacząć, należały do jego ulubionych i niezmiennie najbardziej ekscytujących. Uwielbiał te niewinne flirty i obowiązkowe „kapitańskie” tańce, w trakcie których mógł sobie do woli oceniać stadko kobiet, które na czas podróży ufnie oddawało się pod jego władzę i opiekę. Przez okres owego magicznego tygodnia miał być dla nich panem i władcą.

Bywało, że co poniektóre damy lądowały w kapitańskim łożu. Na czas rejsu po prostu zawłaszczwał wszystkie pasażerki z pierwszej klasy. Należały do niego, do E.J., i nie liczyło się, czy mają mężów, kochanków, czy opiekunów. Jeszcze chwila, a znów będzie się nimi cieszyć, napawać jak wysypywanymi z aksamitnego mieszka klejnotami.

Oddał pusty kubek oficerowi i sięgnął po leżącą na stoliku lornetkę.

- I cóż, panie Boxhall - zagadnął - widziałeś już pan nasze panie z

**pierwszej klasy?**

**Mówiąc to, uniósł lornetkę do oczu, głęboko wdychając charakterystyczną woń portu, tak inną od woni pełnego oceanu. Może nie była ona subtelna, ale niosła ze sobą jedyną w swoim rodzaju obietnicę, wabiącą ludzi morza niczym kobieta-kusicielka...**

**Tak, właśnie jak kobieta, która za chwilę ma zostać twoją kochanką, doszedł do wniosku kapitan Smith, uważnie lustrując tłum z wysokości kapitańskiego mostku. Osobliwie sprzyjający musiał być dla niego układ gwiazd... Kto wie, może patronowała mu Wenus? Przed żadnym z dotychczasowych rejsów nie czuł się bowiem tak podekscytowany owym salonowym wątkiem.**

**Hm, może było tak dlatego, że ów rejs miał być dla niego rejsiem ostatnim? Że oto po raz ostatni miał zostać chwilowym władcą tego potężnego, choć małego, pływającego królestwa; prawdziwym łowcą przygód, a jednocześnie sumiennym pracownikiem, odbywającym dzielnie swą służbę? Na razie nie czuł smutku ani żalu. Zawładnęło nim jedynie napięte wyczekiwanie.**

**Oficer Boxhall nie skorzystał z zaszczytu kapitańskiego zaufania. Pozostawił pytanie EJ. bez odpowiedzi. Zerknął tylko w dół, na barwne rojowisko falban, sukien, płaszczy i kapeluszy, rozbrzmiewające śmiechem i okrzykami podniecenia, po czym odparł taktownie:**

**- Księżniczki z pierwszej klasy zostawiam mężczyznom takim jak pan, sir. To pan ma władzę, autorytet i prezencję, niezbędne, by nimi pokierować. Ja nie mam się co równać z panem w tym względzie, kapitanie.**

**- Och, nie bądź pan taki skromny, panie Boxhall - mruknął kapitan, uważnie lustrując barwny tłumek. - Słucham zatem. Niech pan mówi śmiało...**

**Jego wzrok przyciągnęła rudowłosa kobieta o bujnej, posągowej sylwetce. Ciemnoniebieska suknia podkreślała płomienny odcień włosów, skrytych pod wdowią woalką. Była pięknością, której widok przyciągał męskie spojrzenia. Ale była też młoda, o wiele za młoda...**

**- No więc, sir - zaczął Boxhall - wolę ciepłe, pulchne ślicznotki**

niższego stanu. Takie, które nie dbają, gdy chłop chlupnie sobie pintę czy dwie piwa po zachodzie słońca, i które nie mają nic przeciwko temu, że ktoś im skradnie całusa. Bo te pańskie, za przeproszeniem, damulki, są jak figurki z lodu. Nie umieją być swobodne i miłe z mężczyznami, jeśli nad nimi bez reszty nie panują.

EJ. ustawił lornetkę na przybliżenie, ogniskując ją na nowym, lawendowoszarym zjawisku. Pomyślał, że jeszcze nie widział tak pięknej kobiety. Nawet odległy obraz wystarczył, by jego męskość zaczęła pulsować nagłym pożądaniem, a dłonie zwilgotniały od potu.

Była smukła, o arystokratycznej postaci. Odziane w jedwab plecy, wąskie i proste, wznosiły się jak łodyga lilii - takie poetyckie porównanie przyszło mu do głowy. Gdyby objął ją dłońmi w tali, rozkwitłaby mu w rękach.

Twarz, którą zobaczył z trzech czwartych profilu, ocieniało szerokie rondo kapelusza, obramowane rosyjskimi lisami. Włosy, starannie zaczesane do góry, jaśniały bielą niczym sama Mleczna Droga, tak znajoma wszystkim żeglarzom. A kiedy kobieta zwróciła nagle ku niemu twarz, wydało mu się, że widzi anioła. Rysy miały regularną doskonałość, a zarazem niezwykłą słodycz. Policzki o subtelnym zarysie rumieniały się ciepłą barwą brzoskwini. Anioł, prawdziwy anioł...

Kapitan Smith pojął, że tam, w samym środku pokładu spacerowego, obok rudowłosej piękności, znajduje się kobieta, o której marzył od dawna. Której od dawna pożądał i za którą tęsknił w pustym łóżku. A przynajmniej tęsknił kiedyś, kiedy był młodszy, jeszcze przed małżeństwem z Eleonorą. I jeszcze potem, długo potem, przez całe lata samotnej służby pośrodku oceanu.

Tak, marzył od dawna o takiej właśnie kobiecie. W myślach spotykał ją zawsze wśród wodnych przestworów, tam, gdzie czuł się wyzwolony od nakazów i ograniczeń panujących na lądzie. W owych marzeniach nie było u jej boku żadnego mężczyzny. W owych marzeniach zakochiwali się w sobie namiętnie.

Oczywiście, marzenia te nigdy nie zostały zrealizowane. Trzeba mu było poczytać za zasługę, że nigdy nie szukał w życiu spełnienia

tego, o czym tak skrycie marzył. Był człowiekiem moralnym, przyzwoitym; uosobieniem wiktoriańskiej obyczajowości. I kiedy już postanowił ożenić się z Eleonorą, wiedział, że to, co czyni, nigdy nie zagrozi jego małżeńskiemu szczęściu.

Jego córka miała teraz dwanaście lat. Mała Helena, nazwana imieniem starożytnej piękności, za sprawą której wypłynęło na morze tysiąc helleńskich okrętów... Helena uwielbiała ojca, bo zawsze był dla niej dobry. Sam potrafił marzyć i doceniał czyjeś marzenia. Choć już nawet nie pamiętał, kiedy się na dobre z nimi rozstał. Ale teraz wróciły - cudownie i niespodziewanie.

Bo tam, w dole, była ona, przyjmująca z uśmiechem kieliszek szampana, bez męża u boku, gotowa na oceaniczną wyprawę pod opieką E.J. Smitha w jego ostatnim rejsie. To twoja szansa, krzyczał w nim wewnętrzny głos. Intensywność myśli była zaś tak silna, że musiał mocniej zacisnąć lornetkę w dłoniach, by opanować ich drżenie.

Wreszcie opuścił ją i przymknął oczy, ale wzburzony umysł nie chciał się uspokoić. Dopiero teraz uznał, że należy odpowiedzieć Boxhallowi. Spokojnie, tonem wszytkowiedzącego kapitana, który nie zdradzi bojowego wrzenia krwi.

- Rozumiem, panie Boxhall, ale dla mnie tak chętne kobiety nie stanowią wyzwania. Ja lubię je zdobywać.

Lubię widzieć, jak miękną niczym gorący wosk świecy. Cóż, mój Joe, każdy ma to, co lubi, prawda? Ale zerknij no na tę kobietę w kapeluszu z białego lisa. Widzisz? Ładna sztuka, co?

Boxhall odebrał lornetkę od kapitana. On sam nie kłamał, mówiąc, że woli proste dziewczyny. Zwykle gustował w okrętowych pokojówkach i kelnerkach, albo w przaśnych irlandzkich dziewczuchach, podróżujących trzecią klasą na robotę do Ameryki. Bywało, że te „Brygidki” wsiadały na pokład z całymi rodzinami, a czasami nawet z narzeczonymi. I zwykle musiały oszczędzać każdy grosz, skąpiąc go na przyjemności w podróży.

Śliczne były te Irlandia, miłe i żywe jak iskierki - a w ciemnościach ich krągłe cycuszki chętnie poddawały się męskim dłoniom.

Przeważnie wchodziły na statek w Queenstown, ostatnim porcie przed długim, oceanicznym etapem podróży. *Titanic* miał zawinąć do Queenstown już nazajutrz w południe i myśl ta sprawiała Boxhallowi fizyczną wręcz przyjemność.

Rozmyślając o tak miłych kwestiach, wyłowił wreszcie z tłumu dojrzałą piękność, która wpadła w oko jego kapitanowi.

- Ach, widzę - powiedział uprzejmie - istotnie jest warta uwagi, sir. Ale, niestety, to kobieta nie dla mnie. Tym niemniej, życzę panu powodzenia. Nie wątpię, że zapowiada się panu cudowny rejs, kapitanie.

EJ. Smith uśmiechnął się pod wąsem. Lubił tego Boxhalla; równy był z niego chłop.

Ale już na mostek wpadł pierwszy oficer Murdoch, wymachując trzymanymi w ręku papierami. EJ. odwrócił się od Boxhalla, odprawiając go krótkim gestem, lecz nadal obdarzając życzliwą myślą. Znacomity materiał na pierwszego, ten jego czwarty. Może uda mu się awans za rok. Zanim odejdzie na emeryturę, spróbuje pchnąć tego chłopaka wyżej. A w każdym razie, kiedy tylko wrócą do Southampton, zadba, by wystawić mu jak najlepsze referencje.

- Tak, słucham, panie Murdoch? - odezwał się sztywno, podczas gdy w myślach już układał słowa zaproszenia na kolację dla tajemniczej damy, która najwyraźniej postanowiła odbyć rejs na *Titanicu* bez towarzystwa. Och, gdyby później, w kapitańskiej kabinie, po kolacji i szampanie, z dala od lądu i jego sztywnych praw, mógł zagarnąć niecierpliwymi, spragnionymi ramionami to powabne, wiotkie ciało... a potem zdobywać je kolejnymi uderzeniami, jak sztormowe fale...

- Chciałem złożyć meldunek, panie kapitanie.

- Więc słucham, panie Murdoch, w czym rzecz? -zapytał ponownie E.J., porzucając rozkoszne marzenia.

- Statek jest gotów do drogi. Oczekujemy rozkazu do odejścia, sir.

## Rozdział 2

---

**S**moke Lockholm stała na ławce na pokładzie spacerowym, prawie dwadzieścia metrów nad nabrzeżem Southampton, obserwując, jak wsiadają na statek ostatni pasażerowie. O dziwo, wśród maruderów była także jej matka. Kroczyła statecznie, trzymając pod rękę ojca, za nimi zaś podążała zaaferowana pani Twigg. Państwu Lockholm towarzyszyli Jack Thayer oraz Harry Widener, dwóch nowojorskich kawalerów, z których ten ostatni uważany był za szczególnie dobrą partię.

Smoke miała obu w równie głębokiej pogardzie. Co innego Swan... Ta mogłaby zainteresować się którymś z nich, pomyślała. Mogłaby, gdyby nie Danny Bowen.

Smoke zapragnęła nagle, żeby siostra stała tu, obok niej, a nie tam, u boku swojego korespondencyjnego dobiegacza. Nawet z daleka widać było, jaki z niego przystojniak. I co z tego, dodała od razu w myślach, skoro jego zęby są albo nierówne, albo zaniedbane i żółtawe.

Skrzywiła się na tę myśl, nikt jednak nie zauważył jej miny, tak nie licującej z powszechnym, radosnym nastrojem. Na szczęście stała wysoko, ponad głowami ludzi patrzących w dół i gorliwie powiewających chusteczkami do tych, którym pozostało już tylko zerkać tęsknie z nabrzeża na owych wybrańców losu, którzy za chwilę złączą swoją wielką przygodę. Niektórzy z pasażerów byli już lekko podchmieleni szampanem, który bez ograniczeń serwowali stewardzi w białych frakach, zręcznie żonglując srebrnymi tacami ponad głowami gości.

Smoke chciała mieć już to wszystko za sobą. Pożegnalne ceremonie zawsze były nudne jak flaki z olejem. Najchętniej odwróciłaby twarz ku zachodowi - tam, gdzie otwierała się ogromna przestrzeń oceanu - i pozwoliła płynąć swobodnie marzeniom o morskiej przygodzie. Już tęskniła za żeglugą po falach, za wolną wło-

czegą po niezmiernych wodnych przestrzeniach, kiedy to płynie się całymi dniami i nie widać ani kawałka lądu...

Któregoś dnia będzie miała swój własny statek. Koniecznie. Mniejszy od *Titanica*, to jasne, ale równie doskonały. A kiedy już stanie na mostku kapitańskim, nareszcie rzuci w kąt całą tę kretyńską, niewygodną elegancję, której wymogi musiała teraz spełniać. Suknia cisnęła ją w pasie, bo w porywie entuzjazmu objadła się zbyt dużo słodczy, które serwowano równie hojnie, jak szampana.

I nie wiązałyby już włosów grzecznie wstążką, tak jak kazała bliźniaczkom pani Twigg. Jako pani kapitan miałyby włosy rozpuszczone, zmierzwione oceanicznym wiatrem, przesycone solą, rzadko czesane i niesforne. I na pewno nie nosiłaby tego ciężkiego weluru, który ciężko zwisał jej u kostek i falował z każdym krokiem, układając się w niewygodne fałdy. Ubierałaby się jak marynarze - w luźne, szerokie, praktyczne spodnie i wypuszczoną na nie bluzę. W takim ubraniu mogłaby z łatwością wspinać się na bocianie gniazdo, nawet szybciej niż reszta załogi. I oczywiście przekłułaby sobie lewe ucho, zaś tubylec z jakiejś dzikiej wyspy wyrzeźbiłby jej kolczyk z kła morsa. Nosiłaby go jako talizman i tak uzbrojona sterowałaby z dumnie uniesioną głową swoim statkiem, wystawiając odstloniętą szyję na uderzenia porywistego wiatru...

Orkiestra - w zmniejszonym składzie, bo bez krzywozębego Danny'ego Bowena - wciąż grała łatwe, taneczne standardy, gdy pracownicy portowi na nabrzeżu zaczęli zdejmować cumy. Załoga *Titanica* wciągnęła je na niższy pokład w tym samym momencie, w którym na statek dotarła ostatnia, spóźniona para - przyjaciele matki Smoke, Victoria oraz Burton VanVoorst.

Victoria, zwana Tory, była w ósmym miesiącu ciąży, lecz nadal roztaczała wokół siebie *aure femme fatale*. Dekolt, jaki prezentowała, byłby niezbyt odpowiedni nawet o piątej, a cóż dopiero w samo południe!

Nagle Smoke poczuła lekkie drgnienie wypełnionego pasażerami kolosa. Atmosfera ożywiła się, podekscytowani pasażerowie zaczęli

rzucić z pokładu kwiaty, a na nabrzeżu z krzykiem podskakiwały towarzyszące gapiom dzieciaki. Białe chryzantemy, purpurowe róże i różnokolorowe bukietki unosiły się na oleistej, ciemnej wodzie, uniesione w geście pożegnania chusteczki powiewały na łagodnym wietrze, rozliczne okrzyki przemieszały się ze sobą, tworząc pełen podniecenia ludzki gwar. Zaniepokojone rozgardiaszem mewy poderwały się z nabrzeża i teraz ze skwirem przelatywały nad głowami tłumu.

Odplywali!

Ledwo wyczuwalna vibracja silników, ów pierwszy oddech ogromnego statku, przeniknęła ciało Smoke i napełniła je trudnym do opisanego podnieceniem. Oto gdzieś w głębi potężnego kadłuba para poruszyła gigantyczne tłoki i w chwilę później *Titanic* wreszcie ruszył - zdumiewająco płynnie, łagodnie i zrazu powoli. Wystarczyło jednak, by nabrzeże w Southampton zaczęło się oddalać, a już nowa, świeższa bryza rozwiała błądzący dym, wydobywający się z trzech spośród czterech kominów. Wiatr poruszył też złociste loki Smoke, która odetchnęła pełną piersią i uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

Ale statek nie był jeszcze wolny. Wyprowadzały go z basenu portowego stateczki manewrowe, tendry, pracownicy prace naprzód przez obniżające się wody odpływu. Ktoś powiedział, że mają doholować go tam, gdzie rzeka rozlewa się szeroko i gdzie znajduje się „punkt zwrotny”. Potem nastąpiła pewna zwłoka, gdy część załogi schodziła na pokład tendra *The Vulcan*.

Byli to ludzie z „awaryjnego” naboru, jak informował ten wszystkowiedzący ktoś w tłumie, tłoczącym się przy relingach. Zostali wciągnięci na listę nie dalej niż rano, aby tworzyli rezerwę załogi na wypadek, gdyby któryś z marynarzy nie stawił się w ostatniej chwili.

Manewrowanie przebiegło jednak nadzwyczaj sprawnie i szybko, statki pomocnicze oddaliły się niemal niepostrzeżenie i teraz wreszcie majestatyczny transatlantyk, dumny i wielki jak góra, został sam, by rozpocząć swój pierwszy rejs.

Sunął dostojnie, w ciszy i spokoju, które udzieliły się tłumom na



nabrzeżu i pokładzie. Smoke również się uspokoiła, przymknęła powieki...

Nagle zza jej pleców rozległy się dramatyczne okrzyki - okrzyki przerażenia. Otworzyła oczy i ujrzała, jak szare, jeszcze przed chwilą gładkie wody wzburzyły się i zawrzały, tworząc za rufą statku spieniony szlak. Moc silników oceanicznego giganta była tak wielka, że w basenie portowym stanęły potężne fale, a dwie przycumowane obok siebie jednostki zaczęły niebezpiecznie tańczyć na wodzie, unosząc się i opadając, to jedna, to druga. *Oceanic* i *New York*, oba bez załogi i bez nadzoru, musiały same walczyć z falą, miotającą nimi przy nabrzeżu.

Jeszcze chwila i wszystkie sześć cum *New Yorka* pękło z trzaskiem, a uwolniony nagle statek odbił na środek akwenu, obrócił się rufą do przodu i szedł teraz wprost na *Titanica*, grożąc jego lewej burcie, wznoszącej się przed nim niczym stroma ściana.

Smoke zacisnęła dłonie na barierce i patrzyła z rosnącą zgrozą, jak pozbawiony załogi, niesterowny, ciężko przewalający się na falach *New York*, nurkuje co chwila dziobem w dół, zupełnie jakby chciał ucałować dno rzeki. Kolejne uderzenie fali sprawiło, że statek stanął dęba jak narowisty koń, chwiejąc się coraz bliżej lewej burty *Titanica*...

Boże, zaraz w nich uderzy!

Zza chmury nagle wyszło słońce i oślepiło ją swym blaskiem. Krzesło, na którym stała Smoke, zachwiało się pod jej nogami i poczuła, że traci równowagę. Jeszcze chwila i wpadnie w przerażającą, zwierającą się szczelinę pomiędzy stalowymi burtami.

- Cała wstecz! - rozległo się z głośników.

Cała wstecz! - zawołało coś w zatrwożonym sercu Smoke. Już padała... zimny powiew wiatru smagnał ją w twarz...

A potem jakieś silne, duże, plebejskie i kościste dłonie chwyciły ją w pasie i uniosły w tył.

Zdążyła jeszcze dojrzeć zaokrągloną rufę statku, która uniosła się i opadła - na szczęście - w bezpiecznej odległości od burty *Titanica*, po czym cały kadłub *New Yor-ka* odpłynął ku spokojniejszej wodzie.

Smoke szarpnęła się z irytacją, usiłując wyzwolić ciało z bezczelnych, ściskających je niczym kleszcze rąk. Kto śmiał zakłócić jej oceaniczny chrzest? Jej, córce właściciela statku!

Odwróciła się, żeby spojrzeć w twarz natręta. Był młody i kanciasty niczym żrebak. Oczy miał brązowe jak morskie algi, zaś jego jasne włosy o dymnym odcieniu nie były gładko zaczesane, lecz rozwichrzone i potargane od wiatru. Na ciemnoniebieskim, jednorzędowym uniformie z czarnymi guzikami, nieco przyciasnym w ramionach, nie widać było żadnych odznak ani dystynkcji.

U jego boku stała Swan.

- Smoke, oszalałaś?! - wykrzyknęła drżącym głosem. - Co ty wyprawiasz, jak mogłaś...?

Chłopak wypuścił Smoke z ciasnych objęć i zaraz skłonił się przed nią z niezdarną elegancją.

- To święta prawda, mogło być już po tobie, panienko - potwierdził.

Obcym natrętem był Danny. Uśmiechał się do niej śmiało, a jego zęby wcale nie były ani krzywe, ani zażółcone.

Audrey Lockholm - „niepospolitej urody złocistowłosa żona Johna Bayarda Lockholma III", jak pisały o niej gazety - przystanąła na pokładzie łodziowym, jednocześnie przejęta i przerażona. Urządzono tu promenadę dla wszystkich pasażerów, a ona przystanąła wśród nich samotnie, pragnąc przez chwilę napawać się splendorem *Titanica*, zanim wreszcie zjedzie na pokład B, do jadalni, gdzie czekali już na nią Tory oraz Burt z Dove i Nicole.

Nie spieszyła się. Wiedziała, że Bay jeszcze nie wrócił. Wraz z Bruce'em Ismayem jej mąż jadł właśnie prywatny obiad w towarzystwie kapitana. Z góry uprzedzał ją, że tak będzie, i to nie raz. Tę podróż odbywał dla interesów, nie dla przyjemności. A interesy były najważniejsze.

- Bardzo mi przykro, kochanie - powiedział jej wczoraj przed kolacją w Dentoncroft, angielskiej posiadłości należącej do Nicole. - Nie zawsze będę miał dla ciebie czas. - Po tych słowach niedbale opuścił w nastawione dłonie Audrey prezent zawinięty w błękitną

bibułkę, udrapowaną tak, by przypominała kwiat hortensji.

Kochany, najukochańszy Bay.

Jak zwykle udało mu się ją zaskoczyć. Kolię z pięciu rzędów pereł spinał półksiężyc z kości słoniowej. Księżyc, o którym mówiła Cyganka...

Audrey posiadała już tyle pereł, że nie miała kiedy ich nosić. Czasami, widząc je wszystkie naraz - na przykład gdy w czasie sezonowej zmiany rezydencji przenosiła je do innych sejfów - wyobrażała sobie, że posiada wszystkie perły, jakie widział ten świat. Prawdę mówiąc, krępowała ją nieco ta świadomość. Choć bowiem od siedemnastu lat żyła wśród bajecznego bogactwa, urodziła się i wychowała w biedzie. I nadal uważała, że niektóre rzeczy są przesadnie zbyt kowne.

Co nie znaczy, że się nie zmieniała. Żona Johna Bayarda Lockholma III nie była już tą samą onieśmiałą, nie znającą salonowej ogłady dziewczyną, która szeroko otwartymi oczami, z zapartym tchem chłoneła olśniewający świat, o którym dotąd nie miała pojęcia. Teraz, w wieku trzydziestu sześciu lat, piękna tym szczególnym pięknem dojrzałej kobiety, swobodnie poruszała się wśród otaczającego ją zbytku. Królowała wśród arystokratycznego towarzystwa i umiała sobie radzić ze służbą oraz z prowadzeniem domu.

Gdy jednak ujrzała księżyc, spinający kosztowne perły, poczuła przerażenie...

Nie skomentowała prezentu żadnym słowem. Już dawno zrozumiała, że nie ma sensu prosić męża, by nie dawał jej tak kosztownych upominków. Z uśmiechem pozwoliła mu założyć sobie perły na szyję, a potem spiąć je z przodu ozdobnym półksiężycem. Pozwoliła również, by zsunął z niej szlafroczek i powiódł ją do łóżka.

Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Musieli wówczas się spieszyć, gdyż trzeba było jeszcze przebrać się do kolacji. Bay miał przygotowany garnitur z czarnej wełny oraz ametystowe spinki, zaś ona - atłasową suknię w kolorze ciemnej czerwieni, przepasaną w talii satynową szarfą. Na odkryte ramiona miała narzucić szal z naj-

cieńszej koronki.

Wcześniej jednak Bay zapragnął się z nią kochać.

Z początku nie mogła się odprężyć i poddać jego pieszczotom. Natrętnie powracała myśl o Cygance i jej złowieszczych przepowiedniach. Próbowwała wypędzić z myśli to okropne wspomnienie, zagubić się pod ciężarem gorącego ciała Baya, odurzyć namiętnością...

Na próżno.

Zimny półksiężyc zdawał się dławić jej gardło, zaciskając kolie z pereł jak niewolniczą obrozę.

- Brandy - wyszeptała Bayowi do ucha, gdy zaś przyniósł jej alkohol, zachłannie upiła głęboki łyk.

A potem, tak jak kiedyś, zanim jeszcze ciężar majątku Lockholmów nie zniszczył jego namiętności, Bayard zaczął smakować jej ciało, rozpałił ją rozkosznym ogniem, a ona osunęła się w błogie zapomnienie, odsuwając na bok wszystkie lęki.

Gdy elegancko ubrani schodzili potem na kolację, nic nie zdradzało burzy zmysłów, która jeszcze chwilę temu porwała ich oboje. Audrey rozdawała uprzejme uśmiechy, wytworna i opanowana, na jej szyi pyszniły się zaś nowe perły, które miały odtąd powiększyć kolekcję kosztowności rodziny Lockholmów.

Zerknęła ostatni raz przez balustradę na pokład trzeciej klasy i już miała zjechać na pokład B, by dołączyć do znajomych, gdy nagle ujrzała wśród tłumu najbiedniejszych pasażerów postać, na widok której skóra ścierpła jej ze strachu.

Cyganka.

Ta sama stara Cyganka o oczach ciemnych jak dno studni.

Jak to możliwe? Przecież madame Romany przyjmowała i wróżyła na Manhattanie, w nędznym, wynajmowanym pokoiku. Może to tylko przywidzenie? W końcu wszystkie stare, ubogie kobiety ubierają się i wyglądają podobnie.

Cyganka spojrzała w górę, jakby wyczuła wzrok Audrey...

O, Boże!

Wtedy, w Nowym Jorku, poszła do Madame Romany za namową

Tory.

- Ona jest naprawdę niesamowita, mówię ci, kochana!

Przepowiedziała rozwód Cummingsów, wyobrażasz to sobie?

Audrey nie pamiętała Cummingsów ani tym bardziej ich rozwodu, ale wzięła adres wróżki. Z powodu Baya, swojego męża, swojej wielkiej miłości.

Och, kochany Bay, najdroższy, tak bardzo udręczony problemami...

Mąż Audrey związał swój majątek z trustem okrętowym MM - International Mercantile Marine, należącym do potężnego finansisty J.P. Morgana. Ów trust miał ambicje zdominowania światowej żeglugi handlowej, na razie jednak przeżywał poważne trudności. W tej sytuacji Cunard Line, która przynosiła zyski i nie miała zamiaru przyłączyć się do Morgana, wyrastała na coraz groźniejszego konkurenta.

Współpracę z Morganem podjęła White Star Line, lecz firmą tą zarządzano w sposób staromodny, romantyczny, nie zważając na rachunek kosztów. „To taki szlachetny dinozaur, skazany na wymarcie” - mawiał często Bay.

Ponadto White Star Line kierował człowiek, któremu Morgan nie ufał - niejaki J. Bruce Ismay, syn założyciela linii, pochodzący, tak jak i Bay, z rodu właścicieli statków i linii żeglugowych. Aby poznać go osobiście, Bay specjalnie przyjechał do Anglii i z tego to właśnie powodu znaleźli się oni tutaj, na pokładzie *Titanica* - chluby White Star oraz International Mercantile Marine. Wszyscy przedsiębiorcy - Bay, Ismay oraz sam Morgan - wiedzieli, że po pierwszym transatlantyckim rejsie głośno reklamowanego liniowca mogą spodziewać się wszystkiego - zarówno chwały, jak i klęski.,

Trudne wyzwanie. Męska sprawa. Zwyciężyć albo iść na dno. No i Bay, zaplątany w to wszystko. A do tego obawa, że go straci...

Co gorsza, wcale nie miał zamiaru wtajemniczać jej w swoje kłopoty. „Niepotrzebnie się przejmujesz, kochanie, wszystko będzie dobrze” - to była jego odpowiedź na wszelkie jej pytania i wątpliwości. A przecież Audrey dobrze widziała, że ostatnio schudł i

zmarniał; że stał się nerwowy i wyglądał dużo starzej, wcale nie na swoje pięćdziesiąt parę lat.

Dlatego właśnie zdecydowała się pójść do Cyganki i zapytać ją, co mówią karty.

Cyganka była stara i brudna. W wyrazie jej oczu Audrey dostrzegła coś niepokojącego i znajomego zarazem. Jedno było niewidzące, zasnutę bielmem, ale drugie, czarne niczym nieprzenikniona studnia i wszystkowiedzące, dosłownie przewiercało ją spojrzeniem. Już gdzieś, kiedyś, musiała patrzeć w te oczy. Może w jakimś śnie? A może było to bardzo dawno, kiedy Audrey była jeszcze małym dzieckiem, mocno trzymającym się ręki ojca, by nie zgubić się w ciżbie, tłoczącej się do cyrku, który przyjechał do Newport?

Josephine, matka Audrey, też kiedyś poszła do wróżki. Audrey zachowała na zawsze w pamięci obraz całej trójki - matkę i ojca, wpatrujących się z przejęciem w szklaną, mleczną kulę, oraz siebie, usadowioną wygodnie na matczynych kolanach. Tylko Cyganki nie zapamiętała w ogóle. Matka śmiała się, a ojciec był zadowolony. Nie myślała wtedy, że po latach i ona zasiądzie przed magiczną kulą i talią kart.

- Mój mąż - tłumaczyła, patrząc w czujne oko madame Romany - ma kłopoty. Nie idą mu interesy...

- Będzie księżyc - Cyganka nie pozwoliła jej dokończyć. - Jak go zobaczysz, ładna pani, to będziesz wiedziała, że nadchodzą prawdziwe kłopoty. Za kłopotami będzie kobieta. Wiesz, o której mówię. Ta z ognistymi włosami. Jasno jest wokół ciebie, pani, wszędzie blask... Może to diamenty, a może rzędy gwiazd. No i przyjęcie, wielki bal o północy... Wolałabym o tym nie mówić, ładna pani, ale twój mąż... wygłasza słowa pożegnania.

- Jakie słowa? Kiedy? Co to ma znaczyć? Powiedz, co to ma znaczyć! - Audrey poderwała się z miejsca.

- Zaczekaj... Może jest wyjście. - Wąskie, pomarszczone usta zacisnęły się chytrze. Cyganka wskazała gestem elegancki płaszcz Audrey, przewieszony przez oparcie prostego krzesła. - Trudno mi

coś jaśniej zobaczyć...

Jeszcze dwadzieścia dolarów, paniusiu - poprosiła przymilnie - a spróbuję opowiedzieć wszystko, co widzę.

- Wszystko - powtórzyła Audrey, kładąc na stół nowy banknot.

- A więc, piękna pani - w głosie kobiety nie było już wahania - powiem ci całą prawdę. Zabezpiecz swój byt, kochaniutka, i to szybko. Pieniądze przychodzą i odchodzą, tak jak szczęście. Zadbaj o siebie, bo niedługo nie będziesz już miała bogatego męża...

Po tych słowach Audrey wybiegła z pokoju i nie wróciła do wróżki nigdy więcej. Zdarzyło się to przed miesiącem. Od tamtej pory nie mówiła o tej dziwnej przepowiedni nikomu, nawet Tory, która odwiedziła Cygankę dzień wcześniej i wyszła od niej bardzo zadowolona. „Powiedziała mi, że moje dziecko będzie prezydentem - relacjonowała z podnieceniem. - Wyobraź sobie, Audrey, mój synuś! I jeszcze, że Burty będzie zawsze mnie kochał...”

Audrey postanowiła zlekceważyć wszystkie te wróżby i nie zawracać sobie nimi więcej głowy. Wczoraj jednak dostała w prezencie księżyc z kości słoniowej. W domu Nicole. Pięknej Nicole o ognistych włosach. Teraz zaś kobieta łudzaco podobna do madame Romany stała oparta o reling pokładu trzeciej klasy i patrzyła ku niej w górę z podejrzanym zainteresowaniem. Czy to nie ona, madame Romany? Czy nie wabi jej właśnie, kiwając swym szponiastym paluchem, by rzuciła się w dół, w dół, w dół, ku falom...

Boże, jak to możliwe?

Ktoś położył dłoń na jej ramieniu. Audrey obróciła się gwałtownie i ujrzała przed sobą Dove Peerce, matkę Nicole.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała z uśmiechem. - Zejdźmy razem na kolację, dobrze? Jeśli obie zjawimy się spóźnione, może Nicole nie zrobi nam awantury.

Audrey odetchnęła z ulgą i z wdzięcznością wykorzystała pretekst, by oderwać się od niepokojącego widoku w dole.

Skwapliwie ujęła ozdobioną bransoletami rękę Dove i odparła:

- Tak, chodźmy, umieram z głodu.

- Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która ma tak zdrowy apetyt -

roześmiała się Dove w odpowiedzi. - Nie wiem tylko, jakim cudem nie tracisz figury, kochanie, przynajmniej na razie. Ciekawe, co będzie, kiedy kucharze, zachwyceni twoim apetytem, zaczną ci podsyłać przez kelnerów dodatkowe porcje. A jeśli jeszcze inni zachorują na chorobę morską, będziesz w prawdziwym niebezpieczeństwie!

Audrey próbowała przybrać równie beztroski ton.

- Wówczas pójdę za twoim przykładem, droga Dove, i przestanę jeść na sali. Każę sobie podawać posiłki osobno, razem z Bayem i bliźniaczkami.

- Tak czy inaczej - ostrzegła Dove - bądź czujna. Szef kuchni *Titanica* gotował dla rodziny królewskiej w Pałacu Buckingham, a jego baranina z różną, jak słyszałam, należała do ulubionych dań króla.

Dove pozostawała w domu swojej ciotki w Anglii od sierpnia, kiedy to Nicole lady Pomeroy wróciła do Dentoncroft z Kenii jako wdowa. Właśnie wczoraj, na popołudniowej herbatce, Audrey ujrzała ją po raz pierwszy w tym roku i uznała, że Dove mocno się postarzała. Nadal była przystojną kobietą, ale było już po niej znaczący upływ lat.

Dzisiaj wszakże wyglądała szczególnie powabnie. Kostium z cienkiej wełny w ukochanym, jasnoszarym odcieniu cudownie podkreślał biel jej włosów i błękit oczu. Zgrabnie skrojony strój uwypuklał atuty jej figury, a pełne kobiecego wdzięku spojrzenia i zalotne uśmiechy niejednego mężczyznę przyprawiłyby o szybsze bicie serca. Właściwie w świetle świec Dove mogłaby uchodzić za trzydziestopięciolatkę.

Cóż, już dawno temu, jeszcze jako młoda dziewczyna „debiutująca” na salonach, Susanna Reed Peerce, zwana Dove, czyli Gołębicą, zaczęła wypracowywać swój nienaganny wizerunek i towarzyskie maniery, w czym szybko osiągnęła doskonałość. Teraz, z wiekiem, jak sama mówiła, o wiele mniej przejmowała się takimi sprawami, lecz styl i klasę potrafiła zachować w każdych okolicznościach. Zawsze też dbała, by nie przekroczyć pewnej, ściśle



określonej granicy, za którą kończył się niewinny flirt, a zaczynał ponury romans. Ponury, bowiem wszystkie znane jej romanse przynosiły głównie skandale, awantury, załamania i depresje.

Raz jedynie, dawno temu, Dove pozwoliła sobie na moralne odstępstwo - lecz o romansie i zdradzie wiedział tylko jeden człowiek i była pewna, że na zawsze utrzyma tę wiadomość w sekrecie. Nie miał wyjścia...

Lubiła tamto wspomnienie. Potem zaś, kiedy odszedł jej ukochany mąż, Percy, Dove zyskała wolność, a wraz z nią rozpoczęła nowy etap w swoim życiu. Nie mam już nikogo do stracenia i nie muszę niczego udawać, mówiła sobie, gdy nachodziły ją pokusy. Ulegała im nierzadko, skoro bowiem uznała, że może sobie pozwolić na odrobinę przyjemności, to nic nie krępowało już jej poczynań.

Mimo to dla Audrey Dove pozostała natchnieniem i inspiracją; starszą, mądrą kobietą o arystokratycznym obejściu, która onieśmielała ją i którą niezmiennie podziwiała. Audrey wiedziała, jak bardzo Dove i jej córka, Nicole, nie zgadzają się ze sobą. Wyczuwało się pomiędzy nimi dystans, nieustające skłócenie i wrogość, która mogła być nawet rodzajem nieświadomianej, dyktowanej zazdrością rywalizacji.

Kiedyś wszakże było zgoła inaczej. Zanim Nicole nie zakochała się w Rolfie - a on w niej - Dove, jak sama wspominała, poważnie obawiała się, że jej córka zostanie starą panną. Nie do wiary, ale ta, którą nazywano „najpiękniejszą kobietą dwóch kontynentów”, uważana była przez matkę za brzydkie kaczątko. Nie widziała świata poza kołmi, które ujeżdżała jak mężczyzna, i częściej pachniała stajnią niż perfumami. Dziś wzdychali do niej niezliczeni mężczyźni.

Może teraz wreszcie zbliżą się do siebie, pomyślała Audrey, idąc obok Dove do mniejszej jadalni. W końcu teraz obie, matka i córka, zostały wdowami. Może w Peerce House, gdzie zamieszkały, porozumieją się i pokochają.

- Przeczytaj - powiedziała Dove, wciskając bilet ze sztywnego papieru w dłoń Audrey. - Przeczytaj, ale nic nie mów. I jeszcze przysłał mi róże. Białe, cały tuzin, zaraz na początku. Jakie to miłe,

**prawda?**

**Zdobiony emblematem *Titanica* i podpisany przez kapitana Edwarda Johna Smitha bilet był zaproszeniem na kolację przy kapitańskim stole. „Będzie dla mnie zaszczytem prosić, by zasiadła pani po mojej prawicy - pisał kapitan. - Nic bardziej mnie nie ucieszy.”**

**- No cóż, moja kochana - powiedziała z podziwem Audrey, wiedząc, jak bardzo Dove uwielbia męską uwagę - masz szansę na prawdziwie romantyczny rejs. Jeśli oczywiście należysz do kobiet, które to lubią...**

**- Wszystkie kobiety to lubią - uśmiechnęła się Dove w odpowiedzi. - Tyle że nie wszystkie mają na to szansę.**

**- Ja na pewno nie - powiedziała z przekonaniem Audrey.**

**Dove zachichotała, zaraz jednak umilkła. Oto dotarły bowiem do szerokich schodów i zaczęły zstępować do zastawionej eleganckimi stolikami sali. Wszyscy mężczyźni patrzyli na nie z zachwytem.**

## Rozdział 3

---

**V**ictoria VanVoorst znieruchomiła nagle przy okrągłym stole w jadalni *Titanica*. Stało się! Wreszcie dopadło ją przeznaczenie. Czyhało tuż tuż, w tej sali.

Przeczuwała, że to w końcu się zdarzy. Tego właśnie się bała. Czuła, że któregoś dnia doścignie ją własna przeszłość, z którą przyjdzie jej się zmierzyć. Czuła, że zostanie rozpoznana. Teraz wyjdzie na jaw jej tajemnica, a ona straci wszystko co ma, wszystko, co kocha...

Zmusiła się, by siedzieć prosto u boku Burty'ego, i przywdziała na twarz maskę spokoju. Dobrze znała sztukę skrywania uczuć. Bez trudu potrafiła przybrać wygląd kruchej, źle znoszącej ósmy miesiąc ciąży kobiety, cierpiącej z powodu początków choroby morskiej, która stara się dzielnie trzymać, by nie martwić męża. W rzeczywistości nie odczuwała żadnych sensacji. *Titanic* sunął gładko jak po stole i jedynie słona bryza przypominała, że znajdują się na pełnym morzu. Tory postanowiła jednak poczekać na stosowny moment, by pod pretekstem zmęczenia i złego samopoczucia przeprosić towarzystwo, wymknąć się do kajuty, położyć się i pomyśleć...

W podróźnej apteczce trzymała fiolkę z cyjankiem, którą wszędzie zabierała ze sobą. Od lat nie rozstawała się z trucizną, traktując ją jako ostateczne rozwiązanie, tak jak samurajski wojownik nie rozstaje się z mieczem do harakiri. Gdyby bowiem miała Alma June Brown miała wrócić do życia, trzeba by było znów ją uśmiercić.

Rozejrzała się z niepokojem po sali. Z drugiego kąta jadalni śledziło ją bez ustanku zachwycone spojrzenie Theodore'a Royce'a. O czym myślał, patrząc na nią z łakomym uśmiechem? Tory mogła się tylko domyślać.

Tymczasem Theodore Royce dumał po prostu o tym, że kobieta, którą widział w przeciwnym kącie sali, rozpałała go zawsze, teraz

równie mocno, jak kiedyś. Tak, są takie kobiety, których nie sposób zapomnieć, nawet po wielu latach. A musiało minąć dobre dwadzieścia lat, odkąd miał przyjemność obcowania z małą Almě June.

Wtedy była jeszcze cynamonowym murzyńskim podlotkiem, bękartem spłodzonym „na boku”, takim jakich wielu urodziło się na Południu, gdzie biali i czarni żyli wspólnie od dziesięcioleci. Zarabiała na obiad śpiewaniem, a ludzie nie byli zbyt hojni. Pamiętał, że gotowa była dać wszystko za kanapkę z białego chleba z rybą.

Cholera, nic nie było w stanie zgasić żaru tej dziewczyny, a piękna była, bestyjka, nie ma co! I proszę, nawet teraz, jako szacowna mężatka, z brzuchem, blada i wymęczona, kusi swą diabelską urodą.

Kiedy będzie sama, podejdzie do niej i powie: „Witaj, Almo June, pamiętasz Teddy'ego Royce'a? Stęskniłem się za tobą... Ja? Owszem, kochana, wciąż żyję z karciat, skoro o to pytasz. I musisz wiedzieć, że mam się niezgorzej...” Och, już widział ten blask w jej szmaragdowych oczach, już czuł jej gładką skórę pod palcami...

Tory poruszyła się niespokojnie, zupełnie jakby słyszała te brudne myśli. Nagle zrobiło jej się za gorąco i za ciasno przy okrągłym stole na osiem osób, pomiędzy Burtym a Nicole lady Pomeroy. Nic jeszcze nie zamówili. Nicole czytała telegram, który właśnie jej dostarczono, a sądząc ze zwarzonej miny, treść depeszy niespecjalnie ją ucieszyła. Burty w milczeniu obracał w palcach kieliszek napełniony koktajlem. Czekaając, aż dołączy do nich reszta towarzystwa, bębnił placami w swoje nakrycie, rozłożone na białym obrusie obok pięciu innych.

Dopiero teraz Tory spostrzegła nadchodzące Audrey i Dove Peerce. Baya z nimi nie było. Widocznie konferuje jeszcze z Ismayem w jego prywatnych apartamentach. A bliźniaczki i pani Twigg pewnie popijają sobie kawkę w kawiarence na pokładzie, napawając się Oceaniczną scenerią.

Ręka Tory poszukała pod stołem dłoni męża.

Boże, dlaczego tak się stało? Dlaczego pozwoliła sobie zejść w ciążę jak jakaś naiwna gęś, choć przecież przysięgała sobie, że nigdy

do tego nie dopuści; że raczej umrze niż urodzi dziecko? Niedługo miała skończyć czterdzieści dwa lata. Przed laty przekonała Burty'ego, że jest bezpłodna, a on zdawał się być pogodzony z faktem, że nie będą już mieli dzieci. Brakowało jeszcze kilku lat, żeby zaczęła przekwitać i żeby problem sam się rozwiązał. Dlaczego więc...?

Z miłości.

Tak, kochana, tak po prostu. Z miłości do Burty'ego, którego swego czasu poślubiła wcale nie z miłości, lecz aby polepszyć sobie życie. Potem, stopniowo, budziło się w niej uczucie, a wraz z nim świadomość, że przecież zadaje mu ból, pozbawiając go możliwości ojcostwa. Z drugiej strony strach - kiedyś tak silny, że przesyczał każdą myśl i zakłócał każdą intymną chwilę - z czasem został stłumiony, a w końcu uspijony przez błogi stan komfortu i bezpieczeństwa. Zbyt silnie pragnęła zadowolić tego mężczyznę, by on zdołał zadowolić ją...

Z miłości.

Z miłości do Burty'ego, który wziął ją za żonę mimo sprzeciwu wszystkich przyjaciół. Uważali, że Tory poluje wyłącznie na jego fortunę - i oczywiście mieli rację. Burty nie słuchał życzliwych rad. „Co z tego, niech mi zabierze majątek - odpowiadał. - Zdobędę drugi i oboje będziemy bogaci!”.

To dla niej przeciwstawił się rodzicom - staremu dusigroszowi, Amity'emu, i tej głupiej kwoce, Vincent, która powtarzała bez końca: „Ta twoja kochanka jest zerem, skąd ona w ogóle się wzięła?”.

Dobre sobie! Sami byli kiedyś zerem i pochodzili ze społecznych dołów. Grozili, że nie przyjdą na ślub, a kiedy do niego doszło, nie zostali zaproszeni. Oczywiście pomstowali i rozpaczali, ale nic nie byli w stanie zmienić. Teraz ojciec Burty'ego już nie żył. Przejechała go ciężarówka z kwiaciarni na Broadwayu, gdy szedł do swojej dziwki.

Prawdę mówiąc, Tory była kimś jeszcze gorszym niż „nikt”, znaczyła mniej niż zero. Wyłoniła się z mroków Luizjany, by zabłysnąć jako tancerka i striptiserka na nowojorskim Times Square.

Burty nie zważał jednak na nic i poślubił ją wbrew zgodnej opinii wszystkich. „Nie dbam o to, skąd pochodzi! Ważne jest, dokąd dojdzie ze mną!” - odpowiadał porywczo, jeśli ktoś tylko wspomniał o mezaliansie.

I tak ożenił się z Tory i od tamtej pory jej areną przestały być zadymione tancbudy w Luizjanie oraz nowojorski Times Square, a stała się Piąta Aleja w Nowym Jorku, a potem Bellevue Avenue w Newport. Rozkochany w niej mąż wyprowadził ją z bocznych, podejrzanych uliczek, zaułków i klubów, a wprowadził na arystokratyczne salony.

W tamtych pierwszych latach czerpała z małżeństwa garściami wszelkie rozkosze i przyjemności, łgając, ile tylko się dało. Ten nieustający łańcuch kłamstw, ciągnący się za nią przez całe życie, rozpoczął się zresztą już dawno, jeszcze w Nowym Orleanie, gdzie po raz pierwszy wykręciła się milczeniem, kiedy siostra Minnie, czarna jak najczarniejszy grzech, przyjrzała się małej dziewczynce w różowej sukience, z różowymi wstążkami we włosach, i spytała łagodnie: „A skąd ty tu, dziecino, trafiła do naszego czarnego kościoła? Zgubiła się, czy jak? Tu jest biedna dzielnica, murzyńska, nie dla ciebie. Twoje miejsce tam, gdzie cudne kościoły białych... „

Wtedy nazywała się Alma June Brown, miała trzy albo cztery latka i była jasna... jasnozłocista. Tamtej niedzieli - to musiała być niedziela, skoro przyszła do kościoła - rozpaczliwie popatrzyła na siostrę Brown swoimi zielonymi oczami i nie odpowiedziała na jej pytanie.

Te zielone oczy okazały się dla niej zbawieniem. Dzieci zrodzone z czarnych nie miewają takich oczu. Oczy Almy były zaś zielone jak zazdrość, jak trawnik przed rezydencją, schodzący do szmaragdowego morza. A płonęły w delikatnej, szczupłej twarzy o wyrazistych kościach policzkowych i złocistooliwkowej cerze...

Tak, miała nadzieję, że przeniosą ją do tamtego kościoła, bliżej śródmieścia, gdzie małym dziewczynkom było znacznie lepiej, nie przyznała się więc do swego pochodzenia i pozwoliła myśleć siostrze Minnie, że jest zabłąkanym dzieckiem białych. Już wtedy

Alma June wiedziała, że lepiej być białą niż czarną i że warto postarać się o przejście do tego innego, lepszego świata.

Tamtej niedzieli została z siostrą Minnie. Ale przyszedł czas, kiedy odjechała na wschód - i na zawsze stała się biała.

No właśnie. Czy na pewno na zawsze?

- Co zamawiasz, kochanie?

Audrey i Dove już zajęły miejsca przy stole. Wymieniono powitania, zamówiono drinki. Tory musiała na dłuższą chwilę stracić kontakt z rzeczywistością. Zauważyła, że mąż nie trzyma już jej dłoni, lecz że zaciera je nerwowo na podołku, całe spocone. Podsunął jej przed oczy kartę dań i ponowił pytanie:

- No? Zdecydowałaś się już?

- Rosół - odparła.

- Aha. - Burty zaczął sam przeglądać menu. - A co byś powiedziała na homara na zimno, albo - to dla mnie - krewetki? Podwójna porcja, kelner, tak? A kto wie, może będzie i trzecia...

- Oczywiście, sir - przytaknął skwapliwie młodzieńcy steward.

Tory pogładziła męża po udzie.

- Och, nie. Tylko zupa i pudding ryżowy, Burty. Nie jestem tak głodna, jak ty. - Dalej gładziła go pieszczotliwie, choć miała ochotę płakać. - Patrz, są filety z płastugi. Zawsze je lubiłeś - postanowiła odwieść go od krewetek w ciężkim, tuczającym sosie.

- Świetnie - Burty przełknął piwo, wyraźnie zadowolony, że zaraz będzie jadł - porcja filetów z płastugi, do tego krewetki w sosie i tłuczone kartofelki. Żadnej zupy ani sałatki. Może jeszcze mały stek i pasztet z nerek, co?

- O, nie, Burty!

- Daj spokój, Tory. Jestem na wakacjach — z uśmiechem ucałował jej dłoń.

Był jak mały chłopiec i nie chciała mu robić przykrości. Niestety, ostatnio miał nadmierny apetyt. Stał się zbyt tęgi, choć jeszcze nie otyły. Ale niewiele mu brakowało. Nie można go było nazwać przystojnym, ale nie był też brzydki; oczy miał żywe, jasne i brązowe, a uśmiech szczery i miły. Ostatnio stał się dandysem. Na

podróż kupił sobie nowy płaszcz - co nie zdarzyło się od paru lat - kaszmirowy, z szalowym kołnierzem z perskich karakułów. Do tego platynowa szpila w klapie, z rubinową główką, dobrana do spinki przy krawacie. Przesadnie, zbyt krzykliwie, uznała. Powinna sama się tym zająć, porozmawiać z Elginem, jego kamerdynerem, żeby spróbował go przekonać...

Jej ciało, choć rozdęte ciążą, nie straciło nic z jędrności i giętkości, którą zawdzięczało tysiącom godzin, spędzonych na baletowych ćwiczeniach przy poręczy. Było to ciało kurtyzany, zwieńczone głową Madonny o ciemnych, wijących się włosach. Ale największą dumą Tory była jej skóra: cudownie gładka, bez skaz i zmarszczek, o złocistooliwkowym odcieniu. „Hiszpańska krew - tłumaczyła wszystkim. - Moja matka była Kastylijką, umarła przy porodzie.”

Złocista jak brzoskwinia, Tory zdawała się promienieć ciepłym blaskiem, którym tak zachwycił się Burty. „Szkoda, że nie możecie zobaczyć mojej małżonki w stroju Ewy!” - śmiał się do przyjaciół.

Niektórzy mogli... dawno temu...

Kiedy się poznali - ona i jej przyszły mąż - również była w stroju Ewy. Burton Kingsley VanVoorst, który zrobił milionową fortunę, i Tory, tancerka w lokalu, która od czasu do czasu, dla ożywienia występu, zdejmowała jakiś ciuszek...

Dzięki Bogu, że Teddy Royce siedzi daleko, myślała teraz z rosnącym przerażeniem. Nie mogłaby znieść jego bliskości. Teddy „Rolls” Royce, szuler, genialny hazardzista, pożeracz serc i nie przepuszczający żadnej okazji babiarz, był po latach nawet bardziej przystojny niż kiedyś. Spoważniał, nabrał wielkomięjskiego sznytu, modniej się ubierał. A więc i jemu udało się wślizgnąć tylnymi drzwiami i zagnieździć się na dobre w wielkim świecie.

Uśmiechał się do Tory beczelnie, pozdrawiając ją gestem ręki, w której trzymał łyżkę. Zignorowała go.

Czy stanie się dla niej wyrokiem śmierci?

Audrey zapytała o coś, a nie uzyskawszy odpowiedzi, popatrzyła na przyjaciółkę z niepokojem.

- Dobrze się czujesz, Tor? Jeszcze niedawno byłaś taka ożywiona,



a teraz nagle przygasłaś.

Nawet Nicole, która z zasady troszczyła się wyłącznie o siebie i taksowała towarzystwo wzrokiem orła na wyżynach, spojrzała na Tory z zafrasowaną miną.

Tory zamiast odpowiedzi znacząco dotknęła brzucha i ciężko westchnęła. Chciała się podnieść, jednak nagle poczuła przemożną potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego i zwierzenia się Audrey oraz Nicole. Dzięki Bogu, Burty był u jej boku. Inaczej zaczęłaby głośno opowiadać, nie szczędząc żadnych szczegółów.

„Pewnego wieczoru - mówiłaby - kiedy podśpiewywałam sobie przed lustrem w mojej łazience z szarobiałego, karraryjskiego marmuru, tak, dziewczyny, tego właśnie słynnego, wydobywanego na północ od Rzymu marmuru, Burty zajrzał przez drzwi. Miałam na sobie nową koszulę z dżetu i koronek i wyglądałam naprawdę ponętnie. Myślałam, że natychmiast się rozpali, ale on tylko ziewnął i powiedział, żebym się nie gniewała, jeśli od razu pójdzie spać, bo jest zmęczony. Długo jeszcze potem siedziałam w mojej marmurowej łazience, śliczna i gotowa na noc z facetem, który zlekceważył moje wdzięki. Nalałam sobie szkockiej. Myśli miałam czarniejsze niż mój negliż... I dlatego właśnie, moje dziewczynki, jestem w ciąży. Dla niego. Bo widzicie, teraz pokochałam go tak, jak kiedyś on pokochał mnie, i boję się go stracić. Taki też był prawdziwy powód, droga Audrey, dla którego wybrałam się do tamtej śmierdzącej Cyganki przy Czwartej Ulicy... Bo zobaczyłam siebie jako starzejącą się rozwódkę, którą, choćby była nie wiadomo jak dobrze sytuowana, ubrana w drogie ciuchy i przystojna, zawsze wytyka się palcami - o, to ta baletnica z tancbudy, co złapała męża z forszą, ale teraz ma wreszcie za swoje... I zobaczyłam ciebie, Audrey, i ciebie, Nick, i te wszystkie inne kobiety, które były takie miłe dla mnie jako pani Burtonowej Kingsley VanVoorst, jak plotkujecie sobie w kółeczku, napawając się moim upadkiem. A potem, jak całujecie jego nową żonę i gruchacie do niej słodko. Boże, nie zniosłabym tego widoku! Nie zniosłabym, gdybyście zaczęły mówić, że nowa żona jest dla Burty'ego o wiele bardziej odpowiednia niż ja... gorąca kotka z murzyńską krwią w

żyłach!"

Och, gdyby nie obecność Burty'ego, popełniłaby szaleństwo i naprawdę wyznałaby im wszystko. Tajemnica przestałaby być tajemnicą. A ona - panią VanVoorst.

Marzyła, by dziecko już wyszło z jej brzucha, by zaczęło własne życie. Pragnęła znów mieć smukłe ciało, odzyskać kocią giętkość, zachować bujne, krągłe piersi. Ach, jak bardzo chciało się jej zatańczyć wśród kolorowych świateł, zakołysać biodrami, doprowadzić śliniących się mężczyzn do szaleństwa, tak samo jak kiedyś, kiedy każdy wyciągał do niej spocone łapy...

Boże, Teddy „Rolls” Royce sprawił, że wszystko wróciło jak żywe. Dlaczego?

Tory odsunęła krzesło, szykując się do wstania.

- Przepraszam was bardzo, ale muszę przez chwilę odetchnąć świeżym powietrzem - oświadczyła. - Niezbyt dobrze się czuję, może to początki morskiej choroby.

Burty natychmiast odłożył serwetkę na stół.

- Pójdę z tobą, moja najmilsza, moja Madonno - powiedział czule.

Uspokajającym gestem położyła rękę na ramieniu męża.

- Jedz spokojnie, kochanie, i nie martw się o mnie.

Krewetki wyglądają naprawdę smakowicie. Może jutro też je zamówię. A na razie mały spacer i łyk powietrza dobrze mi zrobią. Potem wrócę do kabiny, zdrzemnę się do kolacji i wszystko minie, obiecuję.

- Dobrze, najdroższa. Może byś zajrzała do sklepu z pamiątkami - zaproponował. - Kup sobie coś, no i naszemu Juniorowi - dodał rozpromieniony, po czym z apetytem powrócił do jedzenia. Naprawdę potrzebował tych wakacji, choć z początku usiłował się wykręcić od rejsu.

Tory zjadła ostatnią łyżkę ryżowego puddingu. Był zimny, słodki i przypominał jej dom. Ale nie ten z Gilt Hill w Newport, ani ten z Piątej Alei w Nowym Jorku...

Ten prawdziwy dom, z dzieciństwa. Bagna Missisipi i babcia Brown, która co dzień wychodziła za chałupę, żeby „porozmawiać z

panem". Młode wino z brzoskwiń, które szumiało w głowie i po którym Tory śpiewała bluesy w zadymionych salach, kołysząc się w urywanym rytmie altowego saksofonu, zmysłowo, aż dekolt lśnił od potu, a uda rozpychały ciasną spódniczkę, dopóki nie pękła z tyłu, a wtedy mężczyźni, rozpaleni, podrywali się z miejsc.

Dom...

Tory wstała, szybko i zwinnie pomimo zaokrąglonej figury. W drugim końcu jadalni wstał również Teddy Royce, uśmiechając się do niej triumfalnie. Podłoga zafalowała pod nią leniwie, ale krok Tory nie zachwiał się ani na moment. Już po chwili wchodziła na wielkie, paradne schody, prowadzące na pokład spacerowy i do apartamentów. Nie trzymała się poręczy; zdawała się bez wysiłku płynąć do góry, niepomna na swój stan.

Ściany promenady dla pasażerów pierwszej klasy, ciągnącej się wzdłuż obu burt, oszklono, aby mieszkańcy apartamentów mogli cieszyć się przechadzką i widokami bez względu na pogodę. Tory jednak, spragniona powietrza, weszła wyżej, na najwyższy pokład łodziowy. Nad nim wznosił się już tylko kapitański mostek. Tu można było wystawić twarz na powiewy słonego wiatru.

Rzeźkie powietrze wyгнаło czerwoną mgłę, spowijającą skołatany umysł Tory, uspokoiło jej mdlący żołądek. Słońce malowniczo zniżało się nad zbliżającym się francuskim brzegiem.

Podeszła do relingu, uchwyciła się go mocno. Czekwała.

Poniżej, daleko w dole, woda pieniała się zimną białą koronką wokół burty *Titanica*. Ogromny statek, solidny jak kamienica z Newport, pełną parą podążał do Cherbourga pod spokojnym, pochmurnym niebem.

Nawet gdyby jakimś cudem zdołała powstrzymać Teddy'ego Royce'a przed zdradzeniem jej sekretu, i tak nie miała wyjścia - poza tym jednym, na które była przygotowana. Sama oddała się losowi, pozwoliła, by ją zniszczył. Teraz widziała to wyraźnie. Zachodząc w ciążę, nie zrobiła wcale Burty'emu niczego dobrego.

Głupia, och, ależ jest głupia!

A jeśli dziecko urodzi się czarne...

- Witaj, Almo June - odezwał się Teddy Royce za jej plecami -  
dawnośmy się nie widzieli. Stęskniłem się za tobą, złotko.

RS

## Rozdział 4

---

**S**wan Josephine Lockholm, rozczochrana i szczęśliwa, siedziała na wąskiej koi Danny'ego Bowena w jego służbowej kajucie na czwartym, najniższym pokładzie, nieopodal kotłowni. Przy zamkniętych drzwiach w ciasnej klitce natychmiast robiło się duszno i gorąco. Kabina nie miała okna, a z elektrycznej lampy pod sufitem sączyło się mdłe światło. Przy zapalanej świeczce natomiast trudno było się poruszać z obawy, by w tej ciasnocie jej nie przewrócić. Nie sposób było się pomieścić tu we dwójkę, a cóż dopiero zatańczyć. Swan nigdy nie widziała czegoś podobnego.

- A więc to jest prawdziwa nędza - stwierdziła, unosząc do góry stopy, obute w eleganckie, lakierowane buciki. - Zawsze się zastanawiałam, jak się żyje w nędzy.

- Och, nie jest tak źle - zaprotestował Danny, siedząc obok niej w rozpiętym pod szyją czerwono-złotym uniformie, z butelką szampana w dłoni. Zwinął ją z wózka z butelkami, kiedy zakończył popołudniowy występ.

- Najważniejsze, że mogliśmy się spotkać.

- Właśnie! Uczcijmy tę chwilę... - Pocałował Swan, nie zastanawiając się nawet, czy mu wypada. Była tak śliczna, że trudno mu było się oprzeć.

Swan westchnęła z anielską miną.

- Byłeś wspaniały, Danny.

- Ja? Kiedy?

- Jak ratowałeś Smoke, oczywiście. Sam się przekonałeś, że moja bliźniaczka jest stuknięta, prawda?

- Nie wiem, czy jest stuknięta. Wiem, że wygląda tak samo, jak ty, zupełnie jakby to była jakaś sztuczka. Myślałem, że trzymam w ramionach ciebie.

- Ona cię nienawidzi - poinformowała skwapliwie Swan. - Jest

piekielnie zazdrosna.

- Naprawdę? - Danny znów pochylił się ku dziewczynie. - Pocałuj mnie jeszcze raz, Swan - poprosił, kładąc prawą dłoń na jej piersi. Nie zaprotestowała.

- Będę się u ciebie dekować przez większość podróży, dobrze? - zachichotała tylko. - Oczywiście od czasu do czasu będę musiała trochę pobyć na górze. To dopiero mój drugi rejs przez ocean, nie chcę stracić nowych wrażeń. No i niestety muszę się regularnie meldować u Twiggusi. To nasza guwernantka i przyzwoitka. Jeśli tylko coś wyda się jej podejrzanym, zaraz doniesie mamie.

- To kiedy znów się spotkamy?

- W niedzielę. Ja i Smoke obchodzimy szesnaste urodziny. Słodkie szesnastki, masz pojęcie? Rodzice wyprawiają nam przyjęcie. Poproszę, żebyś był jednym z muzyków. Mamy prawo wybrać sobie tylko dwóch przygrywających, powiem więc, że właśnie ty musisz dla mnie zagrać. W ten sposób, chociaż nie zatańczymy razem, dostaniesz przynajmniej kawałek tortu.

- Zgoda. Weź jeszcze Jocka - zaproponował Danny, zanurzając twarz w pachnące włosy Swan.

- Który to Jock?

- Ten, co dzieli ze mną kabinę.

- Ale szczęściarz!

- Wolałbym, żebyś to była ty. Swan znów zachichotała.

- Och, nie mów tego głośno, Danny. I nawet o tym nie myśl... bo będę musiała wrócić na pokład. - Starła się niby zachowywać powściągliwie, były to jednak nieporadne próby. Odwracała wzrok, a jednak nie potrafiła ukryć zadowolenia. Odsuwała się, lecz pozwalała dłoniom Danny'ego błędzić po krągłym biuście. Ba, przytrzymała nawet jego rękę i przycisnęła ją do piersi.

Danny szybko się domyślił, czego dziewczyna naprawdę pragnie. Zsunął suknię z ramienia Swan i ucałował je łapczywie.

- Dobrze, obiecuję, że nic nie powiem. Nikomu. Nie widziałas jeszcze Jocka i ja też ledwo zdążyłem go poznać. Wiem tylko, że nosi okulary i jest wysoki, tak jak ja. Ale zobaczysz, że dobrze się

sprawimy na twoim przyjęciu. Będziemy jak dwa konie w zaprzęgu.

- Aha. Jak Smoluch i Węgielek, nasze karę - uśmiechnęła się Swan.

- Podobałyby ci się. Trzymamy je w Whale's Turning, w Newport.

- Nie macie samochodu? - zainteresował się Danny.

- Ależ mamy! - Swan z zachwytem pogładziła jego złotobrzazowe loki. - W Nowym Jorku mamy fordę. Tato powiedział, że tego lata nauczy nas prowadzić, mamę i mnie. Ale tak naprawdę używamy auta tylko na specjalne okazje. Przeważnie chodzimy pieszo.

- Naprawdę jesteś aż tak bogata, Swan? - W butelce szampana pokazało się dno. Danny zagwizdał na szyjce. - Za bogata dla mnie? Swan westchnęła.

- A jeśli nawet, to co? Kto nam zabroni mieć mały romans na statku?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Jasne, że nikt.

- No to pocałuj mnie, kiedy zamknę oczy - poprosiła cicho.

Zaczął całować gorącymi wargami najpierw jej powieki, potem nos, podbródek, aż wreszcie sięgnął po nabrzmiałe usta. Swan westchnęła zachwycona - jego język smakował szampanem!

- Może Jock spodoba się mojej siostrze - rozmyślała głośno, oparłszy po chwili policzek na jego ramieniu. Zaraz jednak pokręciła głową. - Nie, wykluczone. Smoke tego nie robi. Ona nie lubi chłopaków. Rozumiesz, sama wolałaby być chłopakiem.

- Oj, daj spokój - mruknął Danny, podsuwając jej na wpół napełniony kieliszek. - Nie mówmy o twojej siostrze. Mówmy o nas.

- Jasne, masz rację. Wiesz co? Lubię te bąbelki - upiła łyk ze smakiem. - A co do Smoke...

- O rany!

- Poczekaj, tylko skończę. Smoke chce robić to, co robią chłopaki. Nie jest wprawdzie sufrażystką, ale marzy, żeby zostać kapitanem na oceanicznych liniowcach. A w pamiętniku bez przerwy rysuje łodzie, żaglowce i jachty...

- Czujesz, jak gładko płynie ten statek? - Danny wyszeptał jej w ucho, ignorując całkowicie usłyszane przed chwilą informacje. -

Zupełnie jakbyśmy byli w salonie, w twoim pięknym domu, prawda?

- Tak - odszepnęła, znów przymykając oczy. - Tak, wyobrażam sobie, że tam jesteście...

Boże, ta dziewczyna była taka śliczna, że Danny Bowen nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu, które mu przysłała, a do tego taka chętna i przystępna, taka miła i wesoła. A przede wszystkim taka gorąca! Od razu się to wyczuwało. Znów pocałował rozchylone usta Swan, a ona oddała mu pocałunek z równym żarem.

W tym samym jednak momencie, drzwi kabiny otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Smoke, jej bliźniacza siostra. Swan natychmiast wyrwała się z objęć Danny'ego i zapytała wrogo:

- Smoke? Czego tu chcesz?

- Wiedziałam, że cię tu znajdę. Boże, ale zaduch!

- Wydaje ci się. Sama śmierdzisz.

- Cicho, głupia, I zbieraj się. Zaraz będzie obiad.

- Idź sobie sama, siostrzyczko. - Swan wygładziła welwetową spódnicę na kolanach i uśmiechnęła się lekko. - A mnie jakoś wytłumacz. No i oczywiście nie mów, gdzie jestem.

- Akurat! Zbieraj się! - Smoke była nieugięta.

- Daj spokój. - Swan roześmiała się jej w nos. - Poszłabyś, gdybyś była na moim miejscu? No, powiedz.

Smoke popatrzyła na Danny'ego Bowena, który, odrzuciwszy w tył zmierzwiłone włosy, dopijał właśnie szampanas. Wcale się nie przejął jej wejściem. Nie wyglądał nawet na zdziwionego. Uśmiechał się tylko leniwym, prowokującym uśmiechem, jakby wiedział, że jego wdzięk obroni go przed każdym gniewem. Łajdak!

- Nie, Smokey - mówiła tymczasem Swan - na razie nie mam zamiaru się ruszyć. Do widzenia - dodała, po czym popchnęła drzwi lśniącem czubkiem bucika i zatrzasnęła je tuż przed nosem siostry.

Smoke biegiem popędziła na górę, na pokład łodziowy. Większość towarzystwa znajdowała się dwie kondygnacje niżej, na pokładzie pierwszej klasy. Tam jedzono, spacerowano, bawiono się i dyskutowano. Smoke wołała być sama. Wbiegła na pokład, opadła na



leżak, skuliła się i otuliła kocem. Chciało jej się płakać.

Nienawidziła takiej Swan - aroganckiej, złośliwej, pewnej siebie, udającej dorosłą. Przecież to ona, Smoke, urodziła się pierwsza i ona powinna tu rządzić.

I w zasadzie rządziła.

Ale teraz pojawił się ten łajdak i Swan zbuntowała się przeciwko siostrze. W ogóle nie miała dla niej czasu, za to ostentacyjnie pokazywała się z tym swoim absztyfikantem. Ten kretyń patrzył na nią jak ciele, a ona aż puchła z zachwytu. Głupia Swan, naiwna Swan, próżna Swan...

Dobra, jeśli dalej będzie się tak zachowywać, to ona, Smoke, pójdzie do mamy i poskarży się na siostrę. Mama powie o wszystkim pani Twigg i Swan na całą podróż zostanie zamknięta w kabinie. Może najwyżej pojawi się na urodzinowym przyjęciu i na pożegnalnej kolacji. Zaś Smoke będzie się wodziła z Dannym Bowenem, żeby tylko zrobić jej na złość. Kto wie, może nawet będą się całować...

Nie.

Nie będą się całować.

I nie pójdzie na skargę do matki. Smoke nigdy nie chodziła do matki, bo Audrey nigdy nie przychodziła do niej.

- Moja mama mnie nie lubi - powiedziała głośno do pustej przestrzeni oceanu. - Ja też jej nie lubię, więc nie ma czego żałować.

Dla ich matki liczył się tylko mąż, tata Smoke i Swan. Tata był właściwie w porządku i słuchał Smoke życzliwie, ale w ogóle nie rozumiał jej problemów. A poza tym do znudzenia, do mdłości upominano ją przed rejsem, żeby była grzeczna i nie zwracała ojcu głowy, gdyż dla niego ta podróż nie jest rozrywką, lecz miejscem pracy, okazją do prowadzenia poważnych interesów.

Westchnęła ciężko. Wiedziała, że siedząc tu, traci obiad, ale nie była rym zmartwiona. Nie czuła głodu. Jeszcze przed wypłynięciem *Titanica* z portu najadła się zakąskami, które serwowano do woli. Potem opuściła rozbawiony tłum i zajęła się zwiedzaniem statku.

Zdążyła już do tej pory poznać prawie wszystkie jego zakamarki.

Widziała tarasy, jadalnie, palarnię dla mężczyzn i salę gimnastyczną. W tej ostatniej zamówiła sobie nawet lekcje tenisa i wsiadła do wiosłarskiej maszyny treningowej, by trochę powiosłować. Zrobiła jednak tylko kilka ruchów, bowiem zmęczyła się szybko, znacznie szybciej niż w Zatoce Narraganset. Tu napotykała tępy, jednostajny opór maszyny; tam pióra wiosła miękko zagłębiały się w wodę.

Później Smoke odwiedziła bibliotekę. Wypożyczyła książkę (jakiś krwawy kryminał), a potem napisała kartkę pocztową do swoich dziadków ze strony matki, państwa Lawrence Smoke z Newport.

Z kabiny radiotelegrafistów, gdzie zakradła się z ciekawości, szybko ją wyproszono. Młody chłopak, który bębnił właśnie w telegraf szybciej, niż ona w klawisze fortepianu, oznajmił, że nikomu poza obsługą nie wolno odwiedzać tych pomieszczeń, na co ona odparła z podniesioną brodą:

- Ja jestem córką właściciela.

Telegrafista wzruszył tylko ramionami i odparł, że po pierwsze armatorem statku jest White Star Line, a nie prywatna osoba, a po drugie on sam jest bardzo zajęty wysyłaniem depeesz, więc niech lepiej „panienka sobie pójdzie i więcej mu nie przeszkadza”.

- Ale właścicielem armatora jest właśnie mój ojciec - podkreśliła z naciskiem Smoke i rozsiadła się na krześle, jak gdyby zamierzała spędzić tu resztę dnia.

Po chwili do kabiny zajrzał kapitan Smith i upomniał ją ostro, że pasażerom, kim by nie byli, nie wolno łamać ustalonych na statku przepisów i zakazów. Telegrafista (jak się okazało nazywał się on John Phillips) poinformował kapitana, że lady Pomeroy dostała kolejną depezę od kapitana Lorda z *Californiana*, oceanicznego liniowca, płynącego w odległości trzech dni drogi od nich. Smoke uważała za wskazane zauważyć, iż zna markizę Pomeroy osobiście, i jeśli kapitan sobie życzy, może doręczyć jej depezę. Jednak kapitan sobie nie życzył. Wezwał stewarda i dał mu depezę, zaś Smoke ostro nakazał, aby natychmiast się oddaliła.

Szkoda. Dużo by dała, żeby się dowiedzieć, czego kapitan Lord może chcieć od Nicole...

Urażona, wycofała się stamtąd i ruszyła na poszukiwanie siostry-bliźniaczki. Tak jak przypuszczała, znalazła ją na dole, w śmierdzącym, dusznym i ciemnym schowku na szczotki, który Danny Bowen szumnie nazywał swoją kajutą. Nie przypuszczała jednak, że zastanie siostrę leżącą z tym chłopakiem na jednej koi. I że Swan pozwoli Danny'emu miętosić swe piersi!

Smoke nigdy w życiu nie była bardziej zaszokowana.

Gdy zaś Swan nakazała jej się wynosić i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem, przestała czuć cokolwiek poza nieznośnym, bolesnym upokorzeniem.

Nie wiedziała już, czy to dobrze, czy źle, że Danny nie zareagował w żaden sposób na kłótnię bliźniaczek. Przypatrywał się im tylko, jak gdyby próbował znaleźć szczegóły, którymi różnią się dwie identyczne postacie.

To łatwe, jeśli się nas dobrze zna, pomyślała teraz, kuląc się na pokładowym leżaku. Jesteśmy takie same na zewnątrz i zupełnie różne wewnątrz, ale Danny przekona się o tym dopiero po pewnym czasie. No właśnie, czy się przekona? Smoke chciałaby, żeby tak było. Chciała, żeby ten prosty chłopak zrozumiał, na czym polega prawdziwa różnica między głupiutką i naiwną Swan a szlachetną, pełną niezwykłych marzeń Smoke.

Dlaczego właściwie na tym jej zależało? Cóż, może i Danny był prostakiem, ale wcale nie było tego po nim widać. Poza tym w uniformie członka orkiestry wyglądał wyjątkowo przystojnie. Co też musiała czuć Swan, kiedy przytulał ją i pieścił? Ona, Smoke, wciąż była pod wrażeniem mocnego uchwytu jego ramion, które zacisnął na jej talii, ratując ją przed upadkiem do portowego basenu. Szkoda, że nie przygarnął jej wtedy do siebie bliżej... .

*Titanic* wciąż sunął gładko w stronę Cherbourga, majestatyczny i spokojny, lecz w sercu Smoke szalała prawdziwa burza. Skąd się biorą takie myśli, takie pragnienia, zastanawiała się ponuro. Po jej oczach zaczęły płynąć łzy, zaraz jednak zdusiła płacz, widząc, że na pokładzie pojawiła się Tory.

Smoke jeszcze głębiej zaszyła się pod koc. Zdaje się, że Tory

przyszła nas szukać, pomyślała. Wszyscy pewnie się martwią i zaraz zorganizują ekipę poszukiwawczą.

Ale nie. Tory oparła się tylko o reling i podziwiała zachód słońca. Nagle...

Och! U jej boku wyrósł nagle jakiś przystojny cudzoziemiec i także oparł się o barierkę. Zagadali do siebie, jak gdyby znali się od dawna. Może i nic w tym dziwnego? Przecież Tory VanVoorst znała cały świat, a Smoke zaledwie garstkę ludzi. Tylko że ten mężczyzna nie wyglądał jej na znajomego Victorii z Newport ani z Nowego Jorku. Przypominał raczej jakiegoś Południowca, z tą swoją ogorzałą twarzą, białym garniturem i laską z ciemnego drewna. Smoke wyobraziła sobie, jak wspaniale wyglądałby na białym wierzchołku. Właśnie powiedział coś do Tory, miękko i łagodnie, a ona natychmiast obróciła się ku niemu i wparła mu dłonie w pierś.

O masz, następni! - pomyślała z niechęcią Smoke. Co za bagno na środku oceanu! Gdzie się podziewa Burty, mąż Tory? Miała nawet ochotę go zawołać, by zobaczył, jak się zabawia jego żonka, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

W końcu pani VanVoorst jest w ósmym miesiącu ciąży. Na pewno nie w głowie jej teraz romanse i zdrady.

Thelma Irene Twigg niespokojnie krążyła po statku w poszukiwaniu swoich podopiecznych. Owszem, mogłaby sama coś przekąsić w „Cafe Parisien”; nawet wolałaby pójść tam bez towarzystwa tych wiecznie kłócących się bliźniaczek. Poczucie obowiązku nakazywało jej wszakże najpierw je odszukać.

Widziała je zaraz po wejściu na statek, ale zanim zdążyła przepchać się ku nim przez tłum, zniknęły jej z oczu. A potem była zajęta wypakowywaniem kufrów Smoke i Swan oraz własną toaletą.

Stanowczo za długo przebywały bez nadzoru. To prawda, miały wakacje, ale nawet podczas wakacji należy przestrzegać pewnych zasad. Według zaś owych zasad, panny Lockholm pod żadnym pozorem nie powinny oddalać się bez pozwolenia guwernantki, nie informując jej w dodatku, kiedy wrócą.

*Titanic* dotarł już do Cherbourga, lecz nie wchodził do portu, który

był zbyt mały, by przyjąć tak potężną jednostkę. Zaczekał na redzie i czekał, aż podpłyną statki pomocnicze, przywożąc nowych pasażerów i zabierając tych, którzy chcieli tylko „przejechać się” przez Kanał. Jedni więc zegnali się z załogą statku, inni witali - a pani Twigg wciąż nie mogła odnaleźć dwójki bliźniaczek.

Och, będą musiały ją przeprosić, kiedy już je znajdzie.

Zaraz zresztą pójdzie do pani Lockholm i poskarży się na te nieznośne dziewczuchy. Lepiej od razu działać zdecydowanie niż pozwolić, aż się rozpuszczą...

Przeszła przez wyłożony błękitnym dywanem korytarz, po drodze zerknęła w ścienne lustro. Miała nadzieję, że w tym zdenerwowaniu i pośpiechu nie rozwichrzyła się jej fryzura. Choć bowiem pani Twigg już dawno przekroczyła czterdziestkę, wciąż uważała siebie za atrakcyjną pannę. Może nie bardzo atrakcyjną, ale z pewnością interesującą. W każdym razie zdecydowanie odrzucała myśl, że ktoś może widzieć w niej osobę ciężką czy tęgą. Wolą twierdzić, że jest jedynie „posągowych kształtów”, Co nie znaczy, rzecz jasna, że nie musiała się pilnować — lubiła bowiem, niestety, słodkie bułeczki na śniadanie, a wieczorem, po ciężkim dniu, chętnie dogadzała sobie koglem-moglem.

W sumie nie najgorszą mam prezencję, przekonywała się w myślach, nie po raz pierwszy kontemplując widok pulchnych policzków o naturalnym rumieńcu i słodkie spojrzenie brązowych oczu, które wcale nie rozmywały się za szklami *lorgnon*. Te ostatnie spoczywały na wydatnym biuście, który pani Twigg trzymała mocno w ryzach, spięty sztywnym gorsetem, by czasem „nie prowokował męskiej pożądlivosti, nieprzystojnie się kolebiąc”.

Bywało jednak, że wieczorową porą pozwalała, by jej suknia „subtelnie prowokowała lekkim wyeksponowaniem”, co znakomicie łechtało jej kobiecą próżność i wywoływało, jak sądziła, aprobatę panów, którzy chętnie prosili ją do tańca. Jeden tylko fakt niezmiennie powodował jej rozczarowanie - brak monogramów. Owszem, można ozdabiać inicjałami chusteczki, torebki i bagaż podróży, lecz prawdziwy monogram potrzebował więcej

elementów, najlepiej herbowych. Tymczasem złośliwy los sprawił, że Thelma Irene Twigg nie mogła nawet użyć swoich inicjałów. TIT - wystawiłaby się na pośmiewisko, gdyby wyhaftowała na swojej garderobie te trzy litery.

Cóż, nie można mieć wszystkiego...

Mogła być za to dumna ze swojej szczególnej wiedzy, która predestynowała ją do roli opiekunki i nauczycielki młodych dziewcząt. Pani Twigg była bowiem chodzącą encyklopedią dobrego wychowania. Ponadto posiadała szczególny dar ujmowania owych świątłych zasad w celne maksymy, łatwe do przyswojenia przez owe płocze osóbkę. Na przykład: „Dobre jest to, co właściwe, a złe jest niczym”. Ileż razy powtarzała bliźniaczkom tę prawdę! Pewnie będzie ją powtarzała nawet na łożu śmierci. Niestety, nie wszyscy potrafią ją docenić. A już zwłaszcza te dwie panny. Westchnęła i porzucając swoje lustrzane odbicie, udała się w dalszą drogę.

Już po chwili pukała energicznie do drzwi z ciemnego drewna, opatrzonej tabliczką z numerem B-51. Apartamenty o numerach B-51, B-53 oraz B-55 należały do najelegantszych na *Titanicu*. Audrey z Bayem zajmowali sypialnię 53, a VanVoorstowie 55. Obie sypialnie przedzielone były łazienką. Natomiast kabina 51 służyła za salon.

Dzięki uprzejmości Audrey pani Twigg już wcześniej mogła go obejrzyć i uznała, że należy do najwykwintniejszych i najelegantszych pomieszczeń, jakie kiedykolwiek widziała.

Drzwi do salonu otworzyła osobiście Audrey Lockholm. Nie zabrała ze sobą pokojówki, podobnie zresztą jak Tory, bowiem pani Twigg ofiarowała się z pomocą, kiedy tylko okaże się potrzebna. Nie nadużywano zresztą jej ofiarności, przeciwnie - dostała własną kabinę pierwszej klasy, dano jej sporo wolnego czasu i pozwolono zjawiać się u swoich pań wtedy, kiedy sama miała na to ochotę. Tak postanowiła pani Lockholm, a pani VanVoorst ochoczo jej przytaknęła.

W ten oto sposób pani Twigg dostała zasłużonej nagrody za swój wieloletni trud przy wychowywaniu Swan i Smoke. Była zadowolona z życia i prawdę mówiąc, nie zamieniłaby się z nikim,

nawet z żadną z tych bogatych pań. Mogła zrzucić pantofle, kiedy miała na to ochotę, i nie musiała wiecznie się martwić, w co powinna się przebrać. Ubrań miała dość, wystarczy jej na cały rejs. Po kolacji mogła sobie zjeść słodkiego naleśnika z czekoladą i nie musiała się martwić, że krawcowa będzie potem narzekać, a mąż ofuknie ją, że sobie za dużo pozwala. Doprawdy, los traktuje ją wyjątkowo łaskawie.

Pani Lockholm narzuciła na białą jedwabną podomkę.

- A, to pani, pani Twigg... Co się stało?

- Czy mogę wejść na chwilę, madame?

Audrey zaprosiła ją gestem do środka, ona zaś starannie zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się dyskretnie. Salon miał kremowe ściany i był tak duży, jak jej własna sypialnia u Lockholmów w Nowym Jorku, przy Piątej Alei. Podłogę przykrywał szary dywan, na obramowanym marmurem kominka płonął ogień, a podwójne drzwi salonu otwierały się na prywatny pokład spacerowy. Takim luksusem pysznił się oprócz tego jeden tylko apartament - pana Ismaya, na przeciwnej burcie, jak dowiedziała się pani Twigg. W tych bliźniaczych pomieszczeniach znajdowały się dwie podwójne sypialnie, choć nigdy nie widziano, by prezes podróżował inaczej niż samotnie. Cóż, bogaty ma, czego sobie zażyczy, stwierdziła gorzko, i nie musi się niczym przejmować.

Audrey Lockholm musiała przed chwilą wyjść z łazienki. Bez makijażu wydawała się blada. Jej długie włosy mimo upływu lat miały wciąż ten sam niezwykły kolor, a figura, choć pełniejsza niż u córek, pozostawała świetna jak zawsze. Ale za jaką cenę, pomyślała ze współczuciem pani Twigg. Żadnych słodyczy przed snem. Kto chce pozostać piękny, musi cierpieć.

Sama nie była na szczęście piękną i nie wyszła jak dotąd za mąż. W końcu nie każda kobieta potrzebuje w życiu mężczyzny. Mówiła wprawdzie o sobie „pani Twigg”, ale tylko dlatego, że w jej wieku nie wypadało już przedstawiać się jako panna. Nie życzyła sobie ani kpin ze staropanieństwa, ani narzucanego obecnością „panienki” powściągliwego zachowania panów. Na miły Bóg,

przecież nie jest zakonnica i wie, co się dzieje w buduarach! Wie również, że dżentelmeni mają swoje zalety, ale że nie można im ufać. Żadnemu! Ani w wieku lat piętnastu, ani trzydziestu, ani czterdziestu, ani nawet sześćdziesięciu.

- O co więc chodzi, pani Twigg? - dopytywała się Audrey.

Guwernantka nabrała tchu w płuca i przystąpiła do wyjaśniania sprawy.

- Proszę wybaczyć, nigdy nie śmiałabym pani niepokoić, ale tym razem czuję się zmuszona. Chodzi o bliźniaczki. Po prostu nie mogę nigdzie ich znaleźć. Nie były z panią na obiedzie ani nie zjawily się w „Cafe Parisien”, musiałam więc zjeść sama. Szukałam ich potem w pokojach i na naszym pokładzie, ale bez skutku. One są gorsze niż chłopaki, proszę pani. Nie pozwolą człowiekowi ani na chwilę odetchnąć.

- Ależ kochana Twigg, proszę się tak nie przejmować. Jestem pewna, że muszą gdzieś być. Szukała pani w sali gimnastycznej?

- Oczywiście. - Guwernantka splotła ręce na podołku. Podziwiała matkę bliźniaczek pod wieloma względami, ale z pewnością nie można jej było nazwać troskliwą matką. Nie omieszka dać jej tego do zrozumienia.

- Może są z Nicole i Dove w B-16 - próbowała zgadywać Audrey.

- Sprawdzę, ale wątpię - odparła urażonym tonem guwernantka. Co prawda pani Lockholm dała jej całkowicie wolną rękę, jeśli chodzi o władzę nad dziewczynkami, ale doprawdy, mogłaby czasem być choć trochę pomocna. Odstąpiła krok do tyłu, szykując się do odejścia. - Nie jest dobrze, szanowna pani, że ani ja, ani pani nic o nich nie wiemy. Zdaje sobie pani z tego sprawę? - zapytała surowym tonem.

Audrey pokiwała głową, ale nie spieszyła się za bardzo.

- Całkowicie na tobie polegamy, Twigg. I doprawdy, nie masz się czym martwić. Jestem pewna, że zaraz się znajdą.

- Oczywiście... - Pani Twigg odwróciła się na pięcie, ale nie miała zamiaru odejść bez ostatniego słowa. - One są coraz bardziej rozpuszczone, pani Lockholm - oświadczyła z naganą. - Żeby nie być



gołosłowną, wspomnę choćby, co działo się tydzień temu u Poireta. Pozwoliła im pani, przynajmniej moim zdaniem, na zbyt wiele sukien i ciastek. Najpierw była mowa o czterech sukienkach na sezon, a tymczasem każda zamówiła po siedem. Już wtedy mówiłam, że taka pobłażliwość tylko je psuje. A jakby tego było mało, za pani przyzwoleniem zjadły po dwa ciastka przy herbatce. No, to już naprawdę jest skandal! Młode damy, które jeszcze nie zostały mężatkami, nie mogą, powtarzam, pani Lockholm, nie mogą zjadać aż dwóch ciastek do herbaty!

- Och, pomyślałam po prostu, że choć raz mogę być pobłażliwa. W końcu była to ich pierwsza wizyta w Paryżu, u wielkiego krawca, więc...

- Tym większy powód do wzmożenia dyscypliny, proszę pani. A może zechce pani wiedzieć, jak Smoke wykorzystwała tę matczyną tolerancję? Pochowała sobie w kieszeniach racuchy, wielkie jak kamienie! Następnego ranka znalazłam w jej pościeli okruszki, a drugie tyle wytrząsnęłam z ubrania. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze zanim przyślą tych siedem sukien, już będą na nią za ciasne.

- Bardzo przepraszam, Twigg, rzeczywiście nie powinnam postępować w ten sposób - przyznała pokornie Audrey.

- Właśnie, sama pani widzi. Dać im palec, a chwycą rękę, jak to się mówi. Ja już dawno to powiedziałam, pamięta pani? I proszę, stało się. Oczywiście, pierwsza zaczęła Smoke, bo to ona ma ten przekorny charakter. A za nią podążyła Swan, która nigdy nie odmówi swojej siostrzyczce. Już zaczynają wariować na tym piekielnym statku, a dopiero wczoraj wypłynęliśmy z Anglii. Do czego to podobne, pytam?

Audrey modliła się w duchu, żeby pani Twigg dała jej wreszcie spokój.

- Zdaję się na ciebie z całym zaufaniem, Twigg - powtórzyła z naciskiem. - Proszę, znajdź je i powiedz im, że mają trzymać się blisko ciebie. Przez cały rejs.

- Dziękuję za zaufanie. - Guwernantka odwróciła się, aby wyjść, lecz Audrey przytrzymała jeszcze na chwilę drzwi.

- Obiecuje, że nie będę się wtrącać w wychowanie dziewczynek bez porozumienia z tobą - zapewniła solennie. - Wiesz, że w niedzielę chcę im wyprawić urodzinowe przyjęcie?

Bujny biust pani Twigg zafalował gwałtownie.

- Przyjęcie? Stanowczo za dużo tego dobrego, proszę pani. Ale cóż, urodziny to urodziny. Czy mam pani zameldować, gdy je znajdę?

- Nie, nie trzeba. Chyba, że by się nie znalazły.

- Rozumiem.

Pani Twigg znów ruszyła w drogę. Biedne jagniątko, myślała, podążając korytarzem. Nikt się o nie nie troszczy, tylko ja. Ich matka myśli jedynie o sobie i swoim mężusiu. I ciągle by chciała grać nowo poślubioną małżonkę, choć ma już prawie dorosłe córki!

Och, musi wreszcie je odnaleźć, i to szybko. Pójdzie do oficera dyżurnego i każe je wezwać przez głośniki. A kiedy się wreszcie pokażą, zrobi im pokazową reprimendę.

Audrey opadła na sofę, by odetchnąć po wizycie Twiggusi. Dopiero po chwili dokończyła toaletę. Wobec sumienności i ofiarności tej kobiety czuła swoją bezsilność i marność. Nie była dobrą matką dla dziewczynek, taką jaką dla niej była kiedyś Josephine.

Ale i bliźniaczki nie potrzebowały Audrey tak, jak ona niegdyś potrzebowała matki. Ona straciła Josephine... zbyt wcześnie. A one miały przecież swoją Twiggusię.

Jej wymarzone dzieci.

Wszyscy tak mówili. Pierwsze, urodzone w wielkich bólach, przez pół dnia walczyło o życie. A drugie obróciło się w jej łonie i doktor Lake bał się, że nie zdoła go uratować. Na szczęście zjawiała się położna, Mildred Falk, natłuściła swoje długie, żylaste ramie i...

Audrey boleśnie przymknęła oczy na samo wspomnienie. Potem doszła jakoś do siebie, ale powiedziano jej, że już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Od razu przeszła ją bolesna myśl, że nie da Bayowi syna. Zapewniał ją, że to nieważne.

Kiedy córki były jeszcze małe, Audrey zastanawiała się często, czy Smoke, starsza od siostry o pięć godzin, nie jest czasem jakimś złym

odmieńcem, dzieckiem potajemnie podmienionym przez wróżki. A przecież wyglądały dokładnie tak samo i tylko ci, którzy je dobrze znali, nigdy ich nie pomylili - nawet wtedy, kiedy miały na sobie jednakowe sukienki, jednakowe przedziałki i warkoczyki, związane jednakowymi wstążkami.

Trzeba przyznać, że śliczne były z nich dziewczyny. Po Audrey odziedziczyły zgrabne, pełne wdzięku figury i złote włosy, a po Bayardzie arystokratyczne rysy. Tylko oczy miały swoje własne - wyjątkowe, powstałe z cudownej mieszanki szarego, sztormowego spojrzenia Baya i granatowych jak nocne niebo tęczęwówek Audrey. Oczy bliźniaczek miały barwę turkusa, jaką przybiera spokojna woda oceanu w upalny dzień lata. Lecz już pełne, wiecznie spragnione usta przeczyły temu spokojowi.

Audrey zawsze czuła się skrepowana w ich towarzystwie.

Teraz zmusiła się do przerwania tych rozmyślań i dopięła prostą sukienkę. Za chwilę zejdzie na trzeci pokład...

Nie, może później, przed samą kolacją, kiedy wszystko na statku się uspokoi.

Albo przeciwnie, teraz, zaraz, zanim jeszcze Bay skończy konferować z Ismayem.

Musi odszukać Cyganekę.

## Rozdział 5

---

**C**hmury rozwiały się pod wieczór. Pomarańczowa kula słońca na krótko zajaśniała nad horyzontem, a potem zeszła poniżej burty *Titanica*, obdarzając na moment ognistą poświatą dachy niewielkiego Cherbourga. Na wysokim pokładzie łodziowym Nicole lady Pomeroy, markiza Denton, oraz jej matka, Dove Peerce, siedziały na leżakach, przyglądając się napływającym z dołu nowym pasażerom.

Nicole, otulona sobolową peleryną, podziwiała wspaniałe barwy wieczornego nieba: żółte smugi, znaczone papuzią zielenią, nasycające się z każdą minutą coraz intensywniejszym fioletem. Jej matka, wtulona w srebrne lisy, pociągała alkohol z wysokiej szklanki i plotkowała z przejęciem:

- Wiesz, że pan Morgan w końcu z nami nie popłynie?

Nicole, która nie podzielała tej plotkarskiej pasji, musiała udawać ciekawość, by nie sprawić matce przykrości.

- Nie? A dlaczego?

- Zdaje się - ciągnęła Dove tym specjalnym, niewinnym tonem, który służył jej do rozgłaszania rewelacji - że dał się usidlić w Aixles-Bains jakiejś uroczej paryżance. - Och, Dove... - westchnęła Nicole, która nie nazywała jej matką od czasu swojego ślubu, kiedy to rzuciła bukiet, a Dove rozepchnęła drużny i sprzątnęła go sprzed nosa biednej Kiki Witherspoon. - Skąd, na Boga dowiedziałaś się o tym tu, na morzu?

- Przyszła depesza do Bayarda Lockholma - wyjaśniła Dove. - Idąc do ciebie, spotkałam, go w towarzystwie Bruce'a Ismaya. Wiesz, musiałam na chwilę wstąpić do palarni, żeby przeprosić pułkownika Gracie, że nie będę mogła towarzyszyć mu przy kolacji. Bay opowiadał właśnie tę historię Bruce'owi. Powtórzył mi potem, że J.P. miał do nas dołączyć z Frances, ale odwołał rezerwację, a Frances ostatecznie została w domu. Biedna Frances... - Dove była pełna

współczucia. - Dobrze wie, że J.P. to lepszy czaruś. Wyobraź sobie, że ta jego Belle Green praktycznie u nich mieszkała!

- Belle Green?

- No, ta, której dał się usidlić. Oczywiście Frances nie dała niczego po sobie poznać, ale przecież musi ją to dręczyć, prawda? Idę jednak o zakład, że słowem o tym nie napomknie.

- Och, to musi być dla niej bardzo bolesne. - Nicole od czasu śmierci Rolfa zrobiła się odrobinę wrażliwsza na cierpienia innych. - Kochać mężczyznę i wiedzieć, że jest niewierny... To straszne.

- Albo kochać kobietę - dodała niemal szeptem Dove, zastanawiając się, jak mogła, dawno temu, tak okrutnie zdradzać swojego ukochanego Percy'ego.

Nicole ucichła, rozpamiętując na nowo śmierć Rolfa, lorda Pomeroy i swego męża. Na moment zapomniała o rzeczywistości, wspominając na zawsze stracone chwile. Zapomniała, że na pokładzie ogromnego *Titanica* płynęła do Ameryki, by spróbować rozpocząć nowe życie bez ukochanego mężczyzny.

Tamto prawdziwe, jedyne życie, które miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie, umarło poprzedniego lata. Byli w Kenii, na safari. Słońce zachodziło nad afrykańską równiną i polowanie - długo planowane przez Rolfa łowy na nosorożca - miało się ku końcowi.

Wcześniej trzy dni wędrowali w poszukiwaniu zwierza, zmęczeni, nieprzywykli do trudów takiej wyprawy. Jednakże Nicole za żadne skarby nie przyznałaby się, że ma dosyć, by nie zepsuć zabawy innym, a zwłaszcza mężowi. Owszem, miała ochotę powiedzieć: „Daj spokój, Rolf, rozbijmy tu namioty, dajmy ludziom odpocząć i sami posiedzmy sobie w spokoju. A jutro, wypoczęci, od rana ruszemy dalej”. A jednak milczała. Do dziś nie mogła sobie tego darować. Gdyby się wtedy uparła...

Długo przedzierali się przez gąszcz zarastający sawannę, aż o zachodzie dotarli nad rzekę, skąpaną w złotym afrykańskim słońcu. Nad brzegiem stał na czatach potężny nosorożec, samiec. Kołysząc łbem ozdobionym długim, śmiercionośnym rogiem, ostrożnie wciągnął w nozdrza powietrze, wyczuwając ich woń, lecz krótki

wzrok nie pozwolił mu zlokalizować wroga.

Rolf był nieprawdopodobnie podekscytowany.

Momentalnie przykląkł na jedno kolano i złożył się do strzału. A wtedy, z nienacka, trawa na krawędzi buszu rozdzieliła się bezgłośnie i coś śmignęło ku nim z przerażającą szybkością. Nawet tropiciel nie dostrzegł w porę szarżującego dzika o zjeżonej na potężnym karku szczecinie, z jednym kłem złamanym, a drugim sterczącym jak straszliwa szabla...

Nicole, widząc atak, skoczyła ku mężowi i w ostatniej chwili zdążyła wystrzelić. Rozszalały odyniec nawet się nie zachwiał. Dopadł jej ukochanego, rozdarł jego ciało i wgniótł w ziemię, odrywając niemal głowę od tułowia.

Słońce zniżało się nad horyzontem, rozświetlając dalekie pasma wzgórz. Nosorożec oddalił się truchtem, a spłoszone hukiem strzału stada popędziły w głąb sawanny, dudniąc głucho kopytami. Dzik padł martwy od jedenastu kul, a Rolf lord Pomeroy, markiz Denton, ukochany mąż Nicole, leżał bez życia w wysokiej trawie.

Tak szybko, tak nagle została wdową. Zeszłego lata, w Kenii, gdy słońce zachodziło tak jak dziś...

Nicole skuliła się w sobie, zaczęła płakać.

Dotyk matczynej ręki był lekki i czuły.

- Kochanie, nie płacz - powiedziała łagodnie Dove. - Rolf wyznał mi... nigdy tego nie zapomnę... powiedział, że ty kiedyś zmienisz świat.

Tak, pomyślała Nicole, to cała matka. Odporna, silna, twarda, poradzi sobie w każdej sytuacji. Zawsze ją podziwiała, za to Dove niezmiennie ją lekceważyła. I w końcu kiedy była już pewna, że wreszcie stanęła na nogi i wyzwoliła się spod jej przekłętą wpływów, zdarzyło się to wszystko...

Zbliżył się do nich steward, wezwany przez Dove gestem dłoni ozdobionej bransoletami.

- Tym razem dwa razy proszę - zaordynowała z uśmiechem. - Jeden drink dla mnie, a drugi dla tej pani. Nie miej mi za złe - zwróciła się do Nicole, gdy steward odszedł - że nie mówię o tobie

„córka”. Oczywiście, nie wypieram się, że cię urodziłam, ale chyba rozumiesz, kochanie, że z coraz większym smutkiem myślę o starości. Mój Boże, jestem matką dorosłej kobiety... Nie gniewasz się?

- Nie ma o czym mówić, Dove. Mogę udawać twoją młodszą przyjaciółkę.

- Dzięki, kochanie. Pamiętaj jednak, że zawsze pozostanę dla ciebie matką. I gdybyś chciała mi się z czegoś zwierzyć...

Nicole nie miała specjalnej ochoty zwierzać się matce, ale czuła, że musi wyrzucić z siebie coś, co tkwiło w jej sumieniu niczym zadra i co nie dawało jej spokoju, a co jednocześnie sprawiało, że serce młodej wdowy przyspieszało czasem biegu.

Komu innemu mogła się zwierzyć? Nie była tak blisko z Audrey Lockholm i Tory VanVoorst, jak one ze sobą, choć ona i Audrey brały ślub tego samego lata, a Tory rok wcześniej, w 1894. Później jednak Nicole odpłynęła do Anglii, do Dentoncroft. Czasami wprawdzie zaglądała do Nowego Jorku albo Newport, lecz była tam przeważnie gościem, obywatelką świata i podróżniczką.

Tymczasem przyjaźń Audrey i Tory zacieśniała się coraz bardziej. Nicole posiadała własną fortunę, co również je różniło. Była jedną z najbogatszych kobiet świata - majątek Percivala Peerce'a dorównywał majątkowi Astorów, a niemal całą spuściznę pozostawił właśnie Nicole, jedynemu dziecku. Wdowie, czyli Dove, dostało się aż nadto: dwadzieścia milionów dolarów. Taka suma uszczęśliwiłaby każdego. Cóż tu mówić o biednym Rolfie, który miał zaledwie kawałek ziemi, zamek i tytuł...

I tak, trochę z konieczności, Nicole chodziła swoimi drogami i nigdy nikomu się nie napraszała. Nie było jej z tym źle i wcale nie przeszkadzała jej samotność. Przyszedł jednak czas, że jakby wbrew sobie, rozpaczliwie zapragnęła czyjejś bliskości.

- Był pewien mężczyzna w Kenii, Dove - zaczęła niepewnie. - Podróżował z nami w czasie safari. Nazywał się Stanley Lord i tak naprawdę nie należał do naszego..;

Przerwał im steward, stawiając na stoliku żółtawe drinki w wysokich szklankach. Dove zerknęła w dół, korzystając z kolejnej

przerwy w rozmowie.

- O, patrz - zagadnęła - jest Benny Guggenheim, właśnie wita się ze Straussami. Znasz ich?

- Guggenheima nie - odparła Nicole. - Kiedyś, w Rzymie, przedstawiono mi Isadora oraz Idę Straussów. Byli bardzo mili. Ida czuje się jednak skrępowana wobec ludzi takich jak my, nie ma tego szyku. Nie podobałaby ci się. Żyje tylko dla męża.

- Aha - przytaknęła Dove. - Bogaci Żydzi często zamykają się w swoim środowisku. A szkoda. Chętnie zapraszam na przyjęcia ludzi z różnych światów, by uzyskać ciekawy efekt towarzyski. Wiadomo że mężczyźni tej nacji bywają błyskotliwymi intelektualistami. Poza tym chodzą plotki, że są prawdziwymi ogierami w łóżku! Ale przepraszam, kochanie, znów nie pozwoliłam ci dokończyć. Po prostu pomyślałam... wiesz, pan Guggenheim jest samotny, ma tylko służącego.

- Naprawdę nie wiem, Dove, co ci poradzić. Spojrzała na matkę, która wciąż zerknęła ciekawie w dół pokładu. Cała była dzisiaj w fiołkowych różach, podkreślających porcelanową cerę i kuszący dekolt, lekko przysłonięty puszystością białego futra. Kloszowa sukienka, sięgająca do pół łydki, odsłaniała kształtne kostki w pantoflach na wysokim obcasie. Włosy otaczały jej twarz białą aureolą. W uszach lśniły diamentowe kolczyki, a na przegubie lewej ręki jarzyła się bransoletka z pięciu rzędów diamentów, spiętych platynową klamrą.

- Mogę tylko powiedzieć, że ślicznie wyglądasz - dodała.

- Och, takiej matronie, moja droga, udaje się to tylko po zmroku - uśmiechnęła się Dove. - Nie zapomnij o tym, kiedy będziesz w moim wieku. W przyćmionym świetle, czy wręcz w ciemnościach, my, dawne piękności, potrafimy jeszcze pokazać klasę. No, ale dobrze. Teraz twoja kolej. Obiecuję, że więcej już ci nie przerwę.

Nicole lady Pomeroy milczała, sącząc drinka, na którego nie miała ochoty.

- Nicole? Przecież cię przeprosiłam. Zaczęłaś coś mówić o mężczyźnie, tam, w Kenii...



- Tak... Był kapitanem statku, który regularnie pływa między Anglią i Ameryką. Nie należał do naszego towarzystwa, rozumiesz, ale ktoś zaprosił go na safari, więc siłą rzeczy był z nami. I bez przerwy na mnie polował. Oczywiście, nie zwracałam uwagi na jego umizgi, bo istniał dla mnie tylko Rolf. Kiedyś nawet otwarcie mu to wyznałam. Ale on twierdził, że zakochał się we mnie bez pamięci i nie może się powstrzymać, więc muszę mu wybaczyć. Tłumaczył, że to jest jak choroba, która spadła na niego zupełnie niespodziewanie.

- Jakież to urocze, moja droga - zachwyciła się Dove, która uwielbiała romansowe sytuacje.

- No wiesz...! - Lady Pomeroy o mało nie wymówiła słowa „mamo”. - To był po prostu koszmar, zwłaszcza po tym... po tym, co się stało.

Głos Nicole załamał się nagle. Dove trwała w oczekiwaniu, lecz jej córka milczała, kurczowo zaciskając dłonie na poręczach fotela.

- Mów, Nicky. Naprawdę cię nie osądzam.

- Nie zdarzyło się nic z tego, co myślisz - odezwała się w końcu Nicole.

- Nie? Więc co się zdarzyło?

- Byłam oszalała z rozpaczy, Dove. Też byś była na moim miejscu. Rolf zginął, tak nagle, tak strasznie...

- Wiem, kochanie, naprawdę wiem. Sama nie mogę o tym spokojnie myśleć.

- Właśnie, więc pewnie rozumiesz... Ten człowiek... natychmiast po tragedii przyszedł mi z pomocą. Był czuły. Cierpliwy... I tak bardzo mi pomógł. Naprawdę...

- No widzisz, kochanie, jaki dobry z niego człowiek!

- Och, mamó - córka ugryzła się w język, lecz Dove nie zareagowała. Ona zaś postanowiła wyjawić wreszcie całą prawdę. Wiedziała, że jeśli nie wyrzuci wszystkiego z siebie teraz, nie zrobi tego już nigdy. Chciała się wreszcie uwolnić od koszmaru, który dręczył ją dniami i nocami.

- Tam, w namiocie, przy nieszczęsnym, poszarpanym, martwym ciele Rolfa... - gwałtowny spazm nie pozwolił jej dalej mówić, ły

popłynęły strumieniem, ale nie zmyły bólu.

- Nicole, och, Nicole... Powiedz mi wszystko.

- Ja, ja...

- Dobrze. Nie musisz nic więcej mówić. Myślę, że cię rozumiem.

Dove, gdyby tylko potrafiła, pochwyciłaby córkę w ramiona. Ale sama była znacznie drobniejsza od postawnej Nicole. Poza tym nie tuliła swojego dziecka od czasu, kiedy było malutkie; pieszczoty i czułości scedowała szybko na niańki, wraz z wychowaniem. Nie uczyniła tego również w dniu ślubu Nicole ani nawet wtedy, gdy umarł Percy.

Bowiem Dove nie darzyła swojego jedyne dziecko prawdziwą, matczyną miłością. Czule i głęboko kochał córkę tylko Percy. Ona, piękna Dove, zawsze uważała ją za brzydkie kaczątko, a czasami wręcz się jej wstydziała.

Z czasem musiała przyznać, że to kaczątko wyrosło na prawdziwą piękność, kobietę ponętną, istną boginię o pełnych kształtach. Jednak nawet wtedy Dove nie potrafiła jej tak zwyczajnie, po kobiecemu - jeśli już nie po matczynemu - pocieszyć.

- Jak możesz mnie zrozumieć, jeśli sama nigdy nie zdradziłaś męża? - łkała Nicole. - A przecież kochałaś go mniej niż ja Rolf, to wiem na pewno. Boże, pozwoliłam temu mężczyźnie zbliżyć się do mnie, zdobyć mnie... I to tej samej nocy! Oddałam mu się jak dziwka! I posłuchaj, mam, było mi dobrze, jak nigdy z Rolfem...

Nareszcie.

Nieznośny ból w piersi zelżał, jakby nagle coś go bezpowrotnie wymiotło. Wreszcie się odważyła.

- Wybacz sobie, jeśli potrafisz, moja dumna dziewczyno - głos matki zabrzmiał miękko w ciemności. - Pomyśl, że byłaś już wtedy wolna. Potrzebowałaś pocieszenia, a mężczyzna najlepiej potrafi pocieszyć właśnie w ten sposób. I większość mężczyzn o tym wie. My wszystkie, Nicole, zamieniamy się czasami w okrutne czarne wdowy, w modliszki. Bo kobieta jest enigmą. Ma do wyboru: albo działać w zgodzie z własną naturą, albo starać się o uznanie i szacunek. Co wybierze? My, kobiety, przez całe życie znajdujemy się w podobnych

sytuacjach. Grożą nam rozliczne niebezpieczeństwa... i same bywamy niebezpieczne. Oto nasze przekleństwo, kochanie, i nasza chwała zarazem. Długo udawało ci się omijać te rafy, o które rozbija się nasza kobieca niewinność, ale w końcu nawet ty, moja markizo, musiałaś się na nie nadziać.

- Teraz śle do mnie depeszę za depeszą. A w każdej jest propozycja małżeństwa.

Nicole wcisnęła wymięty świstek w dłoń matki. Dove, nie czytając, porwała go na strzępki, a potem wstała, podeszła do relingu i wysypała je za burzę. Opadły w ciemność jak konfeti, wessane w mrok.

- Kochasz go?

- Nienawidzę - odparła głośno Nicole. - Kazałam mu to odtelegrafować. Teraz płynie gdzieś po Atlantyku. Podobno jutro będziemy tam, gdzie on jest dzisiaj. Pisz: „Przypłynę i zabiorę cię z *Titanica*. Wrócimy razem do Anglii...”

- I nie ma dla niego żadnej nadziei w twoim sercu, Nicole? Dla człowieka, który przemierza kontynenty i przepływa oceany, byle tylko znaleźć się przy tobie? Wydaje mi się, że kocha cię prawdziwie i namiętnie, choć bywa może niecierpliwy i gwałtowny.

- Go mnie obchodzi jego namiętność? Gdybym tylko mogła, cofnęłabym czas, żeby nie stało się to, co się stało. Żałuję, że nie zostawiłam go tam, w sawannie, na pastwę hien.

- Cóż, przeszłość zostaje na nas jak opalenizna, nieprawdaż? Zostanie, choćbyś usiłowała wybielić ją cytryną i gąbką - zauważyła cynicznie Dove, wracając z powrotem na miejsce obok córki.

- Musiałam się komuś zwierzyć, inaczej zatrulałabym się wstydem i nienawiścią do samej siebie.

- Och, Nick, niepotrzebnie, przecież nikt z nas nie jest aniołem. W większości przypadków robimy, co możemy, i na ogół udaje nam się postępować właściwie. Nie zawsze, ale takie właśnie jest życie. Radzę ci po prostu zapomnieć o tamtej nocy. Była szaleństwem, chwilową utratą rozsądku, niczym istotnym. Obcy mężczyzna pocieszył cię w rozpacz, to wszystko. Nie powinnaś traktować tego aż

**tak serio. No, głowa do góry! Dopij swojego drinka i popraw sobie oczy, bo się rozmazały...**

**Nicole wyciągnęła puderniczkę, by zatuszować ślady łez.**

**- Spójrz! - zawołała z ożywieniem matka. - Widzisz Tory i Burta? Stoją obok szalup... nie, idą z jakimś mężczyzną... hm, wydaje się całkiem przystojny. Znasz go może? Przyjrzyj się...**

**Nicole uniosła się w fotelu. Wspomniana trójka zbliżała się ku nim szybkim krokiem. Tory, choć niezmiennie piękna, wyglądała jeszcze mizerniej niż przy obiedzie i rękami podtrzymywała brzuch, jakby nagle zaczęła jej ciążyć. Burtona VanVoorsta można było natomiast rozpoznać po charakterystycznym kaczym chodzie. Smoking opinał mu tors, zaś on sam uśmiechał się promiennie, co kontrastowało z zapadłą, stroskaną twarzą Tory.**

**Towarzyszył im postawny mężczyzna, którego ciemną czuprynę rozwiewała wieczorna bryza. Twarz miał ogorzałą, też rozpromienioną uśmiechem, widocznym nawet w mdłym świetle latarni. Ubrany w biały garnitur, energicznie wymachiwał ciemną laską. Dostrzegł Nicole i jej matkę w tym samym momencie, w którym one spostrzegły jego. Uśmiechnął się, jego zęby zaśniły bielą. Nicole pomyślała, że na pewno uprawia sport, ramiona miał bowiem szerokie, a uda silne i mocno umięśnione.**

**- Teddy Royce - przedstawił się głębokim, dźwięcznym głosem, a w oczach zaśniły mu przekorne ogniki. - A pani, piękna damo, musi być chyba samą królową. Czy raczy pani dziś ze mną zatańczyć? - Śmiało ujął dłoń Nicole i ucałował ją, przeplatając palce z jej palcami, zdobnymi w szafirowe pierścienie.**

**Nicole ze śmiechem wycofała rękę.**

**- Pójdziemy razem? - zagadnęła Tory i Burta.**

**- Zdaje mi się, że dziecko kopie, a w każdym razie mocno się wierci - odparła zmęczonym tonem Tory. - Sama nie wiem, co powinnam zrobić.**

**- Jak to co? - Burty objął ją czule. - Tańczyć, moja Madonno. Niedługo zostaniesz matką prezydenta.**

**- Żartujesz sobie ze mnie. - Victoria przylgnęła do ramienia męża.**

- Jasne, to żarty, ale oddałbym za nie życie. Junior zostanie prezydentem, zobaczysz!

- On to mówi serio - Tory wyjaśniła Dove. - Po raz pierwszy w życiu Burty traktuje poważnie coś innego niż Wall Street.

- I ciebie, moja Madonno - zaznaczył z naciskiem. - Jesteś najlepszą inwestycją, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Teddy Royce podał ramię Dove. Przyjęła je, nie ukrywając żalu.

- Dziś wieczór jem kolację z kapitanem, ale może zechciałby pan towarzyszyć lady Pomeroy. Byłabym panu niezmiernie wdzięczna.

Nieznajomy podał drugie ramię Nicole.

Nie skorzystała.

Pomyślała za to, że ten przystojniak ma ów ogień w oczach, który tak bardzo pociągał ją u Rolfa. Ogień, który rozpalał jej duszę, a przede wszystkim jej ciało. Ciało wdowy, ciało spragnione miłości, ciało wstrząsane dreszczem rozkoszy i obrzydzenia na samą myśl o tamtej nocy w Kenii, ostatniej nocy, kiedy dane jej było być z mężczyzną.

Odwróciła głowę, spojrzała w otulony mrokiem ocean. W ciemnościach za burzą opadały w fale ostatnie strzępy podartego przez Dove listu.

## Rozdział 6

---

**A**udrey Lockholm ubrała się tak, aby nie zwracać niepotrzebnie niczyjej uwagi. Miała na sobie prostą czarną pelerynę, jasne włosy schowała pod kapeluszem w kształcie dzwonu, zrezygnowała z wymyślnego makijażu. Przechadzała się po pokładzie spacerowym trzeciej klasy i wypatrywała kobiety, która godzinę wcześniej popatrzyła stąd w górę, ściągając Audrey tutaj, do siebie, na dół.

Na dół..

Audrey nie czuła się zbyt pewnie w tym otoczeniu, choć dolar, wciśnięty stewardowi, miał moc otwierania każdych drzwi.

- Szukam starej znajomej - wyjaśniła, on zaś, uśmiechając się obłudnie, zwiózł ją windą na niższy pokład, przynależny do gorszego świata.

Kiedyś uważała, że potrafi, tak jak dawniej, zmieszać się z tłumem na ulicach Newport. Teraz, otoczona przez obce, pospolite twarze, stwierdziła, że już tego nie umie. Żona Johna Bayarda Lockholma III od dawna nie przypominała Audrey Smoke, prostej córki stolarza. Bez względu na to, co na siebie włożyła i dokąd szła, przywileje i dostatki odmieniły ją na zawsze.

Równocześnie nie dawała jej spokoju myśl, że oto doszła do kresu pewnej drogi. Co było za tym kresem - tego nie była pewna i to budziło w niej coraz silniejszy lęk.

Zaczęła drzeć i ciaśniej otuliła się płaszczem. To luźne okrycie narzucała zazwyczaj na wydekoltowane, kosztowne suknie, gdy wsiadała do powozów, wysiadała z samochodów przed schodami opery, albo w czasie wieczornych przyjęć w ogrodzie. Tymczasem tu, na pokładzie D, noszono ciężkie, kocowe płaszcze i kurtki, od których garbiły się ramiona i których nigdy nie prano, bowiem stale były w użyciu.

Zbliżała się pora kolacji i pokład nie był tak zatłoczony, jak sądziła

Audrey. Nerwowo przebiegała wzrokiem pospolite, podekscytowane twarze. Kobiety wyglądały na stare i zmęczone, przeważnie się nie malowały. Mężczyźni palili tanie papierosy, wpatrzeni w nocne niebo, a dzieci o chudych buziach ganiały się zawzięcie, tupiąc o pokład nowiutkimi butami z najtańszej skóry, kupionymi zapewne specjalnie na podróż.

Trzecia klasa również przyglądała się Audrey. Co taka piękna pani robi na pokładzie D? - zdawały się mówić zaciekawione spojrzenia. Czego może tu szukać elegancka dama w cienkich pantoflach? Chciała sobie nas obejrzyć, porównać?

Jakiś mężczyzna przystanął przed nią, spoglądając pytającym wzrokiem. Był niewiele wyższy od niej, o silnych ramionach i wydatnym brzuchu. Zniszczony, bezkształtny kapelusz nasunął głębiej na czoło, dla ochrony przed porywami wiatru. Z cienia rzucanego przez rondo wylaniało się szare, znaczone bruzdami oblicze. Trzymał za ręce dwoje dzieci o trójkątnych, umazanych dżemem twarzyczkach i patrzył na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

- Szukam dawnej znajomej - wyjaśniła Audrey.

- Podobnie i ja - odparł. - Podróżuję drugą klasą. A pani z pewnością jest z pierwszej. Nazywam się Miller. Chętnie pani pomogę.

- Dziękuję, to miło z pana strony. Czy jest jakaś lista pasażerów klasy trzeciej?

- Z pewnością. Niech się pani zwróci do pokładowego intendenta.

- Rozejrzał się wokół, jakby już zbliżała się ku nim właściwa osoba.

- Cześć - odezwała się do Audrey dziewczynka po jego prawej ręce. Chłopczyk po lewej ssał kciuk i lękliwie trzymał się ojcowskich spodni. Były to workowate, wypchane na kolanach i mocno znoszone portki z grubego manczesteru.

- Cześć - odpowiedziała Audrey z uśmiechem, który miał pokryć jej zakłopotanie.

Nie chciała ranić uczuć dziecka, ale wzdragała się go dotknąć, a tym bardziej przytulić, tak bardzo było umorusane. Złościła się na

siebie za takie odczucia.

- Patrzyłam stamtąd - gestem wskazała górne kondygnacje *Titanica* - i nagle wydało mi się, że widzę moją dawną znajomą. Zauważyłam ją już w Southampton... - dodała.

- A jak się nazywała? Może przypadkiem ją znam?
- zapytał z roztargnieniem mężczyzna.

Dziewczynka puściła ojca i wyciągnęła ramiona do Audrey w proszącym geście.

- Pani jest taka śliczna - westchnęła.
- Keely, jak ty się zachowujesz! - ofuknął ją ojciec.
- Chciałam tylko zapytać, jak ta pani się nazywa. Przez moment Audrey nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Potem pochyliła się i położyła dłonie w cienkich czarnych rękawiczkach na ramionach dziecka.

- Nazywam się Audrey. A ty?
- Catherina - odpowiedziała z godnością mała. - Mam sześć lat, a kiedy dorosnę, będę weterynarzem. Wiesz, kto to jest weterynarz? - Wymówiła to słowo nadzwyczaj poprawnie i wyraźnie, jak gdyby wytrwale je ćwiczyła.

- Nie wiem, powiedz mi - uśmiechnęła się Audrey.
- To taki ktoś, kto leczy zwierzęta - wtrącił chłopiec i pomacał rękaw płaszcza Audrey. - O rany, Kathy, zobacz, jakie to miłe! - zachwycił się, zaraz jednak schował się wstydliwie za nogę ojca i stamtąd przyglądał się Audrey spod swoich długich rzęs. - Da mi pani pensa?

- Dosyć tego dobrego! - zdenerwował się mężczyzna, szturchnięciem odsuwając od siebie dwójkę dzieci. - Idźcie się pobawić. No, już!

Dzieci wzięły się za ręce, by odejść, ale dziewczynka wyraźnie zwlekała.

- Mama nas zostawiła - oznajmiła i dopiero potem pociągnęła brata w tłum pasażerów.

Mężczyzna nawet za nimi nie spojrział. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, kiedy Audrey kątem oka dostrzegła nagle tę, której



szukała.

Tak, to była madame Romany we własnej osobie. Wchodziła właśnie po schodach wiodących z pokładu E, a widząc Audrey, skinęła jej nieznacznie na powitanie. Jak zawsze była przygarbiona, otulona czarną chustą. Na głowie miała jaskrawy zawój, podobny do turbanu.

- Przepraszam, ale znalazłam już osobę, której szukałam - rzuciła w pośpiechu Audrey i ruszyła za Cyganką, zdążającą w stronę relingu.

- A, witaj, piękna pani - powitała ją madame Romany. - Mądrze zrobiłaś, żeś przyszła do mnie tak prędko.

Mimo ciepłego blasku lamp, który bił z sali jadalnej pokładu D, Audrey z trudem mogła dostrzec zasłonięte bielmem oko staruchy. Zerknęła w górę, gdzie rzędy małych światełek na najwyższym pokładzie iluminowały wyniosłe burty *Titanica*, konkurując z blaskiem gwiazd. To był jej świat, to było jej życie. Zapragnęła nagle uciec stąd i wrócić do Baya, do wytwornych salonów i eleganckiego towarzystwa. Chciała znów beztriosko spędzać czas przy wytwornych daniach, w gronie oddanych przyjaciół.

- Czego chcesz? - zapytała oschle, nie bawiąc się w uprzejmości. - Skąd w ogóle wzięłaś się na tym statku? Dlaczego akurat ja cię interesuję? Mów szybko, bo mam swoje sprawy, i nie podoba mi się, że stajesz mi na drodze. Widziałyśmy się raz, to powinno wystarczyć.

Szorstkością tonu usiłowała zamaskować wewnętrzny niepokój. Bo przecież Audrey się bała. Bardzo się bała. Znów pomyślała o grającej w salonie orkiestrze i o tańczących parach, a potem o zstępowaniu w głąb kolejnych, coraz niższych pokładów. W dół, w dół, aż do samego dna...

- Musiałam tu być - zaintonowała śpiewnie stara kobieta, obejmując artretycznymi palcami poręcz i przymykając ślepe oko. - Stąd widzę lepiej niż z oddali...

- Mów jasno, albo...

- Dobrze, powiem, pani Lockholm - ciągnęła zapatrzona w ciemność Cyganka. - Powiem wszystko, co już wiem, i wszystko, co

zdołam zobaczyć. Dla ciebie tu jestem, kochana, żeby cię ocalić, pani ładna. I ocalić dla ciebie męża. I jeszcze jedno: żeby ratować moją córkę.

- Nic z tego nie rozumiem. - Audrey wzruszyła ramionami. - Jeśli chcesz pieniędzy, nie licz na mnie, bo mam ich niewiele. Mąż mnie utrzymuje i dba o mnie, więc ich nie potrzebuję. A zresztą, nawet gdybym miała, i tak nie dałabym ci ani grosza.

- Lepiej znajdziemy inne miejsce do rozmowy - zaproponowała kobieta. - Nie chcę cię obrazić, ładna pani, i nie zaproszę cię do mojej nory. Chodźmy, poszukajmy jakiejś ławki. Łatwiej dojdziemy do porozumienia.

Audrey zawahała się.

- Niech pani idzie, pani Lockholm. I tak już daleko pani zaszła - zaśmiała się Cyganka. - Nie zatrzymam pani długo.

Stara poruszała się niespodziewanie szybko i sprawnie w płataninie okrętowych przejść. Audrey podążyła za nią. I znów, jak wtedy, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już kiedyś, dawno temu, widziała tę kobietę. Wcale nie we śnie, tylko...

Dwie kondygnacje niżej, na pokładzie F, znalazły samotną ławkę przy lewej burcie. Nocne powietrze było ciepłe i słodkie. Audrey zdjęła kapelusz, uwalniając jasne kosmyki włosów, rozwiewane przez morską bryzę.

- Pospiesz się - powiedziała niecierpliwie do wpatrzonych w nią z napięciem Cyganki. - Czekają na mnie na górze.

- Zobaczysz, że warto posłuchać mnie choć przez chwilę, paniusiu. Bo wokół ciebie gromadzą się mroczne chmury i straszne grozi ci niebezpieczeństwo. Nie kłamię, kochana, oj, nie!

- Skąd możesz wiedzieć, jakie są Boskie plany wobec mojej osoby? - zachnęła się Audrey. - A może to tylko twoje ponure wymysły? Łatwo cię przejrzeć, madame Romany. Nawet ja to potrafię. Wiem, że życzysz mi źle.

Cyganka gwałtownie zamrugnęła powiekami.

- Niech pani najpierw posłucha, pani Lockholm. Patrzyłam w kulę. Wpatrzyłam się głęboko, a zobaczyłam tak wiele, że rzuciłam

wszystko i przybyłam tutaj. To moje ostatnie miejsce, stąd odejdę w nicość... Kryształowa kula mówi też o tobie, pani. Ty umiesz zdobyć mężczyznę, ale czy umiesz go stracić?

Nagle Audrey przestała się bać. Nie, to po prostu śmieszne. Czy ta bezczelna Cyganicha myśli sobie, że ma przed sobą wystraszone, naiwne dziewczę, które da jej wszystko, byle tylko odwróciła zły urok?

- Dość tych bredni! Co mnie do twojego losu? - zirytowała się i podniosła. - Jakim prawem wtrącasz się w mój? Powiedz wreszcie, co masz do powiedzenia, bo szkoda mi czasu!

- Zdejmij, gołąbko, rękawiczkę - poprosiła madame Romany. - Lewą, która zakrywa twoją ślubną obrączkę.

- Nie zdejmę.

- Proszę, bardzo cię proszę - ton wróżbiarki stał się błagalny. - Odrobina cierpliwości, kochamutka. Przecież moje przepowiednie są dla ciebie. Mają pomóc tobie i mężczyźnie, który jest twoją miłością.

- No, dobrze...

Audrey ściągnęła powoli obcisłą, elegancką rękawiczkę. Stara kobieta chciwie sięgnęła po jej dłoń i uwięziła ją w swojej, pokrytej żółtawą, łuszczącą się skórą, poznaczonej czarnymi żyłami i licznymi bliznami. Długie, pożółkłe paznokcie zakrzywiały się na końcach jej palców jak dzioby ptaków ze starożytnych malowideł. Ale Audrey nie wyrwała swej dłoni z obrzydzeniem. Wpatrywała się w tę rękę zafascynowana, jakby dotknięta jakimś dawnym wspomnieniem.

Pamiętała podobną rękę o suchej żółtawej skórze i szponiastych paznokciach!

Dawno temu, na miejskiej plaży w Newport, ta sama ręka wyciągała się ku niej z gazetą, każąc jej czytać o pierwszej żonie Bayarda i dziwnych okolicznościach jej samobójstwa...

Tak, teraz sobie przypomniwała.

Tymczasem madame Romany z rozmysłem, trzy razy, obróciła złotą obrączkę, tkwiącą na serdecznym palcu gładkiej i wypielegnowanej dłoni Audrey, potem przymknęła oczy i zaczęła lekko się kiwać.

- O, tak, on kocha - mówiła - mocno kocha. Nie trzeba się lękać o jego uczucie. Jesteś dla niego całym życiem, piękna pani...

Audrey milczała. Nigdy nie ukrywała miłości do Baya. Ani on do niej. Nie musiała płacić brudnej Cygance, by o tym usłyszeć.

- ...bez niego będziesz zgubiona. Musisz go ocalić, jeśli tylko zdołasz...

Audrey nadal milczała. Niech ta cała madame Romany wygada się wreszcie. Potem pożegna ją i już nigdy się nie zobaczą.

- ...ach! - Cyganka potrząsnęła nagle głową opuszczoną na piersi. - Ajaj, oto nadchodzi... Chmury się gromadzą, nie te białe, co niosą radość... Te czarne, ciężą, coraz niżej, coraz bliżej... Nie, nie myliłam się! - Zacisnęła nagle palce na dłoni Audrey. - Katastrofa. Białe nieszczęście. A potem... potem nic. Nic. Nic, tylko gwiazdy i lód. Upadek, piękna pani, koniec wszystkiego....

Audrey nawet nie drgnęła. Już dawno przestała się bać. Co za nonsensy, co za brednie, powtarzała w myśli.

- Będziesz długo spadać, pani... I widzę, jak spada ten, którego kochasz. Temu zapobiec nie mogę... - madame Romany puściła wreszcie jej dłoń i uniosła głowę, wyzwalając się z hipnotycznego transu. - Nie mogę powiedzieć, co znaczą te czarne chmury rozpacz i straty. Nie wiem, jakich zdarzeń są znakiem. Kręgi przenikają się... jeden przechodzi w drugi, płyną...

Audrey odezwała się spokojnym głosem:

- Teraz sobie przypominam. Widziałam cię w plażowej kabinie, parę lat temu. Zapytałaś, jak się nazywam, ale moje nazwisko nic ci nie mówiło. Wtedy powiedziałaś mi swoje. Dlaczego to zrobiłaś? Pamiętam, że byłam dla ciebie miła, więc dlaczego teraz mnie prześladujesz? Przecież nie wyrządziłam ci krzywdy.

Starczy, ptasie powieki opadły ciężko na oczy.

- Wtedy nie nosiłaś nazwiska Lockholmów, kochaneczko, a ja nie straciłam jeszcze nadziei. Moja córeczka, Daphne, była małą dziewczynką. Teraz ma trzydziestkę, nie wyszła za mąż i jest nieszczęśliwa. Ale nie po to goniłam przez ocean na jakiejś dziurawej barce, żeby zdążyć na ten przeklęty statek i do ciebie, ładna pani...

Zrobiłam to, żeby pomóc Daphne, bo kryształ mi tak kazał. Dlatego upraszam o łaskawość, tak jak wtedy, przed laty, a w zamian odwdzięczę się, ratując ci męża... Jeśli mi odmówisz, znajdę inną drogę, ale ty, pani, zostaniesz wdową.

Audrey odwróciła się gwałtownie, oparła o poręcz i zapatrzyła w ciemność. Krew gorączkowo płynęła w jej żyłach. Wzięła kilka głębokich oddechów, usiłując opanować gniew. Kiedy zaś wreszcie się uspokoiła, usłyszała dzwon wzywający na kolację. W mroku nie widać było drżenia ręki, gdy nakładała rękawiczkę. Szybko ułożyła włosy pod kapeluszem i odwróciła się do Cyganki.

- Powiedz mi, czego, do licha, chcesz? - spytała ostro.

Stara kobieta tkwiła nieruchomo na ławce, omotana swoimi szmatławymi okryciami. Bielmo lśniło złowieszczo w mroku niczym mętny kryształ. Drugie oko patrzyło nieruchomo.

- Pieniądzy - powiedziała Cyganka równie twardym tonem. - Dziesięć tysięcy dolarów. Dla Daphne. Moja córka zna alchemię piękności i chce rozkręcić interes. Kosmetyki, tak się to ponoć nazywa. Daj jej tę szansę. Niech będzie jak ty, niech wzniesie się z nędzy... Mówi, że będzie przyrządzać niezwykle maście i mikstury, które sprawią, że policzki dam pozostaną młode i jędrne nawet po wielu latach i po wielu porodach. Będzie mieszała olejki, po których wargi się zaróżowią, i kwasy, które rozjaśnią kobiece włosy. Mówiłam jej, że otwiera puszkę Pandory. Jeśli wszystkie kobiety będą takie piękne i pociągające, świat szybko zwariuje. Ale Daphne marzy o tym dniami i nocami, a ja chcę jej pomóc. Daj jej szansę, pani Lockholm... Błaga cię o to stara kobieta u progu śmierci..

Boże, ona jest straszna, wzdrygnęła się Audrey. Po co tu w ogóle przychodziłam?

- Sama mam córki, o które muszę się troszczyć - odparła chłodno.

- Nie wiem, z jakiej racji mam jeszcze przejmować się twoją.

- Bo widzisz, gołąbeczko Lockholmowie mają dług wobec Daphne. Matka Bayarda Lockholma ukradła mi męża, ojca Daphne. Przecież wiesz o tym. Oczywiście, opuścił nas dawno temu, a ona też już nie żyje. Ale dług pozostał długiem, a zobowiązanie przeszło na ciebie,

pani Lockholm. Na twojego męża i na ciebie. Spłacić dług, a zawrę pakt z samym diabłem. Nie mogę powstrzymać katastrofy, nie mogę powstrzymać upadku twojego męża, ale oddam własne życie za jego życie. - Z fałd ubrania madame Romany wyczarowała nagle wąski sztylet.

- I twój małżonek będzie żył - mówiła dalej. - Przepłynie ocean, osiadzie we własnym domu, los i bogactwo będą mu sprzyjać. A umrze w sędziwym wieku. Miło to słyszeć, prawda? Poświęcę się, żeby tak było... No, jak? Nasz układ stoi?

Audrey już dawno by uciekła, gdyby nogi chciały jej słuchać. Ale słowa starej i błysk ostrza, kreślącego dziwne znaki w powietrzu, miały hipnotyczną moc. Audrey nie bała się o siebie. Przeraziła ją myśl, że Cyganka zada sobie za chwilę śmiertelny cios, czyniąc ją - albo usiłując uczynić - odpowiedzialną za los tej nieudaczej Daphne.

- Nie - zdołała tylko wyjąkać. - Nie, nie, nie... Czubek ostrza dotknął żyły na przegubie Cyganki.

- Dziesięć tysięcy dolarów - powtórzyła. - To zaledwie ułamek twojej fortuny. Dziesięć tysięcy dolarów dla Daphne i przez jeden kwartał, tylko jeden kwartał, patronowałabyś, łaskawa pani, jej interesom. Tylko na początku, dopóki ich nie rozkręci. Masz przecież kontakty i wpływowych przyjaciół... Tylko tyle. Potem Lockholmowie i Diegowie będą kwita, na zawsze. Pieczętuję to własną krwią - zakończyła uroczyście, przeciągając ostrzem po żyłę i podsuwając Audrey przegub, by zobaczyła szybko wypływające krople.

Zaraz potem wstała, z widocznym trudem prostując stare kości. Obciągnęła na sobie bezkształtne łachy i westchnęła.

- Ano właśnie, byłaś dla mnie dobra, kiedy sama byłaś nikim. Wtedy takie rzeczy przychodzą łatwo. Zresztą, co to za wysiłek uśmiechnąć się do biednej starej Meksykanki, która akurat pilnowała kabin kąpielowych, i zapłacić jej parę centów. Teraz trudniej o współczucie, co? Co innego parę centów, a co innego dziesięć tysięcy. Powiedz, czy to za dużo, żeby ocalić ukochanego

męża? No dobrze, nie będę ci już dłużej truć, gołąbeczko. Prześlij mi odpowiedź, jeśli się zgodzisz. A jeśli nie...

- Zobaczą, co się da zrobić - powiedziała cicho Audrey w ciemność za burta, rozjaśnioną odległymi światłami wybrzeża. Rozjarzony *Titanic* pruć czarną wodę, zmierzając ku Queenstown w irlandzkim hrabstwie Cork. - Nie rozumiem tylko, w jaki sposób miałabym ocalić swojego męża.

- Anioły upadają - rzuciła przez ramię madame Romany, odchodząc w mrok. - Każdego dnia upadają jakieś anioły. Dlaczego i on nie miałby upaść?

Stara kobieta zniknęła, Audrey zaś wciąż stała nieruchomo, oparta o reling *Titanica*. Myślała o pewnym lecie, dawno temu... Widziała podniesione story i firanki, powiewające łagodnie, jakby poruszane w niewidzialny sposób przez przybyłe anioły. I słyszała to imię, dziwne męskie imię na ustach matki Baya, radośnie wykrzyczane w chwili śmierci...

Czy ten, który nosił to imię, jej utracona miłość... czy naprawdę był kiedyś mężem śniadej prostaczki?

Bay długo czekał na żonę, niecierpliwie spacerując tam i z powrotem po prywatnym pokładzie, a potem po obszernym salonie apartamentu. Ciągnął za sobą obłok wonnego dymu z długiego cygara i zastanawiał się z rosnącym niepokojem, gdzie też może podziewać się jego Audrey.

Gdy wreszcie wpadła do pokoju, natychmiast dostrzegła w jego wzroku strach. Bay bał się o nią, to oczywiste. Była przecież jego żoną. A on ją kochał...

Zajrzała mu w oczy, w te ukochane oczy, szare jak sztormowy ocean, i zaraz potem dojrzała w nich pożądanie. Serce drgnęło jej ze szczęścia. Jej ukochany Bay odprężył się i uśmiechnął. Dłonią, w której trzymał cygaro, odgarnął niesforny, chłopięcy kosmyk włosów wciąż spadający mu na czoło, potem poszukał popielniczki i zdusił niedopałek wśród sterty podobnych mu nie-dopalonych cygar.

Bay...

Już był przy niej, już obejmował ją mocnym uściskiem, unosząc ku piersi... już całował jej wargi ciepłymi, spragnionymi ustami, które smakowały słodkim, wonnym tytoniem.

- Nareszcie... - wyszeptał żarliwie - nareszcie, nareszcie...

Po chwili okrywał pocałunkami jej szyję, i znów usta, a potem powieki i pulsujące przyspieszonym tętnem wgłębienie w zgięciu szyi.

Później opuścił ją na podłogę, ale nie wypuścił z objęć. Gorącymi, szybkimi palcami rozpinał suknię na plecach, pieścił nagie ciało, które odkrywało się przed nim, i ani na chwilę nie przerywał słodkiego, długiego pocałunku. Sycił wzrok bielą obnażonych ramion, muskanych przez oceaniczną bryzę. A kiedy rozpięta suknia opadła Audrey z bioder, upojony pięknem kobiecego ciała, wędrował ustami po smukłym, jasnym karku.

Dygoczącymi rękami ściągnął z niej koszulę i poniósł Audrey na werandę, by tam ułożyć jej białe, nagie ciało na chłodnych deskach. Czuł, jak to wspaniałe ciało drży z pożądania. Padł na kolana i z zapalem całował obfite piersi, miękki brzuch, biodra i cudownie złocisty zakątek pomiędzy udami.

Całował długie nogi, ściągając pończochy, pieścił skórę, chłodzoną nocnym powiewem. Aż wreszcie rozpalone łono Audrey uniosło się ku niemu, a smukłe nogi objęły go ciasnym uściskiem. Jakimś cudem sam również stał się już nagi, więc ujął jej pośladki silnymi dłońmi i wparł się w nią, i jęknął, i wybuchnęli oboje jednym płomieniem, który samotnie zapłonął nad ogromnym, szarym oceanem.

A potem Bay zasnął. Był zmęczony miłością, ale też zmęczony obchodem ogromnego statku, jakiego musiał dokonać z Ismayem i z kapitanem; zmęczony napięciem, jakim żył od wielu dni.

Zbyt zmęczony, pomyślała Audrey, dzwoniąc, by podano im kolację do apartamentu. Wzięła prysznic, przebrała się w żółtą suknię, której barwa podkreślała niezwykle odcień jej włosów. Wreszcie usiadła przy biurku, wyjęła książeczkę czekową męża i znalazła jego czarne pióro o szerokiej stalówce, napełnione czarnym atramentem.



Już kilka razy wypisywała czeki jako jego żona. Mieli wspólne konto. Bay otworzył je już w pierwszym miesiącu ich małżeństwa i dał jej do niego nieograniczony dostęp. Wszelkie rachunki przysyłano bezpośrednio do Astona Forbesa, prawnika prowadzącego rodzinne interesy, który raz na kwartał przedstawiał Bayowi sprawozdanie finansowe.

Audrey nigdy nie kwestionowała tego układu, podobnie jak mąż nie kwestionował jej wydatków. Było ich zresztą niewiele, a dotyczyły z reguły skromnych jak na ogromną fortunę sum. Od czasu do czasu przysyłała trochę pieniędzy swojemu ojcu i Dolly; raz była to zapłata za kwiaty, spontanicznie zamówione przez nią do domu.

Czasem, kiedy spacerowała po Manhattanie, a miała ochotę kupić sobie perfumy, ładną szpilkę do kapelusza czy jakiś inny drobiazg, na który nie warto było brać rachunku, wypisywała czek. Z reguły miała bowiem pusty portfel. Gdy przyznawała się do wydatku Bayowi, nieodmiennie odpowiadał jej wyrozumiałym uśmiechem.

Teraz więc wprawnie odkręciła skuwkę i ujęła męzowskie pióro w drobne palce. Zaczęła od daty.- 10 kwietnia 1912 roku. Błady, żółtawy papier podłużnego czeku numer 17011 szybko wchłonął czarny atrament...

Teraz suma. Dziesięć tysięcy dolarów.

Nie mało, nawet dla tak bogatej kobiety, jak ja, pomyślała. Z takimi pieniędzmi naprawdę można zmienić świat. Ona tego nie zrobiła.

Dziesięć tysięcy dolarów.

Tyle kosztowała całoroczna garderoba jej i córek, ale i tak był to zapewne ułamek sum, jakie wydawała na siebie Tory czy Nicole. Była to również równowartość rocznego honorarium pani Twigg.

Dziesięć tysięcy dolarów.

To mało, jeśli ma się zapłacić za życie takiego człowieka, jak Bay. Jeśli ma się uchronić go od złego uroku i nienawiści starej Cyganki z dolnego pokładu oraz jej zgorzkniałej, nieudacznej córki. To mało, jeśli posłuży spłaceniu raz na zawsze zadawnionego długu, o jakim mówiła ta kobieta. I to bez względu na to, czy ona i jej dziecko rzeczywiście zostały skrzywdzone przez Lockholmów. Mało, ale nie

zapłaci nic więcej ponad to...

Wypisała starannie szereg cyfr - \$10 000 - a potem potwierdziła tę sumę słownie w odpowiedniej rubryce. Podpisała: „Audrey Lockholm” i dodała na odwrocie: „Wypłacić całą sumę na żądanie”.

Pozostało jeszcze podanie nazwisk. Na pewno nie żadna „pani Romany”. Po chwili namysłu w rubryce „Płatne na nazwisko okaziciela” wpisała: „Esmeralda Diego lub Daphne Diego”. Teraz powinna określić przeznaczenie sumy. „Cele inwestycyjne” - skreśliła zamazyście.

Bay zamruczał coś przez sen i poruszył się na sofie. Dałabym za ciebie cały majątek, kochany, pomyślała Audrey, dmuchając na kartonik, na którym lśniły jeszcze czarne kreski atramentu.

Skończyła w samą porę, bowiem Bay obudził się właśnie i usiadł, przeciągając się i prężąc gibkie, wysportowane ciało. Zawołał, żeby rzuciła mu szlafrok, bo ktoś puka do drzwi, a Audrey wyrwała szybko czek, zamknęła książeczkę i poszła otworzyć stewardowi, który przywiózł kolację. Czuła się lekka i szczęśliwa.

## Rozdział 7

---

**Z**decydowanie mniej szczęśliwe niż matka były córki, spożywające obiad w towarzystwie pani Twigg w jadalni pierwszej klasy. Swan była roztargniona i zła, Smoke Lockholm pochłaniała zaś jedzenie żarłocznie i dziko. Nabijała na widelec kawałki kaczki, jakby chciała je upolować, zanim rozbiegną się ku pozłacanym brzegom talerza. Nurzała je potem głęboko w sosie jabłkowym i połykała niemal bez gryzienia. Pożywiała się w milczeniu, bez uśmiechu, całkowicie lekceważąc konwersację.

Pani Twigg oczywiście ją złażała, bo to był żywioł pani Twigg - pouczanie, łajanie, zakazywanie i karcenie. Nie zostawiła na bliźniaczkach suchej nitki. Naraziły się jej wszystkim: niestosownym zachowaniem na pokładzie, łamaniem etykiety przy stole, ustawicznym zaniedbywaniem swoich powinności.

Smoke musiała wysłuchiwać wyczerpującego wykładu na temat swoich przywar od chwili, kiedy guwernantka dopadła ją na pokładzie łodziowym. Swan już wcześniej trafiła do urządzanego w kabine aresztu. Obie zostały elegancko przebrane, obie wyraziły skruchę i obie, zapytane o wyjaśnienia, zgodnie skłamały. A raczej pierwsza skłamała Smoke, zaś Swan potwierdziła tylko jej bajeczkę.

Otóż ni mniej, ni więcej tylko zwiedzały sobie spokojnie dolne pokłady, wyjaśniła Smoke. Wiadomo przecież, że fascynują je żegluga i statki, zwłaszcza zaś tak niezwykle statki, jak *Titanic*. Były więc w kotłowni, a potem podziwiały wodoszczelne grodzie, dzięki którym wspaniały *Titanic* jest statkiem praktycznie niezatapialnym. Poznały nawet palaczy i powiedziały im, kim są.

Pani Twigg była zszokowana tą relacją.

Najważniejsze jednak, że uwierzyła i że Swan była bezpieczna, przynajmniej jeśli chodzi o Danny'ego Bowena. Choć bowiem Twiggusia wiedziała, że Swan ma w Anglii sympatię „po piórze”, nie miała pojęcia, że tenże chłopak zatrudniony został na *Titanicu* jako

trzeci skrzypek. Gdyby wiedziała, ton jej reprimendy byłby zupełnie inny, a groźbę zamknięcia bliźniaczek w kapitańskim areszcie można by uznać za niewinną igraszkę.

A już zupełnie nie podobna sobie wyobrazić, co by było, gdyby wiedziała, że tenże sam Danny Bowen jeszcze przed chwilą dotykał dziewiczej piersi Swan i całował ją przez stanik. Ten sam chłopaczek, który gra właśnie w kawiarni, o jeden pokład wyżej, racząc gości miłą wiązką melodii z „Opowieści Hoffmana”.

Na szczęście pani Twigg tego nie wiedziała. Postukiwała więc tylko swoim zwyczajem kostkami palców w stół i prowadziła swoje kazanie, nie przerywając jedzenia.

- Przekonacie się - perorowała - co się stanie, jeśli nie będziecie mi bezwzględnie posłuszne, moje pannie. Wkrótce macie obchodzić swoje urodziny, ale - zaznaczam, że rozmawiałam o tym z waszą matką - nie ma mowy o żadnej zabawie, jeśli cokolwiek będzie nie w porządku. Więc ostrzegam ciebie, Smoke Wysong Lockholm, i ciebie, Swan Josephine Lockholm, że bez względu na wasze pochodzenie i pozycję, jeśli od dziś do niedzieli nie zasłużycie sobie w moich oczach na miano dam, możecie się pożegnać z balem. Rozumiecie?

Smoke uśmiechnęła się kwaśno i spojrzała porozumiewawczo na Swan. Jednak siostra nie podchwyciła tego konspiracyjnego spojrzenia buntowniczkii. Swan marzyła, z oczami utkwionymi w talerzu, dotykając ręką piersi w tym samym w miejscu, gdzie dotykał ją Danny Bowen.

Panią Twigg cieszył ten spuszczone wzrok - był dla niej jawną oznaką kapitulacji i skruchy. Z kolei markotna mina Smoke, trawionej nagłą zazdrością - tak, zazdrością! - o pieśczoży Danny'ego Bowena, jawiła się guwernantce jako dowód skuteczności swojej karcącej przemowy.

- A zatem, moje drogie... - ciągnęła, upajając się pedagogicznym sukcesem - jeśli nie dbacie o swoją reputację, ja o nią zadbam. Tak jest, gdyż należy to do moich obowiązków i za to jestem opłacana. Wy zaś nauczycie się o nią dbać, gdy nadejdzie stosowny czas. Kiedy przyjdzie wam reprezentować swoją fortunę... pożałujecie dawnej

płochości - ostatnie słowa wypowiedziała ze złowieszczym namaszczeniem, jak Nostradamus, głoszący swoje przepowiednie o końcu świata. Tak przynajmniej skojarzyło się Smoke. Kopnęła Swan pod stołem, ale siostra, zatracona w marzeniach, rysowała właśnie widelcem inicjały D.B. na wygładzonej powierzchni puree z groszku i nie była w stanie na niczym innym skupić uwagi.

Smoke również postanowiła uciec we własne myśli, by nie słyszeć nieznośnego terkotu Twiggusi. Ostatecznie z tym babusem można było sobie jakoś poradzić. Owszem, jeśli już coś powiedziała, tak zrobiła. A karała sprawiedliwie, to trzeba było jej przyznać.

Można ją jednak było okłamać i złagodzić „wyrok”. Dla pani Twigg już samo wymierzenie kary, nawet za mały grzech, wystarczało dla zaspokojenia poczucia własnego autorytetu.

No i dobrze...

Smoke śmiało zmyślała o wyprawie do kotłowni, wiedziała bowiem, że to wystarczy. Zaiste wystarczyło, żeby ukryć ciężki, lubieżny grzech Swan, która pokładała się z Dannym Bowenem na jego wąskiej koi i pozwalała, by macał jej piersi... tymi smukłymi, silnymi palcami o zdumiewająco czystych, krótko przyciętych paznokciach; tymi samymi palcami, które wdzięcznie wygięte przyciskały struny skrzypiec; palcami stworzonymi do muzyki i do miłości.

Wzdrygnęła się w środku na to słowo, podniecona i zde gustowana zarazem. Jego ręce dotykały piersi Swan, to z tego powodu siostra nie była na herbatce. Teraz zaś, przebrzydła, ciągle się uśmiecha i dziobie groszek widelcem, zjadając kawałek po kawałku wypisane uprzednio inicjały. Zjada inicjały Danny'ego Bowena, zmysłowo przeżuwa je w ustach...

Smoke poczuła, że w niej również zaczynają budzić się zmysły. Ona również czuła dotknięcie silnych dłoni, ściskających ją w talii i unoszących znad burty *Titanica*. Nie chciała tego. Nie chciała czuć podniecenia. A jednak przebiegł ją dreszcz, gdy przypomniała sobie, jak Danny przycisnął ją do piersi, wcale nie w panice, lecz powoli, z uczuciem...

Och, musi coś zrobić, i to szybko. Coś gwałtownego. Za żadne

skarby nie może się zadurzyć w Dannym Bowenie. On należy do tej głupiej Swan, trudno, tak wyszło.

Zamówiła na deser brzoskwinie w likierze z francuskimi lodami.

- Utuczysz się, Smoke - skomentowała z dezaprobatą pani Twigg.  
- Ale może to dobrze, będziesz powolniejsza, a przez to łatwiejsza do upilnowania. Kelner, dla mnie ekierka czekoladowa, kawa i brandy. A ty, Swan?

- Mnie wystarczy lemoniada - bąknęła Swan, przenosząc spojrzenie na siostrę. Zobaczyła, że jej turkusowe oczy lśnią od łez, i wyszeptała rzewnie: - Och, nie płacz, Smokey. Nasza Twiggusia nie jest aż tak okrutna. Na pewno będziemy miały nasz urodzinowy bal...

Pani Twigg, która rzadko widziała Smoke płaczącą, poczuła się nagle winna swego, być może, nieusprawiedliwionego okrucieństwa.

- Boże, byłam nazbyt surowa, prawda, moje kochane? - powiedziała z nagłym rozczuleniem. - W takim razie niezmiernie mi przykro, wierzcie mi. Oczywiście, że będziecie miały swój bal, gołąbeczki, i z pewnością będzie to pamiętna uroczystość. Nie możecie tylko zapominać, że nosicie nazwisko Lockholm, a to zobowiązuje.

Smoke nieśmiałym gestem musnęła dłoń pani Twigg i palce, którymi guwernantka jeszcze przed chwilą tak znacząco taktowała swoje litanie na temat grzechów i kary.

- Wszystko przez tę muzykę - wyjaśniła, pociągając nosem. - Pani nie jest niczemu winna, naprawdę. Wprost przeciwnie, jest pani dla nas jak najlepsza matka... Wszystko przez skrzypce, pani Twigg, one grają tak smutno, że aż dusza płacze.

- Smutno? Ależ one grają walca, Smoke. „Pieśń Jesienną”, spokojną i łagodną.

- O, nie - Swan nagle pojęła, w czym rzecz, w ten nieuchwytny sposób, w jaki porozumiewają się bliźniaki. - O, nie, Smoke - powtórzyła - tylko nie to! Nie wolno ci, rozumiesz?!

- Czego mi nie wolno? - prychnęła Smoke. - Nie wolno się zakochać? Nie wolno płakać, kiedy się ma ochotę? - pytała głośno. - A dlaczego nie? Bo ty mi zabraniasz? - wykrzyknęła, podrywając się z

krzesła.

W ułamku sekundy wybiegła z sali, świadoma, że przyjaciele matki siedzący przy sąsiednim stoliku patrzą na nią zdumieni. Ale matki oczywiście tam nie było, jak zwykle, kiedy jej potrzebowała. Mimo upływu lat matka wciąż była zakochana w ojcu, zaś on był zakochany w niej. Nic dziwnego, że nie mieli czasu dla dzieci.

Kabina, którą dzieliła ze Swan, znajdowała się na pokładzie B, za jadalnią. Smoke знаła już drogę, szła więc szybko, nie zastanawiając się i nie oglądając za siebie. Wystarczył zakręt korytarza, by zniknęła wszystkim z oczu. Następny korytarz, wyłożony czerwonym chodnikiem, jeszcze jeden zakręt - i będzie bezpieczna. Tam wreszcie pomyśli spokojnie.

Ale właśnie tam, przed drzwiami do luksusowej kabiny, stał ON. Zapewne miał właśnie przerwę, więc przyszedł, by spotkać się ze swoją lubą. Oczy mu zabłyśły, gdy ją zobaczył. Zaraz zaintonował powitalną nutę, przyłożywszy skrzypce do ramienia, a smyczek do strun przyciśniętych do gryfu smukłymi palcami. Pełne wargi rozchylił w radosnym, konspiracyjnym uśmiechu, a odegrał krótki kawałek, odstawił instrument i oparł go o framugę drzwi kabiny numer B-41. Teraz dopiero wyciągnął stęsknione ramiona do nadchodzącej dziewczyny.

W czarnej, wieczorowej marynarce, ze swoją smukłą sylwetką i jasnymi włosami, wyglądał elegancko, wcale nie plebejsko. Tuż przy jego nodze przycupnęły skrzypce, niczym dobrze wytresowany pies, białe włosy smyczka lśniły jak ostrze miecza. Smoke zapragnęła, by ujął ten smyczek i pociągał nim po jej nagim ciele, by wydobył z niego miłosną melodię. Zapragnęła wygiąć się w łuk i wyprężyć pod jego zachłannymi dłońmi...

Zamiast tego przystanąła gwałtownie.

Oddychała ciężiej niż powinna, jej serce wyprawiało dzikie harce pod satynową bluzką. Nie była pewna, czy to *Titanic* chwieje się na falach, czy też zachwiał się i zafalował nagle cały świat. O mało się nie potknęła, ale zdołała jakoś wziąć się w garść i ruszyła ku Danny'emu sztywnym krokiem.

**Jak spojrzy w oczy Swan?**

**Jak wytłumaczy jej swoje zachowanie?**

**Nieważne. Już była przy nim, już pozwoliła wziąć się w ramiona. Rękawy marynarki były szorstkie, z taniej serży...**

**Ach, nieważne, nieważne...**

**Jego ciemne oczy, takie bliskie, patrzyły na nią łagodnie; złote kędziory wiły się za uszami. Rysy twarzy były piękne: prosty nos, kształtny podbródek, klasyczny zarys brwi. Ramiona - silne i szerokie. Uniosła ku niemu usta, a wtedy on zaczął całować... ją, która nigdy nie była całowana.**

**Dziwny, cudowny... och, cudowny język.**

**I oddech - gorący, przyjemny...**

**Przymknęła oczy i wtopiła się w niego z rozkoszą.**

**- Swan -szepnął bez tchu. -Swan...**

**Teraz dopiero oprzytomniała. Zesztywniała, a ów nagły opór i wahanie natychmiast ją zdradziły. Chciała podstępnie zawładnąć sercem Danny'ego, ale okazało się to trudniejsze niż sądziła.**

**Odsunął ją na odległość ramienia, ale nie puścił.**

**- Ty mała czarownico - syknął, po czym odstąpił krok do tyłu, jakby uznał, że są zbyt blisko. A może tylko zapragnął przyjrzeć się jej dokładnie, żeby stwierdzić różnicę i raz na zawsze utrwalić ją sobie w pamięci. - Specjalnie to zrobiłaś, co? - zapytał. - Chcesz nam wszystko zepsuć!**

**Jego opalone na złocisty brąz policzki zapłonęły rumieńcem. Ciemne oczy ciskały błyskawice. Usta, jeszcze przed chwilą tak gościnnie rozchylone i gorące, były teraz zaciśnięte w wąską linię.**

**- Dojdę, co knujesz - wycodził. - Chcesz mieć Swan tylko dla siebie. Ale uważaj, drugi raz mnie nie oszukasz. Będę ją obserwował, nauczę się jej. W tobie jest coś innego, teraz to widzę... - Odepchnął ją i podniósł z podłogi skrzypce oraz smyczek. Potem zaś wycofał się, trzymając je przed sobą niczym miecz i tarczę. Wreszcie odwrócił twarz i odszedł zamaszystym, gniewnym krokiem.**

**Smoke, oszołomiona i wstrząśnięta, bezsilnie oparła się o ścianę. Przyłożyła dłonie do ust i patrzyła, jak Danny znika za rogiem**



korytarza. Czuła słabość w kolanach, drżała na całym ciele. Miała wrażenie, że serce w niej stanęło.

Zabolało, ach jak zabolalo... Jeszcze nigdy nie doznała podobnego bólu.

A przecież powinna wiedzieć. Powinna wiedzieć, że Danny będzie czekał tutaj na Swan. Ale nie. Udawała sama przed sobą, że to jej pożąda.... bo wiem ona pożądała jego. Niech no tylko mnie pocałuje, podszeptowała rozgorączkowana wyobraźnia, a pokocha mnie na zawsze, zapominając o głupiej Swan.

Nie udało się. Przejrzał ją na wylot. I nic nie mogło być bardziej bolesne, bardziej upokarzające niż ten fakt.

Chociaż...

Czy wiedział już, zanim zaczęli się całować? Czy to, co dostrzegła w jego wzroku, nie było poznaniem, które uświadomił sobie w chwili, gdy jego wargi dotykały jej warg? Czy Danny Bowen czasem nie eksperymentował, aby przekonać się, która z sióstr ma słodsze usta? Jeśli tak, to... to jeszcze gorzej!

Wciąż obracała w palcach chłodny klucz, ale nie miała siły, by ruszyć się z miejsca. W kabinie wypłacze się do Woli. Tam wszystko przemyśli i podejmie ostateczną, nieodwołalną decyzję. Ale na razie gorączkowo przyciskała klucz do ust, łudząc się, że dotyk chłodnego metalu ukoi rozgorzały gwałtownie płomień serca.

Kiedy u szczytu korytarza pojawiła się Tory VanVoorst, Smoke wciąż stała nieruchomo pod ścianą. Na widok tej urodziwej kobiety uśmiechnęła się smutno do siebie. Tory miała na sobie czarną satynę, a skóra jej posągowych ramion jak zawsze promieniała miodowozłocistym blaskiem, podobnym do blasku starych hiszpańskich monet. Na szyi jarzyła się kolia z diamentów i szmaragdów, zielonych jak jej oczy w obramowaniu lśniących hebanowych włosów. Tory była tak piękna, że wszystkie kobiety musiały wpaść w rozpacz na jej widok. W każdym razie na pewno ona, Smoke Lockholm.

Suknia Tory zaszeleściła w rytmie jej pospiesznych kroków.

- Wybacz, że nie zatrzymam się, żeby z tobą pogawędzić, Smoke -

rzuciła, przechodząc obok niej. - Nie za dobrze się czuję. Może to choroba morska, a może tylko ciąża, więc wybacz... - uśmiechnęła się blado i odeszła.

Smoke patrzyła za nią, nie zdolna wykrztusić słowa. Dzisiaj po raz pierwszy pozazdrościła Tory urody i wdzięku, elegancji i doskonale ułożonego, pozbawionego trosk życia.

Ach, tak, Victoria VanVoorst wiedziała, jak być kobietą. Jej mąż kochał ją bez reszty, zachęcał, aby sięgała po wszystko, czego tylko zapragnie — luksusową rezydencję, klejnoty, jacht. Wystarczyło jej otworzyć swoje słodkie usta, a Burty rzucał się, by spełnić życzenie ukochanej. Szczęśliwa, ach, szczęśliwa Victoria...

Tymczasem ona, Smoke, nie miała jeszcze szesnastu lat, a już całe jej życie legło w gruzach. Musiała zrezygnować z najpiękniejszych marzeń tylko dlatego, że jej wstrętna, obrzydliwa siostra odgrywała dziwkę i rozpalała chłopaka, którego miała za nic, do którego nic nie czuła, z którym pragnęła się zabawić i zaspokoić swoje pragnienia.

Tymczasem Smoke, trzeźwa Smoke, która gardziła wszelkimi miłostkami, marząc o męskiej przygodzie i sławie - właśnie ona, o ironio, zakochała się po uszy w tym chłopaku! A jakby tego było mało, Danny Bowen dał jej odczuć, jak bardzo jej nie znosi...

To tylko głupie amory, szczeniacka miłość, myślała rozpaczliwie. Wszystko przez zazdrość, siostrzaną rywalizację i nudę.

Dobrze, ale jak wytłumaczyć głupiemu sercu, żeby przestało cierpieć?

Drżącymi rękami zdołała wsadzić klucz w zamek. Po chwili zatrzasnęła za sobą eleganckie drzwi z dębowymi panelami, wpadła do łazienki i zaczęła gorączkowo grzebać w kosmetyczce.

Są!

Chwyła nożyczki i usadowiła się przed lustrem. Wreszcie im pokaże... I sobie też. Danny Bowen już nigdy nie pomyli Smoke Lockholm z jej siostrą-bliźniaczką. Wbiła w lustro spojrzenie tak zimne, jak kryształ cygańskiej wróżebnej kuli, uniosła nożyczki, rozwarła je - i zaczęła ścinać długie loki.

Swan obiecała Danny'emu Bowenowi, że przyjdzie na pokład

łodziowy, kiedy już pożegna się ze wszystkimi przed nocą. Jednak nie udało jej się przyjść tak wcześnie, jak planowała, gdyż najpierw musiała słuchać w salonie jakiejś nudnej muzyki, a potem przepisać w zeszycie te głupie zdania, które podyktowała jej pani Twigg.

Dobrze, zaczeka, jej czas jeszcze nadejdzie.

Rodzice zamówili kolację do apartamentu, więc przynajmniej nimi nie musiała się martwić. Jak to zwykle bywa, nie widzący świata poza sobą kochankowie stronili od towarzystwa. Cóż, ich sprawa. Swan zamówiła kolejną lemoniadę, posłuchała trochę orkiestry, a potem zatopiła się w marzeniach.

Danny będzie na mnie czekał na pokładzie łodziowym, myślała. Będzie czekał i czekał, będzie skręcał się z tęsknoty i niecierpliwił, powtarzała w myślach, upajając się tą świadomością.

Niech czeka. Dopóki nie będę gotowa. Niech liczy każdą sekundę. Niech tęskni i spała się z pragnienia. Przyjdę do niego, kiedy skończę wypisy dla Twiggusi. A kiedy stanę przed nim, będę miała pod płaszczem tylko koszulkę. Niech mnie dotknie w ciemności. Niech westchnie, niech się podnieci. Doprowadzę go do szaleństwa!

O rany, ale fajnie, że Smoke szaleje z zazdrości! Kochana siostrzyczka nie potrafi być taka sprytna i zaradna. Zawsze będzie miała mniej adoratorów niż ja. Biedactwo, pocierpi sobie troszeczkę. Pewnie będzie zachodziła w głowę, dlaczego tak się dzieje...

Kiedy orkiestra skończyła arię z „Cyrulika Sewilskiego”, w salonie zjawił się Danny i zajął miejsce na podium. Jego zmiennik, Jock Hume, oddalił się, żeby odpocząć, Swan zaś zapadła głęboko w sofę, żeby Danny jej nie zauważył. Tak jak się bowiem spodziewała - była pewna! - wyraźnie się za nią rozglądał.

- Twigg... - odezwała się leniwie, pociągając napój przez słomkę.

- Tak, kochanie? - ożywiła się guwernantka. Po dobrej kolacji, ukołysana słodkimi tonami muzyki, była w wyjątkowo łaskawym nastroju.

- Jakiś mężczyzna się tutaj zbliża. Pewnie poprosi cię do tańca.

Pani Twigg podążyła wzrokiem za spojrzeniem Swan. Istotnie, zbliżał się ku nim dżentelmen, którego widziała już wcześniej,

pułkownik Archibald Gracie (wiedziała, jak się nazywa, słyszała bowiem, jak przedstawiał się lady Pomeroy). Twigg domyślała się, że pułkownik jest kawalerem albo wdowcem. A może tylko podróżował samotnie? Tak czy inaczej, podejrzewała, że to, flirciarz, który z nudów czyni damom awanse.

Trzeba jednak przyznać, że jest przystojny, pomyślała. I musi znać się na kobietach, skoro tak zdecydowanie zmierza właśnie ku mnie.

Skłonił się dokładnie w momencie, kiedy orkiestra zagrała pierwsze takty walca.

- Czy mogę panią prosić do tańca? - zapytał. Pani Twigg zatrzepotała rzęsami, zastanawiając się, czy wypada się zgodzić.

- Och, proszę, zatańcz, Twigguniu - przymilnie zachęcała ją Swan.  
- Ja już pójdę. Muszę jeszcze napisać te sto linijek, o które prosiłaś, a poza tym chcę zobaczyć, co robi Smoke.

- Dobrze, przyjdę do was zaraz po tym tańcu - obiecała pani Twigg i z powściągliwym uśmiechem podjęła wyciągniętą dłoń pułkownika. To zasługa dekoltu, pomyślała z satysfakcją. Zawsze się na to złapia.

I tak pani Twigg zniknęła wśród tłumu na parkiecie, a Swan została sama. Szybko straciła z oczu Danny'ego. Zasłoniły go coraz liczniejsze tańczące pary: kapitan Smith i przytulona do niego Dove Peerce, Nicole lady Pomeroy w ramionach jakiegoś dżentelmena z Południa, Burty VanVoorst, mąż Tory, z Madeleine, nową panią Astor. Natomiast pan Astor siedział z nogą założoną na nogę, drapał za uszami swojego pieska i z łagodnym uśmiechem obserwował wdzięczne ruchy swojej małżonki.

Teraz dopiero Swan zwróciła uwagę, jak piękna jest sala, w której rozpoczęto tańce. Złotozielone obicia, wysoki sufit kosztowne żyrandole, ściany z rzeźbionej, dębowej boazerii - wszystko to stanowiło wspaniałe tło dla eleganckich pasażerów. Sami bogacze, pomyślała. Na takie zabawy stać jedynie elitę. A jednak ona wolałaby tańczyć z Dannym, tylko z nim. Po kilku obrotach opadłaby na sofę, a on, klęcząc, rozbierałby ją, składając hołd jej piękności.

Ach, romans, nie ma nic piękniejszego niż romans, wzdychała

chwilę później, przemykając do kabiny B-41. Wspaniale było mieć szesnaście lat i romansować na środku oceanu. Zupełnie zresztą nie czuła, że jest na statku. *Titanic* zdawał się jej raczej solidnym budynkiem, jakimś nowojorskim hotelem, ustawionym przy Piątej Alei. Mogła sobie szczerze pogratulować - wiodła wspaniałe życie! Szkoda tylko, że ta biedna Smoke nic a nic nie zna się na miłości. Ale to przecież jeszcze dziecko...

Śmiejąc się w duchu, obróciła gałkę i weszła do ich wspólnej kajuty. Nad łóżkiem Smoke paliła się lampka. Ciepły blask lśnił na miodowych lokach, obciętych tak krótko, że nie sięgały nawet ramion.

Nie, to niemożliwe.

Niemożliwe, by Smoke tak po prostu siedziała sobie na łóżku, wypisując bez końca: „Nie dla mnie dolne pokłady”, czy coś równie idiotycznego, jak gdyby nic się nie zdarzyło. To musi być jakaś gra.

- O rany, Smokey, zejdź z wyra i pokaż się szybko! Coś ty zrobiła?

- Obcięłam włosy.

- Boże...

- Nie chcę więcej wyglądać tak jak ty - odparła spokojnie Smoke. - Nie chcę, żeby ten twój głupawy prostak ciągle nas ze sobą mylił. Godzinę temu zaczął mnie całować na korytarzu. Myślał chyba, że jestem tobą. Ledwo zdołałam go powstrzymać. Tak przecież nie może dalej być, nie uważasz? Zresztą... to było okropne. Czy wiesz, że on mi włożył język do ust?

- O rany... - powtórzyła cicho Swan i ściągnęła bliźniaczkę z łóżka. Obróciła nią i przyjrzała się jej z każdej strony. - Są strasznie krótkie!

- Mhm. I całkiem mi się to podoba - stwierdziła Smoke z niezmaconym spokojem. - Znudziło mi się to ciągłe dbanie o włosy. Teraz każda z nas będzie inna i już nikt nas nie pomyli. Co ty na to?

Swan ze śmiechem pchnęła ją na łóżko.

- Fajnie! - ucieszyła się. - Tak w ogóle to wyglądasz teraz całkiem nieźle. Szykownie, szczupłej i jakoś tak... dostojnie.

- No tak, ale ty nie możesz zrobić tego samego. - Smoke surowo pogroziła jej palcem. - Nie osiągnęłybyśmy tego, czego chcemy.

- Jasne, że nie. Przynajmniej dopóki jesteśmy na tym statku. Ale wiesz co? Ja też chętnie bym się obcięła. Wyglądasz naprawdę elegancko. Nowocześnie, a nie słodko i naiwnie.

Smoke zerknęła do lustra w złotej ramie.

- Dokładnie tak - powiedziała z satysfakcją. - Teraz ty jesteś ładniejsza, a ja bardziej wyrafinowana. Tylko że Twiggusia dostanie szau. Założę się.

- A jak się czujesz z tą fryzurą?

- Lekko, jak gdyby głowa nic nie ważyła. I swobodnie. Z takimi włosami mogłabym żeglować bez obawy, że będą wchodzić mi do oczu i plątać się bez sensu.

- Tak. Jest tylko jeden szkopuł. - Jaki?

- Teraz dopiero zaczniesz podpierać ściany - zauważyła trzeźwo Swan, obchodząc siostrę wokoło. Można by cię wziąć za ładnego chłopca. Zresztą zawsze chciałaś być chłopakiem, nie? Ciekawe, co powie mama?

- Pewnie nawet nie zauważy, jak zwykle - odparła kwaśno Smoke, wskakując na łóżko.

Swan zdjęła spódnicę i szybko dołączyła do siostry.

- Napisałaś już te bzdury? Ile masz linijek?

- Siedemdziesiąt dwie.

- Napiszesz dla mnie? Mam randkę z Dannym na pokładzie łodziowym. - Swan była już bez bluzki i właśnie ściągała pończochy.

- Napiszę, Swan. Za darmo. Bo całowałam się z twoim chłopakiem. Jako zadośćuczynienie.

- Wybaczam ci, siostrzyco. Wiesz, że Danny to moja pierwsza miłość, największa i najgorętsza? Gdybym wiedziała, że tak będzie, oczywiście oddałabym ci go, ale nie zdążyłam.

Ostatnie słowa Swan wykrzyczała już z wanny. Nie widziała, że Smoke drży, i nie zwróciła uwagi, że siostra jej nie odpowiedziała. Smoke zaś zacisnęła usta i napisała zajadle po raz siedemdziesiąty trzeci: „Nie dla mnie dolne pokłady”.

Kiedy pani Twigg zajrzała do nich później, by skontrolować podopieczne przed snem, w kabinie było już ciemno. Swan, w samej

tylko koszulce do kolan, udawała, że śpi, zaś Smoke, która przed chwilą skończyła pisać ostatnie zdanie, nasuwała właśnie kołdrę na głowę. Myślała o swoich ściętych włosach, złamanym sercu i po raz kolejny dochodziła do wniosku, że świat został urządzony tak, by ona cierpiała, a Swan czerpała z niego same rozkosze. Za chwilę Twiggusia powie im dobranoc i zamknie za sobą drzwi. A wtedy Swan wymknie się z kajuty i ucieknie w ramiona Danny'ego Bowena.

- Śpicie już, dziewczęta? - Pani Twigg stanęła w półmroku korytarza, a nie otrzymawszy odpowiedzi, weszła do środka i zapaliła światło. - No dobrze, mnie nie oszukacie. Wychodźcie z łóżek, obie - nakazała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Zaraz się przekonamy, co knujecie!

- Ja już spałam - mruknęła z pretensją Swan. - A zadanie jest przepisane. Leży na komodzie. Guwernantka zwróciła się ku Smoke.

- Ty też wstań, moja młoda damo. Co to za szmata na głowie? Smoke usiadła sztywno na łóżku.

- Dobrze, Twigg, sama chciałaś - ściągnęła z głowy chustę, zawiązaną tak, by nie było widać jej nowej fryzury, i dodała spokojnie: - Tylko proszę cię, nie krzycz, bo bardzo tego nie lubię.

Pani Twigg najpierw znieruchomiła, potem gwałtownie zamknęła otwarte z wrażenia usta, wreszcie obróciła się na pięcie i bez słowa wybiegła z kabiny na korytarz.

- Cholera, chyba powie matce - zagadnęła Swan.

- Ojcu pewnie też - dodała Smoke.

- Że też właśnie teraz... Danny na mnie czeka!

- To sobie poczeka.

- Masz rację. Pozwolę mu za to całować się i całować. Bez końca.

- Znudzi ci się wreszcie.

- Nie ma mowy. Kiedy się całujesz, robi ci się strasznie przyjemnie, tam w środku. Odprężasz się. Mężczyźni są zachwyceni, kiedy ci się to podoba, no, wiesz... Zmieniają się w dzikie ogiery!

- Wszystko mi jedno, co mężczyznom się podoba i czego chcą. Obchodzi mnie, co ja chcę - a chcę mieć własne życie.

- I za to cię podziwiam, kochana Smoke. Ale jesteś jeszcze

strasznie dziecinna.

Wiem, pomyślała Smoke.

- Dziwne, bo ja tak samo myślę o tobie - dodała głośno.

Zachichotały, jak to tylko potrafią siostrzyczki, a potem Swan znów wskoczyła do łóżka Smoke.

- W każdym razie jestem z tobą, Smokey. Razem stawimy im czoła - oświadczyła buńczucznie i ścisnęła siostrę za rękę.

Po chwili do kajuty weszła Audrey. Była w nocnym szlafrocisku, jej zarumienione policzki otaczała złocista masa skłębionych od snu loków. Twarz miała piękną, tak piękną, jak być może staną się twarze jej córek, gdy dorosną. Ta twarz była świeża, młoda, o wspaniałej cerze, którą Audrey zawdzięczała morskemu klimatowi Newport. Smukła, drobna, w powiewnym peniuarze, o wielkich oczach w głębokim, szafirowym odcieniu wieczornego nieba, wyglądała niemal tak młodo i tak ślicznie, jak one, a może nawet od nich ładniej.

Ojciec, który przybył do kajuty córek wraz z nią, również wyglądał zachwycająco. Silna sylwetka, -mocny za-rost, nagi tors, wyzierający z wycięcia jedwabnego kimona, szare oczy, podobne sztormowym wodom oceanu i podobnie jak one wściekłe i rozgniewane. Opiekuńczo obejmował Audrey ramieniem, jak gdyby chciał chronić ją przed córkami.

Bliźniaczki westchnęły cicho i mocniej splotły palce pod kołdrą.

- Och, Smoke... - zaczęła Audrey, podchodząc do łóżka. Przysiadła na nim nieśmiało, zastanawiając się zapewne, jak powinna zareagować. - Och, kochanie, czy naprawdę czujesz się aż tak nieszczęśliwa? - Wyciągnęła ramiona ku Smoke, przygarnęła ją do siebie i pogładziła po zmierzwionej czuprynie.

- Musiałam to zrobić, mamó.

Audrey pocałowała ją w czoło, a potem ujęła twarz córki w obie dłonie.

- Dlaczego, aniołku?

- Bo już najwyższy czas, żebym wyglądała wyłącznie jak ja sama. Za chwilę obie będziemy miały szesnaście lat, mamó. Musimy zacząć



się różnić.

Swan przytaknęła z przejęciem, podsuwając się ku Audrey, aby matka i ją przytuliła do piersi.

- Myślę, że tak jest jej nawet bardziej do twarzy - powiedziała. - Popatrz tylko. Smoke naprawdę ładnie wygląda, nie sądzisz?

Bay stał nieruchomo z rękami w kieszeniach kimona i ze zniecierpliwieniem obserwował tę scenę.

- W ogóle nie rozumiem, po co cały ten szum - zawyrokował wreszcie, wzruszając ramionami. - Młode kobiety często eksperymentują z wyglądem. Celeste na przykład stale zmienia uczesanie i nikt się tym nie przejmuje.

Celeste była o dziesięć, lat młodszą siostrą Bayarda Lockholma. Mieszkała w Paryżu z trzecim mężem, Emilem Hurdetem, pisarzem, któremu nie udało się dotąd wydać żadnej książki. Utrzymywali się z majątku Celeste, trwoniąc go na życie w „artystowskim” stylu, skandali-zujące, lecz dostanie. Chodziły słuchy, że Celeste bierze sobie od czasu do czasu kochanków, aby urozmaicić nudny żywot.

Jej mąż był sporo od niej młodszy. „Ogier – mówiono o nim - z wielką pałą. To tylko widzi w nim Celeste, nic innego!” Niektórzy komentowali także z przekąsem, że zarówno Celeste, jak i Bayard Lockholm, skażeni byli „niezdrowym pociąganiem do pospolitości”. W końcu Bay ożenił się z córką stolarza, a Celeste miała za sobą trzy nieudane małżeństwa, z których każde mogłoby zostać nazwane mezaliansem. Jej kolejni mężowie byli przystojni, a jednocześnie pozbawieni jakiegokolwiek majątku czy pozycji.

Jaka jest prawda, nikt jednak nie wiedział do końca. Celeste już dawno zerwała stosunki z bratem i nie widziała się z Bayem co najmniej od piętnastu lat. W towarzystwie rzadko ją wspomniano.

- Może masz rację, Bay - odezwała się Audrey. - Nie ma co robić dramatu z powodu krótkich włosów - dodała i spojrzała niepewnie na panią Twigg.

Guwernantka milczała wyniośle. Miała swoje własne wyobrażenie na temat wyglądu i wychowania młodych dam, a szczególnie drażliwym tematem była dla niej zbytnia pobłażliwość niektórych

rodziców. Uważała, że przez takich ludzi kraj może popaść w ruinę, trudno więc było się spodziewać, żeby przyznała rację Audrey Lockholm. Panu Loekholmowi byłaby jeszcze skłonna wybaczyć - czegoż można w końcu oczekiwać od mężczyzn? Ale madame Lockholm, niestety, nie była w stanie wznieść się ponad niestosowną namiętność do własnego męża.

I tak szanowni małżonkowie zakończyli rodzicielską wizytę w kajucie córek i wyszli, uśmiechając się do siebie w ten swój irytujący sposób, jak gdyby chcieli dać do zrozumienia, że nie rozumieją, dlaczego przeszkadzano im w łóżku, lecz jako ludzie dobrze wychowani nie będą o to pytać. Wrócili do siebie, tak jak czynili to zawsze, a bliźniaczki po raz kolejny pozostawili same sobie. No i jej, ich guwernantce.

Niech Bóg mnie uchowa przed biedą, ale i przed bogactwem, pomyślała trzeźwo pani Twigg. Bogacze szybko ślepną i przestają mieć pojęcie, co się wokół nich dzieje. Ten wspaniały statek mógłby zatonać, a oni staliby z rękami w kieszeniach, kiwając głowami i uśmiechając się z pobłażliwą wyższością na widok spanikowanych pasażerów. Doprawdy, nic w tym dobrego.

Sprawdziła w milczeniu zeszyty dziewcząt i na widok równo przepisanych zdań z zadowoleniem pokiwała głową.

- Dobranoc, panienki - powiedziała, dbając, by nie wykazać najmniejszego zainteresowania nowym wyglądem Smoke. Oczywiście, że odtąd Smoke będzie musiała sama dbać o swoją fryzurę. Ona, Twigg, nie przyłoży do tego ręki! - Mam nadzieję, że nic już nie będzie zakłócało wam snu - zakończyła z dwuznaczną grzecznością.

- Tak, Twiggusiu! - odparły chórem, ciągle siedząc razem na jednym łóżku. - Miłych snów, Twiggusiu!

Pani Twigg zamknęła drzwi od kabiny bliźniaczek i z ciężkim westchnieniem skierowała się do swojej, położonej po drugiej stronie korytarza. Pod numerem B-35, na samym progu, leżała samotna, okazała róża na długiej łodydze.

Och!

Twigg schyliła się po nią, odetchnęła delikatną wonią różanych płatków, odnalazła biały bilecik przyczepiony do różowej bibułki.

*Dziękuję za cudownego walca.*

Pod krótkim zdaniem widniały dwa podpisy. Pierwszy - „pułkownik Gracie” - został przekreślony i zastąpiony drugim, brzmiącym bardziej prowokująco i bardziej obiecująco: „Archie”.

Pani Twigg przytrzymała się framugi i dopiero wówczas zdecydowała się podnieść. Zdumienie i zachwyt stały na moment surowy wyraz z jej twarzy.

Pułkownik Gracie! Jakież był uroczy, niezwykle uroczy! Musi włożyć na jutrzejsze śniadanie ten żółty kostium. W żółtym wyglądała najmłodziej. Archie oniemieje na jej widok.

Była tak rozkojarzona i rozmarzona, że straciła na moment wrodzoną czujność przyzwoitki i nie usłyszała, kiedy drzwi B-41 otworzyły się chyłkiem, by wypuścić odzianą jedynie w krótką koszulkę i wełniany płaszcz Swan.

Danny spacerował niespokojnie po pokładzie łodziowym. Był napięty, zdenerwowany, dręczyło go narastające poczucie winy. Co będzie, jeśli Swan zerwie z nim po aferze z podstępną bliźniaczką? Co będzie, jeśli Smoke skłamała i powiedziała siostrze, że on, Danny, tylko udawał, że nie wie, kogo całuje? Czy Swan nie pomyśli, że jest zwyczajnym lowelasek, łasym na każdą spódniczkę, która znajdzie się w jego zasięgu?

O, Boże...

Chodził wielkimi krokami, obojętny na uroki oceanicznej nocy skrzęcej się tysiącem odbitych w wodzie gwiazd. Wysoko nad jego głową obserwator trwał na wachcie na bocianim gnieździe. Za nim, na mostku kapitańskim, dwóch oficerów prowadziło statek. Ale Danny zdawał się niczego nie dostrzegać. Liczyło się dla niego tylko spotkanie z dziewczyną, która miała przybyć między dziewiątą a dziesiątą, a która jak dotąd nie pojawiła się, choć dawno minęła już północ.

Bez niej się stąd nie ruszy. Będzie tu czekał, nie zmrużywszy oka, aż do świtu. Będzie czekał, bo ją kocha.

Swan była taka słodka, taka śliczna, tak chętna i tak uległa pod dotykiem jego dłoni. Czekanie na nią okazało się najwspanialszą udręką, jakiej kiedykolwiek doświadczył. Była tą jedyną, ukochaną, którą spotyka się tylko raz - a on wiedział, że był tym samym dla niej.

Najlepszy dowód, że w najmniejszym stopniu nie dała mu odczuć swojego bogactwa i arystokratycznego pochodzenia. I tak pięknie wzdychała, gdy grał dla niej na skrzypcach, tam, w swojej maleńkiej kajucie. Śliczna, cudna, jak cukiereczek; nic dziwnego, że wpadł po uszy.

Żeby tylko przyszła. I żeby nie była zagniewana.

Wytłumaczy jej, jak to było z siostrą...

Nareszcie! Jest!

Złote loki, połyskujące w przyćmionym blasku świateł *Titanica*. Szybki, drobny krok.

Odwrócił się gwałtownie, żeby porwać ją w ramiona, ale zawahał się w ostatniej chwili. Nie, spokojnie, musi poczekać. Musi się upewnić, czy to na pewno ona.

- Swan? - wyszeptał w mrok.

- Danny!

Szła spieszenie ku niemu, rozpinając po drodze okrycie. Pod nim miała tylko cieniutka, krótką koszulkę, pod którą falowały jej kształtne piersi. Ich koniuszki sterczały, napierały na śliski materiał, przeżyły się - do niego!

O, dobry Boże, miej mnie w swej opiece, pomyślał Danny, oszalały ze szczęścia. Jego dziewczyna nie była gorąca. To zbyt słabe słowo. Ona była rozpalona! Do czerwoności!

Już dzielił z nią płaszcz, przyłgnąwszy biodrami do jej bioder. Już napierała nań wężowym ruchem, kusząco rozchylając usta. Zagarnął chciwymi dłońmi jej zgrabne, dziewczęce pośladki i uniósł ją zgrabnie ku sobie. Była leciutka, pachniała kwiatami. Była złocista i ognista. Oplotła go ramionami, twarde sutki załaskotały go w pierś. Gdyby uniósł ją odrobinę wyżej...

Zachłysnął się tym bogactwem, tą obfitością cudów, które tak ochoczo mu podsuwała, i pociągnął Swan w cień, w stronę rufy, ku

szybowi maszynowni, gdzie na żurawikach zwisały szalupy ratunkowe. Próbował powiedzieć jej o siostrze, ale nie pozwoliła mu na to, nie chciała słuchać. Po prostu rozpięła koszulkę, oddając jego rękom jędrne, nagie ciało o jaśniejącej w mroku gładkiej skórze; oddała mu krągłe, słodkie jak brzoskwinie piersi, białe uda, płaski brzuch, jakby wyrzeźbiony z kości słoniowej, a jemu uderzyła do głowy krew. Owładnęła nim szaleńcza pasja pożądania i posiadania.

Swan wiedziała, że powinna powiedzieć „nie”, że to być może ostatnia chwila. A jednak nie zrobiła tego. Zamiast odmówić Danny'emu siebie, rozłożyła się na jakimś występie, otwierając dla niego swe wnętrze, gorąca i spragniona.

Gdy tu szła, miała zamiar go ostrzec, żeby nigdy więcej nie całował Smoke ani żadnej innej; żeby na zawsze należał do niej i tylko do niej. Chciała mu wyznać, jak się jej podoba; chciała powiedzieć o wielu rzeczach, wielu myślach. Lecz gdy poczuła jego bliskość, gdy wyobraziła sobie, jak bardzo musi być spragniony, napięty, niecierpliwy w swym oczekiwaniu, jej myśli zawirowały i odpłynęły, a ich miejsce zajął czysty, zwierzęcy głód - głód dotyku, głód pieścizot, głód rozkoszy.

Pozwoliła więc, by Danny ją pieścił. Sama go ponaglała. Sama podsuwała mu do ust nabrzmiące piersi i twarde sutki, sama pokazywała, jak powinien ją dotykać. Jej wargi błędziły i znajdowały, jej dłonie pieściły i prowokowały, aż wreszcie z drzeniem, palona nieznośnym żarem, podsunęła mu to, co najtajniejsze i najcenniejsze. To, co najśłodsze...

Och, nie...

Musi go powstrzymać, zanim ją zdobędzie.

Musi!

Wiedziała, że tego nie robi. Że nie jest w stanie.

Że nie chce.

Tymczasem Danny patrzył na nią nieprzytomnie, jakby nie wiedział, jak daleko może się posunąć. Klęczał przed nią, dyszał ciężko i szeptał urywanym głosem:

- Swan, Boże... Kochasz mnie, Swan? Wyjdiesz za mnie? Swan...

- Tak - powiedziała - och, tak, tak, tak! - jęknęła i uniosła ku niemu biodra.

Ale Danny nie opadł na nią i nie nakrył jej sobą. Nie nasycił jej głodu i nie wypełnił pustki. Odsunął się tylko i otulił ją troskliwie płaszczem, a potem powiedział drżącym głosem:

- Nie mogę... Nie mogę tego zrobić. Muszę najpierw porozmawiać z twoim ojcem. Pewnie mi odmówi.

Oczywiście, że odmówi. Swan była tego pewna. I to nawet nie z powodu niskiej pozycji Danny'ego Bowena, ale dlatego że miała dopiero szesnaście lat i w przekonaniu ojca nic nie wiedziała o mężczyznach. Nie nadszedł jeszcze czas jej „debiutu”, a ponadto tego chłopaka znała dopiero jeden dzień.

A jednak kochała go i była tego całkowicie pewna. Przede wszystkim zaś kochała to cudowne uczucie, jakie potrafił w niej wzbudzić. Jedyнным sposobem zmuszenia ojca do podjęcia odpowiedniej decyzji było więc to, co zrobiła kiedyś jej ciotka Celeste...

Usiadła, otulając się płaszczem i skromnie krzyżując nogi. Uniosła wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu i spytała:

- Kochasz mnie?

Wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź. Danny oparł się na łokciu tuż obok niej, ucałował końce jej włosów, płatki uszu i powieki, po czym wyznał z najwyższą powagą:

- Kocham cię bardziej niż własne życie, Swan. Bardziej niż moje skrzypce i moją matkę. Bardziej niż wszystko.

- Jeśli mnie kochasz, to musisz mnie posiąść. Tu i teraz. Pod tym niebem, w księżycowym blasku. I musisz mi mówić, jaka jestem piękna. I musisz mówić, jak bardzo mnie kochasz i jak bardzo jesteś szczęśliwy...

Danny był oszołomiony, całkowicie owładnięty jej czarem. Nawet nie wiedziałby, jak odmówić. Czując męskość wzbierającą w nim jak niewidzialny przypływ, rozchylił płaszcz Swan i żarliwie przyłgął do jej wiotkiego ciała. W jednej sekundzie wszystko przestało istnieć. Byli tylko oni - i noc, która otulała ich dyskretnie czarnym

szalem.

Był też niejaki Frederick Fleet, marynarz z bocianiego gniazda, który dostrzegł parę młodych kochanków z wysokości dobrych kilku pięter. Prześlizgnął się po nich wzrokiem i szybko powrócił do obserwacji oceanu - bo takie było jego zadanie.

RS

## Rozdział 8

---

Czwartek, 11 kwietnia

**T**ory VanVoorst miała za sobą samotną, bezsenną noc. Burty hazardował się w palarni. „Tylko dwie rundki pokera z tym facetem i kilka cygar” - zapowiedział, jednak rundek musiało być więcej, skoro do rana nie dotarł do kajuty.

Siedziała więc samotnie w ciemności, kurczowo ściskając fiolkę z tabletkami cyjanku, i usiłowała uporać się z dawnym koszmarem, który tak nagle powrócił. Stało się to, co nieuchronnie stać się musiało, czego podświadomie oczekiwała od lat, co próbowała na próżno wyrzucić z pamięci. Tak, nadszedł w końcu ów dzień próby.

Po obiedzie, w środę po południu, Teddy Royce podszedł do niej dyskretnie, przytrzymał ją za łokieć i odciągnął na bok, ku sofie.

- Z niejakim skrępowaniem muszę ci wyznać, że mocno brakuje mi forsy - oświadczył beczelnie. - Czy zechciałabyś mi pomóc, tak po starej znajomości, i namówić szanownego małżonka na niewielką pożyczkę?

Tory nie odpowiedziała. Diabeł występuje w wielu wcieleniach, myślała, zbierając się na odwagę, by spojrzeć swojemu prześladowcy prosto w twarz. Teddy tymczasem rozsiadł się przed nią na kanapie, niedbale wsparł ramieniem o poduszkę i błysnął w uśmiechu nieskazitelną bielą zębów. Musiała przyznać, że ten łajdak miał wdzięk. Iście diabelski wdzięk, to prawda, ale zarazem wdzięk nieodparty. W jego Oczach amanta i czarusia trudno było odnaleźć perfidię i bezwzględność - podstawowe cechy tego oszusta, królującego na pływających po Missisipi statkach-kasynach.

- No więc... - zagadnął, znacząco pobrzękując drobniakami w kieszeni - jak będzie, Almo June Brown?

W Tory aż się zagotowało na te słowa. Ty rzeczny szcurze, pomyślała ze wzgardą. Wyzywającym gestem odrzuciła głowę do tyłu, aż czarne kędziory zatańczyły buntowniczo wokół jej twarzy, a



potem dumnie uniosła podbródek i zmierzyła Royce'a zimnym spojrzeniem zielonych oczu.

- Tak ma wyglądać spotkanie po latach, Rolls? Szantaż po starej znajomości?

- Ho, ho... - mruknął, przyglądając fale ciemnych, lśniących włosów. - Widzę, że arystokratyczne życie nie stępiło ci pazurków. Nadal jesteś wściekłą kocicą, gotową każdemu wydrapać oczy. Ale nie irytuj się, kotku. Jeśli chcesz wiedzieć, nie zamierzam cię szantażować. Miałem na myśli zwykłą pożyczkę. Mam akurat dobrą passę, a gra się rozkręca. Jeśli wygram, zwrócę wszystko co do grosza. W grze trzeba obstawiać, takie są zasady...

- Uważaj, żebyś nie zastawił swojego życia, Rolls! Pamiętaj, że potrafię być niebezpieczna.

Rysy przystojnej twarzy stwardniały momentalnie, a ciemnobrązowe oczy zaśniły złowrogo.

- Ja też potrafię być niebezpieczny, kochana - wycedził, pochylając się nad nią z groźną miną.

- Jeśli mnie wydasz, zabiję cię!

- Po co? Lepiej zapłać za swój spokój, Almo June - odrzekł, nie podnosząc głosu. - Zapłać, albo sprzedam go komu innemu, drożej.

Nagle, ku ogromnej uldze Tory, u jej boku pojawił się Burty, zajęty upychaniem banknotów w portfelu ze strusiej skóry. Gdy skończył, starannie schował go do kieszeni wieczorowego garnituru i podał jej ramię z uśmiechem. Z Burty u boku, trzymającym jej stronę, nie musiała się niczego bać, a już z pewnością nie Teddy'ego Royce'a.

Czy jednak Burty obroni ją, jeśli się dowie, że od samego początku go okłamywała? Jeśli wyjdzie na jaw, że była... że właściwie jest...

Och, kochany Burty, taki dobry...

Fizycznie na pewno nie mógł się równać z przystojnym Royce'em, ale był od niego o wiele wartościowszym człowiekiem. Miał nieciekawą, pospolitą twarz o pyzatyh policzkach, rzadkich brwiach i krótkim, zadartym nosie. Ciężkie powieki przykrywały szeroko rozstawione oczy, których barwa stanowiła przedziwną mieszankę brązu, zieleni, złota i szarości, w której jeden z kolorów dominował

w zależności od nastroju. Kiedy na przykład kochał się z Tory, iskrzyły się złościście.

Lecz twardy wzrok Burty'ego VanVoorsta potrafił też przygniatać, przewiercać na wylot. Bystre oczy spoglądały na świat bez cienia lęku, przenikliwie, taksująco. Łagodniały zaś na widok tego, co kochał. Niekiedy otwierały się szeroko, na pozór niewinne, chłodno szacując ryzyko i szykując się do ataku na śmiałka, który miał odwagę sprzeciwić się jego woli.

Tak, Burton VanVoorst miał hipnotyzujące spojrzenie i w żadnym razie nie można go było nazwać naiwnym czy głupim. Wdarł się na szczyt społecznej drabiny zębami i pazurami i okopał się tam na dobre. Miał tylko jedną, powszechnie znaną i wyśmiewaną wadę: słabość do własnej żony.

Kiedy jednak stał u jej boku, twarzą w twarz z Teddym Royce'em, Tory czuła emanującą z męża siłę.

- Czy grywa pan w karty, panie VanVoorst? - zapytał Teddy, jakby rzucał wyzwanie.

- Widział pan mężczyznę, który by nie grał? Bo ja nie - odparł niewinnie Burty. I tylko Tory rozpoznała pod tą mylącą maską niefrasobliwości obudzoną nagle czujność. - Pan, jak rozumiem, zna moją Tory z czasów młodości? - ciągnął. - W takim razie musiał pan bywać w Nowym Orleanie. Podobno tam ostro się gra.

- Tak jest, szanowny panie - przytaknął Royce, znacząco pobrząkując monetami w kieszeni.

- W palarni grają w pokera. Co pan na to, panie Royce?

- Nazywają go Rolls - poinformowała skwapliwie Tory. - Zawsze miał szczęście w grze w kości.

- Ach, tak - ożywił się Burty, w którym odezwała się żyłka hazardzisty. - Nie pogńiewasz; się, Tor, jeśli i ja spróbuję szczęścia?

Przytuliła się do niego mocniej. Bystry Burty od razu zorientował się, że coś jest nie w porządku, lecz zachował to dla siebie. Potrafił grać nie tylko przy stoliku. Przykrył dłoń Tory swoją i z gładkim uśmiechem bywalca salonów zwrócił się do Royce'a:

- Może więc jutro wieczorem? - zapytał, po czym wykonał gest,

jakby zamierzał odprowadzić małżonkę.

- Och, nie, załatw to dzisiaj, kochanie - szepnęła Tory, popychając go lekko w stronę Rollsa.

Miałyby stchórzyć przed tym szubrawcem, pozwolić, by cieszył się jej strachem i niepokojem? Nigdy w życiu! Już lepiej zagrać *va banque*. Jeśli Rolls ją zdradzi, ona potrafi się zemścić. Jeśli prawda ma wyjść na jaw, niech stanie się to zaraz, teraz, na oceanie, gdzie nie działają pirackie prawa. Nim przyjdzie na świat jej dziecko...

- Rolls prosił mnie właśnie o drobną pożyczkę po starej znajomości - zagadnęła lekkim tonem. - Odmówiłam, ale może ty okażesz się hojniejszy, drogi mężu?

- Możemy też zagrać o jakąś stawkę - podsunął wcale nie zmieszany Teddy. - Gwarantuję, że rozgrywka będzie godna takiego gracza, jak pan - zapewnił, szczerząc się w drapieżnym, wilczym uśmiechu.

Burty, który niejednokrotnie mierzył się z różnymi zagrożeniami i tysiące razy podejmował wyzwania, skłonił się przed Rollsem i odwzajemnił uśmiech.

- Czemu nie? Czy możemy się spotkać w palarni, powiedzmy za kwadrans?

- Oczywiście.

Rolls oddalił się powoli i ku zaskoczeniu Tory najspokojniej w świecie poprosił do tańca Nicole. Rude włosy lady Pomeroy silnie kontrastowały z jego białą marynarką. Tory nie chciała na to patrzeć, wycofała się więc szybko do swoich apartamentów, tłumacząc niechęć do towarzystwa nagłą niedyspozycją.

Wróciła do kabiny, usiadła w ciemności i czekała na Burtona. Wyobrażała sobie, że lada moment wpadnie do środka, porwie ją w ramiona i zawoła: „Och, do licha, wszystko mi jedno, Tory, jaka cholerna krew płynie w twoich żyłach! Kochałem cię, kocham i będę kochał! Nic tego nie zmieni!”

Boże, gdyby tak właśnie mogło się stać...

Godziny mijały, z prywatnego pokładu dolatywał zimny powiew nocnej bryzy, przez okno wpadało do wnętrza srebrzyste światło

księżycy. W kieszeni Tory niepokojąco grzechotała fiolka z tabletkami; dziecko w brzuchu wierciło się i kopało. Może też się boi, biedactwo...

A Burty wciąż nie przychodził.

Nie pojawił się przez całą noc.

Zaczęło świtać, nadszedł poranek. Wstało słońce i nie wiadomo kiedy stanęło w zenicie. *Titanic* wpłynął do kanału St. George i zawinął do portu w Cobh Harbour, by zabrać na pokład pilota, który miał bezpiecznie przeprowadzić kolosa do Rode's Point w Queenstown.

Około dziewiątej Tory wykonała codzienną porcję ćwiczeń, nie forsując się zanadto ze względu na ciężę. Robiła skłony, skręty i wymachy, a złocista skóra, nasmarowana kakaowym masłem, lśniła gładko na jej ciele. Postanowiła popływać, a potem wziąć masaż i relaksujący prysznic. Później miała się ubrać w sukienkę z jasnego jedwabiu, z guzikami w kształcie różyczek, i pójść do jadalni na lunch, jak gdyby nic się nie stało... Jak gdyby jej mąż nie dowiedział się dzisiejszej nocy, że ma żonę Murzynkę... Jak gdyby nie zostawił jej nagle i bez słowa... Jak gdyby...

Gałka w drzwiach obróciła się nagle i w progu stanął Burty. Był mokry po kąpieli w basenie i nieco wstawiony. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Zdawało się, że nagle postarzał się o lata; wyparowała gdzieś wrażliwość i łagodność, którą zawsze potrafił dla niej znaleźć. Jego twarz, zazwyczaj wypielegnowaną, pachnącą i różową, wykrzywił grymas przejmującego bólu, grymas wściekłości. Szpecił ją niechlujny zarost, wory pod oczami i zaczerwienione, opuchnięte oczy, które straciły swój blask i patrzyły teraz posepnie spod półprzymkniętych powiek.

Tory wpatrywała się w niego w napięciu, udęczona brakiem snu i rozdzierana rozpaczą. W jej oczach był strach, zwierzęcy lęk, który tak bardzo nie pasował do jej wyniosłej urody. To spojrzenie krzyczało niemo: przebacz mi, oszczędź mnie, Kochaj, na miłość boską, Kochaj ... Bez względu na to, co zrobiłam, czym byłam albo jestem; bez względu na moje wady, kłamstwa, grzechy - po prostu

kochaj mnie, bo potrzebuję twojej miłości, bo nie potrafię się bez ciebie obejść, najdroższy...

Burty bezbłędnie odczytał to wszystko z twarzy żony. Cisnął strusiowy portfel na nie posłane małżeńskie łóżce i warknął gniewnie:

- Wybuliłem na ciebie pięćdziesiąt tysięcy dolców, księżniczko. Kupa forsy, co? I popatrz no, odegrałem wszystko co do centa. Zajęło mi to całą, parszywą noc, ale wyszedłem na zero....

Tory spojrzała na leżący obok niej pękaty portfel. Wyjęła z niego plik banknotów i rozrzuciła je po czerwonej kołdrze. Potem uniosła powoli głowę i spojrzała na męża, by zadać pytanie, które musiało paść prędzej czy później:

- Co powiedział ci... o mnie?

Ukochany Burtykins nie odpowiedział. Kopnął ją bosą nogą w brzuch, trafiając celnie tam, gdzie poruszyło się dziecko, równie przerażone, jak ona.

- Ty czarna cipo! - wybełkotał, krzywiąc się z obrzydzeniem i nienawiścią. - Może zaśpiewać ci gospel, co? - Znów zamierzył się, by ją kopnąć, lecz tym razem Tory zdążyła zakryć brzuch i upadła twarzą na łóżko.

- Burty...!

- Ty się wynosisz czy ja?

Tory załkała w poduszkę, on zaś mówił dalej, teraz spokojniej, obojętnym tonem zwyczajnej konwersacji, co było jeszcze bardziej okrutne:

- Sam nie wiem, dlaczego ja cię tak nienawidzę. Czarne dupy są przecież niezłe, każdy facet to wie. Ale w życiu bym, do cholery, nie podejrzewał, że ty...

Nie dokończył. Na więcej nie było stać jego organizmu wyczerpanego alkoholem, hazardem i wściekłością. Burty osunął się na dywanik przy jej łóżku i usnął w ułamku sekundy.

Tory również zasnęła, na łóżku zasłanym tysiącami dolarów, którymi Burty najpierw opłacił jej tajemnicę, a potem odzyskał je w grze. Zasnęła głęboko i - o, dziwo - po raz pierwszy od dawna spała

dobrze, bez koszmarnych snów, zmorzona zmęczeniem i uczuciem niepomiernej ulgi. Sekret wyszedł wreszcie na jaw i nie musiała już dłużej oszukiwać swego męża. Burty był wściekły, to oczywiste, ale przecież do niej wrócił. Wrócił, by ją bić, to prawda. Ale wrócił.

Wszystko się jakoś ułoży... jeszcze porozmawiają... musi się przecież ułożyć.

Dla Nicole lady Pomeroy dzień zapowiadał się wspaniale. Dzieliła z matką kabinę B-16, ale Dove miała zwyczaj wstawać wcześniej rano, bez względu na to, o której poszła spać. I tym razem, choć przetańczyła pół nocy, dawno już była na nogach. Tymczasem ona, jej córka, dopiero przetała oczy i leniwie zerknęła przez okno, by przekonać się, że *Titanic* zatrzymał się w Queenstown.

O wpół do dwunastej w południe nie wydawano już śniadania w jadalni, więc Nicole zamówiła posiłek do kabiny. Jadła, ciesząc się samotnością i podziwiając wspaniały widok z prawej burty. Z redy, na której stanął *Titanic*, widać było dalekie zielone wzgórza Irlandii. Przez zamknięte okno słyszała nawoływania ludzi z tendrów i odgłosy wchodzących na statek nowych pasażerów. Tupot ciężkich butów głuszył ich stłumione westchnienia i okrzyki podziwu dla tego pływającego pałacu, w którego bramy właśnie wkraczali.

Ci ostatni już pasażerowie wykupili w większości bilety trzeciej klasy. Ledwie garstka z nich skierowała się do drugiej. Queenstown było ostatnim portem przed długim oceanicznym etapem. Stąd, z Cobh Harbour, zaczynał się dziewiczy rejs *Titanica*.

W oddali wznosiła się na cyplu latarnia morska Old Head of Kinsale. Za tym skrawkiem ziemi burzył się i falował nieprzenikniony ocean, kryjący tajemnice w bezdennych głębinach. Za godzinę, najwyżej dwie, statek minie go, biorąc kurs na zachód - ku nieobliczalnemu, nieskończonemu bezmiarowi wód...

Nicole lady Pomeroy wiele razy przepływała przez ocean i niezmiennie mu nie ufała. Wielkie wody traktowała jak nieznośne utrapienie, niepotrzebną przerwę w ciągłości twardego gruntu, który był jej żywiołem. Uwielbiała natomiast pokonywać przestrzenie wśród falujących traw, puściwszy konia w swobodny

galop.

Na stałym lądzie górskie łańcuchy nęciły, by się na nie wspinać, a pierwotne, bujne lasy zachęcały, by przez nie wędrować. Żyzne ziemie, czekające na uprawę, wzbudzały zachwyty. Tylko tam można było zbudować zamek i ogrodzić pastwiska dla owiec kamiennymi murkami, a potem skakać przez nie na koniu, pędząc za lisem. Tam, na lądzie, można było odbiec lub powędrować za najdalszy horyzont, a potem wrócić, by podziwiać znajome strony, którym nadało się własne piętno. Bo gdzież indziej znajdzie się kaniony i drzewa ze słodko śpiewającymi wśród gałęzi ptakami, których liście zmieniają barwy zgodnie z porą roku? Tylko ląd ma pustynie, sawanny i plaże z palmami. Ląd, *terra firma*, stały i pewny.

Tymczasem ocean jawił się jako obcy byt, posłuszny tylko samemu sobie. Ocean był płynny, nieustająco zmienny, bez żadnych pewnych punktów oparcia. Był ogromny i niebezpieczny, jak jakiś magiczny dywan, na który trzeba wsiąść, by dotrzeć do ukochanego lądu.

Dlatego dla Nicole lady Pomeroy najpiękniejszym momentem wszelkich oceanicznych podróży był widok ziemi na dalekim horyzoncie. Jeszcze trochę, pomyślała. Jeszcze trochę, a stanę mocno na nogach i ruszę swoją drogą...

Wpatrywała się tęsknie w daleki brzeg, popijając kawę i pogryzając tost z jajkiem. Co dziwne, uśmiechała się przy tym. Ona, która od czasu pewnego krwawego zachodu słońca w Kenii, w sierpniu poprzedniego roku, uśmiechała się rzadko i pod przymusem!

Czyżby nareszcie zaczynała przychodzić do siebie?

Wiedziała, że znajdzie w sobie siły, by poradzić sobie z każdą klęską, nawet ze stratą Rolfa, swojej największej miłości. Lecz smutek był głębszy niż się spodziewała, ból dotkliwszy niż potrafiła znieść, a żal wprost druzgocący. Jednakże Nicole miała w sobie ogromną wolę życia i pragnęła znów kochać i być kochaną. Lubiła kochać. Była młoda i chciała jak najszybciej zaleczyć swoje rany.

Theodore Royce, Teddy...

Zabawny typ, pomyślała. Dość atrakcyjny. Nie dżentelmen, jak inni, raczej typ ze świata, gdzie rządzą wilcze prawa. Mężczyzna, który zbija kapitał dzięki wrodzonemu sprytowi i łatwo dającej się wyczytać z oczu przebiegłości. Może wcale nie jest złym człowiekiem...

Tak czy owak jest zabawny.

Poprzedniego dnia w czasie kolacji z przyjemnością pozwoliła mu się zabawiać opowieściami o jego rozlicznych przygodach. Bez wątpienia wyssał większość z nich z palca. Na przykład to, że w Madrycie był jakoby ścigany na rozkaz samego burmistrza, ponieważ zachował się niestosownie wobec jego córki. Albo że w Kairze złapano go w zasadzkę i zmuszono do pracy przy budowie kościoła. Kościoła, w Kairze! Za to w Syjamie cieszył się podobno taką sympatią i estymą, że nie chciano go puścić z powrotem. Mało tego - zwierzył się jej w walcu - chciano go obwołać sułtanem!

Za grosz nie można mu było wierzyć, ale Nicole musiała przyznać, że łągał z ogromnym wdziękiem. Czy to z jego powodu czuła się znów radosna i pełna życia?

Postanowiła, że do obiadu włoży nowy kostium z łososiowej wełny, świetnie skrojony i idealnie podkreślający jej figurę. Do tego założy bezcenny, pochodzący jeszcze z czasów rzymskich naszyjnik z turkusów wtopionych w emalię. Potem zaś, jeśli dalej będzie w tak świetnym nastroju, wyzwie Teddy'ego Royce'a na pojedynek w rzucaniu pierścieni na pokładzie.

Kiedy zrobi się ciemno, poszukają dyskretnego miejsca i tam spróbuje, jak smakuja te impertynenckie wargi, z których nie znika nigdy kpiący, pewny siebie uśmieszek. Przekona się, czy szerokie, opalone ramiona są rzeczywiście tak muskularne i silne.

Czemuż by nie?

Przecież jest wolna!

Wolała sama przygotować sobie kąpiel niż dzwonić po tę Twigg-Prigg, jak nazywała na swój użytek guwernantkę córek Audrey. Nie lubiła dzielić z kimś służby, ale tutaj bywała do tego zmuszona, gdyż jej własna pokojówka postanowiła pozostać w Denton.



- Dziękuję, ale wolę nie, psze pani - odpowiedziała bez namysłu Agatha Leary, kiedy usłyszała, że miałyby płynąć statkiem do Ameryki. - Bardzo to miło z pani strony, ale tęskno by mi było za matulą, a Billy, mój chłopak z pubu, to już zupełnie by mi nie wybaczył, że od niego odpłynęłam. Poza tym trochę się boję...

Nicole nie naciskała. Agatha nadawała się jeszcze od biedy na służbę na angielskiej prowincji, ale już w Londynie mogła jedynie przyczynić wstydu swojej pani. No a tutaj, na *Titanicu*, wśród elity świata - lepiej nie mówić...

I tak oto rozstały się na zawsze. Agatha została w Denton, a ona wyruszyła do Ameryki.

Lady Pomeroy nie miała pojęcia, jak ułoży sobie życie za oceanem. Wiedziała tylko jedno - że znów dosiądzie konia. Dwa angielskie huntery przetransportowano już przez Atlantyk i czekały na nią w stajniach Peerce House, jej „wiejskiego” domu w Newport, przyzwyczajając się do jankeskiego klimatu. Zaraz po przyjeździe osiodła któregoś z nich i puści się galopem przez prerię.

Nie była pewna, czy poprzestanie na Nowym Jorku i Newport, czy też znajdzie sobie inny dom. Najpierw musi sprawdzić, jak się poczuje, wróciwszy po latach samotnie do kraju, i jak uda się jej zacząć życie od nowa. Zachowała swój tytuł, lecz Dentoncroft, należące do herbowych włości Rolfa, przepadło na rzecz kuzyna, którego kiedyś poznała przy herbacie. Bowiem Nicole i Rolf nie mieli dzieci, a Rolf był jedynakiem. Kuzyn, dobroduszny osobnik o końskich zębach, miał na imię Henry. Niech ci się szczęści, Henry, pomyślała, upinając masę rudo-złotych włosów przed wejściem do wanny.

Zaledwie zdołała się wytrzeć po kąpieli, rozległo się pukanie do drzwi. Narzuciła na siebie biały szlafrok i poszła otworzyć.

- Kwiaty dla pani, i telegram - oznajmił steward. Nie miał więcej niż dwadzieścia lat, a policzki tak dziecięco świeże, że chyba ich jeszcze nie golił. Gdy jednak przebiegł wzrokiem zarumienioną od gorącej kąpieli Nicole, wyraźnie naga pod cienkim szlafrokiem, oczy natychmiast mu zabłysły.

Wzięła od niego kwiaty i kopertę, podziękowała mu i szybko zamknęła drzwi. Co za impertynencki smarkacz, pomyślała, ale uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

Dostała dwie róże, jasnobrzoskwiniową i białą.

Napis na dołączonym do nich bileciku głosił:

*Ty, ja i nasz wieczór.*

*Teddy*

*PS. Tylko biała róża ma kolce!*

Wiedział, drań, jak oczarować kobietę!

Nicole wstawiła kwiaty do wazonu na sekretarzyku, po czym rozdarła zaklejony telegram. Kapitan Stanley Lord. Oczywiście...

**W NIEDZIELĘ BĘDĘ PRZEPLYWAŁ CALIFORNIANEM OBOK  
TITANICA STOP CHCĘ PRZYSŁAĆ PO CIEBIE ŁÓDŻ I ZABRAĆ CIĘ ZE  
SOBĄ STOP PROSZĘ NICKY ZGÓDŹ SIĘ STOP DAJ MI JESZCZE JEDNĄ  
SZANSE STOP CHYBA NIE ZAPOMNIAŁAŚ NASZEJ NOCY W KENII  
STOP BĄDŹ DOBRA I NIEŁAM SERCA TEMU KTÓRY KOCHA CIĘ  
BARDZIEJ NIŻ MOGĄ WYRAZIĆ SŁOWA STOP CZEKAM STOP PŁONĘ  
STOP BŁAGAM STOP ODPOWIEDZ SZYBKO STOP**

Ze złością zmięta kartkę w dłoni. Dwóch adoratorów, a tak od siebie różnych: jeden uwodzicielski, bystry, romantyczny, drugi nudny, sztywny i... po prostu niestrawny.

Nie cierpiała Stanleya Lorda. Ten człowiek - jakby słusznie orzekła jej matka - nie miał za grosz fantazji. Chciał, żeby przyszła do niego pokornie jak krowa, która idzie do obory na dojenie. Dlaczego musiała wówczas z nim zgrzeszyć? Dlaczego?

Och, dosyć! Skoro szanowny kapitan Stanley Lord jest tak szczery, da mu równie szczerą odpowiedź. Napisze, żeby odczepił się od niej raz na zawsze, i poprosi radiotelegrafistów z *Titanica*, żeby nie przyjmowali już od niego żadnych depech. To po prostu oburzające! Jak można nadawać otwartym tekstem o ich nocy w Afryce!

W porywie złości sięgnęła po papier i pióro. Usiadłszy przy sekretarzyku, przez chwilę patrzyła na fale, zastanawiając się, co napisać. *Titanic* podniósł tymczasem kotwicę i zaczął spływać kanałem St. George.

**TY CHAMIE!** - zaczęła, lecz skreśliła te słowa jako nazbyt poufale i zaczęła jeszcze raz:

**SZANOWNY PANIE STOP PROSZĘ SIĘ WIĘCEJ DO MNIE NIE ODZYWAĆ STOP OBURZAJĄCY BRAK DYSKRECJI STOP JEŚLI PAN NIE PRZESTANIE PODAM PANA DO SĄDU STOP ŻADNYCH ODPOWIEDZI ODTĄD NIE PRZYJMUJĘ STOP IDŹ PAN DO DIABŁA STOP POMEROY MARKIZA DENTON STOP STOP STOP**

Dopiero teraz się uspokoiła. Wstała, odłożyła pióro i niespiesznie wyciągając szpilki z bujnych włosów, wpatrywała się w oddalający się łąd. *Titanic* nabierał szybkości, wypływał na pełny ocean. Następnym portem będzie Nowy Jork, jej dom.

Znów zapukano do drzwi, tym razem łagodnie i dyskretnie.

- Kto tam? — zawołała. - Jestem bez służącej i w dodatku nie gotowa!

Pukanie rozległo się ponownie, nadal dyskretne, ale odrobinę bardziej niecierpliwe. Nicole uśmiechnęła się, zerkając na swoje odbicie w lustrze. Któż to inny, jeśli nie Teddy, uwodzicielski Rolls Royce. Pewnie przyszedł po pocałunek, należny za róże...

- Nie mogę otworzyć - powiedziała, zbliżając się do drzwi.

- W takim razie pozwól, że ja to zrobię - usłyszała. - Do tego stopnia straciłem przez ciebie głowę, że przegrałem wczoraj w pokera pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Jesteś zawodowym szulerem. Nie wierzę ci.

- Kiedy wygrywałem na Missisipi, nie było tam ciebie. Nicole westchnęła, przymykając oczy. O, tak, Teddy

Royce umie czarować! I wie, jak sprawić, by kobieta zmiękała jak wosk. A przy tym wcale nie jest namolny, nie napiera, nie nalega. Czeka tylko, aż jego zdobycz sama zechce, sama poprosi. Pewnie niejedna była gotowa nie tylko prosić, ale błagać...

Czy to podobne doznanie jak jazda na jednym z moich ogierów, pomyślała. Ciekawe, jak by się czuł, gdyby dosiadła go, ściskając twardymi udami, gdyby zaczęła galop, w górę i w dół, w górę i w dół, coraz szybciej, szybciej i szybciej...

Uchyliła nieznacznie drzwi.

Wyglądał piekielnie przystojnie. Jasny lniany garnitur, szerokie ramiona, wąskie biodra kowboja. I ten zabójczy uśmiech. I ciemne, sfalowane włosy, gęste i niesforne jak jej czupryna, ciemne brwi, równie ciemne oczy o zuchwałym namiętym spojrzeniu...

Jednak za tym żarem krył się chłodny błysk wyrachowania, a może nawet okrucieństwa. Rolls potrafił być zapewne nie tylko czuły, ale i bezwzględny. To dobrze. Lubiła mężczyzn, którzy nie stali się kobiecie u stóp.

- Nie mogę się pogodzić z utratą takiej sumy - powiedział. — Dlatego przyszedłem, żebyś wynagrodziła mi stratę, powstałą z twojej winy.

Szybko wślizgnął się do środka i z wprawą zamknął za sobą drzwi obcasem. Popatrzył krótko na jej szlafrok, na wilgotną, płonąca rudym złotem grzywę włosów, a potem jednym szarpnięciem rozwiązał luźny pasek i bez słowa zagarnął dłońmi nagie ciało. Jęknął, niecierpliwie napał językiem na jej usta. Pocałował długo, mocno, zachłannie. Oszołomiona, dopiero po chwili poczuła, jak jego noga równie niecierpliwie rozwiera jej nagie uda.

- Zostałeś wynagrodzony - wyrzuciła z siebie. - Rzekłabym, że nawet hojnie.

- Och, ja bym powiedział, że nawet przepłacony - odparł zduszonym głosem, sunąc wargami po jej szyi.

- Znów muszę coś przegrać do VanVoorsta...

Nicole zaczęła szukać paska, zaplątanego w fałdach szlafroka.

- Zakryj więc teraz moją nagość, skoro ją odkryłeś - nakazała.

Teddy odstąpił krok do tyłu, ujął połę szlafroka, rozchylił je i przytrzymał przez chwilę, napawając się jej widokiem. Nicole wiedziała, że jest piękna - wysoka, postawna, bujna, o jędrnym, umięśnionym ciele atletki i płaskim brzuchu kobiety, która nie rodziła dotąd dzieci. Nogi miała długie, zgrabne, a skórę gładką i jasną, o urzekającym perłowym odcieniu.

- Są rzeczy, które zachwycają mężczyznę, a o których kobieta nie ma nawet pojęcia - zwierzył się Royce.

- Ty masz je wszystkie... Mój Boże, miałem zamiar odpocząć sobie

w tej podróży - dodał, po czym z komicznie smętną miną otoczył Nicole połami szlafroka i związał pasek w żeglarską wyblinkę - węzeł, który wytrzyma sztorm, ale puści przy jednym pociągnięciu.

Zrobiwszy to, poszukał sobie krzesła i rozsiadł się na nim, wyciągając przed siebie długie nogi.

Nie wyprosiła go.

Czesała włosy przed lustrem, usiłując uładzić je i upiąć. Na próżno, gdyż stale się wymykały. Pomyślała, że kiedy już znajdzie się w Ameryce, poszuka dobrej pokojówki, która poradzi sobie z tą niesforną masą.

Nieoczekiwanie myśl o włosach sprawiła, że nagle zniknął Teddy Royce, *Titanic* i ocean, a Nicole odpłynęła wspomnieniem w przeszłość, ku temu, który władał jej sercem nawet po swojej śmierci.

Rolf lord Pomeroy, patrząc, jak Agatha czesze włosy żony, nieodmiennie i z podziwem wspominał, jak to owa ognista, bujna fala doprowadziła do szaleństwa biednego Vincenta van Gogha.

Bo tak rzeczywiście było. Nicole Reed Peerce urodziła się w roku 1871. W roku 1888, gdy miała lat siedemnaście, pojechała z rodzicami do Paryża, gdzie poznała malarza Vincenta van Gogha, goszczącego u swojego brata Theo. Theo był marszandem, a tego lata Dove i Percival Peerce zapragnęli kupić kilka akwarel, by ozdobić nimi ściany swojego domu. Vincent jął ich natychmiast błagać o pozwolenie namalowania portretu wspaniałej córki - i to dosłownie błagać, gdyż padł na kolana i walił w podłogę najpierw zaciśniętymi pięściami, a potem głową. Już wtedy był szalony. Zapowiedział, że namaluje ją albo umrze.

- Urodziłem się po to, by malować twoje włosy - oświadczył kiedyś Nicole. - Ty nie masz nic do tego, to wyłącznie moja sprawa...

Zgoda, za dużo wówczas wypił, był kompletnie pijany. Ona jednak zapewniła go, że pozwoli się namalować - włosy, twarz, całą postać, obojętnie nagą czy ubraną, siedzącą, stojącą czy w ruchu.

- Co tylko pan zechce i kiedy zechce - powiedziała.

- Nie sposób odmówić artyście o takiej pasji i talencie, jak pański,

panie van Gogh. W każdym razie ja nie odmówię.

Cieszył się jak dziecko.

- Proszę przyjść jutro do Crillon - zaproponowała. - Może mnie pan malować do woli, nawet przez cały dzień. Będę pod trzydziestym siódmym. Mam miarę u pana Charlesa Wortha...

W podzięce rzucił się całować jej dłonie.

- Jeden dzień wystarczy mi w zupełności. Dzięki ci, och, dzięki, moja Heleno Trojańska! - wykrzyknął z takim żarem, że rodzice nie mogli się nie zgodzić. Nawet Dove, mimo zastrzeżeń, uwierzyła, iż nieszczęsny Vincent van Gogh naprawdę uważa, że jeśli nie uwieczni na płótnie ognia włosów jej córki, zejdzie z tego świata.

Ale nazajutrz zadzwonił Theo z wiadomością, że Vincent narzeka na paryskie słońce, ponoć za słabe na malowanie, i wyjeżdża właśnie „gdzieś na południe, gdzie słońce jest bliżej”.

- Kazał mi obiecać, że przekażę ci tę wiadomość, *cherie* - powiedział do niej Theo van Gogh. - Vincent napisze do ciebie, kiedy tylko się urządzi i kiedy znajdzie odpowiednie światło. A wtedy musisz do niego pojechać. .. Błagał, żebyś nie odmówiła jego prośbie. Zaklinał się, że tylko nadzieja na malowanie ciebie trzyma go jeszcze przy życiu.

- Proszę przekazać bratu, że zjawię się niezwłocznie, jeśli tylko mnie wezwie - zapewniła Nicole, zerkając na ojca, by uzyskać jego przyzwolenie.

Percival Peerce skinął bez zainteresowania głową.

- W porządku, Nick, będziemy zaszczyceni, jeśli dostaniesz taką propozycję - powiedział. - Ale może na razie kupimy po prostu kilka prac pana Vincenta do naszej kolekcji, dzięki czemu zyska środki na dalszą pracę. Co ty na to?

Matka Nicole nie odezwała się, lecz Dove Peerce z reguły uważała, że jej córka niewiele jest warta, więc trudno się było po niej spodziewać entuzjazmu czy choćby zainteresowania w tej sprawie.

I na tym właściwie skończył się ten epizod. Vincent nigdy do niej nie napisał. Albo też napisał, ale list nigdy do niej nie dotarł. Potem dowiedzieli się, że w Arles, w Prowansji, miał kryzys, że był leczony...

no a potem się zastrzelił.

Po latach Nicole opowiedziała całą historię mężowi. Od tej pory Rolf przy każdej okazji nadmieniał, że jej włosy doprowadziły genialnego artystę do szaleństwa. Skrycie wierzyła, że tak rzeczywiście było.

Teddy dopiero po chwili spostrzegł, że Nicole odpłynęła myślami gdzieś daleko. Wstał, stanął za nią i delikatnie wyjął z jej rąk grzebień oraz szpilki.

- Pozwól, że je ułożę.

Westchnęła ciężko i obróciła ku niemu spojrzenie.

- Ty, Teddy Royce? - zakpiła, usiłując odnaleźć w sobie bez troski nastrój sprzed kilku chwil. - Taki brutal będzie czesał kobiecie włosy?

- Tylko siła może być łagodnością, lady Pomeroy. Tylko dobro można zamienić w nikczemność.

Jego dłonie okazały się zręczne i delikatne. Miał wprawę. Intrygujący jest ten Teddy „Rolls” Royce, przyznała w duchu. A jednak musiała się zmuszać, by nie odpłynąć myślami w przeszłość, do Rolfa.

- Takie włosy są stworzone do diamentów. Ma pani diamenty, lady Pomeroy?

- Każda lady je ma - wzruszyła ramionami, ale natychmiast zrobiła się czujna. W sferach, w których się obracała, nosiło się klejnoty po to, by je podziwiano, ale nigdy o nich nie rozmawiano, zwłaszcza z obcymi.

- Szmaragdy i perły też? - Teddy uładził kolejny nieposłuszny kosmyk.

Tym razem nie odpowiedziała. Obserwowała w lustrze, jak jego oczy ciemnieją aż do aksamitnej głębi. A więc nie tylko jej osoba była dla niego ważna. Przynęcił go jej majątek i pozycja.

No cóż, zdaje się, że gra z Teddym Royce'em idzie o coś więcej niż tylko o punkty w rzutach pierścieniem.

Uniosła ręce nad głowę i oddaliła jego dłonie.

- Idź już. Pokojówka mnie ubierze.

- Zjedz ze mną lunch.

- Przykro mi. - Pokręciła głową, sięgając po perfumy. Był bystry.

Od razu się zorientował, że nic więcej nie osiągnie.

Wyszedł bez słowa, bez jednego spojrzenia, a ona popatrzyła na swoje odbite w lustrze oblicze. Zadziwiające, co jedna czy dwie róże mogą zrobić z samotną kobietą.

RS



## Rozdział 9

---

**K**apitan E.J. Smith irytował się coraz bardziej. Ogromny tłum patrzył, jak *Titanic* odpływa z Queenstown, i zdawać się mogło, że nie ma w nim człowieka, który nie byłby uzbrojony w aparat fotograficzny i nie pstrykałby zdjęć ogromnego liniowca. Kapitan nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nie pewien idiota, zapewne jeden z palaczy, który wszedł na czwarty komin-atrapę - ten sam, co miał zapewnić *Tkankowi* jeszcze bardziej imponujący wygląd - wystawił na zewnątrz głowę i zaczął robić głupie miny, machając radośnie do tłumu.

Kapitan Smith nie życzył sobie, by wzniosły moment pożegnania zamienił się w parodię.

- Co za skandal! - parsknął gniewnie do Boxhalla.
- Natychmiast sprowadźcie go na dół!
- Tak jest, kapitanie!

Najprawdopodobniej człowiek ten chciał po raz ostatni spojrzeć na swój rodzinny kraj albo zaczerpnąć świeżego powietrza, wolnego od dymu i miazmy węglowej, pomyślał E.J., ochłonawszy nieco z gniewu. Może dźwięki kobzy, na której grał nowy pasażer z trzeciej klasy, Eugene Daly, wyciągnęły palacza z ponurego dolnego pokładu. Tak właśnie wabiła marynarzy syrenia pieśń. Podążając za nią, rzucali się w rozszalałe morze.

Wybaczyłyby temu człowiekowi, gdyby jego twarz, umorusana węglowym pyłem, nie była aż tak czarna. Kapitan Smith nie życzył sobie, by akurat w szczytnym momencie pożegnania *Titanica* z lądem pojawiały się jakiegokolwiek „czarne znaki” czy inne złe wróżby.

Wiele osób z załogi będzie śmiało się z tego wysoku, to oczywiste. Dlatego też palacz zostanie przykładowo ukarany. Bowiem ci, których życie oddziela od ciemnego grobu w głębinach mórz tylko dno statku, stają się przesądni i nawet najmniejsze wydarzenie poczytują sobie za dobry, a jeszcze częściej zły omen. A już zwłaszcza

bywają przewrażliwieni, gdy wypływają w dziewiczy rejs.

Diabli nadali tego cholernego smolucha!

Już on, Smith, dopilnuje, żeby popamiętał ten dzień na całe życie. Dostanie dodatkowe wachty, najcięższe. Tylko w ten sposób można nauczyć ludzkie bydło rozumu, tylko stojąc nad nim z batem!

Jeden palacz już uciekł, niejaki John Coffey. Boxhall podejrzewał, że ukrył się wśród worków z pocztą, odstawianych na ląd. Dopiero teraz, kiedy wypłynęli, okazało się, że nigdzie go nie ma.

Ech, Johna Coffeya niech też diabli wezmą!

Stanowczo zbyt często zdarzają się ostatnimi czasy podobne przypadki, zżymał się kapitan Smith. Świat wyraźnie schodzi na psy. A przecież jeszcze nie tak dawno angaż do White Star Line stanowił dla człowieka wielki zaszczyt i dawał mu zajęcie na całe życie. On sam był dumny, że pracuje dla takiego armatora.

Zaś teraz, proszę - byle dupek podpisuje kontrakt, bierze zaliczkę, a potem „urywa się” na ląd przy pierwszej nadarzającej się okazji, nie martwiąc się wcale tym, że swoją ucieczką uszczupli siły załogi. Tak nie może być! Już on dopilnuje, żeby nazwisko tego lumpa znalazło się w czarnej księdze. I jeśli tylko jest prawdziwe, John Coffey nie będzie miał czego szukać w biurach werbunkowych!

- Palacz odwołany z czwartego komina, sir - zameldował czwarty oficer. - Wrócił na dół i już macha łopatą. Podobno ma dziewczynę w Queenstown i to dlatego...

- Wszyscy mamy dziewczyny w Queenstown - stwierdził sucho E.J. Jak zwykle, dodał zjadliwie w myślach, jeśli dzieje się coś złego, szukajcie kobiety. Cóż, sam spędził cały wczorajszy wieczór z zachwycającą panią Peerce. Również postąpił jak głupiec, ale przynajmniej usiłował zachować pozory. Tak mocno, tak namiętnie pragnął przypodobać się tej pięknej kobiecie, zawładnąć jej sercem...

Ech, wszyscy mężczyźni są tacy sami. Gotowi iść z zawiązanymi oczami po desce sterczącej za burtą, byle dostać się pod babskie kiecki. Do diabła z nią! Do diabła z wszystkimi! Lepiej skupić myśli na tym, co najważniejsze - na *Titanicu*. *Titanic* był godzien podziwu i wszelkich czułych uczuć.

Wyporność - 60 tysięcy ton, długość - 265 metrów, wysokość - 53 metry, mierzone od stępki do szczytu kominów! Pływający jedenastopiętrowy budynek o długości ponad ćwierć kilometra i burcie wznoszącej się znad linii wodnej jak strome, niemal dwudziestometrowe urwisko! Konstruktorzy zapewniali, że na spokojnym morzu statek jest zdolny rozwinąć szybkość nawet do dwudziestu trzech węzłów, a może i więcej...

Na pewno więcej, myślał EJ. Smith. Jutro da *Titanicowi* szansę. Już jutro przekonają się wszyscy, co potrafi.

Stoczniovi spece, konstruktorzy liniowca, znali wszystkie tajniki statku znacznie lepiej od niego. Wiedzieli, jak funkcjonują dźwigi i żurawie, dokąd prowadzą całe mile kabli i rur. Znali na pamięć system elektryczny, system chłodzenia, konstrukcję czterech wind, schemat centrali na pięćdziesiąt telefonów i najnowszy wynalazek - pięciowatową radiostację Marconiego. Ich królestwem była mechanika statku, jego serce - kotły, turbiny, silniki i tłoki, wał oraz trzy ogromne śruby. Oni wiedzieli wszystko... .

Dlatego też posłano ich w pierwszy rejs, aby wyjaśniali, pomagali i doradzali; kontrolowali, sprawdzali i naprawiali w razie potrzeby. Mieli doszkalać i szlifować załogę, by stała się tą jedyną, wypróbowaną, zgraną i gotową na wszystko. Ukoronowaniem zaś ich dzieła miał się stać wyczerpujący raport, złożony armatorowi po zakończeniu rejsu - to oni mieli wystawić *Titanicowi* ocenę za debiut.

Oni też towarzyszyli kapitanowi Smithowi gdy później, po wypłynięciu na pełne morze, prowadził obchód kontrolny statku dla przedstawicieli armatora: Bruce'a Ismaya z White Star Line oraz Bayarda Lockholma z IMM.

Z prawdziwą dumą demonstrował im zwłaszcza działanie rozbudowanych systemów bezpieczeństwa. W razie zagrożenia najpierw miały dzwonić co dziesięć sekund dzwonki alarmowe, potem automatycznie zamknąć się powinny wodoszczelne grodzie - w sumie było ich piętnaście - odcinając tym samym kolejne przedziały i każdą z szesnastu kotłowni statku. Nawet więc w przypadku uszkodzenia poszycia i zalania niektórych przedziałów,

pozostałe kotłownie mogły kontynuować pracę, zapewniając uszkodzonemu statkowi moc niezbędną do posuwania się naprzód.

- Każdą z wodoszczelnych grodzi mogą również zamykać ręcznie członkowie załogi - wyjaśniał przedstawicielom armatora jeden z konstruktorów. - Można nimi również sterować z mostku, ale, jak wspominał kapitan Smith, w razie potrzeby zamkną się automatycznie.

- W jaki sposób? - zainteresował się Bay Lockholm.

- Gdy zbierająca się na podłodze danego przedziału woda podejdzie wyżej, spowoduje odblokowanie się mechanizmu zwalniającego. Bum! - i drzwi opadną.

- Zatem widzicie, panowie - uzupełnił kapitan Smith, równie dumny, co konstruktorzy, choć bardziej od nich powściągliwy - że *Titanic* jest praktycznie niezatapialny. Stanowi absolutne arcydzieło sztuki inżynierskiej.

Wszyscy uśmiechnęli się z aprobatą, jednakże Bayard Lockholm, spadkobierca słynnego morskiego rodu, zakwestionował warunki bezpieczeństwa w śródkręciu. O ile bowiem w części rufowej i dziobowej grodzie wodoszczelne sięgają na wysokość pięciu pokładów, licząc od podwójnego dna nad stępką - kolejne zabezpieczenie! - o tyle pomiędzy kotłowniami numer 4, 5 i 6 sięgają tylko czwartego pokładu, a ponadto nie dochodzą do sufitu.

- Zgadza się - potwierdził człowiek z macierzystej stoczni Harlanda & Wolffa, który pełnił funkcję rzecznika konstruktorów. - Niemniej sięgają tak wysoko, jak potrzeba, drodzy panowie. A nawet wyżej niż potrzeba. Ręczymy za to.

Pozostali kiwnięciami głów potwierdzili jego słowa.

- Nic nie może zatopić tego statku, panie Lockholm - oświadczył z powagą najmłodszy z nich. - Nawet sam Pan Bóg nie zdołałby zatopić *Titanica*.

- Proszę tak nie mówić. - Bay stłumił nagłe drżenie.

- To kuszenie losu.

- Świat nie poszedłby naprzód, gdyby wszyscy byli tacy jak pan - roześmiał się rzecznik, pewny swoich racji.

- Nie ma nic pewnego na tym świecie - odparł cicho Bay, dziwiąc się, dlaczego znów przeszył go dreszcz.

- Słuszna racja. Nie wciągajcie w tę sprawę Pana Boga - odezwał się Bruce Ismay niespodziewanie surowym tonem.

- Nie ma strachu, moi panowie - zapewnił rzecznik.

- *Titanic* przeżyje nas wszystkich. To pływający cud techniki.

- Rzeczywiście jest wspaniały - przyznał Bay, choć nie pozbył się wątpliwości co do owych grodzi na śródokręciu.

Jednak jego głównym celem nie była analiza konstrukcji statku, lecz rozpoznanie osobowości Bruce'a Ismaya. Na razie prezes White Star Line wydał mu się człowiekiem niezwykle zasadniczym, o nienagannych manierach, a przy tym powściągliwym i traktującym wszystko z dystansem.

- Czy mogę w imieniu swoim i małżonki zaprosić pana na drinka i obiad? - zapytał Bay. - Audrey nie miała jeszcze okazji pana poznać, a bardzo by pragnęła.

Bruce Ismay miał arystokratyczne obejście, właściwe dla swojej klasy, i bardzo niewiele z jej uroku. Oczy patrzyły spod półprzymkniętych powiek, zawsze podejrzliwie i taksująco; ponadto był sztywny i pozbawiony poczucia humoru. W odpowiedzi na zaproszenie Bayarda skłonił się formalnie.

- Dziękuję, przyjmuję pańskie zaproszenie. Pani Lockholm jest niezwykle piękną kobietą, toteż czuję się zaszczycony.

- Kapitanie Smith, czy dołączy pan do nas? - zagadnął Bay i natychmiast wyczuł milczącą dezaprobatę Ismaya dla tego posunięcia. Doprawdy, dziwne, pomyślał, wszak kapitan, gdy statek znajduje się na morzu, jest osobą najwyższą rangą, a zatem powinien być odpowiednim towarzyszem dla wielkiego pana prezesa.

- Znakomicie się składa - rozpromienił się kapitan - gdyż zdążyłem już zaprosić pańską małżonkę, panie Lockholm, by zasiadła ze swoją przyjaciółką, panią Peerce, przy moim stole. Czy będę mógł dołączyć do państwa, powiedzmy za kwadrans? Zostało mi jeszcze kilka rzeczy do sprawdzenia. Codziennie przeprowadzam inspekcję całego statku, aby w ten sposób uniknąć problemów.

Przyjdę, kiedy tylko skończę. Jeśli jednak zechce mi pan towarzyszyć w obchodzie dolnych pokładów, panie Lockholm, zapraszani. Będzie mógł pan osobiście obejrzeć owe wodoszczelne grodzie.

Bay zerknął na Ismaya, gdyż zdążył już zaprosić go na drinka.

- Czy pan również jest zainteresowany? Ismay skinął głową.

- Jak najbardziej - odparł, przyglądając dłonią rzedniejące, starannie przyczesane pasma kasztanowych włosów.

Zjeżdżając w dół, winda zatrzymała się na pokładzie D, przywołana przez dwóch stewardów. Młodzi ludzie cofnęli się nieśmiało, widząc w środku kapitana i tak ważne osoby, po czym oświadczyli, że pojedą później. Zanim jednak drzwi się zamknęły, Bay zdążył dostrzec na pokładzie D... swoją żonę. Rozmawiała z jakąś ponurą, starą, zgarbioną kobietą, odzianą w luźne czarne suknie i wyglądającą jak drapieżne ptaszydło. Boże, przecież Audrey nie powinna się tu pokazywać!

Bay uniósł rękę, by do niej zamachać, i już otwierał usta, żeby ją zawołać, ale zasłonił go gadatliwy rzecznik stoczni, który zaczął tłumaczyć coś z ożywieniem kapitanowi Smithowi. W powoli zamykającej się szparze drzwi Bay ujrzał jeszcze, jak Audrey odwraca głowę.

Jeszcze nigdy nie widział na jej twarzy takiego napięcia i rozpacz. Kurczowo zaciskała dłonie na piersi, podczas gdy ta jęzga o wyglądzie czarownicy chowała w fałdach spódnicy jakąś wąską białą kopertę. Audrey, kochana Audrey, zbladła jeszcze bardziej i zaczęła coś mówić, szybko, nerwowo...

Chryste, o co tu chodzi?

I gdy drzwi windy miały się już zamknąć, starucha zniecka odwróciła się w stronę Baya, jak gdyby poczuła na sobie jego wzrok.

Nie znalazł jej. Była stara i odrażająca, z jednym okiem pokrytym bielmem, a drugim patrzącym zimnym, czarnym spojrzeniem, które zdawało się przewiercać człowieka na wylot, nawet z daleka.

Wreszcie oddzieliły ich stalowe drzwi. Bay zrozumiał, że choć sam jej nie poznał, został rozpoznany. Gdy zaś to o tym pomyślał, ogarnął go niewyjaśniony lęk.

Swan obudziła się w południe i od razu uświadomiła sobie, że oto zaczyna się pierwszy dzień w jej nowym życiu, w życiu kobiety.

Przeciągnęła się w łóżku, gibka i smukła, lecz dziś trochę usztywniona. Poczowała pieczenie między nogami. Ciekawe, czy twarz też się jej zmieniła. Miała nadzieję, że stanie się jeszcze piękniejsza, tak jak matka, która rozkwitała, kochana przez mężczyznę; albo jak Tory VanVoorst czy Nicole lady Pomeroy. Chociaż o tej ostatniej trudno byłoby teraz powiedzieć, że jest szczęśliwa. Przecież niedawno została wdową. Zresztą Swan niezbyt dobrze ją znała.

Obcowanie z mężczyzną wcale nie okazało się takie boskie, jak sobie wyobrażała. Owszem, było podniecające, och, jak bardzo... ale i trochę niemile. Danny'emu w każdym razie się podobało. Namietność zawładnęła nim całkowicie. Przysięgał, że będzie ją kochał do grobowej deski, a ona miała nadzieję, że dotrzyma słowa. Czy nie przyjemnie słuchać takich obietnic?

Nie, z kochaniem się na pewno jest jeszcze inaczej, tłumaczyła sobie. Może tak jak z żeglarstwem czy z nauką tańca - im więcej się ćwiczy, tym większej nabiera się wprawy. Mięśnie przyzwyczajają się do innych pozycji, a umysł wie, czego oczekiwać. Ciało się odpręża, zmysły wybuchają... miłość zaczyna cieszyć i porywać...

Tak jest na pewno, tak musi być, bowiem miłość, prawdziwa miłość, opiera się na namietności, na pożądaniu. Potem dopiero tworzy się rodzina, rodzą się dzieci, przekazywane są majątki - a wszystko to w imię miłości. Bo miłość to potęga.

Są na przykład mężczyźni, którzy nieodwracalnie rujną swoje życie, zniewoleni przez miłość do kobiety. Złej kobiety, oczywiście. Takiej, której kunszt miłosny jest tak wielki, że nie można mu się nijak oprzeć. Takiej, która w akcie miłości oddaje swoje ciało, ale nigdy nie serce. Kobieta, która blisko przestaje z wieloma mężczyznami, jest zła, tak samo jak złe są związki pozamałżeńskie.

A jednak ona, Swan, wolałaby być zła niż nieszczęśliwa. Wolałaby raczej być Józefiną, tą kochanką Napoleona, którą uczynił cesarzową, niż którąś z owych porządnych kobiet, które Henryk VIII brał za żony, a potem mordował, gdy mu się znudziły...

Wolałaby być Józefiną niż kimś pokroju pocziwej Twiggusi. Kobieta otwartą, pewną siebie i śmiałą, śmielszą nawet niż matka, która choć kwitnąca i szczęśliwa, znała tylko miłość jednego mężczyzny - ich ojca.

Och, Swan naprawdę cieszyła się, że wreszcie skończyła z niewinnością. Ta niewinność stawała się dokuczliwa. Pragnęła teraz wiedzieć, co trzeba zrobić, aby móc usidlać wszystkich mężczyzn, którzy jej pożądamy. Czuła, że taka jest droga do szczęścia. Trzeba, jak to czynią mężczyźni, próbować, próbować, próbować - aż trafi się na tego właściwego.

Znów przeciągnęła się zmysłowo w nagłym przypiływie szampańskiego humoru. Coraz lepiej się czuła w roli *femme fatale*. Cóż, taki jej talent, taki urok. Smoke chce być mężczyzną, ale ona jest mądrzejsza. Ona chce kochać jak mężczyzna, a zachować przywileje kobiety i wszystkie rozkosze przynależne jej płci, wszystkie radości i przyjemności. W ten sposób będzie miała to, co w życiu najlepsze... .

I po diabła Smoke ścięła sobie włosy? A swoją drogą, gdzie też się podziwiała jej głupia siostrzyca? Swan koniecznie chciała jej opowiedzieć o ostatniej nocy, opowiedzieć, jak TO się robi, i co Danny powiedział, kiedy było już po wszystkim; opowiedzieć o nocnych cieniach i nocnych gwiazdach, o nocnej bryzie.

Ależ Smoke będzie jej zazdrościł! No, gdzie ta dziewczyna? Pewnie włóczy się po statku, zaczepiając załogę, choć to ona jako kobieta powinna być zaczepiana.

Swan wyskoczyła z łóżka, zrzuciła koszulkę i w podskokach pobiegła do łazienki.

Tymczasem Smoke siedziała na pokładzie łodziowym, zatopiona w lekturze powieści. Miała na sobie białą dzienną sukienkę, obszytą granatowymi taśmami jak marynarski strój. W nowej fryzurze wyglądała bardzo chłopięco, wdzięcznie i niewinnie.

Nieopodal pani Twigg spędzała wolny czas na rozmowie z lady Lucile Duff-Gordon, zwaną lady Lucy. Jej siostra, Eleanor Glyn, zasłynęła napisaniem skandalizującej powieści „Trzy tygodnie”. Lady Lucy, pomimo arystokratycznego tytułu, nie zasłużyła na



zbyt ni szacunek pani Twigg, ale stanowiła istną kopalnię plotek. Zatem, z braku lepszej kompanii, można było przystać na jej towarzystwo. Guwernantka poprosiła Smoke, by dziś nie oddalała się od niej i raczyła nie sprawiać kłopotów, na co dziewczyna wzruszyła ramionami, ale z dziwną pokorą zastosowała się do poleceń.

Jest załamana, pomyślała pani Twigg. Teraz dopiero do niej dotarło, jaką krzywdę sobie wyrządziła.

O Swan nie musiała się martwić. Dziecię spało jeszcze słodko w kabinie. I tak upłynie cała podróż, pomyślała, wodząc wzrokiem po przestrzeni oceanu, widocznej ze wszystkich stron wysokiego pokładu. Wygoda, dobre jedzenie, trochę wieczornej rozrywki - ale, broń Boże, nie szaleństw - a potem kieliszeczek do poduszki i słodki sen. Tylko coraz to inne sukienki będą znaczyły upływ dni.

- Czy pani wie, że to ja wprowadziłam do języka słowo *chic* - szykowna - jako określenie eleganckiej kobiety? - zwierzyła się z dumą lady Lucy. - I od razu się przyjęło! Cosmo, to znaczy mój najdroższy mąż, dowiedział się przed samym odpłynięciem, że Akademia Francuska oficjalnie włączyła to pojęcie do języka francuskiego. To prawdziwy honor, przyzna pani, pani Twigg?

Lady Lucy była w wieku średnim i wyglądała na swoje lata, ale ściśle przestrzegając diety, nosiła ciasno sznurowany gorset i elegancko się ubierała. W młodości słynęła jako piękność i wiele z tej urody przetrwało do dziś. Wrażenie psuła jednak ogromna nerwowość i manieryczne zachowania owej damy. Ale mieć własne słowo, przyjęte przez Akademię Francuską, ho, ho...

- To naprawdę wielki honor, lady Lucy - przyznała pani Twigg. - Jestem pod wrażeniem.

- Ja również byłam pod wrażeniem - powiedziała nieskromnie dama - ale szczerze muszę przyznać, że należał mi się ten zaszczyt. Cóż, moja droga, nie brakuje mi zajęć. Prowadzę na przykład swój dom mody, zapewne wie pani o tym? Właśnie wprowadzam spódnico-spodnie.

- Nie wiedziałam - odparła pani Twigg. - Moje gratulacje. Ale spódnico-spodnie? Nie bardzo widzę powód, dla którego... .

- Ach, moja Thelmo, jeśli mogę tak do ciebie mówić, od razu widać, że należysz do starej szkoły. Wierz mi jednak, że już w tej chwili, gdy ten niezwykle statek tnie oceaniczne fale, świat szykuje się do prawdziwej rewolucji.

- Rewolucji? Nie wiem nawet, co powiedzieć - odparła pani Twigg, zerkając w stronę Smoke, by sprawdzić, czy dziewczyna przypadkiem nie słucha. Nie słuchała. Była tak zaczytana, że zdawała się nie pamiętać o Bożym świecie. Powieść Morgana Robertsona „Futility”, opowiadająca o jakiejś katastrofie morskiej, wciągnęła ją zupełnie.

- Słowo „rewolucja” - ciągnęła tymczasem lady Lucy - nie powinno bynajmniej nas przerażać. My, kobiety, będziemy wkrótce głosować, rozumie pani? Niedługo stanie się tak w Ameryce, a już robią to w Finlandii. Niestety, na razie tylko w Finlandii. W Anglii przyznaniu kobietom prawa wyborczego sprzeciwiają się monarchia i parlament, co moim zdaniem przynosi hańbę temu krajowi. Ale nadejdzie wreszcie chwila, że kobiety wyzwolą się z ucisku i wywalczą należne im prawa. A wtedy wszystkie będziemy nosić moje spódnico-spodnie. Nawet pani, Thelmo Twigg.

- Nie mogę sobie nawet tego wyobrazić. Proszę wybaczyć, ale to brzmi... niestosownie - oznajmiła chłodno pani Twigg, demonstracyjnie wygładzając swoją długą spódnicę.

- Och, przesada - zbagatelizowała lady Lucy. - Chodzi tylko o wygodę. Zaręczam pani, moja droga, że moda na długie, płaczące się wokół kostek suknie nie potrwa długo. Wspomni pani te słowa! A jeśli moje projekty zyskają uznanie w oczach mężczyzn... - Lady Lucy puściła znacząco oko, klepiąc swoją sąsiadkę w kolano. - W każdym razie szykuje się rewolucja.

Smoke odłożyła książkę i wstała.

- Już pierwsza, Twigg. Pójdę wygonić Swan z łóżka. Spotkamy się w kawiarni, dobrze? Jeszcze nie jadłam śniadania.

Pani Twigg była w rozterce. Bardzo chciała wypytać Lucile Duff-Gordon o Hollywood, ale wolała nie robić tego przy Smoke, by nie wywołać jej niezdrowego zainteresowania. Ponadto, skoro sama

postanowiła, że należy dyscyplinować bliźniaczki, musiała być konsekwentna.

- Dobrze, idź, tylko obiecaj, że nie zabawisz tam długo. Najwyżej kwadrans, dobrze?

Smoke roztała zdrętwiały łokieć.

- Dobrze. Wiesz, Twigg? Ta książka jest zupełnie niezwykła! - oznajmiła z przejęciem. - Napisano ją przed dziesięciu laty, ale jest o nas, o *Titanicu*. Tylko że tam statek nazywa się *Titan*. Autor wieszczy nam katastrofę. Według niego zderzymy się z górą lodową!

- Co za nonsens - obruszyła się pani Twigg. - Jesteśmy tak bezpieczni, jak w hotelu na lądzie. Och, ci dzisiejsi pisarze, zupełnie...  
- urwała w porę, przypomniawszy sobie niefortunny przypadek siostry lady Lucile.

- Dla mnie ta książka jest pasjonująca! - ekscytowała się tymczasem Smoke. - Nie mogę się od niej oderwać - dodała, po czym wsunęła pod pachę gruby tom i szybko odeszła.

- O, ta dziewczyna ma szyk - zauważyła z uznaniem lady Lucy. - Jak śmiało i jak zalotnie przystrzygła sobie włosy!

Pani Twigg odchyliła głowę na oparcie ławki i z westchnieniem przymknęła oczy.

- Pani chyba raczej żartować, lady Lucy. To nieszczęsne dziecko zrujnowało swój wygląd na przynajmniej dwa lata, najpiękniejsze lata swego życia. Ona i Swan są bliźniaczkami, bardzo urodziwymi. I oto nagle jedna z nich zacznie podpierać ścianę, podczas gdy druga będzie królować na balach. W rezultacie obie będą cierpiały - Swan, gnębiona wyrzutami sumienia z powodu swojego powodzenia, i Smoke, zazdroszcząca go siostrze. Nie daj Boże staną się zgorzkniałe, a przecież za chwilę będą z nich dorodne panny na wydaniu! Kiedy sobie o tym pomyślę, chce mi się płakać.

- Zupełnie niesłusznie, moja kochana. Dziewczyna jest oszałamiąca. Nie opuści żadnego tańca. Już wczoraj się jej przyglądałam i bardzo mi się spodobała, ale uznałam, że jest za bardzo ugładzona. Natomiast teraz ma szansę stać się prawdziwą sensacją. Teraz dopiero ujawnił się jej charakter, choć pozostała

pewna tajemniczość... Dziś wieczór znów będą tańce. Jeśli nie wierzysz mi, kochana, daj dziewczynie wolną rękę i stań z boku. Zobaczysz, jak sobie poradzi.

- To, co pani mówi, jest dla mnie... hm, zdumiewające.

- Jeszcze niejedno panią zadziwi, moja droga - zaśmiała się lady Lucy. Uwielbiała gorszyć takie staroświeckie kobiety, jak ta Twigg. - O, idzie mój Cosmo! Zobaczymy się później, kochana. Pa!

Lucile Duff-Gordon wstała, czekając aż zbliży się do niej wysoki, tyczkowaty dżentelmen w nienagannym, dziennym garniturze. Szedł nieco sztywnym krokiem, w pewnej chwili potknął się niezgrabnie. Z bliższej odległości mocno czuć było od niego whisky.

Cóż, podróże kształcą, pomyślała pani Twigg, patrząc za odchodzącą słynną parą. Tyle nowych idei, tylu tak różnych ludzi... Kto by pomyślał, że pozna osobiście jedną z tych rozszalałych sufrażystek, które walczą o prawa kobiet.

Prawa kobiet! Niby do czego! Do spódnico-spodni?

Pani Twigg poczuła się głodna i nabrała nagle wielkiej chęci na solę z rusztu. Do tego apetyczne kartofelki, gorące... Może nawet podwójna porcja, są bardzo dobre na niestrawność...

W czasie obiadu kapitan Smith i Dove Peerce istnieli tylko dla siebie. E.J. nie mylił się, od początku zwracając na nią uwagę. Ta Amerykanka była doprawdy urocza. Urocza, kusząca i piękna, o czym przekonał się poprzedniego wieczora, kiedy tulił ją w tańcu do siebie, a ona szeptała mu słowa zachęty, kłoniąc kształtną główkę na jego silne ramię.

Ach, kobiety... Wielbił ich delikatne ciała, ich czary i wdzięki. Tę zaś kobietę skłonny był pokochać natychmiast, gdyby tylko mu na to pozwoliła. Wczoraj dała mu nadzieję...

Był tak rozmarzony, że nie wyczuwał napięcia, które wyraźnie usztywniało gości, siedzących przy jego kapitańskim stoliku. Sam nie miał praktycznie żadnych zmartwień. Statek sprawował się idealnie i szedł gładko jak po szynach. Wszyscy, nawet Archie Butt, doradca i najbliższy przyjaciel prezydenta Ameryki, wypowiedział pochwałę, zauważając zupełny brak wibracji kadłuba przy tak dużej szybkości.

Pogoda również sprzyjała. Słaby wiatr dął równo, nie burząc spokojnych fal. A do tego wszystkiego u boku E.J. Smitha zmaterializowała się kobieta z jego marzeń. Mało tego - zgodziła się obejrzeć po obiedzie jego kapitański apartament! Czegóż więcej chcieć od życia?

W apartamencie, w kubelku z lodem, już chłodził się zamówiony szampan. Layton, ordynans, założył świeżą pościel. Jeśli obowiązki wezwą dowódcę na pokład, piękna lady będzie czekać niczym nagi anioł w jego łóżu.

Inni nie mogli się pochwalić tak różowym nastrojem. Bruce Ismay uparcie drażył temat kosztów eksploatacji *Titanica*. Jego zdaniem nader rozrzutnie szafowano przestrzenią. Uznał, że pokłady spacerowe są zbyt obszerne, podobnie jak apartamenty.

- Zabrawszy jedną piątą przestrzeni publicznej, powinniśmy wygospodarować z niej co najmniej trzy kabiny, panie Lockholm - stwierdził. - Próbowałem zaproponować to jeszcze na etapie planów, ale nie zyskałem posłuchu. Co nie znaczy, że nie można dokonać przebudowy. Jakie jest pańskie zdanie w tym względzie?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym - odparł pogodnie Bay. - Na pierwszym miejscu stawiam bezpieczeństwo, a potem komfort i rozrywkę, starając się oczywiście nie zapominać o zysku. Czy ma pan kosztorysy, panie Ismay?

- Przyniosę je panu - obiecał Anglik. - Można oszczędzić na rzeczach, na które pasażerowie nie zwracają zwykle uwagi, na przykład na łodziach ratunkowych. Szesnaście to o wiele za dużo. Moim zdaniem nawet sześć byłoby aż nadto. Tymczasem konstruktorzy - wyobraź pan sobie! - chcieli, żeby było dwa razy tyle! Na szczęście prawo morskie mówi, że nie musimy zapewnić miejsca w szalupie każdej bez wyjątku duszy na pokładzie. Podobnie z kamizelkami ratunkowymi. Jeden kapok na osobę jest chyba wystarczającym środkiem bezpieczeństwa na statku takim jak ten... nie uważa pani, pani Lockholm?

Ismay zwrócił się do Audrey, która siedziała w napięciu, myśląc tylko o tym, że Bay, który widział ją z madame Romany, lada chwila

zażąda wyjaśnień.

Niestety, Cyganka rozpoznała Baya, kiedy zamykały się drzwi od windy.

- Stało się, kochana - powiedziała do Audrey. - Widział nas obie. Teraz będzie chciał wiedzieć, dlaczego dałaś dziesięć tysięcy jakiejś starej wieśniaczce z trzeciego pokładu. Co mu odpowiesz?

Skłamiesz, śliczna pani, czy wyznasz mu prawdę?

- To ty zagładasz w przyszłość, więc powiedz mi, co zrobisz! - odparła natychmiast Audrey. W głębi duszy wiedziała, że Bay nie dałby jej pieniędzy, gdyby wiedział, na co mają być przeznaczone. Wciąż może zresztą zadepeszować do banku i zablokować wypłatę.

A już na pewno wyśmiałyby ją za to, że wierzy w jakieś cygańskie wróżby. „Zostaw, kochanie, mnie sprawy naszej przyszłości i naszych pieniędzy - powiedziałaby pewnie, biorąc ją w ramiona. - Już dawno temu uporaliśmy się z klątwą Phineasa Browna, nie wracajmy do tego więcej.”

- Nie mów mu, paniusiu - nakazała jej Cyganka. - Nie mów, bo go stracisz. Ześlę go tam, gdzie lód, gdzie lodowa otchłań, gdzie lodowata śmierć, gdzie wodny grób... - zniżyła głos do chrapliwego szeptu, a jedyne widzące oko spojrzało na nią okrutnie i przenikliwie jak oko drapieżnego ptaka.

- Wiem o tym. - Audrey wytrzymała to spojrzenie. - I oświadczam, że jeśli mój mąż zginie, Esmeraldo Diego, zabiję cię własnymi rękami. Dopadnę cię, utopię i będę się śmiała, gdy pochłonie cię ocean.

- Ładne słowa ładnej pani - mruknęła madame Romany, cofnęła się jednak o krok, a jej spojrzenie straciło nagle ostrość. - Umrę tutaj, kochana, ale nie z twojej ręki. Nie gróż mi więc, bo nie wyjdzie ci to na dobre. Pozwól, by spełniło się przeznaczenie. Niech twój mąż przeżyje, niech szczęśliwie postawi stopę na drugim brzegu i niech moja córka dostanie swoją szansę. Dziesięć tysięcy to dla ciebie niewiele, a ja sprzedałam za nie duszę.

- Dość tego! Dostałaś pieniądze, weź je i zniknij mi z oczu! Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, postaram się, żebyś trafiła za kratki -

oświadczyła twardo Audrey.

- Dobrze. - Wróżbiarka wyciągnęła do niej powykreślaną, szponiastą rękę. - Podajmy sobie dłonie i będziemy kwita.

Audrey była zdumiona siłą tego uścisku i ciepłem starczej dłoni.

- Do widzenia - powiedziała cicho.

- Do widzenia - odparła Cyganka. - Życzę ci szczęścia. Pomodłę się za ciebie.

I Audrey odeszła, nie odwracając się za siebie. Odeszła, by uciec na górę, do Baya. Do Bayarda, którego tak bardzo kochała i którego tak bardzo się teraz bała.

Spotkała go w pokojach, ale zdążyli tylko zamienić kilka słów. Bay pobiegł z powrotem do swoich zajęć, ona zaś spostrzegła, że na sekretarzyku leży książeczka czekowa, otwarta w miejscu, gdzie Audrey wyrwała wypisany czek.

Co powie, kiedy Bay ją o to zapyta?

Na razie pytał ją o coś ten Anglik, prezes White Star Line. Chciał poznać jej opinię w jakiejś sprawie. Powinna odpowiedzieć, żeby nie zrobić wstydu Bayowi.

- Przepraszam, nie dosłyszałam, o co pan pytał? - zwróciła się do niego z uśmiechem.

- Chodzi o kwestię bezpieczeństwa, pani Lockholm - powtórzył Bruce Ismay. - Czy uważa pani, że tak doskonały statek, jak ten liniowiec, powinien być wyposażony w aż tyle kosztownych łodzi ratunkowych? Może raczej wystarczyłaby jedna kamizelka na osobę?

Wszyscy, łącznie z Bayem, spojrzeli na Audrey z zainteresowaniem.

- Cóż, jestem naprawdę obyta z wodą, panie Ismay - odrzekła Audrey bez cienia chępliwości. - Dobrze pływam i potrafię łowić ryby; umiem też żeglować. Od dziecka uwielbiałam ocean, gdyż urodziłam się i wychowałam w Newport, na Rhode Island, blisko międzynarodowego portu i nabrzeża. Wiem zatem, że ocean bywa kapryśny. .. a skoro to wiem, zawsze będę przedkładać bezpieczeństwo nad koszty. Mogę tylko pragnąć, aby pan - i mój mąż - mieli podobne nastawienie.

- Dobrze powiedziane, pani Lockholm. - Bruce Ismay z uznaniem uniósł ku niej kieliszek w toaście. - Tyle że takie nastawienie sporo kosztuje - dodał.

- Moja skóra jest cenniejsza! - wypaliła Audrey, po czym wszyscy się roześmieli, nawet prezes Ismay.

Reszta obiadu upłynęła w miłej atmosferze. Wreszcie kapitan Smith podziękował wszystkim i oddalił się wraz z Dove do swej kajuty. Ludzie od Harlanda & Wolffa uczynili podobnie. Ismay bąknął coś o zwyczajowej popołudniowej drzemce i poprosił Audrey, by wieczorem zechciała zarezerwować dla niego taniec.

Natomiast Bay ujął ją po prostu pod rękę i bez słowa poprowadził do apartamentu.

- Dobrze, powiem ci - zaczęła z determinacją, kiedy jeszcze szli korytarzem. - Musisz zrozumieć, Bay, że to dla mnie bardzo...

Nie dokończyła, bowiem zaraz za zakrętem omal nie wpadli na Burty'ego, który z rozmachem otworzył drzwi swej kabiny.

Był ubrany w zupełnie nieodpowiedni dla tej pory wieczorowy strój. Jego wygląd świadczył o tym, że nie zdjął go od poprzedniego dnia. Poły koszuli wychodziły ze spodni, opuszczone szelki plątały się między nogami, a stopy odziane były jedynie w czarne skarpetki. Niegolonny zarost, zmierzwione włosy i nabiegłe krwią, podpuchnięte oczy dopełniały żałosnego obrazu. W obu rękach taszczył byle jak zapakowane walizki, a trzecią popychał kolanem.

Bay w paru krokach znalazł się u boku przyjaciela.

- Widzę, że nie jesteś zadowolony z apartamentu - powiedział, schylając się po trzecią walizkę. - Pomogę ci, dopóki nie znajdziemy stewarda.

- Mam gdzieś stewardów, żony i całą pieprzoną resztę! Poza tobą, Bay. Ty jesteś w porządku. - Burty był trzeźwy, ale chwiał się na nogach jak pijany. Może wykończyła go nieprzespana noc.

Audrey nie rozumiała, co mogło się stać. Pomyślała tylko ze zgrozą, że już się zaczęło. Cokolwiek widziała madame Romany w swojej wieszce wizji - już się zaczęło. Zaczęło się i nikt nie zdoła tego powstrzymać.



- Powiedz, Burty, co się stało? Powiedz! - poprosiła z taką desperacją, że obaj mężczyźni wyprostowali się i spojrzeli na nią zdziwieni.

- Nic. A już na pewno nie ma to nic wspólnego z tobą, Audrey - zapewnił Burty, wskazując gestem drzwi. - Jak chcesz, zapytaj tej tam... może ci powie. - Szarpnął walizki i przecisnął się z nimi obok Audrey w wąskim korytarzu. Bay ruszył w ślad za nim.

- Zaczekaj na mnie, Aud - zdążył jeszcze powiedzieć, muskając wargami policzek żony.

Audrey weszła do pomieszczeń, które dzielili wspólnie z VanVoorstami, minęła salon, sypialnię i stanęła przed drzwiami sąsiadów.

- Tor? Jesteś tam? Mogę wejść? Nie doczekała się odpowiedzi.

Burty mówił, że Tory jest w środku. Skoro nie odpowiedziała przyjaciółce, widać wolała być sama. Może chciała się wyplakać bez świadków? Jeśli tak, to Audrey rozumiała ją doskonale.

## Rozdział 10

---

**W**sypialni panował niehumanitarny bałagan. Burty powyrzucały rzeczy z szuflad, pakując się w koszmarnej ciszy. Ani słowa zrozumienia, pocieszenia, żalu czy czułości. Zabrakło nawet zdumienia. Wiadomość, wygraną w karty od Teddy'ego Royce'a, przyjął za prawdę i nawet nie żądał wyjaśnień. Jego twarz wykrzywił wilczy grymas nienawiści i zranionej dumy. Burton VanVoorst miał dla żony już tylko lodowatą obojętność i tego właśnie Tory nie mogła znieść.

Nie mogła!

Pigułki zagrzechotały w fiolce, a potem na jej dłoni. Zaraz mu pokaże! Jeszcze będzie żałował...

Czy spuszczą ją do morza, owiniętą w kir, czarny jak jej czarna krew? Czy orkiestra zagra bluesa z Luizjany?

Siedziała na łóżku z kolanami przyciągniętymi do wzdętego brzucha i przyglądała się mężowi zapinającemu w milczeniu kolejne walizki. Złapała się na tym, że nieświadomie pociera ramiona, a potem nogi, jakby chciała zmasać złocisty odcień ze skóry. Chwilę wcześniej Burty oznajmił drewnianym, wypranym z emocji głosem, że odchodzi, przenosi się do innej kabiny; że w Nowym Jorku porozumie się ze swoimi prawnikami i że ona powinna zrobić to samo... Że zabezpieczy byt jej i ich dziecku, więc nie będzie musiała się martwić, czy umrze z głodu.

Powiedziawszy to, wyszedł. Po prostu wyszedł, spakowany byle jak, źle ubrany, a właściwie w ogóle nie ubrany.

Nie powiedział: „Do widzenia”. Nie powiedział nawet: „Idź do diabła!”. Nawet nie spojrzał jej w oczy.

O, Boże miłosierny!

Jakim cudem złamane serce może jeszcze bić?

Czy Burty również cierpi? Miała nadzieję, że tak. Chciała, żeby cierpiał.

To jednak było mało prawdopodobne. Burty szybko otrząśnie się z upokorzenia. Będzie żył, działał, znajdzie sobie inną. A ona? Ona nie była do tego zdolna. Burty był przecież całym jej życiem, zawsze, od pierwszego spotkania. Tracąc go, traciła wszystko.

Och, głupia, dlaczego uświadomiła to sobie dopiero teraz? Jak mogła kiedyś myśleć, że potrafiłaby żyć bez swojego misiwatego, przysadzistego Burtykinsa, który składał jej na klęczkach hołdy czci? Kochała go do szaleństwa, a jednak nie chciała się do tego przyznać. A zwłaszcza nie chciała, żeby Burty o tym wiedział. Miłość czyniła ją zbyt wrażliwą, zbyt zależną - tak myślała. Bała się tego.

I przegrała.

Przesada! Zamiast rozpaczać, powinna się raczej cieszyć, że tak długo uchodziło jej na sucho. Szczęściara z tej Almy June! Nie każdy murzyński dzieciak z rynsztoka wspina się na wyżyny. Zgubiła ją pycha, to się zdarza. Dziewczynka myślała sobie, że jest zbyt piękna, dzielna, wytrwała i mądra, by pozwolić kłamstwu wyjść na jaw. Łudziła się, że w końcu kłamstwo stanie się prawdą.

Po co kłamała? Mój Boże, każda zrobiłaby to samo na jej miejscu...

Zresztą, czyż w zamian nie dała Burty'emu radości? Tak bardzo starała się wcielić się w jego wymarzoną Królową Śnieżkę. I udało się. Burty był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, dopóki...

Och, gdyby nie ten cholerny Rolls Royce!

Gdy jednak zło nie kryło się w niej, a nie w Rollsie albo Burty? W końcu to ona uwiodła podstępnie księcia z bajki i usiłowała przez lata utrzymać złudzenia. Płaciła ogromne sumy z jego pieniędzy, by zachować swój grzech w tajemnicy. Trzeba było przecież podmienić metrykę, wyrobić sobie nowe nazwisko, dopisać fikcyjny życiorys. Nigdy natomiast, w ciągu tych wszystkich lat, nie odważyła się stanąć przed nim i wyznać mu prawdę.

A gdyby spróbowała...

Gdyby którejs nocy, kiedy leżał szczęśliwy i zaspokojony, jeszcze mokry od miłosnego potu... gdyby wtedy z łkaniem wydusiła z siebie, że musi mu wyznać pewną okropną rzecz...

Może wtedy odpowiedziałby tak, jak często mawiał: „Cokolwiek

zrobiłaś, Tor, i tak ci wybaczam. Więc powiedz teraz wszystko tatusiowi, wypłacz się i zapomnij o całej sprawie. No, już, wszystko będzie dobrze..."

Zgoda, pewnie najpierw byłby wściekły, rozżalony... ale w końcu otworzyłby serce dla miłości.

Wtedy mógłby jej wybaczyć.

A wybaczywszy, pomógłby uchronić tę tajemnicę przed światem. Zrozumiałby wszystko, bo wyznałaby mu wszystko - dlaczego oszukiwała go, twierdząc, że nie może mieć dzieci; dlaczego musiała ukrywać prawdę o tej kropli czekoladowej krwi, która kryła się tak głęboko. Zrozumiałby, dlaczego tak bardzo dbała o swoją urodę - z lęku przed odrzuceniem...

Czyż nie widziałeś, Burtykins, jak się starała, w obawie, że nie jest tak piękna, tak biała, jak inne?

Zrozumiałby, wybaczył...

Lecz ona nie znalazła w sobie dość odwagi. Za bardzo się bała, miała zbyt wiele do stracenia. Co by bowiem zrobiła, gdyby jednak nie wybaczył?

Teraz znajdzie sobie inną, a jej nigdy nie zapomni i nie wybaczy. Kupił sekret za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a potem odegrał tę sumę w karty, zwracając wolność Tory VanVoorst, by mogła znów stać się Alną June.

Złamał jej serce.

Nazwał „czarną cipą”.

On, który mówił o niej „moja Madonno”.

Tory wsunęła dłonie między uda, kuląc się na łożu i boleśnie zaciskając powieki. Czarna cipa, która kiedyś była królową!

Och, jak długo może ciągnąć się za nią ta jej przeszłość? Dlaczego nie liczą się jej biali przodkowie, a tylko czarni? I co z tego, że ma odrobinę - naprawdę tylko kropelkę - czarnej krwi? Przecież wszyscy ludzie, zranieni, krwawią na czerwono.

Z jakiej racji, Burty, twoja biała skóra jest lepsza niż moja, złocista? Czemu nagle dziś stałam się mniej warta niż wczoraj?

Zwlokła się z łóżka i otworzyła drzwi na prywatny pokład, by po

raz ostatni popatrzeć na świat. Popołudnie było piękne i łagodne. Ocean połyskiwał błękitem, a słońce złociło szczyty fal, gładko toczących się w nieskończoność. *Titanic* sunął niewzruszony przed siebie niczym planeta po czarownym, milczącym przestworze. I tylko wrzaskliwa asysta mew, towarzyszących mu ze wszystkich stron, przywracała zagubione myśli do rzeczywistości.

Odkręciła korek małej buteleczki i po raz kolejny wysypała na dłoń małe, okrągłe tabletki.

Trucizna - taka jak ona sama.

Uniosła porcję pierwszych sześciu tabletek do ust - i zamarła. W kącie werandy dostrzegła wpatrzoną w siebie Audrey Lockholm, dosłownie zeszytywniała z przerażenia.

Audrey nie uczyniła żadnego ruchu. W jej szeroko otwartych oczach widać było lęk i niezdecydowanie. Wreszcie zakryła dłońmi usta, a po policzkach popłynęły jej łzy.

Tory zawahała się i opuściła rękę, nie rozumiejąc, skąd nagle obok niej wzięła się przyjaciółka. W tym momencie Audrey skoczyła ku niej z krzykiem, zbiła ją z nóg i przygniotła własnym ciałem. Potem wepchnęła palce w jej gardło, wyszarpnęła pigułkę, po czym cisnęła ją w kąt. Zaczęła potrząsać ramionami Tory, ta zaś, wstrząśnięta i nie zdolna do oporu, z desperacką rozpaczą przycisnęła Audrey do siebie.

Po chwili obie śmiały się i płakały na przemian, Kiedy zaś wreszcie zabrakło im łez i tchu, Audrey przytrzymała przyjaciółkę za rękę i powiedziała dobitnie:

- Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś, ty idiotko, ale ci wybaczam!

- Nic nie zrobiłam - odpowiedziała Tory i znów rzuciły się sobie w objęcia z histerycznym śmiechem. - Jeszcze nic.

- Jak to? O co więc cały ten szum?

Tory sięgnęła po chusteczkę i porządnie wysmarkała nos.

- On się dowiedział, Aud. Dowiedział się, kim naprawdę jestem. Jestem... mieszańcem.

- Wiem.

- Och, ale nie pól Hiszpanką, tak jak mówiłam, tylko... tylko... -

Słowo „Murzynka” stało jej w gardle jak ość. Nie była w stanie go wymówić, wiedząc, że odnosi się do niej samej. - Jestem...

- Ciii... - Audrey zgarnęła jej czarne, splątane włosy i związała w gruby węzeł na karku. - Wszystko mi jedno, czy jesteś Kreolką, Eskimoską czy nawet Mongołką. Zrozum, nikogo to nie obchodzi, a przynajmniej nie na serio! Pamiętasz, że kiedy zaczęłam być z Bayem i byłam kompletnie zagubiona, ty jedna do mnie przysłaś i mi pomogłaś? Teraz ja marzę, by pomóc tobie, Tory. Jeśli mi tylko pozwolisz... Zobaczysz, udowodnię ci, że nikt z nas cię nie potępi. Naprawdę, kochanie.

Tory spojrzała na nią z westchnieniem.

- Kreolka - wyszeptała, ściskając dłoń Audrey. - Pięknie to ujęłaś.

- Słuchaj, a może się napijemy? - zaproponowała wesoło Audrey. - Szampana. Tylko we dwie. Tutaj, w samo południe. Urządzimy sobie małe święto, co ty na to?

Tory znów łzy napłynęły do oczu, ale skinęła głową, wycierając ciekący nos. Audrey wstała, otrzepała suknię, po czym przeszła do sypialni przyjaciółki, by złożyć zamówienie przez telefon. Zaznaczyła, że szampan ma być zimny.

Przy okazji rozejrzała się po pokoju. Burty opustoszył szuflady, ale zostawił walające się szczotki, parę lakierków, oprawną w ramki fotografię żony i nowy płaszcz z jagnięcym kołnierzem. Zostawił tu swoje serce, choć pewnie sam o tym nie wie, pomyślała z ubolewaniem.

Gdy wrócił Bay, zastał obie panie na tarasie. Siedziały na deskach i raczyły się szampanem. Audrey rozczesywała włosy Tory.

- Przepraszam, Bay, nie mogę teraz się tobą zająć - powiedziała. - Tory bardzo mnie potrzebuje, przecież wiesz...

- Wiem - przytaknął poważnie Bay Lockholm. - Burty powiedział mi o wszystkim. Przeniósł się do apartamentu Bruce'a Ismaya. Jest roztrzęsiony.

- Głupiec - skomentowała Audrey.

- Tak... Też mu to mówiłem.

Po tych słowach zostawił kobiety i udał się na najwyższy pokład,

by obserwować słońce, chowające się za bezkresny oceaniczny horyzont.

Nie można się grzecznie upić, to za cholere niemożliwe, dywagował Burty, wspominając, jak to naskoczył na Ismaya w salonie pierwszej klasy, gdy ten zaproponował mu łóżko w swojej sypialni. Najśmieszniejsze zaś było to, że on, Burty, i tak się zgodził.

Bruce Ismay, obleśny świętoszek... Jak można tak niezdrowo interesować się grzechami innych?

Zresztą, niech mu tam! Ważne, że będzie gdzie spać. Może się jeszcze dogadają. Burty bowiem rozumiał ludzi takich jak Ismay: podejrzliwych, lękliwych i ostrożnych, którzy usiłują żyć gładko i bez ryzyka. Broniących się przed przegraną, lecz nie próbujących wygrywać.

To ludzie niedzisiejsi, tradycjonaści, trzymający się „konwencji”, bez których nie wyobrażają sobie życia. Właśnie tacy jak on potrzebują ludzi pokroju Burty'ego - silniejszych, odporniejszych, ulepionych z twardszej gliny, którzy dochodzą do wszystkiego sami, bez wsparcia rodzinnych koneksji i pieniędzy. Z początku usiłują oni nie dopuścić takich twardzieli do swoich kręgów. Knują przeciwko nim albo demonstracyjnie ich ignorują. Próbuje się ich pozbyć.

Naiwni durnie! Nie wiedzą, że na prawdziwego mężczyznę poczynania wrednej, śliskiej kreatury działają jak ostroga. Rusza do ataku, miesza z błotem swego rywala, rozkłada na łopatki, by udowodnić, kto tu naprawdę jest panem.

I dlatego właśnie wszyscy Ismayowie tego świata prędzej czy później grzeczniutko podporządkują się tym, których nie są w stanie pokonać. Podporządkują się albo ustąpią z drogi tym prawdziwym zdobywcom, wiedząc, że nie mają szans w brutalnej rywalizacji.

Cóż, świat się zmienia. Teraz liczy się to, co naprawdę umiesz, co sam potrafisz zdobyć, liczy się odwaga i spryt, a nie to, co odziedzyczyłeś po ustosunkowanych przodkach. Świat się zmienia i wygrywa ten, który umie skorzystać z tych zmian.

Niech więc ten dupek Ismay mu nadskakuje, niech się przed nim płaszczy. Może nawet wyczyścić mu buty, jeśli Burty zechce. Widać,

że gotów jest wiele zapłacić za zaszczyt goszczenia Burtona VanVoorsta w swoich apartamentach. Chce się z nim zbratać? Proszę bardzo! Ale to braterstwo kosztuje, drogo kosztuje...

- Znałem człowieka, któremu przydarzyło się coś podobnego - tak powiedział Ismay, gdy Burty rozłożył swe bagaże w luksusowej kabine B-56. - Był na dnie, ale spotkał uroczą kobietę i jakoś się pozbiierał. Potem ożenił się z nią, a teraz mają już dzieci. O tamtej szybko zapomniał.

Cholera! Próbował go pocieszać! Ten maminsynek próbował po męsku pocieszać jego, Burtona VanVoorsta, który głęboko gardził takimi jak Ismay i miał ich za tchórzliwych nieudaczników!

Burty wyłuskał cygaro z kieszeni kamizelki, obrócił je w palcach, by rozluźnić tytoń, po czym zapytał spokojnie:

- Mogę zapalić?

- Naturalnie - powiedział Ismay, o którym Burty wiedział, że nie pali. - Na pewno tego teraz panu trzeba.

Ale nie potrzeba mi ciebie, patafianie, pomyślał z niechęcią Burty. Głośno zaś dodał:

- To jak pan mówisz? Co zrobił ten facet?

- Już po miesiącu poznał inną kobietę, o wiele więcej wartą niż tamta. Wrócił do życia...

Ismay wsunął bose nogi w aksamitne papucie z lisimi łebkami na czubkach. Siedząc w fotelu z adamaszkowym obiciem, założył nogę na nogę i pobujał lekko stopą. Lisie oczy z półszlachetnych kamieni błysnęły czerwono w świetle lampy. Ciota, bez dwóch zdań, pomyślał z niechęcią Burty. Ciota, choć ma żonę i dzieci.

- Czy chce pan powiedzieć, że moja żona była nic nie warta? - zapytał. Miał ochotę rąbnąć Ismaya w nos i poprawić papuciem z lisa.

- Ależ szanowny panie... - podjął ugrzecznonym tonem Ismay - bynajmniej nie miałem... Po prostu proszę mi wybaczyć.

- To czarnucha - prychnął krótko Burty. - Moja żona jest czarnuchą, wiedziałeś pan o tym? - Łyknął ulubionej whisky, zaciągnął się mocno dymem, a potem wypuścił wonny obłok prosto



w twarz gospodarza.

Ismay poczuł się nieswojo, zaś Burty'emu od razu poprawił się humor. Uwielbiał patrzeć, jak wiją się te śliskie glisty. Zaraz mu dopieprzę, pomyślał mściwie. Jeszcze parę minut, a będzie stąd wiał z podwiniętym ogonem.

- No cóż... w pańskim kraju - odezwał się wreszcie Ismay - rasa powoduje takie same problemy społeczne, jak u nas klasa. W Anglii nie zwracamy tak bardzo uwagi na kolor skóry, raczej na niskie pochodzenie...

- Rozumiem, że w Anglii wzięłby pan sobie spokojnie Murzynkę za żonę?

Prezes White Star Line pochylił się ku niemu konfidencjonalnie, wygładzając poły bonzurki.

- Miało się jedną, owszem... - uśmiechnął się porozumiewawczo - ale już dawno poszła w odstawkę. Tylko dzieci szkoda.

- Ty glucie. Ty zasrany angielski kutasie... - wycedził powoli Burty.

- Słucham? - Bruce Ismay sztywno wyprostował się w fotelu, po czym szybko podniósł się z miejsca. - Pan nie odpowiada za siebie, sir. Pozwolę sobie opuścić pańskie towarzystwo. Na jakiś czas - dodał, nadzwyczaj starannie wymawiając każde słowo.

- Nie gadaj, tylko zbieraj dupę w troki, ciulu! No, już, wynocha!

Ismay skłonił się sztywno i wycofał do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

- Proszę się czuć jak u siebie w domu - rzucił jeszcze obrażonym tonem i za moment rozległ się szcęk obracanego w zamku klucza.

Burty roześmiał się z ponurą satysfakcją. Głupi fiut! Jasne, że szkoda dzieci. To nieszczęście mieć za tatusia takiego pierdołę.

W walizce miał dwie piersiówki dobrej starej Bailey Best. A dokładniej mówiąc - półtorej. Powinno wystarczyć mu do kolacji. Potem podpuści tego rzeczno szulera i znów wygra od niego trochę forsy. Ogoli go do zera. Nikt nie lubi szantażystów, którzy chlapią jęzorem jak stara baba - nawet ten, kto tych brudnych plotek słucha.

Tak, Burty nie lubił Rolls Royce'a. Bardzo go nie lubił. I to nie

dlatego, że Rolls był oszustem. W końcu on, Burty, nie raz uciekał się do kłamstw i kręctw. Bez tego nie da się przecież robić interesów na wielką skalę.

Problem w tym, że Rolls robił to po łajdacku. I w tym, że miał pewnie każdą kobietę, jakiej tylko zapragnął, a może i więcej.

Trzeba przyznać, że bydlak jest przystojny. Tacy muszą się oganiać od bab. Ale Tory mu nie uległa, tego Burty był pewien. Gdy brał ją za żonę, była jeszcze dziewicą. I nie pozwoliła mu ma na żadne hocki-klocki przed ślubem. Doczekała cierpliwie, aż włoży jej pierścionek na palec, a potem zawiezie z fasonem nad Niagarę, i dopiero potem....

Dopił szybko resztkę whisky i znów napełnił szklanekę. Starannie strzepnął popiół z cygara, odchylił głowę na oparcie fotela i potarł dłonią zarosnięty podbródek.

Ależ to była noc! Ich poślubna noc, jego i Tory. Był tak spięty, tak niepewny, czy ją zaspokoi... Ciągle jeszcze nie wierzył, że ta cudowna kobieta należy do niego. Najmilsza, najweselsza, najseksowniejsza, najśliczniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział...

Trząśł się cały, kiedy ją rozbierał. To był jej pomysł. Całkiem dobry pomysł, bo dzięki niemu niemal od razu był gotowy. Najpierw jednak musieli wspólnie pójść pod prysznic - kolejny wspianiały pomysł jego żony. Piękno jej ciała dosłownie go olśniło, olśniewało go do dziś. Nie znał drugiej takiej doskonałości.

Wreszcie, mokrzy i nadzy niczym Adam i Ewa, padli na łożo. Wszystko stało się szybko. Trzy minuty - i gotowe. Przecież tak długo na nią czekał...

Widział jej krew, choć wcześniej nie słyszał bolesnego krzyku. „Rozprawiliś się z moim dziewictwem, Burtykins - powiedziała. - Teraz jestem twoja." Nie miała racji - skąd mogła wiedzieć, że jeszcze nie w pełni do niego należy?

Dopiero teraz mógł popatrzeć na nią spokojnie, bez tej gorączki, bez tego zaślepiającego, domagającego się natychmiastowego zaspokojenia pożądania. Podziwiał jej złocistą, gładką skórę, pełne piersi, tak bujne przy szczupłym ciele, różowe sutki, prężącego się

do niego prowokująco...

I znów był gotów do miłości, lecz tym razem to ona przejęła inicjatywę. Kochali się długo, całą swoją pierwszą, poślubną noc. Kolejne godziny wypełnione były wzajemnym poznawaniem się, smakowaniem, uczeniem na pamięć kształtów i zapachów. I dopiero gdy za oknem zaczął jaśnieć zimny, kanadyjski świt, Burty mógł powiedzieć, że oto „ognista Tory June” naprawdę stała się jego kobietą.

Był z tego dumny. Cholernie dumny.

Ech, pieprzyć to wszystko!

Wysączył pół szklanki whisky w dwóch łykach. Pieprzone sentymenty! Musi wziąć się w garść i pomyśleć o innych, jeszcze nie poznanych, równie ekscytujących kobietach. Mało to ich jest?

A jednak nie potrafił zmusić wyobraźni, by podsunęła mu jakąkolwiek wizję. Kobięce piersi, biodra, pośladki, łona i usta rozlatywały się jak potracona układanka, kiedy tylko usiłował z nich złożyć choćby jedno powabne ciało. Wszystkie zresztą wyglądały jak nieudolne imitacje Tory. Podobne do niej, lecz nie tak smukłe, nie tak jędrne i kształtne. Nie tak cudownie złociste, nie tak gładkie...

A może ta jasnowłosa rozwódka, Helen Churchill Candee?

Wszystko ma na swoim miejscu. Gdzie trzeba wklęśła, gdzie trzeba wypukła... Archibalda Gracie z mety owinęła sobie wokół paluszka, jak zresztą wielu innych. Może by tak dziś, po kolacji, spróbował polizać tego cukiereczka?

Pani Candee, czy można przepłynąć Atlantyk tak wspaniałym statkiem i nie przespacerować się choć raz po pokładzie, zalanym księżycowym blaskiem? Zechce mi Pani towarzyszyć? Zaznaczam, że blask księżycy zblednie wobec blasku pani osoby!

Powiedz sam, Burtonie Szekspirze, czy po takim zaproszeniu słodki cukierczyk sam nie wskoczy ci do łóżka?

Nie wskoczy. Cholera jasna, nie wskoczy. Cukierczyk szuka męża - jak wiele kobiet w czasie tego rejsu - i jest osobą na poziomie. Kobieta, która dba o reputację, nie pozwoliłaby sobie na romans z Burtonem VanVoorstem w czasie, gdy jego ciężarna, opuszczona żona samotnie rozpacza w swojej kabinie.

Dobrze, a gdyby tak któraś z pokojówek?

Albo zejść do drugiej klasy i tam poszukać. Te z drugiej nie dbają aż tak bardzo o reputację.

Nie, nic z tego. Zaraz zostanie zauważony i wzięty na języki; wszak druga klasa nie jest tak daleko od pierwszej.

W takim razie trzecia...

O, tak, tam warto zapuścić wędkę. Będzie mógł przebierać w hożych irlandzkich dzierlatkach, które płyną do Ameryki za robotą, oczywiście z pustymi kieszeniami, bo wydały wszystko na bilet. A jakby taka kłaczka okazała się sprytna, może łatwo załapać się do Godsend jako pokojówka...

Choć nie, jego murzyńska żona przejmie pewnie Godsend na swoją rezydencję. Niech tam, da jej ten dom w Newport. Tory go uwielbia.

Znowu Tory...

Tak jej ufał... Tak ją lubił... kochał Tory... Przez wszystkie te lata, kiedy go zwodziła, on ją kochał.

Złota dziewczyna.

Czarna dziwka!

Wychylił szklankę do dna, popiół posypał się ze zgasłego cygara. Chciał je zdusić na tacce, ale wysunęło mu się z palców i upadło na dywan. Schylił się po nie, macając ręką na oślep, i wtedy właśnie poczuł mdłości. Cholera, będzie rzygać. Tak jak Tory...

Natychmiast przypomniał sobie o ciąży, o dziecku. Tory będzie miała dziecko! Ich dziecko, Burtona Kings-leya VanVoorsta Juniora!

Usiadł w fotelu, zapominając o cygarze. Czarna cipa! Jeszcze i na to chciała go złapać. Alimenty, szkoły, rachunki, kucyki i zabawki - i tak do osiemnastu lat!

Ciekawe tylko, jak wytłumaczy się z tego dziecka? Pewnie będzie mówić, że to przypadek, że zdarzył się cud i oto zaszła w ciążę ona, która przez tyle lat mu wmawiała, że nie może mieć dzieci. Teraz wiedział, dlaczego nie mogła - żeby się nie wydało, że jest czarnuchą. A kiedy połapała się, że jednak zaszła, było za późno, by coś temu zaradzić.

Uśmiechnął się do siebie okrutnie. Dobrze jej tak! Pewnie przeżywa piekło. Pewnie martwi się, jakie będzie to dziecko - czarne czy białe. A może w łaty, do licha!

Zadzwoni do niej. Tak, właśnie teraz do niej zadzwoni i powie, że dla niego bachor może mieć nawet skórę w paski, jak zebra!

Szybko poprosił centralę, żeby połączyła go z jego pokojem... teraz z jej pokojem... a gdy usłyszał spokojny głos żony, zmieszał się nieco. Chyba nie płakała.

- Tor?

- Tak, Burt.

- Czy aby nie martwi cię, jaki będzie dzieciak po czarnej mamusce? - Chciał z niej zazartować, zorientował się jednak, że w jego głosie brzmi zbyt ni niepokój. Aby go ukryć, zmienił ton na twardy, wręcz brutalny. - Musisz mi wreszcie powiedzieć prawdę - rzucił krótko.

- Tak - powiedziała cicho. - Martwi mnie, jaki będzie. I to bardzo. Przez cały czas się modłę, żeby urodził się biały. Może tak będzie. W końcu ty jesteś ojcem, a ja mam w sobie tylko jedną czwartą murzyńskiej krwi.

- Dlaczegoś mi nie powiedziała? Kobieto, coś ty najlepszego zrobiła?!

Zdawało mu się, że widzi ją po drugiej stronie telefonicznej linii. Piękna Tory. Czarna, zbrzuchacona, blada. .. ale, mój Boże, wciąż taka piękna.

- Czasami zabrnę się daleko i potem nie sposób się wycofać - usłyszał w słuchawce. - Przecież wiesz, Burtykins.

- Zawsze można się wycofać - odparł wyraźnie znużony. - Trzeba tylko wiedzieć, jak, kiedy i gdzie. Tak jak ja teraz, zmywam się, odchodzę...

- Wiem, Burty. Spodziewałam się tego. Żegnaj. I proszę, nie dzwoń do mnie więcej w takim stanie.

- Ani mi się śni!

Przerwał rozmowę, a potem spojrzał na głuchą słuchawkę - czarną jak jego żona, mokrą od łez. Dopiero teraz zdał sobie sprawę,

że płacze.

RS

## Rozdział 11

---

**B**urton VanVoorst spędził cały czwartek w sypialni B-56, pogrążony w pijackiej drzemce. Nie słyszał fanfary pana Fletchera, wzywającej na obiad; nie dochodziły do niego słodkie, swawolne dźwięki orkiestry; nie widział połyskliwego błękitu Atlantyku, zmierzwionego szarozielonymi bryzgami bijącymi spod dziobu *Titanica*, który pruł pełną parą na północ.

Obudził się dopiero w środku nocy. Niebo zasnuły ciężkie chmury, a nieprzeniknioną toń znaczył jedynie mglisty, przyćmiony odblask pokładowych świateł. Powietrze było duszne, wilgotne i nieruchome.

Burty wyszedł na prywatny pokład kabiny Ismaya przy lewej burcie. Głowę miał ciężką, tępą i pustą. Czuł suchość w ustach i swój cuchnący oddech. Wieczorowe ubranie, teraz wymięte i prze pocone, zwisało na nim jak wór, a twarz pokrywał drapiący zarost, nie golony od poprzedniego ranka.

Wakacje...

Wcale nie tęsknił za tym beczynnym nieróbstwem. Został tu podstępnie zwabiony przez Tory.

Zacisnął dłonie na krawędzi nadburcia. Trwał tak, równie nieporuszony, jak sam statek. Z wnętrza nie dochodziła żadna vibracja turbin, najmniejsze drganie tłoków ani pulsowanie silników. Burty dostrzegał jedynie długi lodowatobiały kilwater, jaki pozostawiał po sobie *Titanic* na powierzchni oceanu.

Do licha, to naprawdę dobry statek.

A on jest dobrym człowiekiem, który dał się zrobić.

Nagle zapragnął znaleźć się w swoim biurze, przy telefonie, albo w klubie, gdzie dostałby ciepły posiłek i nikt nie zakłócałby mu spokoju. Stały ląd - to jedyne, co lubił. I ulubiona, pasjonująca praca, w której bez reszty mógłby się zatracić. Z dala od tych frymuśnie przystrojonych, wytwornych kabin, wyszukanych dań, wymyślnie

zaprojektowanych pomieszczeń. Gwizdał na egzotyczne miejsca - spotykał aż nadto wielu cudzoziemców na Wall Street. W swoich domach miał lepsze pokoje i dostawał wystawniejsze niż tu posiłki, jeśli tylko sobie tego życzył.

Praca.

Tak. Jedynie pracę lubił naprawdę.

Dom?

Och, oczywiście, że chciał wrócić do domu, do swojego własnego miejsca, gdzie mógłby cisnąć kapelusz na wieszak, rozpiąć kołnierzyk i nalać sobie własnej whisky do swej własnej cholernej szklanki.

A wakacje?

Niech sobie inni jeżdżą na wakacje! Niech ONA sobie jeździ. Niech pływa statkami do końca życia - on ma to gdzieś!

Zrzucił z siebie wymięte ubranie i zadzwonił po stewarda, gdy zaś ten zjawił się po chwili, wręczył mu spodnie, marynarkę, koszulę i skarpetki, po czym polecił krótko:

- Weź pan cały ten majdan i doprowadź do porządku. To wszystko. Aha, i przynieś mi filiżankę czarnej kawy.

W łazience tak długo stał pod gorącym strumieniem wody z prysznicą - choć nie tak silnym jak w jego domu - aż ból głowy wreszcie minął. Ogolił się. Zwykle nie golił się sam, ale co tam, do cholery, przecież zanim dorobił się pierwszego miliona, lata całe skrobał twarz własnoręcznie ostrzoną brzytwą.

Wytarł się do sucha, odetchnął głęboko, a potem włożył świeży i czysty wieczorowy garnitur. Od razu poczuł się lepiej.

Czy nie przyjemnie być znów samotnym kawalerem?

Tak, odpowiadała mu w tej chwili samotność. Pogratulował sobie, że nie zabrał w podróż Elgina, swego lokaja. A Elgin tak się napraszał, żeby płynąć...

- Ach, sir, Paryż wiosną, angielska wieś i dziewiczy rejs *Titanica*}. Na Boga, sir, błagam!

- Dosyć - uciął te prośby Burty. - Moja żona nie zabiera Anny, więc ja nie mogę zabrać ciebie, bardzo mi przykro. Przywiozę ci za to coś



z Bond Street, chcesz? Mów, co byś chciał dostać?

Lokaj klasnął z uciechy w dłonie.

- Rękawiczki, sir! Ale... czy to nie nazbyt śmiała prośba? Dwie pary białych rękawiczek?

I oto rękawiczki spoczywały już w podróźnej walizie Burty'ego, wraz z odrysowanymi na papierze wykrojami prawej i lewej dłoni Elgina. Burty kupił słuźącemu tuzin par, a także zestaw srebrnych szczotek z wygrawerowanym inicjałem „E” - to był akurat pomysł pani Twigg - umieszczonych w skórzanej kasetce czekoladowego koloru.

Owszem, doceniał zalety Elgina i uważał go za niezrównanego w swoim fachu. Znał jednak słabość słuźby do rozsiewania wszelakich plotek; lepiej szło im chlapanie jęzorem niż smarowanie kanapek. A Burton VanVoorst nie życzył sobie, by w Newport albo na Piętej Alei rozpowiadano, jak to dał się wystrychnąć na dudka.

Na samą myśl, jakie używanie będzie miała jego matka, czuł nieodpartą potrzebę chlapięcia sobie kolejnej szklaneczki whisky. Już widział, jak unosi wysoko swoje cieniutkie brwi, jak wytrzeszcza w osłupieniu oczy, aż wychodzą z orbit.

Na pewno będzie udawała współczucie: „Och, mój biedny, mały Burt — powie. - Pamiętasz, jak cię ostrzegałam? Twój biedny, świętej pamięci ojciec też. Oboje ci mówiliśmy, kochany, ale nie chciałeś nas słuchać...”

Przekłete baby! Zawsze cię dopadną. Nawet rodzona matka. Nie ma ucieczki przed ich szponami.

Przyniesiono kawę, do której Burty zamówił jeszcze butelkę dzinu oraz kubetek lodu. Klina wybić klinem - to najlepszy sposób na kaca.

Był już ubrany, kiedy wrócił steward z zamówionym alkoholem. Hunter, bo tak brzmiało jego imię, pomógł mu założyć kołnierzyk i wpiąć weń spinki. Przy Elginie Burty prezentowałby się zapewne bardziej nienagannie, wręcz bez zarzutu, lecz teraz nie dbał o krawiecki sznyt. Po co? Sukces towarzyski Burtona VanVoorsta nie zależał przecież od nieskazitelnej prezencji. To wypchany portfel otwierał przed nim drzwi wszystkich salonów.: Nawet z wyglądem

niedźwiedzia otrzymałby audiencję u angielskiego króla. Nawet przypominając słonia, poślubiłby królową, gdyby przyszła mu na to ochota.

Z jego forszą mógłby nago paradować po Main Street, wciskając kit, że goły tyłek to ostatni krzyk mody, a cały świat by mu tylko przyklasnął.

Przez jakiś czas zmagął się z satynową muszką, po czym zaniechał starań o przykładność węzła, jednym haustem dopił drinka i opuścił kabinę. Gotów był stawić czoła Rollsowi, gotów był na partyjkę pokera w palarni - tak właśnie zamierzał spędzić resztę podróży. Dni będzie przesypiał, aż do pory koktajlu, a co noc zabawiał się będzie po kawalersku. Tylko w ten sposób uniknie spotkania z tą czarnuchą.

Niestety, w ciągu następnej godziny Burty przegrał do Rolls Royce'a niemal trzydzieści tysięcy dolarów. Uznał, że dobra passa wyraźnie go opuszcza i postanowił przerwać grę, póki los się nie odwróci.

Rolls i dwaj panowie Archie - Archibald Gracie zwany Pułkownikiem A oraz Archie Butt zwany Majorem A - podziękowali mu za przyjemność wspólnej gry i obiecywali dać szansę rewanżu, choćby następnego wieczora. Żaden nie napomknął o jego żonie, nie nadmienił o zmianie kabiny, nie wypomniął wypijanych duszkiem kolejek dżinu z lodem.

Co stanowiło kolejny dowód, że ci gładcy, obyci faceci potrafili się wywinąć z każdej niezręcznej sytuacji. Dla takich cizie są grzeczniutki! Bubki bez jaj, frajerzy z pustą mózgownicą, pomyślał z pogardą, po czym chwiejnie skierował się w stronę schodów, prowadzących w dół, na pokład trzeciej klasy.

Tylko inna kobieta... jakakolwiek... jeśli chce zapomnieć o poprzedniej.

Wcisnął pięciodolarowy banknot stewardowi pilnującemu wejścia na pokład D i przyłożył palec do ust. Steward w lot pojął znaczenie tego gestu.

Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Nie miał pewności, czy znajdzie się tej nocy chętna, która chciałaby łatwo zarobić

dwudziestaka; no, może trzydziestaka, przecież potrafi być hojny!

Prawdę mówiąc, jako poślubiony swojej żonie małżonek Burty ulżył sobie parę razy z inną. O wiele razy za mało! Na przykład kiedy Tory wyjechała do Godsend w Newport, a on został sam na Manhattanie. Te dupodajki ze śródmiejskich hoteli dawały się rwać jak ulegątki. Rzucały się w oczy, zawsze siedziały same, jaskrawo wystrojone, nieprzyzwoicie wydekoltowane, i założywszy nogę na nogę, zadzierały spódnice, odsłaniając mniej lub bardziej kształtne łydki. Łatwizna...

Nigdy jednak nie zrobił tego, co miał zamiar zrobić teraz: zakraść się cichcem w same czeluście piekła, na miejscu posmakować zakazanego owocu.

- Uwaga! Proszę pana! - Potknął się o kogoś i usłyszał w ciemności piskliwy głos.

Zaklął cicho i odwrócił się za siebie. U swoich stóp dostrzegł dziecko. Dziewczynkę. Sześć, a może siedmioletnią. Siedziała skulona pod relingiem z ręcznikiem owiniętym wokół ramion, by ochronić się przed wiatrem. Mały chłopiec, który nie miał więcej niż pięć lat, przywarł ciasno do jej boku.

- Och, przepraszam cię, malutka - powiedział Burt, próbując ją ominąć. Dziewczynka chwyciła go jednak za nogawkę i spytała:

- Da pan piątaka, sir?

Nie była szczególnie ładna, za to bardzo brudna. Miała usmoloną twarz i upačkane ręce. Natomiast chłopiec był śliczny, o słodkiej twarzyczce i długich ciemnych rzęsach.

Burt sięgnął do kieszeni. Da tym małym paskudom po dwie ćwierćdolarówki, co tam...

- Coście za jedni? - zapytał, wyjmując z kieszeni garść drobniaków.

Oboje zachichotali. Mały wyciągnął równie brudną, jak u siostry rączkę w żebraczym geście.

- No co? Jakoś się chyba nazywacie, nie? Zapomnieliście języka w gębie? - Burt położył po ćwierćdolarówce na obu umorusanych dłoniach. Dziecięce palce zamknęły się wokół monet niczym kielichy

kwiatów lub zastygające w bezruchu skrzydła motyli.

- Ja mam na imię Keely, od Catherine.
- A ja się nazywam Keef - dopowiedział chłopiec.
- Nie Keef, tylko Keith - poprawiła go dziewczynka.
- A właśnie że Keef - upierał się mały.
- Naprawdę nazywamy się Thibault, ale tatuś używa teraz

nazwiska Miller - ciągnęła Keely. - Mówi, że to jest alias, wie pan, co to znaczy „alias”? Musieliśmy tak zrobić...

- Jasne - zawtórował Keef alias Keith. - Zostaliśmy porwani. To znaczy tatuś nas porwał.

- Bo musiał - orzekła Keely.

- Zaraz, zaraz - wtrącił się Burt. - Bo zagadacie mnie zupełnie. A w ogóle to gdzie się podziewa ten wasz tatuś? Przecież takie maluchy już dawno powinny spać.

- Jasne - przytaknął chłopiec i wziął siostrę za rękę. Po chwili oddalili się oboje chyłkiem i znikli w ciemnościach. Burt został sam.

Przez chwilę pomyślał o swoim „zbrukanym” dziecku, dojrzewającym w brzuchu Tory. Czy ono też kiedyś będzie się tak błąkać, niechciane i porzucone przez ojca? Och, nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

Nagle w mrocznym cieniu rufy wyczuł czyjąś obecność. Obejrzał się i zobaczył przed sobą ciemną, mocno zarysowaną postać.

Mężczyzna, odziany na czarno, niespokojny, bezsenny, jak on...

Nie, to kobieta. Musiał się zbliżyć, żeby to dostrzec. Przysadzista, tęgawa kobieta o kruczoczarnych włosach, owinięta ciemnymi fałdami płaszcza niczym skrzydłami nietoperza. Stara, szponiasta, z bielmem na oku.

Zatrzymał się odruchowo, zdjęty odrazą. Starucha spojrzała nań w ciemności świdrującym wzrokiem i w tym samym momencie dobiegł go przytłumiony dźwięk dzwonu, słaby i głuchy, jakby dochodzący gdzieś z oddali. Właściwie to nie był pewien, czy naprawdę go słyszy.

Bim-bom...

A potem znowu: bim-bom...

Kobieta poruszyła się, skrzyżowała ręce na piersi, przewróciła

jedynym widzącym okiem tak, że oba wydawały się teraz ślepe.

Burty jeszcze nigdy w życiu nie był tak przerażony.

Słyszał dzwon. Słyszał coraz wyraźniej. Może to boja dzwonowa, wprawiona w drganie uderzeniem przelewającej się fali? Ale skąd boja w tym miejscu? Znajdowali się przecież setki mil od lądu. Na wodach, przez które podążał *Titanic*, nie stawiano żadnych znaków nawigacyjnych. Wody te starano się minąć jak najszybciej, jak strefę złowrogiego cienia...

Bim-bom...

Zasłuchany w ten posępny dźwięk, nie był w stanie zrobić ani kroku. Kobieta bez słowa ruszyła w jego stronę, a on stał jak wryty, bezwolny i oniemiały.

Co to za jedna? Czarownica?

Przecięła mu drogę i trzymając ramiona ciągle skrzyżowane na piersiach, znikła w mrocznym wnętrzu statku. Dopiero teraz umilkł dzwon i zapanowała martwa cisza.

Burty dygotał. Czuł, jak miękną mu kolana, a serce łomocze ze strachu. Nagle otrzeźwiał i zawrócił do schodów, które wiodły w górę, by znaleźć się jak najdalej od tego ponurego miejsca. Nie chciał skorzystać z windy, nie chciał być na widoku. Wolał ukryć się w mroku i w spokoju przyjść do siebie.

Złowieszczy ton dzwonu, zapowiedź nieszczęścia...

I to powietrze, wilgotne, lepkie niczym dotyk upiora.

Włosy zjeżyły mu się na karku. Przyszło mu do głowy, że powinien jakoś uładzić się z tym światem. Gdyby przyszło mu teraz umrzeć...

Tory...

Nie! Nie chciał... nie mógł teraz myśleć o Tory. Myśl o niej złamałaby mu serce.

Bruce Ismay...

No właśnie. Zachował się grubiańsko wobec człowieka, który okazał mu wielkoduszność, który wyciągnął pomocną dłoń, kiedy on był w potrzebie. Ismay ofiarował mu nocleg w swojej kajucie, ofiarował towarzystwo. A on odpłacił mu za to ordynarnym

chamstwem. Trzeba to odkręcić.

Nie jestem złym człowiekiem, powtarzał sobie zawzięcie. Nie jestem. Niedoskonałym, to fakt. Lecz przecież staram się czynić dobro, gram fair, wyznaję pewne wartości. Jeśli więc umrę...

Bim-bom...

Ze szpary pod drzwiami kabiny Ismaya sączyło się światło. Burt zdał sobie sprawę, że pokonał schodami wysokość dwóch kondygnacji i nie napotkał żywej duszy. Wspiął się najpierw na pokład B, przeszedł sterburtą na pokład dla pierwszej klasy, bezmyślnie minął długi korytarz prowadzący do kajuty Tory, jego byłej kajuty. Koń zawsze wraca prosto do stajni, pomyślał.

Tory... Och, kochał Tory!

Delikatnie zapukał do drzwi kabiny.

- Proszę - usłyszał w odpowiedzi głos, w którym nie brzmiało zaskoczenie, zniecierpliwienie ani senność. Burty odniósł dziwne wrażenie, że Ismay go oczekuje, że dobrze wie, że ten, który go zwymyślał poprzedniego dnia i pił na umór dzisiejszego popołudnia, dotrze prędzej czy później do jego sypialni.

Burty przełknął ślinę i wszedł wolno do środka. Prezes White Star Line leżał w łóżku, ubrany do snu w błękitną jedwabną piżamę, i czytał książkę. Na nocnym stoliku stała karafka z brandy.

Na widok Burta odłożył książkę i gestem wskazał gościowi wiklinowy fotel.

- Proszę wejść, panie VanVoorst. Zastanawiałem się właśnie, gdzie też się pan mi zgubił?

- Gdzie się zgubiłem? - Burty z roztargnieniem odgarnął włosy z czoła. Nie spodziewał się po Ismayu takiego zachowania.

- No cóż, drogi przyjacielu - ciągnął gospodarz, - Wymaga pan teraz opieki. Czeka na pana posłane łóżko, świeża pościel, no i cała reszta. Nie widział się pan z żoną, to sprawdziłem. A chłopcy w palarni powiedzieli mi, że zrezygnował pan z gry jakąś godzinę temu.

Burty opadł na fotel. Był zmęczony, ale poczuł się o wiele lepiej w tym przytulnym pokoju, wypełnionym ciepłem płonących w kominku drew i światłem elektrycznych lamp.

- Zastanawiałem się właśnie - odezwał się znużonym głosem - jak wiele trzeba wiedzieć, żeby swobodnie poruszać się w tym królestwie. *Titanic* to jakby pałac z mnóstwem tajnych przejść i komnat, istny labirynt, w którym łatwo można się zgubić. Przynosi chlubę pańskim konstruktorom.

Ismay zręcznym ruchem wyślizgnął się z łóżka, wsunął chude stopy w aksamitne papucie z lisimi łebkami na czubkach i podszedł do wiśniowego biurka, które służyło za barek.

- Może kropelkę brandy? Taki pan blady.

- O, tak, dziękuję... Właściwie to przyszedłem przeprosić pana za moje zachowanie.

Ismay zamachał korkiem do karafki z rżniętego kryształu.

- Ależ przyjacielu, ja to rozumiem, dobrze rozumiem. Przeżywa pan bolesny kryzys.

- Mhm - Burty wziął z rąk Ismaya kieliszek i potrząsnął nim lekko. Tępym wzrokiem wpatrywał się w wirujący w środku płyn. - Widzi pan, ja ją kocham.

- Oczywiście, pan ją kocha, dlaczegóżby nie? Jest arcydziełem godnym najwyższego podziwu. - Ismay wrócił do łóżka i wyciągnął się u wezgłowia. - Wypijmy zatem za panią VanVoorst... i za pojednanie!

Burty uśmiechnął się na tę sugestię, po czym spełnił toast. Poczuł się rozgrzany i wzmocniony. Genialny wynalazek, ten alkohol.

Postanowił zapytać, czy Ismay nie ma czasem żeglarskiej mapy tej części oceanu i czy w tym rejonie nie sterczy z wody jakiś skrawek lądu z latarnią morską lub ostrzegawczymi dzwonami. Być może niepotrzebnie się bał.

- Niech pan posłucha... - zaczął, lecz Ismay przerwał mu w pół słowa.

- Mów mi Bruce, proszę, a ja się będę do Ciebie zwracał Burty. Zgoda?

Burty przytaknął i dopił resztkę trunku. Gdy zaś to zrobił, ogarnęła go od razu przemożna senność. Rozluźnił się, wyciągnął przed siebie nogi. Odeszła go nagle chęć wypytywania o mapy.

- W porządku. Twoje zdrowie, Bruce! - Sięgnął po karafkę i nalał sobie kolejną porcję brandy. Rozsiewała aromat słodszy niż kobiece perfumy.

- O, Chryste, ależ jestem zmęczony.

- To chodź do łóżka - powiedział Bruce Ismay, poprawiając poduszkę obok siebie.

- Co takiego?

- Chodź do łóżka - powtórzył Ismay swobodnym tonem i ponownie przyklepał poduszkę.

Burty osłupiał. Cholera, co za dzień...

- Chciałem poderwać jakąś lalunię — wyznał i osuszył kieliszek do dna.

- Oczywiście - odparł Ismay, dopijając resztkę swojej porcji. - Ale się nie udało.

- Nie. Miałem niefart.

Burty czuł, że już zasypia. Było mu ciepło, miękko, błogo. Patrzył na przyćmione żółte światło, na gładko wypolerowane meble, tak przytulne, tak bezpieczne, tak domowe, i wiedział już, że nie zdoła zmusić się do wysiłku. Po co zresztą miałby się wysilać?

Ismay zgasił nocną lampkę i wsunął się pod prześcieradło i koc.

- Nie wstydz się - powiedział. - Możesz zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że jestem jakąś piersiastą Bessie o gorących biodrach.

- Belindą. - Burton przeciągnął dłonią po twarzy. - Lepsza będzie Belinda.

- Niech więc będzie Belinda.

Dlaczego nie, przemknęło przez skołataną głowę Burty'ego. Jest taki zmęczony, tak bardzo zmęczony... I taki przerażony. Kompletnie zagubiony. A teraz utuli go ten obleśny pedzio. Obłąd? Oczywiście, że obłąd.

Wstał, żeby się rozebrać. Ściągnął marynarkę.

- Ale dlaczego ja? - zapytał i ziewnął głośno. - Nie jestem parową. Tacy jak ty wolą chyba słodkich chłoptysiów.

Ismay splótł dłonie na kocu.

- Znasz takie powiedzenie: „dziewczyna w każdym porcie”?



- Masz chyba na myśli port w czasie sztormu. - Burt zrzucił spodnie, po czym usiadł, by zdjąć buty i skarpetki. Jeszcze chwila i wyciągnął się z rozkoszą w białej pościeli, na miękkim materacu z gęsiego pierza. - Oooh... jak dobrze - westchnął.

- Masz śliczne cycuszki - zachwycił się Bruce Ismay.

- Odwal się od moich cycków, parafianie! - Burty zamknął oczy, w głowie kołatały mu się bezładne myśli. Pogrążył się w miękkim kokonie komfortu. Pod jego powiekami płonął ogień, jarzył się czerwonym i żółtym płomieniem, rozbłyskał żarem, zapadał gdzieś w niebyt. Przyjemnie... jak przyjemnie...

- Wy, Amerykanie, macie osobliwie prymitywne zapatrywania seksualne - mruknął tymczasem Ismay, przykrywając sobą znękaną ciało Burty'ego. - Naprawdę jesteś bardzo podniecający.

Lecz Burty nie słyszał już tego komplementu. Nic nie czuł i o niczym nie wiedział. Spał.

## Rozdział 12

---

*Piątek, 12 kwietnia*

**K**apitan Edward John Smith od samego rana miał wspaniały humor. Pogryzał ze smakiem croissanta i popijał kawę, a smakowały mu dzisiaj jak nigdy. Wszystko zdawało mu się lepsze, piękniejsze i szlachetniejsze, bowiem kapitan był zakochany. Bezgranicznie, ekstatycznie wprost zakochany.

Cóż to za przedziwne uczucie, napawał się E.J., celebrując ową myśl niczym świętość. Miłość oszałamiała go, zachwycała, dodawała sił. Sprawiała, że to, co dotychczas wydawało się sprawą najwyższej wagi, przemieniało się nagle w nieznaczną przeszkodę na drodze ku osiągnięciu prawdziwego sensu życia.

Miłość.

Silniejsza od namiętności, mocniejsza od pożądania.

Niczym sztormowa fala wdziera się w uładzony nurt przyjacielskich stosunków lub choćby zwykłej sympatii. Porywa, zagarnia i przenika do głębi. Miota sercem niczym huragan, gra w nim najwspanialsze hymny. Dokonywanie pomiarów nawigacyjnych i nanoszenie pozycji statku na mapę - dotychczas najważniejsza czynność, celebrowana każdego ranka - zdawała mu się teraz żmudnym obowiązkiem, na którym żadną miarą nie sposób było skupić uwagi.

Czy to nie dziwne, że dopiero u schyłku kariery odnalazł miłość swego życia? Było to uczucie przerażające i najcudowniejsze zarazem, nieodparte i nieuchronne. A co najgorsze - czy może najlepsze, któż to wie? - tak przelotne... Wiedział bowiem, że będzie trwało krótko, stanowczo zbyt krótko; wiedział, że wszystko skończy się bólem serca. A jednak był pewien, że to, co przeżywa, jest wspaniałe.

Ach, Dove...

- Proszę wybaczyć, sir - z rozmyślań wyrwał go drugi oficer,

Charles Lightoller, którego EJ szanował, co nie znaczy, że lubił. Szczególnie kiedy ten zakłócał mu marzenia o ukochanej. Dziś znów potajemnie zejda się tuż po lunchu w jego kabinie i zatracą w miłosnym kontredansie. Jeszcze tyle godzin, westchnął, zerkając na zegarek.

- Sir?

- Tak, Chuck, o co chodzi? - odparł kapitan, a w jego głosie nie zabrzmiała najdrobniejsza nawet nutka niezadowolenia.

- Odebraliśmy właśnie radiową depezę z *Empress of Britain*. Gratulują nam pierwszego rejsu, życzą powodzenia i ostrzegają przed dryfującą barierą lodową, między czterdziestym pierwszym a czterdziestym drugim równoleżnikiem i między czterdziestym dziewiątym a pięćdziesiątym południkiem zachodnim. To pole lodowe, podobno dość gęste. Trochę mniejszych i większych gór lodowych. - Lightoller wręczył kapitanowi przepisana na maszynie depezę.

- Ach, tak, rozumiem. - EJ. wsunął kartkę między strony dziennika pokładowego. - Dopilnuj, żeby przesłano kopię ludziom na wachcie. Lód chyba nie jest w tym rejonie i o tej porze czymś niezwykłym, nieprawdaż, przyjacielu?

- Nie, sir, jest czymś zupełnie normalnym - odparł Lightoller. Wyraźnie nie pogodził się jeszcze z nagłą degradacją z funkcji pierwszego oficera na drugiego. Prezes Ismay dokonał przeszerogowania w ostatniej chwili, w Southampton. Wszystkich to uderzyło, ale Liglitollera zraniło do żywego. Jednakże EJ. nie tolerował dąsów. Kierował się naczelną zasadą: żołnierz ma być żołnierzem, i to dobrym żołnierzem, bez względu na przeciwności losu.

Kapitan łagodnie dotknął mankietu z naszywkami drugiego oficera.

- No, a jak tam podróż, panie Lightoller? Dogadujecie się z panem Wilde'em?

- Tak, sir, dziękuję. - Lightoller potrafił docenić okazane mu zainteresowanie. - To dobry marynarz, wiele mogę się od niego

nauczyć.

- I o to właśnie chodzi - odparł E.J.. - Coś jeszcze? Wkrótce miał zrobić obchód całego statku i nie chciał go opóźnić. Pragnął jak najszybciej uporać się z codziennymi zadaniami, doprowadzić wszystko do ładu i skończyć przed południowym posiłkiem, by potem mieć czas tylko dla siebie. Dla siebie i Dove...

- Nadeszły też inne przekazy, sir - powiedział Lightoller, kładąc na kapitańskim biurku plik telegramów. - Wszystkie o podobnej treści. Gratulacje dla pana i dla *Titanica* oraz informacje o dostrzeżonych górach lodowych.

- Dobrze, niech pan przekaze te informacje wachtowym. Jeśli zdarzy się coś nowego, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Chyba nie spodziewa się pan jakichś nieprzewidzianych kłopotów?

- Ależ nie, panie kapitanie. Wszystko w porządku. Pozycja sprawdzona, przed nami czyste morze.

EJ. zerknął jeszcze raz do dziennika okrętowego:

- W czwartek przepłynęliśmy tylko trzysta osiemdziesiąt sześć mil, jak widzę. Sądzę, że to ciut za mało.

- Zwiększymy prędkość, sir. Przypilnuję tego.

- Dobry chłopak - powiedział EJ., po czym szybko odprawił drugiego oficera.

Szybko oszacował w myślach pozostały do przebycia dystans. *Titanic* posuwał się do przodu zaledwie połową mocy swoich dwudziestu dziewięciu ogromnych kotłów. Wskazywała na to ilość spalonego węgla. Jeśli tak dalej pójdzie, to nie uda mu się doprowadzić statku do Ameryki w rekordowym tempie.

Niestety, EJ. nie miał w tej kwestii wolnej ręki. Ismay uparł się, że zadaniem statku w barwach White Star Line jest zapewnienie maksymalnego luksusu podróży, a nie jej ekspresowe tempo.

- Mniejsza prędkość pozwoli pasażerom na delektowanie się dodatkowym posiłkiem i jeszcze jedną cudowną nocą na morzu - przekonywał. - To luksus i niezawodność zdobywają renomę armatorowi i dla luksusu ludzie kupują bilety. Pośpiech niech pan zostawi tym z Cunard Line, na ich własne ryzyko.

W rezultacie Cunard zwyciężała White Star w wojnie o pasażerów. Świat nabiera przyspieszenia, panie Ismay, myślał z irytacją EJ. Sprzedałeś się MM, bo linie White Star zaczęły podupadać pod twoją komendą. Dobrze, że przynajmniej ten Bayard Lockholm ma otwartą głowę. Zgodził się z opinią kapitana, że szybkość statku stanowi dodatkowy atut, choć też nie był skłonny kłaść na to zbyt wielkiego nacisku.

- Jeśli się okaże, kapitanie, że jesteśmy w stanie skrócić czas rejsu, będę niezmiernie rad, a pan J.P. Morgan z pewnością również - mówił nowy właściciel *Titanica*. - Musimy jednak zachować w tej materii najdalej idącą ostrożność, by pod żadnym pozorem nie wzbudzić wątpliwości, - że poświęcamy komfort i bezpieczeństwo na rzecz bicia oceanicznych rekordów. Gdyby jednak jakimś zrządzeniem losu nasz największy i najnowocześniejszy liniowiec przebył Atlantyk szybciej niż inne jednostki... No cóż, kapitanie Smith, byłaby to rzecz nie do pogardzenia, nieprawdaż?

EJ. uznał sugestię Lockholma za obowiązującą dyrektywę i ciche przyzwolenie, by podjął próbę - bez szarżowania, oczywiście - wprowadzenia *Titanica* do doków New York North River we wtorek, 16 kwietnia. Nie ma znaczenia, o której godzinie. Każda pora będzie dobra, jeśli tylko uda się dopłynąć we wtorek...

Kapitan Smith zaznaczył ołówkiem na mapie przebytą w czwartek odległość. Trzysta osiemdziesiąt sześć mil. Dobrze by było zrobić dziś jakieś pięćset.

Zebrał plik depeesz, które przyniósł Lightoller, i bez czytania wsunął je między kartki dziennika pokładowego. Cholernie troskliwi są ci goście z innych statków. To mi-ko że śledzą dziewiczy rejs *Titanica*, ale czy nie przesadzają z ostrzeżeniami?

Zresztą, ich sprawa. On, EJ., nie musiał się tym przejmować. Miał pod sobą największy statek, najlepszych oficerów i zgraną załogę. A przed sobą perspektywę rozkoszy z kobietą, która rozpałała jego serce i wznieciła w nim ogień namiętności.

Ach, Dove...

Smoke Lockholm była nieszczęśliwa.

Siedziała samotna przy stoliku dla dwóch osób w „Cafe Parisien” i smętnie dziobała widelcem w pucharku z owocową sałatką. Jej siostra-bliźniaczka zawieruszyła się gdzieś w trzewiach statku. Nie wróciła jeszcze na pokład B po sekretnej nocnej schadzce z Dannym. A Twigg spożywała śniadanie ze swoimi „nowymi przyjaciółmi” - z sir Cosmo i lady Duff-Gordon, którzy z bliżej niezrozumiałych pobudek poczuli do niej miętę. Do ich stolika dosiadł się też pułkownik Archibald Gracie i bez żenady flirtował z guwernantką, ku jej niewysłowionej radości.

To niesmaczne, pomyślała Smoke. Zupełnie nie jak dama. Po prostu człowiekowi robi się niedobrze.

Smoke czuła się rozdarta i zdradzona przez siostrę, która, całkowicie unurzana w grzechu i krętactwach, stała się na jej oczach zupełnie inną osobą. „Za sprawą cielesnego wtajemniczenia”, jak sama to określiła.

Dla niej, dla Smoke, ta inna osoba była po prostu rozwiązłą lafiryndą, podobną do ciotki Celeste, która mieszkała w Paryżu i prowadziła tak haniebny tryb życia, że nie wypadało nawet o tym głośno mówić.

Cóż, prawda jest taka, że Swan i Smoke nie są już bliźniaczkami. Inaczej się ubierają, inaczej myślą, inaczej postępują. I nie spędzają już razem czasu. Zaś ich siostrzane uczucia umarły - na zawsze.

Smoke nie czuła nienawiści. Na nienawiść przyjdzie czas później, przynajmniej miała taką nadzieję. Teraz czuła się po prostu głęboko zraniona. I samotna. Każdy z pasażerów statku był czymś zajęty - włącznie ze Swan - i tylko ona została sama. Opuszczona, pominięta, kompletnie zlekceważona. Zapomniana.

Wszyscy na przykład udawali, że nie dostrzegają jej przyciętych do ramion włosów. Nawet pani Twigg. No, ale po niej akurat Smoke nie spodziewała się niczego więcej. Twiggusia aż trzęsa się z podniecenia od duserów pułkownika Gracie i całkiem straciła głowę na jego punkcie.

Czy nie wiedziała, że pułkownik emabluje każdą niezamężną kobietę podróżującą pierwszą klasą? Każdą z wyjątkiem Smoke,

oczywiście.

Rodzice też byli nie do wytrzymania. Kiedy wczoraj Smoke poprosiła ojca, żeby zagrał z nią na pokładzie w rzucanie pierścieni, wykręcił się brakiem czasu. A przecież miał czas, zajęty był jedynie czekaniem na matkę, która poszła dotrzymać towarzystwa Tory. Zorientował się chyba, że sprawił córce przykrość, bo szybko zaproponował, że kupi jej lody albo jakąś pamiątkę.

Gucio! Nie chciała ani lodów, ani pamiątek!

A matka? Spędzała całe dni w kabinie Tory VanVoorst, zbolełej z rozpaczy po zerwaniu z Burty. Podobno bała się, że Tory poroni...

Boże, to też było nie do pojęcia. Przecież Burty wręcz ubóstwiał swoją żonę, niemal całował jej stopy!

Smoke wydobyła z pucharka z owocami trójkątny kawałek ananasa, nabiła go na widelec i śmiało podniosła do ust. Zaczęła zlizywać syrop, ostentacyjnie łamiąc zasady etykiety, jako że nikt, absolutnie nikt, nie zwracał na nią uwagi. Podobne maniery doprowadziłyby do palpacji panią Twigg, gdyby tylko raczyła zwrócić na Smoke uwagę. Lecz Twiggusia, cała w pąsach, pochłonięta był właśnie słuchaniem błahych facecyjek, którymi popisywał się ten galant, pułkownik Archie.

Burty jest chyba snobem, uznała Smoke, wracając do wcześniejszych rozmyślań. Odkrył sekret Tory i od razu poszedł w cug, jakby stało się nie wiadomo co. Smoke wiedziała o tym, co się stało, bo też mówili o tym wszyscy. Cały statek trząsł się od plotek, że to podobno ten Royce „się wygadał”, ten sam, w którym zabujała się Nicole. A swoją drogą to też było niezłe - Nicole lady Po-meroy w objęciach tego nicponia...

Za to Burty przeniósł się do pana Ismaya. Ciekawe, no nie? Twiggusia powtarzała, że VanVoorstow czeka prawdziwe piekło, jeśli zdecydują się na rozwód. Wszystkie gazety będą o tym pisać, a to podobno najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić. Twigg wyrokowała też, że w towarzystwie Tory „będzie spalona na zawsze”, a wówczas Burty popełni zapewne ten sam kardynalny błąd, który popełnił John Jacob Astor IV - pospiesznie poślubi „nie-

właściwą kobietę".

No cóż, Twigg miała, zdaje się, niezłego hysia na punkcie tych Astorów. Cokolwiek by się nie wydarzyło, zawsze wracała do nich w rozmowie. Jeden zrobił to, drugi owo, jeden lepiej, drugi gorzej. „Triumfy i porażki, wzloty i upadki - tak przebiegała, moja droga Smoke, historia tej rodziny. Słuchaj i ucz się, żeby nie popełnić podobnych błędów."

W skrytości ducha Smoke nie raz życzyła pani Twigg, by przyszło jej któregoś dnia pracować dla Astorów - najlepiej dla Madeleine, tej „niewłaściwej" żony Johna Jacoba Astora IV, która *nota bene* wydawała się Smoke jedną z najmiłszych pasażerek na statku. To ona pochwaliła ją za ślicznie przycięte włosy, takie *modern*, jak się wyraziła, a potem pozwoliła Smoke pobawić się ze swoją suczką o imieniu Kitty. Tak, Madeleine była życzliwa, uprzejma i bezpośrednia. Twiggusia zbzikowałaby, pracując dla niej, a to by Smoke uszczęśliwiło.

No bo naprawdę zasłużyła sobie na to ta stara prukwa! Tłusta, kłamliwa raszpla, nigdy nie kochała się z mężczyzną, a obsypuje sobie dekolt ryżowym pudrem, podobno dla ochłody... Głupi babsztyl. Nigdy nie miała orgazmu (tak to chyba się nazywa?), ale chichocze jak dzierlatka na widok róży, którą przysłał jej Archibald Gracie.

Stara panna, ot co. Nie warto nawet o niej myśleć. Lepiej pomyśleć o morzu i żeglowaniu. Na przykład o tej książce, nad którą spędziła cały poprzedni dzień...

Prawdę mówiąc, powieść ta wprawiła ją w przygnębienie. Napisano ją dość dawno, lecz Smoke miała wrażenie, jakby czytała dziennik swojej podróży na *Titanicu*. Oczywiście fabuła nie miała nic wspólnego z rzeczywistymi zdarzeniami, oprócz tego, że bohaterowie książki przemierzali Atlantyk właśnie w kwietniu.

Gała reszta była już inna, łącznie z tym, że powieściowy liniowiec zderzył się na końcu z lodową górą i wszyscy zginęli.

Właściwie to szkoda, że nie stanie się tak naprawdę. Smoke była gotowa pójść pod wodę wraz z całym tym cyrkiem. Nie zależało jej



na życiu.

Czego mogła się po nim spodziewać?

Że będzie wiecznie lekceważona?

Zostawiona na łaskę losu?

Że nikt nigdy jej nie pokocha?

Tak, ucieknie stąd, skoczy za burtę!

Albo jeszcze lepiej, pomyślała nagle, przypominając sobie swoje wczorajsze odkrycie.

Oto wczoraj, opuszczona przez wszystkich, myszkowała tu i tam po statku, nie mając nic lepszego do roboty. Dotarła do pomieszczenia radiotelegrafistów, bowiem kapitan Smith obiecał jej kiedyś zademonstrować, jak działa aparat Marconiego. John Phillips powitał ją przyjaźnie, uruchomił gałki i pokręta, a drugi operator, Harold Bride, pożyczył jej nawet książkę międzynarodowych kodów, która zawierała alfabet złożony z kropek i kresek.

Potem zostawiono ją znowu samej sobie, bowiem Harold i Jack (prosil, by mówić im po imieniu) musieli zająć się depezbami, nadchodzącymi bezustannie z Cape Race, stacji przekaźnikowej położonej podobno gdzieś hen daleko. Smoke usiadła więc przy pulpicie nadawczym i mimowolnie zaczęła przeglądać stare telegramy, których treść pospiesznie notowano w trakcie nadawania. Tłumaczono je na angielski i rozsyłano zgodnie z przeznaczeniem, a oryginały wpinano na szpikulec na drewnianej podstawce, by włączyć je później do kartoteki.

I właśnie wtedy Smoke trafiła się prawdziwa gratka. Przebierając w karteluszkach, wyłowiła ostatnią depezbę kapitana Stanleya Lorda ze statku *Californian*. Kapitan błagał Nicole, żeby do niego dołączyła. Był gotów przysłać nawet po nią łódź, byle tylko mogli być razem. Nicole stanowczo odmówiła - Smoke znalazła także jej odpowiedź.

Teraz przyszedł jej do głowy iście diabelski pomysł. Czy nie mogłaby mu odpisać? Oczywiście jako Nicole. Zapewni go, że chętnie skorzysta z jego zaproszenia, że zgadza się, żeby przysłał po nią łódź. „W sobotę wieczorem stop niewielką łódkę z dwoma zaufanymi wiosłarzami stop stop stop...”

Tak, to wspaniały plan!

Łódka, ma się rozumieć, przyplynie. Ale na pokład zejdzie nie Nicole, lecz ona, Smoke Lockholm, przebrana za ukochaną kapitana Lorda.

Zaufani wiosłarze nie znają Nicole. Niby skąd?

A na *Titanicu* zauważą jej nieobecność dopiero po kilku dniach. Nikogo przecież nie obchodziło, co robi i gdzie się podziewa. Gdy zorientują się, że mała Smoke zniknęła, będzie skandal, ale trudno. Niech żałują, niech tęsknią.

A jeśli kapitan Lord, odkrywszy maskaradę, zażąda w ramach rekompensaty jej ciała... Cóż, odda mu się z wyniosłą dumą, choćby był tłusty jak klecha, miał hak zamiast ręki i ohydnie śmierdział rumem. Zrobi tak, ponieważ za żadne skarby świata nie wróci na *Titanica*.

Zamiast tego popłynie do Londynu i rozpocznie nowe życie. Zostanie oficerem na okręcie brytyjskiej marynarki. Będzie najlepsza. A potem będzie dowodzić największym, najszybszym oceanicznym liniowcem w całej flocie. Kto wie, może za parę lat nawet samym *Titanikiem*?

Wiedziała, jak przesłać telegram, pan Phillips jej pokazał. Kiedy wyjdzie z kabiny, zajęty innymi sprawami, ona wyśle swoją depeszę.

Wstała szybko od stolika i nie zwlekając, pobiegła do pomieszczenia telegrafistów.

Jack Phillips oczywiście nie miał dla niej czasu, jak każdy.

- Przykro mi, panienko, ale mam teraz kupę roboty. Bride odsypia nocną wachtę i jestem sam. Proszę przyjść, jak się trochę obrobie. Powiedzmy, w porze herbaty - odparł, po czym odwrócił się do niej plecami i pochylił nad stertą papierów.

Smoke stała jakiś czas z założonymi rękami obok niego i odczytywała mu przez ramię kolejne depesze. Wszystkie były podobnej treści: gratulacje dla *Titanica* i ostrzeżenia przed potężnym lodowym polem. Zupełnie jak z powieści, którą wczoraj czytała.

W końcu dała za wygraną i odeszła. Wzięła lekcję tenisa, ale jej nie

szło. Dał się we znaki brak wprawy, a poza tym nie mogła się skoncentrować. Popływała trochę, a potem poszła do kabiny przebrać się na popołudnie. Nie spotkała ani siostry, ani rodziców. Nawet kochana Twiggusia, do której należało dotrzymywanie bliźniaczkom towarzystwa, znalazła sobie ciekawsze zajęcie niż spędzanie czasu ze Smoke. I bardzo dobrze! Przynajmniej nikt nie będzie jej przeszkadzał!

Włożyła białą sukienkę w żółtawym odcieniu, ozdobioną brązową lamówką i takimiż guzikami. Zaczesała jasne włosy z czoła, założyła je za uszy, potem zaś powędrowała do apartamentu rodziców. Nie zapukała, lecz wsunęła głowę w szparę uchylonych drzwi. W środku nikogo nie było. Udała się pod drzwi pokoju Tory, ale i tam nic się nie działo. Odgrodzono się przed Smoke murem prywatności i odosobnienia. Wyłączono ją ze spraw tego świata.

Chciało jej się płakać, ale się powstrzymała. Uniosła hardo podbródek. Dopiero kiedy odejdzie, będą żałować. Może pomyślą, że się utopiła? Gdyby tak się stało, oni byliby temu winni.

Niechciane kociaki się topi. Wkłada się je do worka jeszcze ślepe, żeby nie wiedziały, jaki los je spotyka...

Dobrze, nie ma co się nad sobą rozczulać. Musi sama zatroszczyć się o swój los - wyjąć z kieszeni przygotowaną wcześniej depeszę, ułożoną z poprawnej sekwencji kropek i kresek; odwrócić na kilka minut uwagę Jacka Phillipsa; wytelegrafować swój komunikat...

Nagle usłyszała za sobą czyjeś kroki i obróciła się gwałtownie. Korytarzem nadchodził Burton VanVoorst. Był zupełnie trzeźwy i stosownie ubrany w garnitur w drobne prążki.

- Witaj, moja mała.

- Powinien się pan wstydzić, panie Burty - odezwała się doń śmiało i cofnęła się o krok, by go przepuścić. - To potworne, że zamiast chlubić się swoją żoną, daje pan posłuch jakiemuś łachmycie z portowej spelunki! Przecież on to zrobił dla pieniędzy!

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się impertynencko. Znała Burty'ego dobrze i mimo wszystko wciąż lubiła. Ale za znęcanie się nad Tory gotowa była zniena-widzieć go do końca życia. Poza tym

teraz, kiedy i tak widzi go być może po raz ostatni, mogła sobie pozwolić na wszystko.

Burty kiwnął tylko głową, zacisnął usta i minął ją, by zatrzymać się pod drzwiami Tory. Smoke wciąż tkwiła na swoim miejscu, uważnie śledząc jego poczynania. Podniósł złożoną w pięść dłoń, zapukał. Nie doczekawszy się odpowiedzi, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej kopertę, którą wsunął starannie w szparę pod drzwiami.

- Zmykaj stąd, Smoke! Co się tak patrzysz? To nie twoja sprawa.

Zakręciła się na pięcie i szybko zniknęła za rogiem. Jasne, że to nie jej sprawa. Ani ta, ani żadna inna.

A przecież próbowała tylko pomóc...

Ciężkim krokiem, jakby szła na szafot, powlokła się na pokład łodziowy do pomieszczenia radiotelegrafistów. Było puste. Ale fart! Kiedyś Jack Phillips pouczał ją poważnie, że operatorowi nigdy nie wolno opuszczać tej kabiny, pod żadnym pozorem. Nawet chwilowa nieobecność może przynieść katastrofalne skutki. Dlatego też on oraz Henry dyżurowali na zmianę, każdy po dwanaście godzin. „Właściwie to powinno być nas trzech - utyskiwał. - Jesteśmy potwornie zmęczeni...”

Smoke od razu zgłosiła się na trzeciego, ale oczywiście nikt nie potraktował tej propozycji poważnie. Tolerowali ją, owszem, ale z pewnością tylko dlatego, że była córeczką właściciela i należało odnosić się do niej z uprzejmą atencją. Jednak w głębi duszy marzyli, żeby ta nieznośna pannica dała im święty spokój - Smoke była tego pewna.

O, tak, wkrótce da im święty spokój. Wszystkim. Na wieki wieków.

Zasiadła przy pulpicie nadawczym. Nikt jej nie przeszkadzał. Oficerowie, zaproszeni na mostek kapitański goście oraz udający się na pokład łodziowy spacerowicze obojętnie mijali otwarte drzwi kabiny radiowej. Zaczęła nadawać...

O rany, to naprawdę działa! Kreska, kropka, kreska...

Nagle połączenie przerwała pilna wiadomość z zewnątrz.

Och, nie, co powinna teraz zrobić?

Zaczęła rozszyfrowywać nadchodzące sygnały. Pochodziły z *La Touraine*, statku w barwach French Line, który płynął z Nowego Jorku do Hawru. „Uwaga lód - głosiła depesza - gruba lodowa pokrywa w okolicach czterdziestego pierwszego równoleżnika...”.

Cóż, nic nowego, to samo, co w innych telegramach: ostrzeżenie o lodowej przeszkodzie i nieustanne gratulacje dla *Titanica*.

Starannie zanotowała treść depeszy na kartce i położyła ją obok aparatu. Potem wróciła do swojego zajęcia: kreska, kropka, kropka, kreska...

- A, nieładnie - usłyszała nagle za plecami. Szybko oderwała palce od przycisku. W drzwiach stał młodszy radiooperator, Harold Bride, i patrzył na nią tak, jakby miał zamiar ją udusić.

- Och, to ty, Harold - zaszcebiotała - ale mnie przestraszyłeś. Zajrzałam tu wcześniej, ale Phillips był bardzo zajęty i pozwolił mi przyjść w porze herbaty, jak trochę opędzi robotę. Nikogo nie było, więc odebrałam wiadomość dla kapitana Smitha. Jak się miewasz? — uśmiechnęła się i odrzuciła spadające na czoło kosmyki.

Harold Bride miał niewiele ponad dwadzieścia lat, odrobinę mniej niż Jack Phillips. Wciąż patrzył na nią ciężkim wzrokiem, więc Smoke postanowiła wziąć przykład z siostry i trochę poplirtować, by uśmierzyć jego surowość.

- Czekam na kolejną lekcję - powiedziała zalotnie. - Chyba nieźle mi idzie, prawda? Zobacz...

Bride rozpiął mundur pod szyją. Niestety, wciąż kipiał złością.

- Dziwi mnie to szczególne zainteresowanie morską nawigacją, panno Lockholm. Młode damy nie gustują zazwyczaj w marynarskim rzemiośle.

- Myślałam tylko, że może jeszcze raz mi pokażecie, jak się nadaje telegram. - Smoke spuściła oczy z miną niewiniątka. - Chciałam się upewnić, czy potrafię.

- Przykro mi, jestem na służbie, panienko, i mam furę roboty. Może wskrobie trochę czasu po kolacji. A najlepiej by było, gdyby panienka zechciała przyjść z ojcem.

Ach, więc to tak! Ma ją za smarkulę!

- Dobrze, Haroldzie. Skoro muszę zawracać głowę ojcu, żebyś mógł mi wyświadczyć tę drobną przysługę, to...

- Przykro mi, panienko, ale proszę zrozumieć: jesteśmy na statku, który pierwszy raz płynie przez ocean. Kabina radiowa to uszy i oczy tego liniowca. Posuwamy się tak szybko, że musimy być czujni dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli panienka rzeczywiście chce się tu zadomowić, potrzebujemy zgody kapitana. Niestety, prawda jest taka, że przeszkadza nam nieco, kiedy ktoś się tu kręci.

- Czyżby? - Smoke kiwała się w przód i w tył na obrotowym krześle. Za chwilę obrazi się i sobie pójdzie, ale jeszcze nie teraz. Wydałoby się to zbyt podejrzane. Może zresztą zaraz nadejdzie odpowiedź z *Californiana*.

Po chwili aparat Marconiego rzeczywiście ożył. Zniecierpliwiony Harold Bride dał znak ręką, by Smoke ustąpiła mu miejsca.

- Na miłość boską, panno Lockholm, proszę pozwolić mi wykonywać moje obowiązki!

Smoke podniosła się z ociąganiem i wygładziła fałdy sukienki.

- Dobrze, Haroldzie, ustępuję ci miejsca. Zdaje się, że zaczynam cię irytować. Nie wiem, czy ojciec będzie zachwycony, kiedy się o tym dowie.

Młody człowiek posłał jej udręczone spojrzenie, po czym usiadł przy pulpicie i zaczął tłumaczyć nadchodzącą wiadomość. Smoke czytała mu przez ramię. Depeszę adresowano do Nicole lady Pomeroy, a nadawcą był... tak, kapitan Lord ze statku *Californian!*

**NAJDROŻSZA STOP DOSTAŁEM TWOJĄ WIADOMOŚĆ STOP  
OCZEKUJ ŁODZI W SOBOTĘ WIECZOREM STOP JESTEM  
SZCZĘŚLIWYM CZŁOWIEKIEM STOP STOP STOP**

Ale afera, pomyślała Smoke. Nicole odbierze telegram, pośle kapitana Lorda do stu diabłów i cały plan spali na panewce.

- Posłuchaj, Haroldzie, idę właśnie na spotkanie z lady Pomeroy i moją matką. Mam zabrać tę depeszę ze sobą czy zostać tu i poprzekadzać ci jeszcze trochę?

Harold Bride wahał się chwilę, wreszcie oderwał przepisany telegram i wręczył jej z niepewnym uśmiechem.

- Proszę ją wziąć, panno Lockholm. Dziękuję i... przepraszam. Przykro mi, ale naprawdę nie mam dla panienki czasu. Może w następnym rejsie będzie więcej luzu.

- To ja dziękuję za uprzejmość, Haroldzie. Do zobaczenia - odparła Smoke, złożyła kartkę na pół i odwróciła się do wyjścia.

Powędrowała krętymi korytarzami prosto na otwartą promenadę. Nikt z interesujących ją osób nie zażywał świeżego powietrza, a więc nikt nie mógł spostrzec, że wdarła się na mostek. Nikt też zapewne nie dojrzał, że skierowała się w stronę rufy, pod jeden z żurawików przytrzymujących wiszące łodzie ratunkowe, i metodycznie podarła depeszę od zakochanego kapitana Lorda na drobniutkie kawałeczki. Potem wysunęła rękę za reling i Wypuściła je z dłoni, a one poszybowały unoszone wiatrem niczym motyle.

Nie wiedziała tylko, że Harold Bride na wszelki wypadek skopiował treść ostatniej depeszy z *Californiana* i wręczył ją stewardowi, by ten dostarczył telegram adresatce do rąk własnych. Na marginesie, dla jasności sytuacji, zanotował: „duplikat”.

Nie ufał Smoke Lockholm i nie lubił jej. Najładniejsza dziewczyna, jaką widział, to fakt, ale nie warta funta kłaków. Jeszcze jeden rozpuszczony bacher nadzianych krezusów.

## Rozdział 13

---

**P**ani Twigg chodziła tam i z powrotem po dywanie rozłożonym przed łóżkiem Audrey i wyrzaskiwała swoje kwestie histerycznym głosem. Była odrażająca w swym gniewie, odpychająca w swym wściekłym zapamiętaniu, całkiem inna niż ta sama pani Twigg, która z rozanielonym uśmieszkiem słodkiej idiotki wysłuchiwała banalne komplementy pułkownika Archie'ego, a jego prymitywne umizgi traktowała tak, jakby były elementem najbardziej wyrafinowanego uwodzenia.

Jakież to smutne, myślała Audrey. Jakie dziwne, że choć tak bardzo staramy się być dobrzy, łagodni i uśmiechnięci, to nigdy nie udaje się pokonać tej tkwiącej w nas głęboko skłonności do okazania wyższości nad drugim człowiekiem. To stąd bierze się nienawiść, egoizm, lekceważenie. Nigdy nie uwolnimy się od tych grzechów i grzeszków, aż w końcu bez reszty nas przytłoczą.

Wiedziała coś o tym. Ona sama nie była lepsza. A przecież każdy, dosłownie każdy, miał coś na sumieniu i mógł liczyć tylko na Boże miłosierdzie, bo przecież nie na siebie. Każdy sam na sobie doświadczył, jak bardzo jest słaby i czym jest ludzka ułomność. Na przykład ona, na przykład Tory...

Audrey spędziła z Tory całą noc. Śmiały się i płakały na przemian, a potem zaczęły opowiadać o sobie i było to dla nich jak spowiedź. Przez wiele godzin siedziały na leżakach, opatulone kocami, podczas gdy północny Atlantyk owiewał pokład lodowatymi podmuchami. Tory wyznała Audrey mroczny sekret swojego podwójnego życia, Audrey zawierzyła przyjaciółce swoje tajemnice...

To była niezwykła noc. Popijając szampana, pogryzając ser i grejpfruty, zawierały sobie wszystko niczym najbliższe przyjaciółki, którymi rzeczywiście były.

Audrey opowiedziała o madame Romany z dolnego pokładu, Cygance-wróźbitce, a w rzeczywistości Esmeraldzie Diego z



publicznej plaży w Newport, skrzywdzonej przez zmarłą matkę Baya i przybyłej teraz, by się zemścić. Przyznała się do wypisania bez wiedzy Baya czeku na dziesięć tysięcy dolarów. Wyjawiała swój niepokój o męża, pochłoniętego teraz wirem interesów, i o przyszłość rodu Lockholmów...

Zrobi wszystko, mówiła, dosłownie wszystko, by ocalić Baya - okupi rodzinną klątwę i czekiem dla madame Romany przebłaga bogów.

Tory przyznała się, że wciąż trzyma w kieszeni pigułki śmiertelnego cyjanku. Śmiejąc się jak psotne dzieci, wyrzuciły tabletki, jedną po drugiej, za burtę, a na koniec cisnęły do Atlantyku niebieską fiołkę.

Potem zadzwonił Burty. Tory zachowała się z najwyższą godnością. Nie płakała, nie błagała o litość. „Teraz pójdzie się upić - powiedziała, odłożywszy słuchawkę po skończonej rozmowie. - Poszuka sobie jakiejś kobiety...”

Śmiały się do rozpuku, snując przypuszczenia, kto też zostanie ową wybranką. Pani Churchill Candee? A może Twiggusia! Albo owa madame Romany we własnej osobie, która wywróży mu przyszłość, kiedy uwali się na nią zamroczony oparami dżinu.

- Wiesz, Aud, Burty cholernie lubi mnie rozbierać - zagadnęła Tory. - A Bay?

I wtedy Audrey, która nigdy nikomu nie napomknęła ani słowem o „sprawach łóżkowych”, wyznała przyjaciółce, w jaki sposób Bay rozgrzewa ją przed miłosnym aktem - zrywa z niej po kawałku nocną koszulę, a ona naprawdę bardzo to lubi.

- O rany, drze ją na kawałki? - Tory opadła na oparcie leżaka, zanosząc się od śmiechu.

- Jak dzikus - przyznała Audrey i zasłoniła dłonią usta, mimo wszystko nieco skrepowana własną śmiałością.

W ten oto sposób tragedia przeplatała się z rozkoszą, łączy ze śmiechem. Smutek umacniał zażyłość, stratę rekompensowała nagroda...

Kiedy delikatna poświata leciutko zaróżowiła przymglony

horyzont, Tory nieoczekiwanie przeprosiła przyjaciółkę i oznajmiła, że musi iść do łazienki. Długo nie wracała, aż wreszcie Audrey, pełna wahania i trwogi, poszła za nią, by sprawdzić, co się stało.

W samą porę - Tory stała przed lustrem, zaciśniętymi palcami kurczowo chwytając się umywalki, a na języku, wysuniętym z na pół otwartych, zwiotczałych ust, powoli rozpuszczała się ostatnia żółta pastylka.

- Boże, Tory!!! - wrzasnęła Audrey i szybko wyjęła jej z ust pigułkę. Wrzuciła ją do sedesu i przepłukała przyjaciółce język, jednak Tory wciąż była blada jak płótno, wywracała oczami i słała się na nogach, podtrzymując nabrzmiący brzuch, jakby w ten sposób próbowała ochronić bezbronne dziecko.

Audrey chciała wezwać lekarza, lecz Tory ścisnęła jej rękę i potrząsnęła głową.

- Nie, Aud. Leć po Cyganke... - wyszeptała. - Ona będzie wiedziała, co robić. Wstydzę się lekarza... Na pewno powie, że... że dziecko... Boże, Aud, chyba zaczynam rodzić... albo umieram...

Audrey posłuchała bez słowa, choć nogi plątały jej się ze strachu i z zamroczenia - nie przywykła do mocniejszej dawki alkoholu niż jeden kieliszek szampana, a tym razem wypła całą niemal butelkę. Otuliła się czerwonymi jak rubin płaszczem, który wisiał w szafie Tory, i po cichutku, by nie zbudzić Baya (może zresztą wcale nie spał, tylko czekał na nią w kabinie za ścianą?), wymknęła się na korytarz pokładu B. Popędziła, chwając się lekko, do nieoświetlonych po północy tylnych schodów i szybko zbiegła kilka kondygnacji w dół, na pokład D, gdzie spotkała ostatnio staruchę w czarnym płaszczu.

Jakiś czas błądziła po omacku w mroku, aż nagle stanęła jak wryta na widok Burty'ego. Co on tu robił? Po co przyszedł? Szukać kobiety, która pozwoliłaby mu zapomnieć o Tory?

Zatrzymały go dzieci, te same opuszczone przez matkę sieroty, które niedawno nagabywały ją o kilka centów. Chciała go nawet zawołać, ale coś ją powstrzymało. Gdyby Tory umarła, i dziecko też, lepiej go w to nie wciągać. Był już dostatecznie zbolały. Nigdy nie

uwolniłby się od wyrzutów sumienia...

Jednak to właśnie Burty, oczywiście wcale tego nieświadom, pomógł Audrey odnaleźć starą Cyganke. Madame Romany wychynęła z nicości tuż obok niego, zupełnie jak gdyby wywołał ducha. Minęła Burty'ego bez słowa, lecz on stał jeszcze długo w tym samym miejscu, oszołomiony, rozdygotany i kompletnie pijany. Nigdy nie widziała go w takim stanie. Dopiero po jakimś czasie powłókł się ciężko w stronę schodów i opuścił pokład D, jakby się czegoś wystraszył.

Całe szczęście, nie zauważył jej, schowanej w ciemności i również drżącej z niepokoju. Kiedy jego kroki ucichły na podeście, Audrey wysunęła się z cienia i przywołała odchodzącą kobietę.

- Esmeralda!

Madame Romany odwróciła się i spojrzała w jej stronę czujnym jak zawsze wzrokiem.

- Kto tam? Kto woła? Zrobiłam, co miałam do zrobienia. Jestem zmęczona. Dajcie mi spokój. - Wyciągnęła przed siebie ręce obronnym gestem.

- Zapłaciłam ci - Audrey podeszła do niej szybko - i teraz cię potrzebuję.

Stara łypnęła na nią podejrzliwie jedynym widzącym okiem.

- Pamiętasz tę moją ciemnowłosą przyjaciółkę? - zapytała niecierpliwie Audrey. - Nazywa się Victoria VanVoorst. Chyba zaczyna rodzić, ale nie życzy sobie pokładowego lekarza. Wzywa ciebie.

- Pamiętam. - Madame Romany przeciągnęła dłonią po twarzy, jakby zdejmowała z niej pajęczynę.

- Więc chodź. Chodź ze mną - nakazała Audrey. - Szybko.

Nie chcąc budzić stewarda ani zwracać na siebie niczyjej uwagi, zrezygnowały z windy i schodami wspięły się na pokład B. Kiedy dotarły do kabiny B-51, Tory spała. A może była w jakimś transie, nieprzytomna z bólu i trwogi. Leżała skurczona na boku z rękami oplecionymi wokół brzucha, zaś jej urywany oddech z każdą sekundą stawał się coraz słabszy, coraz płytszy.

- Zostaw nas same - odezwała się Cyganka.

Audrey posłuchała bez sprzeciwu i prywatnym pokładem spacerowym przeszła do swojej kabiny. Dzień jeszcze nie nastał, świt mierzył się z nocą. Była ogromnie zmęczona, choć uporczywe myśli nie dawały jej spokoju. Czuła, że niebezpieczeństwo czai się wokół niczym stado wygłodniałych rekinów, że jest gdzieś blisko.

A jednak z jakiegoś dziwnego powodu przestała nagle martwić się o przyszłość. Zrobiła co mogła. Reszta była w ręku Boga ...

Bay drzemał, czekając na nią w sypialni. Gdy weszła, natychmiast się ocknął, by objąć ją mocnymi ramionami. Najdroższy Bay, zawsze kochający, zawsze na miejscu, nawet wtedy, kiedy był na nią zły.

- Masz mi zaraz wszystko opowiedzieć - rozkazał, całując ją czule w czoło. - Wiem, jesteś zmęczona, mów jednak, co to za kobieta z dolnego pokładu i dlaczego dałaś jej czek.

I Audrey zaczęła opowiadać. Najpierw o Tory - o tym, że kłamała, gdyż nie mogła ujawnić, że w jednej czwartej jest Murzynką; że jej panięskie nazwisko brzmi nie June, ale Brown i że pochodzi z linii Phineasa Browna; że usiłowała popełnić samobójstwo i teraz walczy o życie; że chyba zaczął się poród, na miesiąc przed terminem, a Tory, w obawie przed hańbą, postanowiła ukryć ten fakt przed światem i nie wezwała pokładowego lekarza, lecz posłała ją, Audrey, po starą Cyganekę, madame Romany lub, jak kto woli, Esmeraldę Diego.

Potem wyznała mu wszystko, czego dowiedziała się o Esmeraldzie Diego i jej córce Daphne, o jego matce Edmundzie Lockholm i jej przeklętej, zakazanej miłości do Jeffry'ego Eckklesa .

Bay słuchał, nie przerywając jej ani razu. Gładził tylko żonę po włosach, a kiedy skończyła, ucałował jej zamknięte powieki i wyschnięte wargi.

- Moje ty dzielne kochanie - rzekł miękko wprost do jej ucha. - Wiem, że jesteś zmęczona. Ale wciąż mi nie wyjaśniłaś, dlaczego tej zdesperowanej Meksykance czy Cygance, mniejsza z tym, podarowałaś w moim imieniu tak ogromną sumę pieniędzy.

Audrey była potwornie zmęczona. Wtulona w zaciszne

zagłębienie jego ramion, czuła, jak ciepło rozchodzące się po ciele obezwładnia jej udęczone członki.

- Och, Bay, mój drogi - wybąkała resztką sił. - Są takie sprawy, o których kobieta nie może mówić. O których mężczyzna nie powinien wiedzieć...

Nie wytrzymała dłużej i wybuchnęła płaczem.

On jednak nie wypytywał jej więcej, toteż szybko zasnęła w jego objęciach. A kilka godzin później do kabiny wpadła pani Twigg i zaczęła te swoje okropne wrzaski...

Audrey nie miała ochoty jej słuchać. Wolałaby dowiedzieć się, co z Tory, gdzie podziewa się Bay. Przede wszystkim zaś nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co wtłaczała jej do głowy rozjątrzona guwernantka: że oto przez matczyne zaniedbanie jedna z jej córek oddaje się ohydnej, obmierzłej, sromotnej rozpuście, cudzołóstwu i nierządowi z pokładowym muzykiem.

- Z takim pętakiem, z podrzędnym grajkiem! - pani Twigg na przemian lamentowała i wzdychała z bolesną rezygnacją. Podobno osobiście przyłapała Swan na gorącym uczynku, w niedwuznaczej, jak to określiła, pozie. Podobno nigdy w swoim życiu nie czuła się tak zgorszona i tak oszukana. Tak znieważona.

To wszystko wina jej, Audrey, matki bliźniaczek, perorowała guwernantka. Szanowna pani nie była dobrą matką, bo wolała swawolić jak jakaś młódka z poślubionym przed dwudziestu laty mężulkiem niż zająć się dziećmi, które prócz przyzwoitki potrzebują naturalnie także rodzonej matki.

A jeśli fakt, że ongiś niewinna córka pani Lockholm jest teraz zhańbiona, a jej reputacja zrujnowana, nie jest w stanie dostatecznie poruszyć matczynego serca, to ona, Twigg, ma również przyjemność donieść, że druga córka - ta, która w rozpacz obcięła sobie włosy, żeby choć na chwilę zwrócić na siebie uwagę - wysłała depezę radiową do adoratora lady Pomeroy, podszywając się pod tę ostatnią. Napisała, żeby kapitan Lord zabrał Nicole z pokładu *Titanica* w sobotę o północy, czyli w przeddzień szesnastych urodzin bliźniaczek, o których pani Lockholm z pewnością zapomniała.

- Koniec świata! - orzekła pani Twigg i przerwała na chwilę, żeby złapać oddech.

Zaraz jednak znów zaczęła trajkotać - o tym, że lady Pomeroy wpadła w furję i że wysyła właśnie zjadliwy telegram do kapitana Lorda; że wcale nie ma zamiaru dać się porwać i że nie życzy sobie, by odbierano jakiegokolwiek przekazy dla niej od tego natręta. Pan Ismay i pan Lockholm, którzy dotrzymują teraz towarzystwa roztrzęsionej markizie, zgodzili się oczywiście z jej żądaniem. Zaś co do Smoke i Swan, to siedzą zamknięte w swojej kabinie, ponieważ nie ma naprawdę innego wyjścia, aby uchronić je i wszystkich wokół od kolejnych głupstw, które mogłyby przyjść do głowy tym nieznośnym pannicom.

To już jednak nie jej problem, bowiem ona, Thelma Irene Twigg, pozostawia rozwiązanie tej sytuacji pani Lockholm, sama zaś - czując się sponiewierana i wykorzystana przez przyzwoitą, jak się jej wydawało, rodzinę - rezygnuje niniejszym z posady!

Boże, nie zniosę tego dłużej, myślała Audrey, przybita i zgnębiona. Wysłuchała pokornie pani Twigg i oczywiście czuła się winna.

Ale najbardziej przejmował ją teraz los Tory. Musi sprawdzić najpierw, co się dzieje z przyjaciółką, córki mogą poczekać. Tak, to Tory najbardziej jej potrzebuje...

- Droga pani Twigg, czy ma pani jakieś wieści o pani VanVoorst? - Audrey nieznacznie uniosła się z pościeli.

- Nie mam - odparła guwernantka z zaciętą miną. - I chciałabym dodać, że mogłam się spodziewać po szanownej pani takiej reakcji!

- Wybacz mi, proszę, Twigg - tłumaczyła się Audrey - ale naprawdę niepokoję się o przyjaciółkę. Widzisz, ona źle się czuje. Inne sprawy, nawet trudne, muszą poczekać, zrozum... Na razie jakoś ujarzmiłaś nasze dziewczynki. Wytropiłaś ich przewinienia, przekazałaś mi wszystko - i bardzo jestem ci za to wdzięczna A że chcesz nas opuścić... Cóż, jest mi z tego powodu bardzo przykro, lecz doprawdy, uważam, że niepotrzebnie się tak przejmujesz. Zresztą ta sprawa i tak będzie musiała poczekać, póki nie dołyniemy do Nowego Jorku. Wierzę, że do tego czasu się pogodzimy. A jeśli

zostaniesz, podwyższę ci pensję...

- A więc to tak! Wszystko wypaplałaś! - złościła się Swan. - Powyrywałabym ci wszystkie kłaki! Gdyby było co wyrywać...

- Ja? - Smoke była zdumiona jadowitym tonem siostry. - Ja? A co ty zrobiłaś?

Zbliżała się pora herbaty. Każda z sióstr siedziała na swoim łóżku, co chwilę jednak to jedna, to druga podbiegała do okna, brudząc od spodu cienkie skarpetki - Swan wyglądała Danny'ego, Smoke upewniała się, czy nie zbliża się aby *Californian*.

Niestety, za szybą rozciągał się tylko bezmierny, połyskliwy ocean oraz bezchmurne, błękitne niebo. *Titanic* przemierzał głębiny, samotny, dumny i niewzruszony, pozostawiając jedynie skłębiony wir za rufą.

Siostrzyczek nie obchodziła chwała *Titanica*. Nie obchodziło ich nic poza tym, że oto po raz pierwszy w życiu poczuły do siebie wrogość i nienawiść. Jak do tego doszło?

- Co za głupota! - Swan szarpnęła naszytą na ciemnoczerwonej bluzce aplikację w kształcie róży. - Adorator lady Pomeroy... Ty chyba upadłaś na głowę!

Smoke zbyła ją milczeniem. W roztargnieniu, z pałającymi od emocji policzkami i chłodem w sercu, przerzucała kartki albumu, wpatrując się tępo w fotografie statków. Oczywiście, udawała tylko, że je ogląda. Chodziło o to, aby uniknąć wzroku Swan.

Ta jednak nie dawała się zbyć.

- Jeśli już koniecznie chcesz dać nogę, siostruniu - mówiła protekcyjnym tonem - to oceaniczny liniowiec nie jest chyba najlepszym miejscem do tego typu wyczynów. Za dużo naczytałaś się bajek.

- Och, przestań wreszcie! - zachnęła się Smoke. - To była tylko taka zabawa, nic więcej. Nudziłam się, i tyle.

- Nudziłam się! A wiesz, że ta twoja głupia dziecinada zrujnowała moje poważne plany?

Smoke przestała przewracać kartki, ale nie podniosła oczu. Plany? Jakie plany?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała. - O rany, mów, bo spalę się z ciekawości.

- To, że Danny i ja mamy zamiar się pobrać zaraz po powrocie do domu - odparła siostra. - On nie wróci już do Anglii. Zostanie z nami, dopóki się jakoś nie urządzi. Prawdopodobnie będzie grał w nocnym klubie albo w jakimś teatrze. Dam mu pieniądze i być może sfinansuję przedstawienie teatralne. Ojciec mi pomoże.

Smoke wpatrywała się w siostrę z przejęciem.

- Naprawdę wyjdiesz za tego kmiotka, tylko dlatego że cię uwiódł? Nie wygłupiaj się, Swan. Może i jesteś lafiryndą, ale chyba nie zwariowałaś.

Swan rozparła się na poduszkach, wyraźnie z siebie zadowolona. Nie reagowała na zniewagi siostry. Przeciwnie - uśmiechała się jak kot pływający się w śmietance po same wąsy.

- Nie jestem żadną lafiryndą - odpowiedziała wreszcie. - Puszczalską tak, ale nie lafiryndą. Puszczalskie dają przystojnym facetom za darmo, lafiryndy biorą za to pieniądze.

- Założę się, że jednak wzięłaś jakąś opłatę, i to słoną - stwierdziła Smoke z przekąsem. - Coś musiałaś z tego mieć, jeśli nie pieniądze, to przynajmniej zaręczynowy pierścionek. Za darmo? O, nie, to nie ty, siostrzyczko...

- Właściwie to masz rację - odparła tajemniczo Swan.

- Boże, nie poznaję cię, Swanny. Kompletnie się zmieniłaś.

- Cóż, niektórym szybko zdarza się dorosnąć - Swan wstała i podeszła do okna - a niektórym nigdy.

Smoke zamknęła album i ostrożnie wsunęła go pod łóżko. Nie chciała uszkodzić ulubionej książki, gdyby doszło do bójki...

- Jesteś wyjątkowo tajemnicza, siostrzyczko.

- A ty zazdrosna - odcięła się Swan. - Tak mówi Danny. On cię nie znosi, bo też uważa, że jesteś zazdrosna. O niego i o mnie.

- Wcale nie jestem! - wykrzyknęła Smoke. - Ten baran wcale mnie nie zna! Dlaczego pozwalasz, żeby obrażał mnie w ten sposób? Można kogoś nie lubić, ale nie trzeba od razu zielenieć z zazdrości, prawda?



Wpatrywała się w siostrę, dotknięta i oburzona, ale czuła się nieszczęśliwa i zgnębiona jak jeszcze nigdy. Ten chłopak o ciepłych, namiętych wargach i Swan obrócili się przeciwko niej. Wszyscy obrócili się przeciw niej, cały świat. Nawet bliźniaczka, z którą przez dziewięć miesięcy (podobno właśnie tyle) siedziała razem w brzuchu matki!

- Poza tym uważam, że nie powinnaś z nim sypiać - powiedziała zduszonym głosem, bo nie chciała, by się nagle załamał i zdradził, że jest bliska płaczu. - Uważam, że nie jest ciebie wart. Przyznasz chyba, że nie ma ani pochodzenia, ani majątku, ani wykształcenia. A najważniejsze jest to, że wcale nie jesteś w nim zakochana, sama przyznaj. Przecież nie masz go nawet z kim porównać. Ten twój Danny jest nędznym, żalonym, przedwcześnie rozwiniętym prostakiem, zabawką, którą dałaś się oczarować.

- A skąd ty to wiesz?

- Wiem! Za to ty z pewnością nie dorostaś do tego, żeby wiedzieć, czego chcesz naprawdę. Nie mówiąc już o tym, że rodzice nigdy nie pozwolą ci go poślubić. Danny Bowen jest nikim, nawet nie umie poprawnie pisać. A ty jesteś dziedziczką. Odbiło ci i oddałaś dziewictwo byle muzykantowi z podrzędnej spelunki, ale i tak będziesz musiała z nim skończyć, raz na zawsze.

- Już? Wykład skończony, zazdrośnico?

- Nie! Powiedz mi jeszcze, co będzie, jeśli zaszłaś w ciążę? - zapytała Smoke z udawaną słodyczą. - Jak nie wiesz, to zaraz ci powiem: będziesz siedzieć w domu, na jakimś obskurnym poddaszu, i opiekować się przygłupim bachorem. I do końca życia zostaniesz starą panną...

- Ty jędo! - Swan cisnęła w siostrę srebrną szczotką do włosów. Szczotka trafiła Smoke w piersi i opadła na fałdy sukienki.

- Och! - Smoke podniosła szczotkę i zaczęła wrywać z niej długie złociste kosmyki siostry. - Jakie piękne włosy ma ta Swan! Aż dziw, że nikt jej nie chce! Ale co się dziwić, skoro jest starą panną. Kto by tam chciał nie swojego bachora?

Urwała nagle i spuściła ze skrucłą głowę. Zapadła cisza. Obie

milczały, czując, że posunęły się za daleko w tej gwałtownej kłótni.

- Przepraszam, Smokey - pierwsza odezwała się Swan. - Nie chciałam - ześlizgnęła się z łóżka i podeszła do siostry - wybaczmi, proszę...

Smoke przesunęła się bez słowa, robiąc Swan miejsce obok siebie. Wzięły się za ręce, splotyły palcami. W końcu Swan westchnęła głęboko i wyznała:

- Wiesz, Smoke, to wszystko dlatego, że to jest takie przyjemne. Nie wiem, ale chyba jestem jak ciotka Celeste. Czekałam na to, czułam, że będę to lubiła...

- Co, ksiuty? - Smoke przymknęła oczy z zażenowaniem.

- Tak. Czułam, że to wspaniałe. Nie chciałam dłużej czekać. Nie mogłam ci wyznać tego wcześniej, bo nie chciałaś słuchać, nie rozumiałaś... Zawsze tylko na mnie prychałaś. Dałam więc spokój i zwierzyłam się jedynie swojemu pamiętnikowi.

- Niedobrze mi, jak o tym myślę - odparła Smoke ponuro. - Rozbierać się do naga przed chłopakiem. Potem on sam się rozbiera, a potem wkłada ci ten... ten interes... do środka...

- Nawet nie wiesz, jakie to cudowne.

- E, tam...

- Naprawdę. To ja zmusiłam Danny'ego, on wcale nie chciał.

- Myślałam, że to mężczyźni nie potrafią się opanować.

- Jak osiągną już pewien etap, to nie potrafią. Ale Danny nie pozwoliłby sobie na to, gdyby nie ja.

- Jak to?

- No, gdybym go nie ponaglała.

- Naprawdę to zrobiłaś, Swan? Boże, dlaczego?

- Dlatego że zawsze, jak widzę jakiegoś przystojnego chłopaka, to czuję taki miękki ucisk w środku, że nie wiem co. Marzę, żeby mnie dotykał... Aż mnie świerzbi, żeby to zrobić...

- Ale... skąd to się bierze?

- Nie wiem. Przychodzi samo z siebie.

- Ale przecież ja...

- Wiem, ty jesteś inna. Widocznie istnieją dwa rodzaje kobiet.

Jedne gorące, drugie zimne. Ja jestem jak upał, a ty jak mróz. Zewnętrznie jesteśmy takie same, ale w środku całkiem inne. Ja mam po prostu całe to gorąco, za nas dwie, rozumiesz? No, powiedz, że rozumiesz.

Smoke westchnęła tylko głęboko. Wiedziała, że to, co mówi Swan, jest nieprawdą. Ona też była gorąca. Kiedy na przykład Danny Bowen pocałował ją przez przypadek...

Postanowiła nie mówić o tym siostrze.

- Ale żeby tak od razu wychodzić za mąż za pierwszego chłopaka, który ci się spodobał? Nie chcesz być na balu debutantek? Będziemy mieć piękne stroje, chodzić na przyjęcia, świetnie się bawić. Potem, jak minie sezon, będziesz mogła poślubić, kogo zechcesz. Na pewno będzie tłum kawalerów; nie chciałabyś któregoś z nich?

- Chciałabym - odparła Swan rozmarzonym głosem. - Ale widzisz - wzruszyła ramionami - nie można mieć wszystkiego. Ja chcę Danny'ego. Jest miły i kochany. I nie poluje na posag.

- Akurat!

- Słowo honoru. Najbardziej pragnie grać na skrzykpcach, a jak będzie już stary, uczyć grać innych. Łowcy posagów nie mają takich ambicji. Poza tym... - Swan przytuliła głowę do piersi siostry - ja go naprawdę lubię. I dobrze mi z nim, no, wiesz...

- Wiem, w łóżku.

- Mhm.

- Założę się, że jemu też. Musi się czuć, jakby złapał Pana Boga za nogi.

- Wcale nie. Oświadczyłam mu, że musi się ze mną ożenić, ale...

- Ale co? - Zaciekawiona Smoke przysunęła się bliżej siostry.

- Ale powiedział, że choć on byłby uszczęśliwiony, to raczej nie będzie to możliwe. Tata się nie zgodzi.

- To fakt.

- Tylko że ja wykombinowałam już, jak to załatwić. Napisałam anonimowy list do Twiggusi, włożyłam do koperty, zakleiłam ją i dopisałam drukowanymi literami: „PRYWATNY. DO RĄK WŁASNYCH!”. Potem dałam list stewardowi, żeby doręczył go jej tuż

po lunchu.

- O rany, co było w środku? - Smoke zżerała niecierpliwość. Gra Swan okazała się o wiele bardziej podniecająca niż jej własna.

- Wiadomość - odparła Swan z triumfalną miną - że jedna z jej podopiecznych właśnie się zabawia z jednym z członków personelu *Titanica*. Na pokładzie E, w kabinie 224, nieopodal pomieszczeń kodowych.

- Niemożliwe!

- Możliwe. I jak tylko posłałam ten list, wskoczyłam Danny'emu do łóżka.

- Jezu, dlaczego? Nic z tego nie rozumiem, Wściekałaś się przed chwilą, że to ja cię wydałam.

- Przepraszam - uśmiechnęła się Swan - wiedziałam, że to nie ty.

A jeśli chodzi o mój plan - ciągnęła - to jest on bardzo prosty.

Chciałam wywołać kryzys. I udało mi się - Twiggusia wpadła z furią, a nawet przywlokła ze sobą jednego z oficerów, Boxhalla. Chcieli wyważać drzwi. Ale ja specjalnie zostawiłam je otwarte..

- Dałaś się przyłapać? Specjalnie?

- Byliśmy goli jak nas pan Bóg stworzył! Danny omal nie padł trupem z przerażenia.

- Wiedział o twoim planie?

- Coś ty, głupia, oczywiście że nie! Nigdy by się nie zgodził - roześmiała się Swan.

- Zdziwiasz mnie - orzekła Smoke. - Twiggusia poleciała do matki i wszystko jej wygadała. Siedzimy tu teraz zamknięte jak w więzieniu, a ty się cieszysz. Nie widzę w tym nic cudownego. - Zsunęła się z łóżka, podeszła do drzwi i poruszyła klamką. Nie ustąpiły. - Przyjdzie ojciec i pewnie nas zleje.

- Mhm. A matka się nas wyprze i wyrzeknie na zawsze.

- A lady Pomeroy wsadzi mnie do ciupy za oszustwo. Potem okaże się, że jesteś w ciąży, i będziesz gruba jak wieloryb!

- Ale ubaw, no nie?

- O to ci chodziło? - Smoke spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

- W pewnym sensie. Ojciec się mnie wyprze, matka się mnie wyprze, a ja wyjdę za mąż. Za Daniela Terence'a Bowena. I to jest najważniejsze.

Audrey udało się w końcu uwolnić od towarzystwa pani Twigg. Guwernantka spuściła z tonu i orzekła, że zostanie, „jeśli to naprawdę konieczne, ale tylko do chwili przycumowania statku w porcie, w związku z czym już teraz spodziewa się referencji”. Audrey oczywiście wypisała jej znakomitą opinię, a pani Twigg schowała papier za gors i wyniosła się w okamgnieniu. Dopiero teraz Audrey mogła sprawdzić, co się dzieje w kabinie Tory.

Było późne popołudnie, słońce zdążyło już zająć i za oknem jarzyły się od kilku minut światła *Titanica*. Pokój Tory tonął wszakże w mroku, oświetlony jedynie żółtawą poświatą zza szyby. Ona sama, drobna i wiotka mimo ciężaru brzucha, niespokojnie wierciła się przez sen.

Madame Romany siedziała w milczeniu w wiklinowym fotelu. Powieki miała opuchnięte i zaczerwienione ze zmęczenia, ramiona - obnażone; podwinięte czarne rękawy przypięła szpilkami.

Audrey zbliżyła się do Tory i ujęła lekko jej dłoń. Była gorąca i napięta, mięśnie stężały z bólu. Ściągnięta, zmartwiała twarz straciła cały swój blask. Na obwisłe policzki wypełził niezdrowy żółtawy cień, a wargi pokrył siny nalot. Włosy, jeszcze wczoraj tak lśniące i puszyste, zdawały się grube i szorstkie niczym sznurki.

- Rzygała parę godzin - usłyszała Audrey zza pleców. - Niezły zajzajer musiała łyknąć. Ma szczęście, że wyżyła.

- Niczego nie połknęła - odparła Audrey - zdążyła tylko położyć na języku jakąś żółtą pigułkę, która nie zdążyła się rozpuścić. Podobno cyjanek...

Cyganka powoli uniosła się z fotela.

- Coś tam widać sobie w środku naruszyła, kiedy mocowała się z trucizną, no i dzieciak zaczął pchać się na świat za wcześnie. Długo będzie cierpieć...

- Czy jest przytomna? - zapytała Audrey. - Wie, co się stało?

- Wpierw głęboko spała, potem tylko się napinała, ale nic nie

mówiła. Nie chciała. Czasem wrywała się i chciała wstawać. Ja ją łapię, a ona błaga, żeby nikomu nie mówić. „Nie pozwól, żeby lekarz się dowiedział, ani Burt...” - tak mówiła. No, to obiecałam jej, że nikt nie puści pary z gęby.

- Nikt - potwierdziła Audrey. - Ani ja, ani ty. Możesz już się nie kłopotać, sama jej przypilnuję.

- A długo możesz pani zostać? - zapytała sceptycznie Cyganka.

- Tak długo, jak będzie trzeba.

- Nie wytrzymasz, kochana. Pójdę sobie krzynekę odsapnąć i zaraz wrócę.

Audrey uniosła oczy na kobietę. W zapadającym zmierzchu madame Romany wyglądała na bardzo starą i bardzo zmęczoną. Powieka nad ślepyim okiem nieco opadła i drgała teraz nerwowo. Po usianej zmarszczkami, sfałdowanej twarzy również przechodziło lekkie drzenie. Przypominała czarownicę - może dlatego chowała się pod płaszczem z kapturem - chociaż kiedyś musiała być jedną z najładniejszych dziewczyn w San Francisco.

To w niej Jeffery Eckkles kochał się na zabój. Dla niej zabił człowieka, potem ją poślubił. Wrócił do niej po romansie z Edmundą, matką Baya, by zapewnić jej byt...

Jej córka, Daphne Diego, również była rzadką pięknnością o egzotycznej, śródziemnomorskiej urodzie, wcześniej rozkwitła i niezwykle dorodną. O takie kobiety trzeba dbać, inaczej w kwiecie wieku więdną szybko jak róże. Kobiety z Nowej Anglii, takie jak Audrey, usychają, jeśli nie są kochane, stają się kruche i bezkrwiste.

- Prześpij się w moim łóżku, Esmeraldo - powiedziała Audrey. - Poczekam tu do twojego powrotu. I... dziękuję ci za wszystko.

Madame Romany wstała z krzywym uśmiechem i ciężko stąpając, opuściła kabinę bez słowa. Natomiast Audrey usiadła w tym samym, ciepłym jeszcze, wiklinowym fotelu, złożyła dłonie przed sobą i patrzyła z troską na przyjaciółkę. Miała nadzieję, że Tory śni się niebo. Niech zazna nieba choćby we śnie, skoro potem, na jawie, czeka ją piekło.

Kapitan Stanley Lord czytał tekst nadchodzącej z *Titanica* depechy

i nie wierzył własnym oczom. Przykazywano mu w niej, by nie kontaktował się więcej pod żadnym pozorem z lady Pomeroy, i ostrzegano, że jakiegokolwiek próby nawiązania kontaktu będą poczytane za „karygodne” przez pracodawcę kapitana, linie oceaniczne Leyland, należące podobnie jak White Star Line do koncernu MM.

Na pokładzie *Titanica* lady Pomeroy towarzyszy jeden z dyrektorów IMM, powiadamiał komunikat, i dama ta nie życzy sobie, mało tego - wręcz nie ścierpi żadnych natrętnych umizgów. Dyrektor IMM osobiście żądał, by kapitan Lord „zaniechał niegodziwych praktyk i bezzwłocznie powrócił do wypełniania nałożonych nań obowiązków”.

Kapitan Lord nie posiadał się z wściekłości. Z furią zmiął depeszę w zaciśniętej pięści. Jak ona śmie! Najpierw odmawia, zaraz potem zmienia zdanie i bałamutnie czyni mu nadzieje, a potem - co za suka! - trąbi wszystkim o jego afekcie i drwi z jego namiętności.

Proszę, złożyła nawet na niego donos. Być może zrujnowała mu karierę. Cieszył się dowodzeniem *Californiana* niespełna rok, wciąż był w okresie próbnym, a tutaj...

Co ta kretynka wymyśliła?

A to świnią, a to dziwka!

Czy nie zdaje sobie sprawy, że stawką jest życie? Jego życie, oczywiście, dziesięć razy więcej warte niż jej!

Koniec z miłością. Takiej obelgi nie puści płazem, takiego upokorzenia nie zniesie.

Odwrócił się na pięcie i z kamiennym wyrazem twarzy pomaszerował do swojej prywatnej kwatery. Wzgardziła nim, ale jeszcze go nie zna. Jeszcze nie wie, na co go stać. Już on się jej odpłaci, choćby miało mu to zająć całe życie.

Uch, dziwka! Spała z nim, choć obok leżał zmarły mąż, nawet jeszcze nie ostygł... Arystokratyczna szmata!

Zamknął drzwi kabiny na klucz, żeby nikt mu nie przeszkadzał, i nalał sobie do szklanki rumu na trzy palce. Dziwka... Niech sobie gnije, choćby na dnie oceanu.

Podniósł szklanę do ust i wypił jednym haustem.

- Hej, hej, Davy Jones! - zaświergotała papużka w klatce.

Rozpostarła skrzydełka, otrząsnęła się, a potem wyciągnęła pazury po sucharek.

Burton VanVoorst stał sztywno przy barze i zastanawiał się intensywnie, czego by tu się dla odmiany napić. Cały dzień wlewał w siebie mocne trunki i trochę już mu obrzydło.

Przegapił porę obiadu, ale diabła tam! Zjadł zamiast tego kilka orzeszków i parę suszonych śliwek zawiniętych w bekon. Jak się to, do cholery, nazywało? Diabelski płaszczyk? Coś w tym rodzaju. Nieważne. Było niezłe. Całkiem niezły płaszczyk, jak na takiego diabła, jak on...

Okay, mylił się, zachował się jak palant. Pójdzie i przeprosi ją, będzie błagał o wybaczenie. Wyzna jej prawdę - że mu zwisa, czy jego żona jest Eurazjatką, Hinduską czy z plemienia Hotentotów. Może sobie być nawet w kropki. Kocha ją i bez niej popadnie w otchłań nieszczęścia. Już popadł. Dlatego chce, żeby wróciła.

- Hej, ty! - zawołał barmana i pomachał opróżnioną z suszonej śliwki wykałaczką.

Barman był Murzynem o lśniącej, hebanowej karnacji i włosach przyprószonych siwizną. Eleganckim mężczyzną w średnim wieku, niemal rówieśnikiem Burty'ego, ubranym w białą marynarkę i czarny krawat.

- Tak, sir?

- Jak się nazywasz?

- Wisdoms, sir. - Barman przetarł ścierką mahoniowy kontuar.

- No więc słuchaj, Wisdoms. Chcę ci powiedzieć, że nikt nie jest doskonały.

Barman uśmiechnął się nieznacznie.

Jak biały człowiek. Nie szczyrzył się jak jakiś pieprzony czarnuch, ale uśmiechał się zupełnie jak biały.

Miał równe białe zęby, a w jednym z nich, trzonowym, tuż przy dziąśle, tkwił mały diamentowy okruszek.

- Zgadza się, sir - potwierdził. - Nawet cnotliwi popełniają



grzechy, jak poucza nas Pan. Siedem razy na dzień. Tak, sir, siedem razy na dzień.

- Słuchaj, no. Napiłbym się Różowej Damy. Wiesz, co to takiego? Strzeliłbym sobie taką lufę.

- Już się robi, sir. - Barman strzepnął ściereczkę;

- W porządku z ciebie chłop.

- Dzięki, sir - odparł barman, zręcznie rozbijając jajko. Starannie oddzielił żółtko od białka za pomocą skorupki.

- Założę się, że niewielu masz amatorów na takie drinki. - Burty przyglądał się, jak barman do białka dodaje śmietankę, syrop owocowy, dzin i lód, a potem miesza składniki w shakerze.

- Nie za dużo, zamawiają je raczej panie. Lubią je długo sączyć, wie pan, przez kolorową słomkę.

- Moja żona też jest Różową Damą, Wisdoms. Bardzo piękną i bardzo miłą.

- Naprawdę? - Barman przelał drinka do wysokiej szklanki. Przed Burty położył serwetkę z nadrukiem White Star Line i postawił na niej gotowy koktajl. - Proszę, sir. No, i jak smakuje?

Burty upił łyka. Napój był słodki niczym beza na cytrynowym cieście. Ściągnął usta i zawinął wargi wokół brzegu szklanki.

- Ależ to jakieś babskie świństwo! - orzekł.

- Nie musi pan go pić - roześmiał się barman, błyskając diamentem.

- O, nie. Tego mi właśnie potrzeba. - Burty pociągnął następny łyk. - Przypomina mi moją lepszą połowę. Tory. Nazywa się Victoria VanVoorst, potrójne V

- Victoria VanVoorst - powtórzył barman. - Toż to imię dla królowej, sir.

- Bo ona jest królową, Wisdoms. I będzie miała dziecko. Nasze pierwsze.

- Naprawdę? Gratulacje, musi pan być szczęśliwym człowiekiem. „Rozmnażajcie się ku chwale Pana”, tak uczy Pismo. Jak pan da dziecku na imię?

- Teraz na to wpadłem. Dam mu imię po tobie. - Burty wlał do ust

połowę zawartości szklanki i szybko przełknął. Drink był cholernie niesmaczny.

- Po mnie, sir? - Diamencik znów zamigotał w zębach Murzyna.
- Po tobie - potwierdził Burty. - Jesteś dżentelmenem.

Barman skłonił się z galanterią, zaś Burty pomyślał, że zamówi jeszcze jednego cholernie niesmacznego drinka, następną pieprzoną kolejkę, podwójnego Świerszcza z dużą ilością lodu.

- Wisdoms Kingsley VanVoorst - powiedział z namaszczeniem, dopijając jajeczny koktajl. - Jak to brzmi?

- Dystyngowanie, sir.

- Głosowałbyś na faceta o takim nazwisku w wyborach prezydenckich? - Burty wytarł serwetką smuzkę piany, która została mu na wardze.

Barman wznosił oczy do nieba i wzruszył ramionami.

- Pochodzę z Jamajki, nigdy nie głosowałem.

- No dobrze - Burty machnął ręką - ale gdybyś był

Amerikaninem?

- Nie chciałbym pochopnie podejmować decyzji, sir. O, nie, nie.

- Musiałbyś go najpierw poznać, tak? O to chodzi? Sprawdzić, czy jest cnotliwy?

- Zgadza się, sir.

- Wiedziałem, że rozsądny z ciebie gość, Wisdoms. Dobranoc. I dziękuję - Burty położył na ladzie nowiutki dolarowy banknot - to był całkiem niezły szprycer.

- Dobranoc, panie VanVoorst. Cała przyjemność po mojej stronie...

W palarni Burty zamówił podwójnego Świerszcza Na Mielźnie, a potem oparł się o filar i beczynn timer przypatrywał się graczom przy stolikach. Czekał, aż się pokaże Teddy Royce. Zamierzał wyrzucić w gębę skurczybyka, za stos kłopotów, których był przyczyną.

Kiedy Rolls wejdzie do sali, Burty przetnie mu drogę. Rozwali sukinsynowi łeb i zrobi z niego miazgę. Och, już on da mu wycisk!

## Rozdział 14

---

*Sobota, 13 kwietnia*

**J**ohn Phillips i Harold Bride już od czterech godzin biedzili się, by uruchomić tę cholerną aparaturę. O jedenastej wieczorem radio z niewyjaśnionych przyczyn wydało z siebie krótki gwizd, po czym zamilkło. Służbę miał wówczas starszy oficer John Phillips. Po kilku minutach bezskutecznych starań wezwał na pomoc Bride'a, wyciągając go z łóżka. Od tej pory Bride uważnie studiował instrukcję, a Phillips sprawdzał kable i połączenia, by znaleźć przyczynę usterki.

Tuż po drugiej przyłączył się do nich czwarty oficer Joseph Boxhall. Wszystkie pozostałe urządzenia na statku działały bez zarzutu, toteż awaria radiotelegrafu była tym bardziej zastanawiająca. Na szczęście noc była spokojna, powietrze rześkie i przejrzyste, a ocean łagodny jak zatoka.

- Jak tam idzie, Phillips? - zapytał Boxhall, podając operatorom po kubku z gorącą kawą.

- Bez zmian. Dzięki za kawę, oficerze.

- Wciąż szukamy — dopowiedział Harold Bride. - Okaze się pewnie w końcu, że to jakaś drobnostka, może nie podłączony przewód, no nie, Phillips?

Starszy operator potrząsnął tylko głową i ziewnął dyskretnie. Po raz kolejny zabrał się do sprawdzania cienkich drucików, przesuując powoli palcami wzdłuż każdego z nich.

- Wiecie, chłopaki, że EJ. przygruchał sobie nową dupeńkę? - zagadnął Boxhall niedbałym tonem. - Bogatą Amerykankę.

Przyuważył ją, jak wchodziła na pokład. Nawet mi ją pokazał.

- Ładna? - zainteresował się Phillips.

- Całkiem, całkiem...

- To ta ruda wdowa czy ta blondynka, no, jakże jej tam, Candee?

- Chciałbyś wiedzieć, co? - uśmiechnął się Boxhall.

- Zareczam ci, że naprawdę jest niezła.
- Ja bym wybrał tę rudą - wtrącił się Harold Bride.
- Pierwszorzędna kobitka, chyba najlepsza na tej łajbie.
- Daleka droga do niej, dzieciaku - zadrwił Boxhall.
- Poszukaj gdzie indziej. Lady Pomeroy połknęłaby cię w całości.
- Może - odparł Bride - ale nie żałowałaby. Już ja bym zrobił jej dobrze, och, ale bym zrobił...

Phillips roześmiał się tylko, a potem zapytał, badając palcami głowicę aparatu radiowego:

- A co z tobą, Joe? Masz coś na oku?
- No cóż, chłopaki, ja lubię młode kózki. Takie świeżutkie. Te bliźniaczki są niczego sobie.

Obaj operatorzy jęknęli i popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

- Tylko niech się pan nie zabiera do tej z krótkimi włosami - westchnął Bride, odkręcając tarczę aparatu. - Uwiera jak wrzód na dupie.

- Tak? - Boxhall rozparł się we framudze drzwi, aby móc jednocześnie rozmawiać i zerkać na mostek. - Widziałem, jak się tu dzisiaj kręciła. Chyba wpadłeś jej w oko, Bride.

- Boże, tylko nie to! - Radiotelegrafista gwałtownie potrząsnął głową. - Strasznie upierdliwa baba. Panoszyła się tu jak u siebie. Wie pan, to jedna z tych panienek z forszą, córeczka Lockholma, tego z IMM. A jaka namolna! Jak się przyczepi, to koniec.

- I właśnie dlatego wolę się nie zadawać z tymi z pierwszej klasy - roześmiał się Boxhall. - Znam swoje miejsce. Arystokrata to arystokrata, a marynarz to marynarz.

- E.J. chyba myśli inaczej - dorzucił Phillips.

- Racja. Wiecie, co wam powiem, chłopaki? - Boxhall skrzyżował ręce na piersi. - Stary zadurzył się na amen. Sam mi to dziś powiedział. „Po raz pierwszy w życiu moje serce wypełnia szczerą miłość. Może i ciebie spotka któregoś dnia to cudowne uczucie, mój chłopcze...”

- Nieźle go wzięło.

- No nie? Ale powiem wam, chłopaki - Boxhall potrząsnął głową z

dezaprobatą - że mi się to nie podoba. Cholernie mi się nie podoba. No dobra, dajcie znać, jak coś znajdziecie.

- Jasna sprawa. Jak tylko znajdziemy usterkę, zaraz zameldujemy, oficerze - zapewnił Phillips. - I jeszcze raz dzięki za kawę, stawia na nogi.

Boxhall skinął głową i oddalił się wolnym krokiem. Zobaczył to, co chciał sprawdzić - plik ostrzeżeń nabitych na szpikulec, grubszy o cal albo i więcej. To dość niezwykłe, myślał. Temperatura wody i powietrza jest stosunkowo wysoka, nie zanoszą się na sztorm, a wszyscy ostrzegają przed lodem. Ciągłe to samo zdanie: „dużo lodu na kursie”.

Cóż, chłopaki zaraz naprawią radio i wszystko będzie cacy. Poza tym skoro E.J. nie przejmuje się tym, że od trzech godzin nie ma żadnych depeesz, to dlaczego on ma się tym trapić?

Usłyszał gromkie głosy z dolnego pokładu i pomknął natychmiast w stronę schodów. Niech to szlag! Znowu jakiś chlajus się upił i wierzga przy barze! Całą tę cholerną łajbę postawią na nogi! Arystokraci, psia ich mać! Czy to nie pech, że akurat dzisiaj odpowiada za utrzymanie spokoju i bezpieczeństwo pasażerów?

Krzyki dobiegały z palarni pierwszej klasy. No tak, oczywiście. Napili się, wzięli za karty, a potem skoczyli sobie do gardeł, oskarżając się nawzajem o szachrajstwa. Albo też któremuś zaprawionemu szmirusowi nie idzie karta i się piekli. Dzięki Ci, Boże, że uchroniłeś Boxhalla przed nałogiem hazardu!

Prócz wielu innych cech, które Nicole podziwiała u zmarłego męża, była prawość. Rolf lord Pomeroy był niezwykle wręcz uczciwy, choć obnosił tę jedną spośród swoich rozlicznych cnót z prawdziwym wdziękiem, w sposób niejako niewymuszony i naturalny. Niczego zresztą Rolf nie robił na siłę i na pokaz. Zamiłowanie do sztuk, fascynacja sportem i wycieczkami, upodobanie do wykwintnych potraw były mu jak gdyby wrodzone, w czym daleki był od tak wielu snobów, z którymi miała okazję się zetknąć.

Ceniła w nim także konsekwentne unikanie ryzykownych

spekulacji - Rolf stanowczo odmawiał zakładania się o cokolwiek. Inni uprawiali hazard i zwyciężali, tracili lub zdobywali fortuny, on zaś jedynie gratulował im lub współczuł, nie czując w sercu jakiegokolwiek pokusy, by pójść w ich ślady.

„O, to znakomite, zobacz, Nick, idzie jak burza” - mawiał, przyglądając się grze. Albo: „A to pech, Nick, koń Willa przepadł z kretesem”. Życzliwy, przychylny, dbały i rozumiejący - takimi właśnie przymiotami wyróżniał się jej mąż.

Wprawdzie Nicole również nie podzielała namiętności, z jaką mężczyźni uprawiali w ruch koło fortuny, wkładając w to całą duszę, umysł i zawartość swoich bankowych kont - lubiła jednak obserwować, jak zmienia się wyraz oczu człowieka, który wygrywa... albo przegrywa mniejsze czy większe sumy. Było tak zapewne dlatego, że Nicole lubiła rywalizację i miała w sobie ducha zwycięzcy, jak mężczyzna.

Z tego to powodu lubiła zaglądać do palarni i dlatego też zajrzała tu przed chwilą. Stała z boku ze szklaneczką *cointreau* i patrzyła, jak kusi los ten wyrachowany gbur, ten łajdak, ten przystojniak...

Teddy Royce mizdrzył się do niej wyłącznie z powodu jej majątku, Nicole dobrze o tym wiedziała. Cóż jednak szkodzi przyjrzeć się dla zabawy, jak Rolls stawia wszystko na jedną kartę, jak poddaje swój los, swój honor - i swoją męskość! - kaprysom karcianej talii.

Uśmiechnęła się do siebie i pokręciła pobłażliwie głową. Rozejrzała się szybko po sali i wówczas spostrzegła Burty'ego VanVoorsta. Oparty o filar, z czerwonym od przepicia nosem, próbował zachowywać się poprawnie. Pomachał nawet do niej, więc podeszła.

- Witaj, drogi Burty - zagadnęła. - Twoja Tory jest chora, wiesz o tym? Byłeś u niej?

Burty trzymał w ręku szklanekę napełnioną po brzegi kolejnym drinkiem. Oczy miał przekrwione i opuchnięte. Zapewne tylko resztką świadomości utrzymywał się w pionie. Zagadnięty, uśmiechnął się krzywo i podparł nogą, żeby zachować równowagę, a potem odezwał się z godnością, którą Nicole uznała za wzruszającą:

- Jaka by nie była, i tak ją kocham, Nicky. Urwał, czknął i pociągnął parę łyków.

Nicole położyła mu na ramieniu rękę w długiej białej rękawiczce.

- Więc idź do niej, Burt. Ona cię potrzebuje. Więcej, pragnie cię. Ty to masz szczęście.

Zachwiał się nieco pod jej dotknięciem, ale zaraz odzyskał równowagę i uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Jesteś piękna, Nick. Taka dumna, niezależna, jak posąg. Mógłbym się w tobie zakochać, ale... - wzruszył ramionami - moje serce należy do Tory.

- Kochany Burty - odrzekła, pokrzepiona nadzieją, że sprawy Tory pomyślnie się ułożą.

- Powiedz mi, moja droga... - Burty komicznym gestem obciągnął kamizelkę - nie dałabyś mi całusa? Wiem, jestem uchłany; jakbym nie był, to bym nie prosił. Ale... mam straszną ochotę. Tylko jeden mały całus...

Nicole musnęła szybko wargami jego usta, on zaś, wyraźnie zadowolony, uniósł podbródek, wyprostował ramiona i wypuścił powietrze z płuc.

- Miły z ciebie facet, Burt, naprawdę uroczy. Zaprowadzisz mnie do stolika? Chcę popatrzeć, jak grają. A może ty zagrasz?

Podał jej ramię. Położyła na nim koniuszki palców w białej rękawiczce. Poprowadził ją do stolika, odsunął krzesło. Nicole usiadła i założyła nogę na nogę.

- Nie powinienem zostawiać cię samej - powiedział Burty.

- O, możesz, spokojnie - odparła. - Właściwie to nawet wolę być sama. Nie mogłam zasnąć, ale wkrótce, mam nadzieję, zaczniesz mnie morzyć, a wtedy po prostu pójdę do siebie. Dobranoc, Burt. I nie martw się, żaden potwór mnie nie porwie, chyba że sobie tego zażyczę.

- Ach, Nick... - Burty pokręcił głową. - Twój Rolf był wspaniałym facetem. Gdzie znajdziesz drugiego takiego jak on?

- Nie martw się o mnie, Butr - powtórzyła Nicole. - Dobranoc.

Ogromnie go lubiła. Cieszyła się, że między nim a Tory wszystko

wróci do normy. Postanowiła, że ich nowo narodzonemu dziecku podaruje na chrzciny białego kucyka. Nim przyjdzie na świat drugie, brzdąc będzie już jeździł na oklep...

Burt również lubił Nicole - i dlatego właśnie musiał ją opuścić. Szykował się na starcie, nie chciał jej narażać na nieprzyjemności. Zamierzał w końcu sprać Rolls Royce'a, tego parszywca, który napłócił dyrdymały o czarnuchach i który szczerzył zawsze w uśmiechu ten swój bezczelny ryj.

Kanalia! Właśnie grał sobie w najlepsze. Zjawił się dokładnie wtedy, kiedy on zabawiał Nicole rozmową. Teraz rzucał jej raz po raz wymowne, impertynenckie spojrzenia, lecz nie rozluźniał uścisku dłoni, w której skrywał ułożone w wachlarz pięć kart.

Burty obserwował badawczo jego przystojną, wąsatą, smagłą twarz i czarną czuprynę kontrastującą z bielą marynarki. To prawda, on nie był nawet w połowie tak przystojny, jak Rolls.

No i co z tego? To nie uroda jest miarą człowieka. Ten gnojek nigdy nie dorobi się własnego miliona; będzie musiał wżenić się w fortunę...

Podobnie jak Burty, Nicole także nie odrywała ani na chwilę wzroku od Rollsa. Tyle że to, co on skłonny był określić w przyпыływie szczeroci mianem „przystojne” czy „zgrabne”, jej z pewnością zdawało się „cudowne”, „niezwykłe” i „fantastyczne”.

Och, Burty wiedział, jak czytać te jej spojrzenia, gesty, grymasy - podobał jej się skurczybyk i gotowa była się przed nim rozłożyć! Cholera jasna! Co za dupek, co za gnojek! Czy to możliwe, żeby ona, lady Pomeroy i markiza Denton, zakochała się w takim wypierdku?

Oczywiście, nigdy nie przyzna publicznie, że „ten Rolls jest fantastyczny”, ale Burt mógł się założyć, że nie wyklucza go jako partnera do spędzenia kilku miłych nocy na Atlantyku.

Gracze rzucili karty, partię zakończono. Royce, oczywiście, zgarnął całą pulę i przesunął ją ku sobie wprawnym ruchem. Muskuły na plecach i ramionach zagrały mu pod płócienną marynarką. Nie szkodzi. Żeby nie wiem jak był napakowany, on, Burt, da mu radę. Wściekłość doda mu sił...



Przesunął się w stronę grających, stanął za plecami wroga i gotów na potyczkę, klepnął go po karku.

- Żądam, sir, żebyś odszedł na chwilę od stolika. Mamy pewną sprawę do załatwienia.

Teddy Royce powstrzymał uśmiech, który cisnął mu się na twarz. Burta dostrzegł już wcześniej. Widział jego zaciśnięte szczęki i pulchne policzki z malującym się na nich wyrazem zawziętości i nieprzejednania. Wiedział, na co się zanosi. Czy ma pozwolić temu błaznowi strugać bohatera?

Spojrzał na lady Pomeroy, siedzącą trzy stoliki dalej. Wpatrywała się w nich z napiętą uwagą. Dobrze, zagra na jej uczuciach. Da się pokonać i wzbudzi jej litość. Niektóre kobiety lubią opatrywać rany; ta na pewno.

- Panowie, wybaczcie mi, proszę - skłonił się kompanom, po czym odsunął krzesło, by wstać.

Jednak Burty nie pozwolił mu na to. Doprowadzony do wściekłości chłodnym opanowaniem przeciwnika, stracił zimną krew, zawiąnął się na pięcie i z rozmachem zdzielił Royce'a pięścią prosto w podbródek.

Rolls nie spodziewał się ciosu. W końcu dżentelmeni, nawet urażeni do żywego, nigdy nie zaskakują przeciwnika bez uprzedzenia. Takie zachowanie bardziej pasuje do portowej knajpy niż do eleganckiego salonu, goszczącego wytworne towarzystwo.

Na szczęście jednak Rolls bywał i w salonach, i w knajpach, wiedział więc, jak zareagować, by nie odnieść poważnych szkód. Z początku zachwiał się, potem upadł i rozciągnął się jak długi na podłodze. Klęknął, jakby chciał się podnieść, a wówczas Burty znów mu przyłożył - tym razem w skroń. Potem zaś na głowę Rollsa posypała się lawina wściekłych, źle mierzonych ciosów, którą sparował umiejętnie ramionami, nie na tyle jednak, by nie pozwolić sobie na kilka efektownych sińców i ran. Podbite oko, rozcięty łuk brwiowy, krwawiąca warga...

Mężczyźni rzucili się odciągać miłośnika Murzynów, a wtedy Rolls dojrzał przez opuchnięte powieki, jak VanVo-orst wierzga, miota się

i rozdaje na oślep ciosy, bezskutecznie próbując uwolnić się od co najmniej tuzina rozjemców.

Odszukał wzrokiem lady Pomeroy i uśmiechnął się do siebie w duchu. Nie zawiódł się na niej. Już sunęła ku niemu niczym anioł pokoju. Już kucnęła przy nim z troską, już poczuł przy policzku jej falującą pierś, skrytą pod zielonym jedwabiem.

Do licha, naprawdę się w niej zakochał.

- Przepraszam, VanVoorst - jęknął, wyciągając dłoń w stronę przeciwnika. - Nie musiałem sprzedawać, nie musiałeś kupować... Żałuję tego, co się stało.

Burty nie ujął wyciągniętej dłoni. Wpatrywał się w Nicole, która bez słowa badała pokiereszowaną twarz Teddy'ego Royce'a.

- Przykro mi, lady Pomeroy, że stałaś się świadkiem tej sceny. Musiałem mu przyłożyć, wybacz.

Nicole współczuła im obu. I obu kochała. Pochyloną nad Royce'em, podniosła wzrok na Burty'ego, skinęła głową i uśmiechnęła się tylko, blade i smutno.

- Często wdajesz się w takie bijatyki? - spytała, poprawiając kosmyk włosów, który wymknął się ze starannie wymodelowanej fryzury poszkodowanego.

- Są faceci - Rolls skrzywił się z bólu - którzy muszą się zabawić, nim znajdą swoje miejsce na ziemi. Jak zapewne wiesz, ja jestem jednym z nich.

- Bardzo to zabawne - stwierdziła tonem tak zwyczajnym, jakby rozmawiali o pogodzie.

Skinął głową i roześmiał się cicho. Nie powinien się śmiać ani uśmiechać. Ból się wówczas nasilał i Royce miał wrażenie, że za chwilę rozerwie mu twarz. Nie szkodzi. Chciał cierpieć. Cierpienie nadawało sens jego życiu. I wiodło ku niemu lady Pomeroy.

- Wstań - poleciła krótko, on zaś posłusznie się podniósł, złapał jej rękę i owinał ją sobie dookoła swojej. Potem ruszyli ku wyjściu, on wciąż chichocząc i poklepując ją po dłoni, ona - stąpając niczym królowa, która w przyptywie łaskawości obdarzyła rycerza swoim ramieniem.

Burty również szybko opuścił palarnię. Nie czuł teraz nic prócz bolesnej rany w sercu, którą tylko Tory mogła uśmierzyć. Postanowił, że do niej pójdzie, że wróci... Tak, właśnie teraz. I właśnie do niej, do swej jedynej, najdroższej Tory.

Przecież na niego czeka.

Przecież cierpi. Przecież zacząj się poród, przedwcześnie...

To jego wina.

Mogą stracić dziecko.

Obiecał sobie, że nigdy więcej jej nie opuści. Nigdy, dopóki śmierć ich nie rozłączy...

- Tory! - jęknął sam do siebie, po czym przyspieszył kroku. - Och, Tory, Tory! - zawołał i puścił się pędem, by jak najprędzej przytulić do siebie jej kochane, cierpiące ciało.

Audrey nie mogła znaleźć Baya.

Niemal cały piątek spędziła z Tory, która na zmianę parła, jakby chciała urodzić, i zasypiała. Audrey trzymała ją za rękę i patrzyła przez okno na pomarszczony, spokojny i piękny Atlantyk, nad którym słońce chyliło się za horyzont, zmieniając barwę wodnej tafli z błękitnej na coraz bardziej szarą, ciemną, nakrapianą tu i ówdzie białymi cętkami pływających kawałków lodu.

O szóstej zmieniła ją madame Romany, ona zaś poprosiła stewarda, żeby odszukał Baya. Jednak steward wrócił po chwili z wiadomością, że pana Bayarda Lock-holma nigdzie nie można znaleźć, toteż pozbawiona jego towarzystwa Audrey zasiadła do kolacji przy kapitańskim stole z Dove, Nicole, Astorami oraz Bruce'em Ismayem.

Bay nie pojawił się do końca posiłku. Pani Twigg też gdzieś przepadła, a dziewczynki siedziały zamknięte w swoim pokoju, czekając, aż rodzice znajdą wreszcie dla nich czas.

Och, tak, dziewczynki... Powinna rozmówić się z nimi przed niedzielą; w niedzielę wypadały ich urodziny. Wcześniej zaś musi się skonsultować z Bayem, jak mają postąpić ze Swan, zhańbioną przez tego chłopca z orkiestry.

To moja wina, myślała Audrey. Nie umiałam być dobrą matką,

taką jaką Josephine była dla mnie. Dobro męża przedkładałam nad dobro dzieci, a małżeńską miłość nad macierzyńskie powinności. Dotrzymywałam im towarzystwa, ale już troskę i opiekę nad nimi powierzałam obcym. Pani Twigg ma rację: zaniedbałam własne córki i teraz tak mi się odpłacają. Nie tylko zresztą mi, także Bayowi.

Och, Bay, najdroższy, moje ty życie, moja miłości...

Dlaczego właśnie teraz, kiedy potrzebuje go rozpaczliwie, nie może go znaleźć? Siedziała samotnie w sypialni, w narzuconym na nocną koszulę futrze z norek, bowiem nagle zrobiło się chłodno. A może to strach, nagły strach, zmroził jej serce? Strach przed tym, co przyniesie jutro. Strach przed tym, co przepowiedziała madame Romany.

Księżyce...

Dziś przy kolacji talerze ozdobiono papierowymi księżycami...

O księżycach mówiła Cyganka...

Musi jak najprędzej sprzedać perły z zapięciem w kształcie półksiężyca, które Bay podarował jej na drogę! Były piękne, lecz niosły śmierć. Już zresztą schowała je głęboko, na samo dno szkatułki, choć gdyby miała więcej rozumu, dałaby je madame Romany zamiast czeku. W końcu naszyjnik wart był o wiele więcej. Oszczędziłaby wówczas pieniądze z konta Baya...

Boże, gdzież on się podziewa?

Może ona wie, ta wróżka i czarownica...

Dziwna kobieta. Wstrętna i obca, a zarazem dziwnie bliska i znajoma. Stara i słaba, a jednocześnie pełna jakiejś niezwykłej siły. Oszustka? Może... W każdym razie udowodniła niewątpliwie jedną umiejętność - skutecznie wkradła się w ich życie.

Och, gdzież jest Bay i dlaczego ją tak zostawił?

Zesztywniała nagle i nadstawiła uszu. Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki, które zaraz zagłuszyło dramatyczne, niosące się echem wołanie:

- Tory, Tory..!

Audrey uśmiechnęła się szeroko mimo przygnębienia. Zamknęła oczy i otuliła szczelniej futrem drżące ciało. Burt wrócił do żony.

Będzie z nią w najtrudniejszych chwilach. Jak dobrze.

Bayard Lockholm zareagował na skargi pani Twigg znacznie żywiej niż małżonka. Uważnie wysłuchał guwernantki, która objaśniła mu krótko, jakiego to niestosownego i nieprzyzwoitego postępu dopuściła się Swan, po czym zamilkł, wstrząśnięty do głębi.

Już wcześniej, w trakcie relacji, zdawał się mocno poruszony i pani Twigg szczerze mu współczuła. Postanowiła nawet złagodzić nieco swą opowieść. Na koniec przepaszającym tonem wyznała, że zamknęła dziewczynki w ich kabinie, i wręczyła mu klucz. Jako ojciec dziewczynek, a jednocześnie jej pracodawca - mówiła - powinien też wiedzieć, że ona, Thelma Irene Twigg, wiedziona gniewem, wymówiła posadę, choć oczywiście wciąż uważa, że mogłaby być użyteczną wymagającym nadzoru bliźniaczkom.

Owszem, ona też poczuwa się do winy, może nawet w większym stopniu niż on czy pani Lockholm, bowiem to do jej obowiązków należało otoczyć dziewczynki opieką w trakcie podróży, zadbać o ich bezpieczeństwo i reputację. Całkowicie zawiodła, dlatego też oddaje się do dyspozycji pana Lockholma i przyjmie z pokorą każdą jego decyzję.

Bay słuchał relacji guwernantki z poszarzałą twarzą. Podziękował jej za starania, zapewnił, że nie ma zamiaru jej zwalniać i przykazał, żeby nie czyniła sobie nadmiernych wyrzutów, bowiem życie pełne jest zdradzieckich meandrów i nie każdemu udaje się przez nie przebrnąć bez szkód na sumieniu. Potem poprosił, żeby zaprowadziła go na pokład E, do kabiny Danny'ego Bowena. Oznajmił, iż pragnie porozmawiać z tym nieodpowiedzialnym chłopcem. Twigg natychmiast się zgodziła, zadowolona, że przynajmniej Bayard Lockholm stanął na wysokości zadania.

Resztę dnia pan Lockholm spędził na pokładzie E w towarzystwie jej oraz Daniela Terence'a Bowena. Rozmawiał z nim długo, z przerwą na wieczorny koncert, kiedy to Danny musiał ich opuścić, wzywany codziennymi obowiązkami. Nawet jednak wtedy ani ona, ani pan Lockholm nie ruszyli się z miejsca. Pani Twigg przyniosła dla

siebie i swego pracodawcy kolację, którą zjedli w milczeniu w ciasnej komórcie bez okien, oświetlonej jedynie słabą żarówką u sufitu.

Daniel Bowen wrócił późno, wszedł do komórki i dokończył rozmowę w cztery oczy z panem Lockholmem. Pani Twigg wciąż czekała. Udało jej się nawet zdrzemnąć, a śniły jej się fragmenty dzieciństwa - pierwszy pocałunek, szaleńcza miłość, która zaczęła się tak wspaniale, a skończyła złamanym sercem. Nigdy już później nie starała się zakochać, nigdy też nie przywoływała swego ukochanego na pamięć, nawet w marzeniach. Postanowiła pójść na służbę jako niania i guwernantka i ta decyzja nieodwracalnie odmieniła jej życie.

W końcu pan Lockholm opuścił pokój Danny'ego Bowena. Ujął guwernantkę pod ramię, jakby była prawdziwą damą, i zawiózł ją windą na pokład B. Potem odprowadził Twigg do jej kajuty i podziękował za lojalność oraz wytrwałość.

- Nigdy tego nie zapomnę, pani Twigg. Bardzo dziękuję za pomoc i trud. Dobranoc.

Zanim weszła do swojej kabiny, dobiegł ją jeszcze jakiś zgiełk i harmider dochodzący z palarni. Było już po północy, bliżej pierwszej, zdziwiło ją więc, skąd o tej porze takie hałasy. Zamknęła jednak za sobą szybko drzwi na klucz i później słyszała już tylko łagodny szum morza, dobiegający do niej przez okno.

Aha, i jeszcze płaczliwy głos pana VanVoorsta, który wydierał się na cały korytarz: „Tory! Tory!”. Pewnie znów się upił, biedaczysko...

Później nie słyszała już nic, opadła bowiem zmęczona na łóżko i natychmiast zapadła w głęboki, przerywany chrapaniem sen.

Smoke i Swan spały już, przytulone do siebie, kiedy rozległ się cichy zgrzyt przekręcane go w drzwiach klucza.

Natychmiast otworzyły oczy, jakby podświadomie czekały, że prędzej czy później na progu stanie ich ojciec, wysoki, elegancki, przystojny, a jednocześnie pełen rezerwy, surowy i zimny. Zawsze taki był i teraz - zwłaszcza teraz - nie mogło być inaczej.

Dziewczynki zastygły w bezruchu. Z zewnątrz dobiegały jakieś przytłumione krzyki, lecz one nie zwracały na to uwagi. Smoke

podniosła się i usiadła, zaś Swan uznała, że spróbuje stawić czoło sytuacji, nie zmieniając leżącej pozycji. Poklepała lekko dłoń siostry, żeby dodać jej odwagi. Zaraz się zacznie...

- Moje drogie... - Ojciec przysiadł w nogach łóżka od strony Smoke i westchnął, jakby nie wiedział, co dalej ma powiedzieć. - Zaczniemy od Swan - odezwał się po chwili i spojrzął na córkę w ciemności.

- Tak, tato?

- Otóż spotkałem się z tym młodym człowiekiem. Twierdzi, że cię kocha i że chce się z tobą ożenić. Zdaje sobie jednak sprawę, że nie jest tego wart i że oboje jesteście bardzo młodzi, jak również z tego, że sam nie zdoła cię utrzymać. Jego rodzina, jak mi wyznał, jest biedna, a on musi pomagać finansowo matce. Nie wyraża chęci poślubienia ciebie teraz, ale...

- Jak to? - przerwała mu Swan i usiadła, odrzucając gwałtownie koc. - My musimy się pobrać, tato! I to natychmiast! Czy nie rozumiesz, że przyjął go... jak męża?

- Rozumiem, Swan Josephine, i to mnie zasmuca. - odrzekł Bay. - Ogromnie zasmuca. Straciłaś, bez żadnej przyczyny, to, co ja i zapewne cały świat ceni u kobiety wyżej niż urodę.

- Skoro martwisz się o moją reputację, to przywróć mi cnotę, ojciec. - Swan uspokoiła się i zaczęła splatać długie złote włosy. - Pamiętaj tylko, że zamężna kobieta nie musi obawiać się o reputację...

Smoke przyszła na myśl siostra ojca, Celeste, ale trzymała język za zębami. Wzmianka o Celeste mogłaby wyprowadzić go z równowagi.

- No cóż, mój kwiatuś... - Bay nie uśmiechał się ani nie poklepywał koca poufałym gestem, jak to miał w zwyczaju. Smoke wyczuła, że pod maską zimnego spokoju kipi tłumiony gniew, który napawał ją lękiem. - Nie tobie, dziecko, rozstrzygać, co zrobisz, a czego nie. Ja o tym zadecyduję. I powiem ci jedno: nie wyjdiesz za mąż za tego chłopca ani w tym roku, ani w przyszłym...

- Wyjdę, właśnie że wyjdę! - krzyknęła Swan. - Albo umrę!

- Nie. Nie zobaczysz go więcej...

- On nie jest chłopcem, tylko mężczyzną! I wyjdę za niego, nikt

**mnie nie powstrzyma! - Swan zerwała się z łóżka i rzuciła do otwartych drzwi. Lecz ojciec był szybszy. Wymierzył jej policzek, tylko raz, ale mocno. Nieznany w rodzinie Lockholmów odgłos rozszedł się po kabinie cichym echem.**

**Swan natychmiast zamarła w bezruchu. Była wstrząśnięta, oczy wezbrały jej łzami. Na policzku, niczym skaza, widniał czerwony odcisk ojcowskiej dłoni. Odwróciła się i pomaszerowała do łóżka bez cienia skruchy. Z wyrazem zaciętego uporu oparła się o poduszki i skrzyżowała ręce na piersi.**

**- Wyjdę za niego. Wyjdę i już.**

**- Nie - odparł nie wzruszony ojciec. - Najpierw wydorósłesz. Żałuję, że zabrałem cię w tę podróż, nie dojrzałaś jeszcze do takich eskapad. Po powrocie pošlemy cię, Swan Josephine, do szkoły z internatem. Bye może do Szwajcarii. Smoke natomiast zostanie z nami. Będiesz z daleka nie tylko od tego „mężczyzny”, ale także od siostry, rodziców i domu. Mam nadzieję, że tam oduczysz się tego, czego z pewnością nie nabyłaś od nas...**

**- Masz na myśli bicie, ojczu?**

**- Mam na myśli maniery dobrze wychowanej panny. Szacunek dla siebie i dla bliskich.**

**- A jeśli się nie zgodzę, to co, wychłosisz mnie jak niewolnicę? Powiesz za nogi i wysmagasz batem?**

**- Powiedziałem już, co zrobię. Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat i wybierzesz rozwiązałe życie, nie będę cię, moja droga, powstrzymywał. Tyle tylko że będziesz musiała wówczas sama na siebie zarobić. Wybór należy do ciebie. To wszystko, co mam ci teraz do powiedzenia. Jutro być może przyjdzie do was matka. Natomiast jeśli chodzi o ciebie, Smoke...**

**- Zamkniesz nas tu do końca podróży? - Swan nie pozwoliła mu dokończyć.**

**- Nie, pani Twigg zdecydowała się zostać i mieć nad wami pieczę. Po tym, co się stało, chciała się zwolnić, ale ostatecznie zmieniła zdanie.**

**- Hurrra, niech żyje Twiggusia! - Swan wierzgnęła nogą pod**



pledem. - Głupia stara panna! Jeśli chcesz wiedzieć, tato, bez trudu sobie z nią poradzę.

- Głupia czy nie, jest damą w każdym calu. Lubię ją, cenię i mam do niej zaufanie. Wracając zaś do ciebie, Smoke... - Bay zwrócił się do drugiej córki, zdumionej i pełnej podziwu dla niepokornej siostry, która nigdy dotąd nie zachowywała się w taki buntowniczy, bliski jej sposób.

- Tak, ojcze?

- Jutro zostaniesz tu sama. Swan przeniesie się do kabiny pani Twigg. Oczywiście nie znaczy to, że nie wolno ci widywać się z siostrą. Mam nadzieję, że nie przestaniesz być jej przyjaciółką...

- Nie zniszczycie naszej przyjaźni! - znów przerwała mu Swan.

- Nie mam takiego zamiaru, dziecko. Niczego i nikogo nie zamierzam zniszczyć, nawet tego chłopca, który się w tobie zadurzył. Obiecał mi, biedaczyna, trzymać się z dala od ciebie do końca rejsu, by udowodnić mi w ten sposób swoją dobrą wolę. Nie pozwól, by zaprzepaścił tę szansę, tak jak ty, młoda damo, zaprzepaściłaś swoją.

To powiedziawszy, wyszedł z pokoju, gasząc światło, po czym cicho zamknął za sobą drzwi.

Przez chwilę obie leżały w milczeniu, pochłonięte własnymi myślami. Dopiero po pewnym czasie Swan poruszyła się pierwsza, gdy zza okna dobiegły jej uszu ciche, delikatne, tęskne dźwięki skrzypiec.

Swan przytuliła się do siostry i westchnęła głęboko. Zaraz potem zapadła w sen.

Noc na *Titanicu* minęła spokojnie. Całe szczęście, pomyślał radiotelegrafista John Phillips, skoro aparat radiowy wciąż milczał jak zaklęty. Dopiero gdy świt zaróżowił delikatnym rumieńcem monotonną szarość nocy, udało się odnaleźć przepaloną część i usunąć usterkę pokładowej radiostacji.

Phillips wymienił część na nową i aparat Marconiego znów zaczął wypluwać kolejne depesze. Pierwsza pochodziła z parowca *Montcalm*:

*Alarm lodowy! Znaczne ilości lodu, zbitego w polu, i góry lodowe*

*wzdłuż całego szlaku, pomiędzy 41° a 42°N oraz 49° i 50° W...*

Pozostałe telegramy zawierały mniej więcej podobną treść.

Dwaj inżynierowie przesłali do oficera wachtowego wiadomość, że radio działa, a także plik najświeższych ostrzeżeń. Potem z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wyłączyli radio i - zbyt zmordowani, by wlec się do kabin - złożyli głowy na pulpicie nadawczym.

RS

## Rozdział 15

---

**K**apitan EJ. Smith czuł się najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Noc była pogodna, księżycowa, a wody północnego Atlantyku spokojne jak nigdy. *Titanic* podwoił w piątek dzienny dystans, a w sobotę miał osiągnąć jeszcze większą prędkość.

Statek posłusznie poddawał się rozkazom i pruł fale niczym lokomotywa. Inżynier Bell po rannej inspekcji zawiadomił go, że udało się wreszcie ugasić ogień, który tlił się przez cztery dni w przedniej zasobni węglowej numer 5. Skłóceni dwa dni temu kucharze pogodzili się, nic więc już nie mąciło sielanki.

A co najważniejsze, dama jego serca kochała go gorąco i szczerze. Najlepsza, najpiękniejsza Dove Pearce, ucieleśnienie jego najskrytszych marzeń, była w nim zakochana! Ach, czemuż to nie spotkał jej wcześniej? Życie ułożyłoby się zupełnie inaczej...

- Nie pozwolę ci odejść, EJ., przenigdy - mówiła Dove. -

Pobierzemy się najszybciej, jak to będzie możliwe. Nie będziesz szczęśliwy z Eleonorą, a ja nie chcę wracać sama do Newport. Uschnę z tęsknoty za tobą, a ty umrzesz z nią z nudów.

Jakaż ona była piękna! Nieskazitelna cera, elegancka, wysmukła figura, piersi krągłe i śnieżnobiałe, zaś sutki różowe jak peonie, słodkie, sprężyste i wciąż niesyte pieszczot. A Eleonora? Cóż, nigdy nie należała do piękności. Po latach piersi jej obwisły, brzuch pofałdował się zwałami tłuszczu. A przecież płaski brzuch Dove, choć i ona przekroczyła już czterdziestkę, rozpinął się gładko między biodrami. Nogi zaś... Boże, te gładkie, smukłe nogi zwinnie oplatały mu pośladki, kiedy brał ją ułożoną na jego kapitańskim materacu.

Och, pani mego serca, jesteś mym największym skarbem!

- Mój aniele, nie mogę się z tobą ożenić - próbował oponować. - Mam w Southampton rodzinę, żonę, dzieci...

- Ależ możesz - przekonywała go figlarnie i pozwalała się pieścić wśród nieustannych westchnień i niekończącej się rozkoszy.

EJ. tylko przez chwilę rozważał taką ewentualność. Wiedział jednak, że rozwód jest rzeczą paskudną, niestosowną, nie licującą z nakazami przyzwoitości i jego pozycją kapitana żeglugi. Nie, nie porzuci Eleonory, w gruncie rzeczy ją też kocha i dobrze im było razem. To ona w niedzielne ranki szykowała mu ulubioną wołowinę na grzance, podczas gdy on czytał jej co zabawniejsze kawałki z gazety. Zawsze trzymała jego pantofle w jednym miejscu, przyszywała mu naszywki do munduru, oliwiła rower i dbała, by w oponach było powietrze. Była też matką jego dzieci.

O, nie, nie opuści Eleonory, nawet dla tej pełnej gracji, kuszącej łabędzicy.

- Nie zechcesz takiego morsa, jak ja - mówił z twarzą wtuloną w piersi Dove. - Zmęczysz się mną, nim zawiniemy do portu na rzece Hudson.

- Ależ tak, drogi Edwardzie - odpowiadała, nie przestając gładzić wyperfumowaną dłońią jego bujnych siwych włosów - zechcę. Ty zaś szybko pokochasz Newport letnią porą. Z okien mojej sypialni w Peerce House widać bezkres oceanu, aż po wrzynający się w morze cypel Gilt Hill. W przystani trzymamy niewielką łódkę, będziesz więc nadal moim dzielnym kapitanem. Latem będziemy się zabawiać na trawie, a jesienią, w Nowym Jorku, będziemy wydawać przyjęcia w moim domu na Piątej Alei. Pokochasz moich przyjaciół, pokochasz Amerykę i będziesz najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Zobaczysz.

On, E.J. Smith, najszcześniejszym człowiekiem na świecie? Cóż, dokładnie tak myślał o sobie przed chwilą. Czy jednak ta gołąbeezka nie jest w stanie pojąć, że ich miłość nie będzie trwała długo? Trwała tak długo, jak trwał ten bajkowy rejs, i musiała się skończyć z chwilą zejścia na ląd. Każdy rejs kończy się zejściem na ziemię - dosłownie i w przenośni.

Poza tym naprawdę nie zamierzał reszty życia spędzić z tą amerykańską arystokratką. Był Brytyjczykiem do szpiku kości, solidnym przedstawicielem klasy średniej, żeglarzem, i to dobrym, pomijając to lekkie potknięcie z *Hawke*. Nie należał do grona tych

napuszonych fanfaronów w nakrochmalonych gorsach, którzy gnuśniej w salonie przy lekturze gazet, podczas gdy żona robi sprawunki, składa wizyty i dokonuje przymiarek nowych sukni. Nie, do diabła! Dove Peerce stłamsi go, zgniecie, zamieni w kamień jak Meduza...

- Czy zechciałabyś się odwrócić, mój aniele? - powiedział. - Mam ochotę ucałować cię tam, gdzie kończą się plecy. Masz plecy piękne jak z obrazu Ingresa, a twoje pośladki przyprawiają mnie o szaleństwo.

- Szalejesz za mną, bo nigdy nie zdradziłeś żony, mój kochany - Dove przemawiała miękko, tonem dobrotliwej uprzejmości. - Z tego samego powodu trudno ci przywyknąć do myśli o nowym związku. Rozumiem to. Lecz pamiętaj, że już nigdy nie pokochasz Eleonory, nawet jeśli się rozstaniemy. Zawsze, do końca życia, będziesz porównywał ją do mnie. Będziesz czuł do niej urazę, a mnie będziesz pragnął do szaleństwa ...

Och, ta bestia miała rację. Nie sposób jej było się oprzeć. Położy się na niej, zdobędzie ją, zerznie. Załatwi ją tak, że nie będzie już miała siły gadać. Zatkanie te lśniące usteczka, wepchnie do gardła ten różowy języczek... A potem wyjaśni jej wszystko... potem... później... jeszcze nie teraz...

Zadzwoił telefon przy łóżku.

Do diabła z nim!

Zadzwoił ponownie.

Cholera!

EJ. zsunął się z nagiego ciała Dove i podniósł słuchawkę. Nic takiego, Lightoller prosi o zatwierdzenie drobnej korekty w obliczeniach.

Odłożył szybko słuchawkę i spojrzał łakomym wzrokiem na swą rozpustnicę. Czekająca na niego, gotowa, drżąca, wilgotna. Z odrzuconą do tyłu głową i wdzięcznie wygiętą szyją popijała szampana z kryształowego kielicha, pobrzękując bransoletami ze szczerzego złota. Ten widok go rozpałał, upajał, fascynował.

- Dobrze, ożenię się z tobą - skłamał, by ją zadowolić, a potem

runął na nią, nie zdolny czekać ani chwili dłużej. Przez kilka chwil znów się czuł najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Cyganka uciekła, gdy tylko Burty wszedł do kabiny. Wyglądała tak, jakby na jego widok ogarnął ją paniczny lęk, wręcz trwoga. Czarne widzące oko zapaliło się, lecz zaraz zgasło; ślepe rozwarło się i w ułamku sekundy zamarło, nakryte fałdzistą powieką. Nie powiedziała ani słowa. Po prostu wycofała się i znikła, jakby nigdy jej tam nie było.

Burty nawet się temu nie dziwił. Musiał widocznie napędzić jej stracha, kiedy wtargnął niczym byk na arenę, nabuzowany, pchany nagłą decyzją odzyskania ukochanej żony.

Tory spała. Musiała zażyć jakieś lekarstwo, które jednocześnie łagodziło ból i trzymało w nieświadomości. To dobrze. Był jeszcze zbyt pijany, by rozmawiać z nią spokojnie, wystawiać się z elokwencją, błagać o przebaczenie. Poczekaj, aż Tory się przebudzi. Wówczas przyjdzie czas na pojednanie. A kiedy wróci do domu, zabierze ją do ulubionego sklepu Cartiera i kupi jakiś klejnocik.

Rozebrał się po ciemku, cisnął ubranie na krzesło. Nim wślizgnął się do łóżka, postąpił chwilę w samych bokserkach na prywatnym pokładzie apartamentu. Noc była chłodna, rozpędzony *Titanic* niósł za sobą lodowaty podmuch. Światła statku przypominały karnawałowe girlandy, mieniły się połyskliwie w wodach oceanu niczym gwiazdy uwięzione w sieci, rozbłyskiwały niby oczy penetrujące zieloną otchłań.

Burty wciągnął w płuca rześkie, mroźne powietrze, roztarł zziębnięte ramiona. Potem wrócił do Tory, wtulił się w nią i otoczył troskliwie ramieniem wydęty jak bęben brzuch. Zasypiał z nadzieją, że po przebudzeniu nie potraktuje go zbyt surowo.

Tory potrząsnęła nim tuż po czwartej. Odeszły jej wody i przemoczyły pościel. Zadzwończyła po stewarda.

- Burty, musisz wstać. Wstawaj, słyszysz?

- Tak, kochanie, tak. Powiedz tylko, że mi przebaczasz. Byłem wściekły... nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię ani co mówię. Powiedz, że przebaczasz swojemu Burtykinsowi, proszę...

Była chora i słaba, bez makijażu i bez strojnej toalety. Miała potargane, zmierzwiłone włosy i ciemne wory pod oczami. Drobną zmarszczką niepokoju przecinała czoło między brwiami. A mimo to była cudowna, najpiękniejsza z kobiet, jakie spotkał w swoim parszywym życiu.

- Burty, będę rodzić, trzeba zmienić pościel. Nawet nie drgnął.
- Powiedz, że mi wybaczasz, Tory, inaczej się nie ruszę.
- Och... - Pomknęła do łazienki i po chwili usłyszał, jak wymiotuje.
- Powiedz, że przebaczasz! - Stał za uchylonymi drzwiami. - Tak

mi przykro, kochana... Byłem głupcem, zaskoczyła mnie ta historia, ale już mi przeszło. Nie powinnaś jej była przede mną ukrywać. Przecież wiesz, jak bardzo...

Do pokoju wpadł steward z młodą pokojówką. Szybko zmienili pościel. Burty, ubrany w jedwabny szlafrok haftowany w smoki, wciąż stał przed drzwiami łazienki, skąd dochodził jedynie delikatny szmer wody.

- Tor, słyszysz mnie? Tor! - zawołał, kiedy steward i pokojówka zostawili ich samych.

- Tak, Burt... - Wyszła z łazienki w świeżej koszuli, przyczesła włosy, przyróżowała policzki i pociągnęła usta szminką. -

Przebaczam ci. Nigdy więcej o tym nie mówmy.

- Nie, Tor. Wezmę prysznic, pocałuję cię i potem porozmawiamy. Mam ci tyle do powiedzenia. Spuściłem w palarni manto twojemu koleśowi, co ty na to?

Zaśmiała się, jak dawniej, lecz zaraz potem skrzywiła się i szepnęła:

- Och, Burt, tak mnie boli, że chyba umrę.
- Wezwę lekarza.
- Nie - powstrzymała go, chwytając za rękę. - Nie chcę, żeby plotkowano, jeśli dziecko... jeśli nie będzie... jak należy.
- Kto więc...?
- Przyrowadź tu tę Cyganekę.

Zamierzał perswadować, że lekarz jest niezbędny, lecz Tory tak się upierała, że zaniechał tłumaczeń.

- Spróbuję chociaż powiadomić Audrey - zaproponował.

Tory skinęła głową z aprobatą. Nie mogła już mówić, spomiędzy nóg ciekła jej krew. Zrzuciła rubinową koszulę i pobiegła do łazienki.

Burty jednym susem przemierzył pokład dzielący ich od sypialni Lockholmów. Nikt nie zareagował na natarczywe pukanie, zadzwonił więc na gońca, by ten czym prędzej odnalazł Audrey. Potem usiadł w fotelu i czekał. To nie potrwa długo, pocieszał się, niebawem skończy się ten jego czyściec. Przyjdzie Audrey, przyprowadzi Cyganekę...

**Cholera!**

**Przecież nie może tak siedzieć.**

**Musi pomóc, musi jej pomóc!**

RS



## Rozdział 16

---

*Niedziela, 14 kwietnia*

**W**iele się wydarzyło od chwili, kiedy Audrey po raz pierwszy zdobyła się na kłamstwo wobec Baya - kłamstwo dotyczące pieniędzy. Gotowa była jednak popełnić każde nadużycie, byle przekupić boskie moce i uratować męża przed śmiercią.

Oczywiście, nie przyzna się przed nim, że wierzy w cudowny dar przewidywania madame Romany i że owa czarownica widziała w kryształowej kuli grożące mu niebezpieczeństwo. Bay nie zrozumiałby, odmówiłby takiej ochrony. Audrey wyzna mu tyle, ile będzie mogła. Opowie o długu, jaki Lockholmowie mają do spłacenia wobec Esmeraldy; opowie o tym, że jego matka, Edmunda Lockholm, na dziesięć lat ukradła Cygance jej męża i że ta nie doniosła o tym ojcu Baya; opowie wszystko, co wie o ich powikłanej przeszłości, pominie zaś milczeniem przyszłość, w którą Bay i tak nie uwierzy...

Od dawna szykowała się na tę rozmowę, lecz nie mogła zebrać się na odwagę. Musiała też stawić czoło swoim córkom. I oto wreszcie dzisiaj postanowiła rozmówić się z mężem.

Stało się to szybciej niż myślała. Tuż przed śniadaniem Bay przytulił ją, gdy kończyła poranną toaletę, i poprosił, by założyła do śniadania perły, które jej podarował w wiejskiej posiadłości Nicole w Denton.

Perły - w kształcie półksiężyców.

Nicole - o ogniście rudych włosach.

Audrey natychmiast przypomniała sobie przepowiednię starej Cyganki. Jak to mówiła madame Romany?

„Będzie księżyc. Jak go zobaczysz, ładna pani, to będziesz wiedziała, że nadchodzą prawdziwe kłopoty. Za kłopotami będzie kobieta. Wiesz, o której mówię. Ta z ognistymi włosami...”

Gdy więc ją o to poprosił, Audrey, która chciała wyjaśnić jedynie

część powodów, dla których wypisała Cygance czek na dziesięć tysięcy dolarów, wyznała mu nagle wszystko. Jak mu bowiem inaczej mogła wytłumaczyć, że lęka się nosić te perły, a nawet patrzeć na nie; że boi się, iż przyniosą zgubę?

Nie parsknął śmiechem, jak się wcześniej spodziewała. Nie okazał zniecierpliwienia. Długo mówiła, a on uważnie słuchał, siedząc obok na sofie i obejmując ją ramieniem. Gdy zaś skończyła, ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

- A więc o to chodzi, najmilsza. Zwrócę go jubilerowi zaraz po powrocie, a ty wybierzesz sobie, co tylko zechcesz, dobrze?

- O, tak! - zgodziła się skwapliwie, choć miała już tyle klejnotów, że nie cieszyły jej nowe. Dobrze, wybierze turmaliny osadzone w platynie, jak w herbie Lockholmów. Turmalin jest kamieniem półszlachetnym, mniej kosztownym niż perła czy diament, a jego głęboki błękit będzie podkreślał kolor jej oczu. Tak, wybierze naszyjnik przypominający herb Lockholmów - platynowy żagłowiec unoszony na falach z turmalinu.

Gwałtownie zatęskniła za domem, za dawnymi czasami, kiedy to byli tylko we dwoje, oboje młodzi, beztroscy i całkowicie zajęci sobą. Później też nie było tak źle - ich córeczki były malutkie, śliczne jak malowanie, nie było trosk i zgryzot, nie było *Titanica* i bałamutnych flirciarzy, jak ten, który sprowadził jej córkę na złą drogę - drogę ciotki Celeste.

- Powinniśmy chyba pójść do dziewczynek - odezwała się do męża. - Kończą dziś szesnaście lat, zaplanowałam przyjęcie. Chyba nie najlepiej przebiega im ta podróż.

Przez twarz Baya przemknął cień. Zaraz jednak klasnął w ręce, jakby ucieszony perspektywą nowej zabawy.

- Właśnie! Kupiłem im prezenty. Nie perły, zapewniam cię, lecz srebrne zapinki. Prawda, że to dobry podarek?

- O, tak, aż za dobry... - urwała. - To znaczy, myślę ostatnio coraz częściej, że naprawdę zasłużyły sobie na kosztowny podarek, a nawet na coś więcej.

- Nie rozumiem.

- Ach, Bay, chyba nie troszczyłam się o nie jak należy. Muszę im to jakoś wynagrodzić. Też mam dla nich prezenty i to ogromnie ekstrawaganckie: pelerynki z norek. Twigg znów będzie wściekła, że je rozpuszczam.

Bay wzruszył ramionami. Kosmyk włosów opadł mu na czoło, nadając jego twarzy łagodny, chłopięcy wyraz.

- Na pewno.

- Nie szkodzi. Wiem, jak udobruchać naszą Twigg - zaśmiała się Audrey. - Damy jej podwyżkę.

Bay pomacał kieszeń na piersi, sprawdzając, czy nie zgubił cygar.

- Jeśli damy jej dostatecznie wysoką podwyżkę, to może pozwoli mi zapalić podczas przyjęcia?

- Nie sędzę. Zapomniałeś? Twiggusia uważa, że dym szkodzi sukniom.

Ucałowali się serdecznie, a potem wzięli się za ręce i ruszyli na spotkanie swoich córek.

Dzień był przepiękny. Niebo i ocean zlewały się w jeden intensywny błękit, przetkany pajęczyną białych chmur, przechodzących wyżej w kłębiaste spirale. Mimo słońca panował jednak dojmujący ziąb - *Titanic* przepływał właśnie przez najzimniejsze akweny na swoim szlaku. Futrzane pelerynki dla Swan i Smoke będą jak znalazł, pomyślała Audrey.

Czuła treść przed spotkaniem z dziewczynkami. Obie miały po szesnaście lat i nie były już dziećmi. Dorastały właściwie same, każda w odmienny sposób, i Audrey w pewnym momencie przestała za nimi nadążać. Kontakt między nimi a matką się urwał i oto teraz jedna rzuciła się na oślep w dorosłość, oddając pierwszemu lepszemu swoje niewinne ciało, a druga własnorecznie obcięła włosy na znak protestu przeciw czemuś, czego ona, jej matka, nie była nawet w stanie pojąć. Tym razem okaleczyła włosy, ale jeśli następnym razem będą to żyły, albo gardło?

Stanowczo musi zająć się swymi córkami, inaczej je straci.

Ale musi też uważać na Baya.

Bo gdyby przyszło jej wybierać - wybór padnie na niego.

Zapukała do kabiny bliźniaczek i zawahała się nagle. Ogarnęła ją nieprzyjemna myśl, że powinna czym prędzej zawrócić; że oboje z mężem powinni zawrócić.

E, bzdury. Czego miałyby się bać?

Weszli do środka. Dziewczynki spały jeszcze, lecz po ich wejściu przebudziły się i podniosły na powitanie. Serce matki zadrzało. Bliźniaczki zawsze wyglądały identycznie, tak samo się ubierały, śmiały i poruszały. Zdawały się jej jedną równiutko przepołowioną istotą, jednym kwiatem o dwóch pąkach.

Teraz natomiast siedziały odmienione, jakby dalekie, obce, zarówno sobie, jak i jej...

- Wszystkiego najlepszego, moje kochane! - odezwała się do nich, z trudem powstrzymując łzy.

- Dziękuję, mamó. - Swan uniosła rękę bez entuzjazmu, lecz nie ruszyła się z kozetki. Smoke uśmiechnęła się tylko blado i spuściła w milczeniu wzrok na kolana.

Odmienny wygląd, odmienna reakcja.

Audrey czuła, że powinna je teraz ucałować, ale były zimne, niedostępne, a ona po prostu nie wiedziała, jak to zrobić.

- Skoro Swan jedzie do szkoły w Szwajcarii - odezwała się nagle Smoke - ja chcę pójść do szkoły w Londynie. Swan chciałaby dostać konia, na letnie spacerki, kiedy nie będzie jeździć na nartach. Ja chciałabym dwuosobową łódź. Będę ją trzymać na Tamizie. Przrzekam, że będę bardzo ostrożna... i ogromnie wdzięczna.

- Będziemy pisać do siebie raz w tygodniu - dodała Swan - lub raz na dwa tygodnie.

- Doszliśmy też do wniosku - ciągnęła Smoke - że jesteśmy za duże na guwernantkę i postanowiłyśmy przyjąć rezygnację pani Twigg. Chcemy, żeby znikła nam z oczu, choć rozumiemy, że...

- Wystarczy - przerwał jej ojciec.

- Zdecydujemy o waszej przyszłości innym razem - dodała Audrey - a dzisiaj bawmy się z okazji urodzin! No, rozpakujcie prezenty! - Wzięła z rąk Baya owinięte w srebrny papier pudełka i wyciągnęła je w ich kierunku.

Bliźniaczki posłusznie przyjęły podarki, lecz zwlekały z ich odwinięciem. Smoke pierwsza uchyliła pokrywkę i zajrzała do środka. Swan zajrzała do pudełka siostry i natychmiast otworzyła swój pakunek.

- To od ojca? - zapytała, podnosząc prezent wysoko do góry.

- Och, jest cudowna! Zapniesz mi, tato? - Smoke zwróciła się do Baya.

Obie były zachwycone, Bay promieniał z radości i tylko Audrey czuła, jak serce jej zamiera.

Nie były to perły - zgodnie z obietnicą Baya - ale zapinki w kształcie półksiężyców. W zagłębieniu każdego z nich osadzono diamentową gwiazdkę, migoczącą i mrugającą na Audrey niczym pokryte bielmem oko starej Cyganki!

Boże, wszystko jak w przepowiedni: chłód, księżyc, małe gwiazdki...

Przysiadła na krawędzi łóżka bez tchu. Była pewna, że nad głową ukochanego zawisła katastrofa. On tymczasem, ucałowawszy córki, przechadzał się po kabinie jak gdyby nigdy nic i palił hawańskie cygaro. Dziewczynki już bez uprzedniej rezerwy rozwiązały różowo-białe kokardy i rozwinęły z papieru kolejne prezenty. Pisnęły z radości na widok futrzanych pelerynek i rzuciły się ją całować.

Audrey czuła się tak, jakby patrzyła na to wszystko z boku. Była oszołomiona, otępiała, zmrożona. A przecież miały jeszcze nadejść kolejne znaki...

Przyjęcie urodzinowe Swan i Smoke odbyło się na Dziedzińcu Palmowym. Nicole przybyła na nie z Teddy'ym Royce'em, a Dove z kapitanem Smithem. Jedni i drudzy byli wyraźnie sobą oczarowani. Bruce Ismay przyszedł sam, a pani Twigg przyprowadziła pułkownika Gracie, uroczego erudyte z ujmującym poczuciem humoru.

Stół nakryto na jedenaście osób. Biesiadnikom przygrywali dwaj skrzypkowie, Danny Bowen i Jock Hume, usadowieni między dwiema palmami naprzeciwko okna. Wspaniałe słońce rozświetlało przejrzysty błękit nieba, toalety dam były nadzwyczaj szykowne, a

menu wyborne - aksamitna zupa cebulowa, łagodny suflet z krabów, soczyste szparagi pod beszamelem.

Audrey nadaremnie usiłowała się skupić. Oczy zaszyły jej mgłą, umysł zaćmił przemożny lęk. Nie rejestrowała tego, co się wokół niej dzieje. Udręczona, z bezwolnym, wymuszonym uśmiechem na ustach, czekała...

Na co?

Zaczęła się zastanawiać, który z muzyków uwiódł jej córkę - ten wrażliwy, o twarzy poety, czy może ten dobrze zbudowany, czerstwy i pewny siebie. Wiedziała tylko, że ma na imię Danny, że jest skrzypkiem i że Bay pozwolił mu grać na przyjęciu w zamian za obietnicę trzymania się z dala od Swan przez najbliższe dwa lata.

Chłopak dał podobno słowo honoru. Pozwolono mu jedynie korespondować z ukochaną. „A potem zobaczymy - orzekł Bay - jeśli płomień wciąż będzie gorzał w ich sercach, jeśli Swan nie spodoba się żaden inny, to może...”

Lecz nawet myśl o kochanku córki nie wyrwała Audrey z odrętwienia. Jadła, piła, podziwiała tort w kształcie dwóch serduszek z misternie wykaligrafowanym napisem: „Serdeczne życzenia urodzinowe” oraz imionami bliźniaczek; klaskała, kiedy dziewczynki zdmuchnęły świeczki, śpiewała „Sto lat!”, a potem zamówiła lody z dodatkami - wszystko na próżno. Nic nie było w stanie uśmierzyć jej strachu. Oczekiwała ciosu, gromu, nagłego podmuchu, który wszystko zmiecie i wszystko obróci w pył.

Przyjęcie dobiegało właśnie końca, kiedy doszły ją niepokojące nawoływania z dolnego pokładu. Natychmiast poczuła leciutkie drżenie, jakąś podskórną, ledwo uchwytną, wibrację, której być może nie czuł nikt inny poza nią.

Jakby anioł przeszedł przez salon, pomyślała.

Anioł śmierci.

Odłożyła nerwowo serwetkę i szybko wstała. Cokolwiek się miało wydarzyć - była gotowa.

Z głębi statku dało się słyszeć podniesione głosy i bieganinę. Tak! Coś się stało, coś się musiało stać!

Oszalałym z trwogi wzrokiem poszukała Baya. Bay, jak gdyby nigdy nic, tańczył ze Smoke. A gdzie Nicole? Jest! Odrzuca swoje rudy włosy do tyłu, zaśmiewając się z kolejnych dowcipów Teddy'ego Royce'a.

Kilka osób wybiegło jednak w pośpiechu, więc i ona podążyła ich śladem. Pomknęła schodami na pokład B, tam gdzie pędzili stewardzi.

- Co się dzieje? - Chwyciła za rękę jednego z nich.

- Podobno jakaś kobieta wypadła za burtę. W trzeciej klasie - rzucił przez ramię i pognął dalej.

Nie, to nie może być Tory! Przecież Burt wrócił, są razem. Trucizna osłabiła ją, ale nie uśmierciła ani jej, ani dziecka.

To nie może być Tory.

Tłum tłoczył się przy relingu na rufie. Audrey zaczęła przeciskać się między stłoczonymi pasażerami. Jakiś mężczyzna, znacznie od niej wyższy, przepuścił ją przed siebie - i wtedy zobaczyła.

Na zabarwionej różowymi promieniami słońca tafli oceanu unosiła się czarna spódnica, niczym klosz ogromnej meduzy. Falowała, wydymała się i kołysała, aż wreszcie woda zaczęła przykrywać i pochłaniać ciało. Po dwóch minutach na powierzchni pozostał jedynie czarny, wąski pasek szala, który sunął powoli po falach niczym fragment żałobnej chorągwi. Kapok i dwa jasnopomarańczowe koła ratunkowe, które wyrzucono nadaremnie za burtę, tańczyły na wodzie wesoło jak dziecięce zabaweczki.

Audrey nie musiała pytać, kto utonął. Chłód ścisnął jej serce żelazną obręczą. Przemknęło jej przez głowę, że jest morderczynią, przehandlowała życie Cyganki za życie Baya.

Bóg ją za to pokarze.

Zawróciła. Dygotała z zimna i przerażenia. Ledwo się wlokła, wyzuta z uczuć, wyczerpana, zgięta pod ciężarem, któremu nie była w stanie podołać.

Minął ją Bruce Ismay. Był zdenerwowany, w pośpiechu.

- Panie Ismay - próbowała go zatrzymać. - Proszę powiedzieć, co się stało.

- Nic, pani Lockholm, niech pani stąd idzie. - Wręczył jej nie wiadomo po co jakiś świstek papieru i wypatrywał kogoś ponad jej głową.

Audrey rozprostowała papier i zaczęła czytać; „Grecki parowiec *Athenai* melduje przejście dzisiejszego dnia obok gór lodowych i znacznych ilości. lodu, zbitego w polu na szerokości...”

- Ale ja mówię o tej kobiecie za burtą. - Oddała mu depeszę.

- Wiem, wiem. Zajmę się tym. - Ismay poklepał ją po ramieniu. - Płynęła na gapę, jak mi mówiono, ktoś ją złapał, próbowała się wywinąć, no i ... - Rozłożył ręce. - Proszę się nie martwić, pani Lockholm, to nic ważnego.

Nic ważnego? Ktoś stracił życie i to nic ważnego?

Pobiegła szybko na pokład A, gnana nieustającym strachem o Baya. Był wciąż w tym samym miejscu, w którym go zostawiła. Rozdawał właśnie kelnerom napiwki po zakończonym przyjęciu, goście już się rozeszli, częściowo posprzątano ze stołów.

Nie bacząc na nic, podbiegła i przytuliła się do niego.

- Bay, ta kobieta, o której ci mówiłam...

- Wiem, słyszałem. Chodźmy, sprawdzimy, jak się miewa Tory. Tory!

Z tego wszystkiego zapomniała o Tory. Kto teraz zaopiekuje się biedulką, kiedy zabrakło Cyganki?

- Trzeba sprowadzić lekarza - podchwyciła. - Musimy koniecznie wezwać lekarza!

- Najpierw sprawdźmy, jak się miewa Tory, dobrze? - Bay poprowadził ją do apartamentów. - Niosę im po kawałku urodzinowego tortu.

Tort? No tak... Córki też wyleciały jej z głowy.

Poddała się woli męża. Najważniejsze, że był bezpieczny. Koszmar minął. Teraz może się odprężyć, uspokoić...

Dotarli do swojego apartamentu, weszli do środka. Niemal natychmiast usłyszeli jęki, dobiegające z sąsiedniej sypialni.

- Burt, to ja, mogę wejść? - Audrey zapukała i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły, zamknięte na klucz



od środka. - Burt, to ja, Audrey, wpuść mnie, proszę!

- Odejdź, Audrey - głos Burty'ego dochodził tuż zza drzwi - obiecałem Tory, że nikogo nie wpuszczę. Ona rodzi. Pomogę jej, powie mi, co mam robić... Nie martwcie się.

- Burty, trzeba wezwać lekarza...

- Nie. Poradzimy sobie sami. Nie przeszkadzaj...

- Burt, staruszk, przynieśliśmy wam po kawałku urodzinowego tortu - teraz Bay próbował interweniować. - Wyjdź i wpuść Audrey, ona lepiej da sobie radę...

- Zostawcie nas w spokoju! - odezwał się Burt po raz ostatni i później słyszeli już tylko bolesne jęki cierpiącej, pozbawionej fachowej opieki Tory.

- Idę po lekarza - zapowiedział głośno Bay. - Obiecuję wam całkowitą dyskrecję. Audrey tu zostaje, Burt, jakbyś jej potrzebował...

Po kilku minutach wrócił z lekarzem, lecz Burt zgodnie z zapowiedzią nie wpuścił nikogo do środka.

- Idźcie sobie, zostawcie nas samych - powtarzał uparcie.

Lekarz odszedł, oni zaś usiedli zrezygnowani i czekali. Zamówili kawę, Bay palił jedno cygaro po drugim. Wstawał, chodził tam i z powrotem, potem znów siadał w fotelu i patrzył tępo przed siebie.

Audrey trwała nieruchomo na krzesełku pod drzwiami do sypialni VanVoorstow. Gdzieś z daleka, zapewne przez co najmniej kilka ścian, dobiegły ją nuty religijnych pieśni, które śpiewano właśnie w salonie. Chór modlitewnych głosów wznosił się i opadał, zdawał się wypełniać powoli przepaścisty brzuch statku. Nie wiedziała, czy śpiewano na znak żałoby po topielcu, czy też może w ten sposób czci się niedzielę w morskim obyczaju. Jej poprzedni rejs, z Newport do Paryża, skończył się w niedzielę rano i nie miała okazji się o tym przekonać.

Ech, Paryż, Dentoncroft, ognistowłosa Nicole... Jakże dawno to było. A jeszcze dawniej dom w Newport, jej ojciec, apartament na Piątej Alei, skąd chodziła robić ekstrawaganckie zakupy. Wieczory w operze, w teatrze, wystawne przyjęcia. Eleganckie stroje, ploteczki,

tańce, płochość...

I nieodłączna Tory. Zawsze razem szeptały po kątach, roześmiane, beztroskie, szczęśliwe. Audrey patrzyła teraz na to wszystko jakby z dystansu, jak na nie swoje życie, albo jak na swoje, ale widziane innymi oczami, obce, minione, dokonane...

Z rozmyślań wyrwał ją cichy dźwięk, który dał się nagle słyszeć spoza zamkniętych drzwi. Audrey podniosła wzrok, rozglądając się za Bayem, poszukała jego oczu. On też usłyszał. Zgasił szybko nie dopalone cygaro i wypuścił chmurę dymu.

Znowu!

Cichutkie, słabe popłakiwanie niczym kwilenie mewy nad falami.

Bay ujął Audrey za rękę, przytulił ją do siebie, otarł łzy z jej policzków - łzy żalu za Cyganką, łzy poczucia winy i łzy wdzięczności za potomka Burta i Tory.

- Gratulacje! - krzyknął do nich przez drzwi. - Winszuję ci, tatusiu, chodź no teraz na drinka!

Burty nie odpowiedział, słychać było tylko płacz dziecka i nerwowe kroki, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Bay zamówił do pokoju kolację na cztery osoby. Burty na pewno zgłodnieje, może Tory też coś przekąsi. Gdy jednak kelner przyniósł posiłek, nie mieli ochoty jeść. W kabinie panował chłód; w Newport nawet zimą nigdy nie było tak zimno. Audrey założyła najcieplejszą wełnianą suknię, jedną z kamizelek Baya i futro z norek. Bay włożył dwa swetry, szare flanelowe reformy i dwie pary długich skarpet, po czym opatulił się szlafrokiem.

- W tych reformach wyglądasz jak majtek - żartowała z niego Audrey.

- A ty jak bywalczyni oceanicznych liniowców, która wie, co zabrać w długi rejs.

W sypialni VanVoorstow wciąż panowała cisza. Audrey i Bay wtulili się w siebie, szukając miłości i ciepła. Czekali.

## Rozdział 17

---

**K**apitan Smith nie posiadał się z radości. Uda się! Między sobotnim a niedzielnym południem *Titanic* przepłynął pięćset czterdzieści sześć mil. To ledwie spacer, następnego dnia rozwiną, choćby na krótko, pełną prędkość, by sprawdzić, czy możliwe będzie osiągnięcie dwudziestu trzech węzłów. W tym tempie dopłyną do Nowego Jorku we wtorek, może nawet w południe.

A zatem rekord będzie należał do niego! Zdobyciem Błękitnej Wstęgi chwalebnie zakończy kapitańską karierę. Cóż, zasługuje na to. Gdyby tak jeszcze dało się wymazać ten przykry incydent z *Hawke*, kiedy to dowodzony przez niego *Olimpic*, starszy i skromniejszy brat *Titanica*, uszkodził kadłub, zderzając się z krążownikiem. .. Wówczas zostałby w pamięci potomnych wyłącznie jako dowódca najszybszego liniowca świata. Jego nazwisko zapisano by w księdze rekordów!

Skoro przypląną przed czasem, nie powitają ich pewnie fanfary. A niech tam. Na orkiestrę, prasę i gratulacje zaczeka do środy. *Titanic* odsapnie sobie w porcie przez noc, potem go wypucują, aż będzie lśnił jak lustro. Pasażerowie, jeżeli zechcą, będą mogli zejść do portu lub zostać na pokładzie, by wziąć udział w środowych uroczystościach. Najważniejsze zaś jednak jest to, że on, kapitan Edward John Smith, będzie miał swój rekord i swoją Błękitną Wstęgę.

A Dove? Czy ją też będzie miał?

Leżała właśnie naga w jego łóżku, okryta kocami z powodu zimna. Po powrocie z przyjęcia Lockholmów nieźle sobie pofiglowali i teraz ta napalona gołąbeczka czekała na kolejną porcję gorących figli.

Akurat teraz nie mógł jej dogodzić. Miał kupę spraw do załatwienia, poczynając od sterty depeesz, które należało wpisać do dziennika okrętowego. Irytowały go te nieustanne ostrzeżenia: lód tu, lód tam, jakby sam nie wiedział, co oznacza nagły spadek

temperatury. Smith był doświadczonym wilkiem morskim i nie lubił, żeby go byle kto pouczał.

Co jakiś czas wrzucano zresztą do oceanu kubeł na linie, by sprawdzić temperaturę wyciągniętej wody. O szesnastej była lodowata, miała prawie zero stopni. Kapitan Smith wiedział więc, na czym stoi, i wcale nie potrzebował kolejnych ostrzeżeń, a już szczególnie drażniły go te, które przysyłał Stanley Lord z *Californiana*. Ismay zmył temu bubkowi głowę, więc teraz pewnie kombinuje, jak tu inną drogą dobrać się do markizy. Ale go wzięła chcica na tę rudą!

E.J. roześmiał się pod nosem i wyjrzał przez bulaj: powietrze było przejrzyste, a morze gładkie jak lustro. Co tam dla nas choćby i sto gór lodowych...

- Przyrzeknij, Edwardzie, że się rozwiedziesz.

Odwrócił się zaskoczony. Na chwilę zapomniał o Dove, pogrążony w myślach o dniu swojej chwały. Złożył resztę depeusz na kupkę i wetknął do bocznej kieszeni. Przeczyta je później, w wolnej chwili.

- Nie mogę, aniele, naprawdę nie mogę. Eleonora mnie potrzebuje, bardziej niż ty.

- Nieprawda, ja bardziej.

EJ. ujął w swoją szorstką rękę jej delikatną, wypielęgnowaną dłoń. Czas już z tym skończyć, pomyślał. Żądała więcej miłości, niż mógł jej dać; więcej czasu, niż mógł poświęcić; lojalności, do której nie miała prawa.

Postawi sprawę jasno. Pora odrzucić młodzieńcze fantazje. Pragnął Dove wszystkimi zmysłami, lecz jego miejsce jest w Southampton, w skromnym domku przy Winn Road z widokiem na port i statki. Po ostatnim w swojej karierze rejsie wróci do domu, gdzie zostawił jeśli nie uwielbienie, to na pewno przywiązanie do Eleonory i małej Helen. Dove natomiast, mimo całej swej bujnej wspaniałości, była w jego życiu jedynie chwilowym szaleństwem.

- Zawsze będę ci niewymownie wdzięczny, moja droga... - zaczął wymijająco i natychmiast dostrzegł, że jej wzrok twardnieje. Zmyślna kobieta, od razu poznała, że jej kochanek waha się, jak

wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Jak ją rzucić, nie urażając zbyt boleśnie uczuć.

- Skradłeś mi serce - powiedziała. - Chcesz zniszczyć to wielkie szczęście?

- Wiesz, najdroższa, że kocham cię ponad wszystko. Ale nie potrafiłbym spędzać życia na... balach i fidrygawkach. Jestem, droga Dove, człowiekiem pracy. Lubię proste życie: kiełbaska, piwo, twarze bliskich, ciepłe pantofle. Do tego przywykłem i to mi odpowiada. Ameryka - to nie dla mnie. Wielbię cię, jak tylko mężczyzna potrafi wielbić wymarzoną istotę, bo jesteś wspaniałą kobietą i cudowną kochanką. Ale ty, moje szczęście, nie pasujesz do szarej codzienności. Co taki prostak jak ja robiłby na codzień z taką wytworną damą? Budzisz we mnie zachwyt, ale za nic nie mógłbym żyć w twoim świecie.

Dove nie załkała, nie stroiła fochów, nie prawila kazań. O nic też nie błagała. Wpatrywała się tylko w niego dużymi błękitnymi oczami, a po milczeniu, które trwało odrobinę za długo, oznajmiła:

- Więc ja będę żyła w twoim świecie, EJ. Stanę się żoną marynarza, zamieszkał w wiejskiej chacie.

- Daj spokój, moja droga... - zaczął kapitan, lecz nie bardzo wiedział, co powinien dalej powiedzieć.

Stanęła mu nagle przed oczami twarz Eleonory. Miałby na stare lata ją zostawić? Dla wielkopańskiej zachcianki tej frywolnej, amerykańskiej bogaczki, stanowczo zbyt wyrafinowanej jak na jego gust? Już słyszał w myślach spokojny, cierpliwy głos żony, która mówi, wyglądając przez kuchenne okno z perkalowymi firankami: „Znudzi się tobą, Edwardzie, po jednym sezonie. Kobiety jej pokroju nie dochowują wierności do grobowej deski...”

Tak, Eleonora miała rację.

- Zechciałabyś się ubrać, najdroższa? - EJ poczuł nagłą irytację. - Widenerowie wydają obiad na moją cześć. Zechcesz mi towarzyszyć, jeszcze ten jeden raz?

Ubierała się bez cienia zażenowana, a on po raz kolejny mógł podziwiać jej niespotykaną urodę i pełną wy-tworności grację. Nie

sposób było oderwać oczu od gładkiego ciała, szykownego stroju, anielskiej fryzury upiętej misternie grzebieniem z kości słoniowej, wysmukłych ramion, kapryśnie zarysowanych różanych ust, alabastrowych policzków...

Och, chętnie znów rzuciłby się na nią i lubieżnie lizał od stóp do głów jej skórę. Była piękna, szatańsko piękna, uwodzicielska, niszczycielska...

Nigdy jej nie zapomni i zawsze będzie wdzięczny ponad miarę, lecz teraz marzył tylko o tym, żeby uciec od niej jak najdalej. Dlatego też później pod pierwszym lepszym pretekstem przeprosił zgromadzonych przy stole gości, zostawiając Dove w towarzystwie Widenerów i obiecując wpaść później.

Około dziewiątej wieczorem udał się na mostek, gdzie wachtę pełnił właśnie drugi oficer Charles Herbert Lightoller. Przeraził go zimno natychmiast go otrzeźwiło. Przyniesiono w kubku herbatę, po której E.J. poczuł się znacznie lepiej.

Tak, do cholery. Do tego oto miejsca przynależał. Ja-kimż był głupcem, że dał się ponieść chłopięcym fantazjom. Ba, prawie dał się omotać, omal nie ugrzązł w sieci żadnej damsko-męskich przygód awanturnicy.

- Nie ma wiatru, prawda? - zwrócił się do Lightollera.

- Nie, kapitanie, kompletna flauta. Chciałbym, żeby trochę podmuchało. Szybciej przedarlibyśmy się przez lód.

- Coś pana niepokoi?

- No cóż, kapitanie, widoczność niemal zerowa. Wiatr i fale zamieszałyby wodę wokół lodowych brył i łatwiej by je było rozpoznać po przybojowej kipieli.

- Hm, na razie nie widzę niczego niepokojącego. - E.J. złożył lunetę i wręczył ją Lightollerowi. - Niech pan sam spojrzy.

Noc była czysta i bezksiężycowa, woda i niebo zlewały się w jedną granatowo-czarną satynową powłokę, bez linii horyzontu. Na powierzchni wody migotały gwiazdy, lśniąc i połyskując o wiele wyraziściej niż przydymiony odbłask światła *Titanica*, tworzących na tafli wokół burt świetlistą pajęczynę.

- Powietrze czyste jak nigdy, a ocean idealnie równy... Ja też nie widzę niczego, co mogłoby sprawić kłopot - zawyrokował drugi oficer. - Martwi mnie tylko trochę to niebieskawe świństwo przed nami, widział pan?

Kapitan skinął głową ze zrozumieniem. Wielkie płyty lodu oddzielające się od popękanego masywu lodowca i porywane przez oceaniczne prądy tworzą dryfujące pola lodowe. Ciepleszy pływ nadtapia ich brzegi. Płyta pęka, niekiedy na wiele części. Nie skryształizowany jeszcze lód jest ciemny, żeglarze nazywają go czarnym lub niebieskim. Niekiedy boki oderwanej od lodowca góry zamarzają kilka godzin i to jest najniebezpieczniejszy moment. Nie sposób bowiem zauważyć jej ostrych krawędzi, wtapiających się w ciemne tło.

- Kto jest na bocianim gnieździe?

- Fleet, sir. To dobry obserwator. Bystre oczy. Niekiedy zanadto im ufa i zapomina o lornetce.

- Lornetka ma być w gnieździe na stałe, proszę tego dopilnować.

- Tak jest, sir.

- No to dobranoc, Chuck. Będę u siebie, gdybyś mnie potrzebował.

- Będzie pan w swojej kwaterze?- zawahał się Lightoller, wiedząc co nieco o kapitańskich nocach.

- Tak. Będę tuż obok, przez cały wieczór. - E.J. roześmiał się i poklepał drugiego oficera po plecach. - Możesz śmiało mnie wzywać, jakby co.

- Dziękuję, sir - zarumienił się Lightoller.

- Niech pan się nie obawia, Chuck, i zawiadamia o każdej najmniejszej błąhostce.

- Dobrze, sir. Dobranoc, sir.

E.J. szybko pokonał siedem stopni i zniknął w swojej kabinie. O, jak dobrze, znowu w domu, nareszcie sam...

Rozejrzał się, szukając śladów obecności Dove. Znalazł smużkę szminki na krawędzi szklanki, umył więc szklankę w łazience, wytarł ją starannie i schował do barku. W powietrzu wciąż unosił się odurzający zapach perfum, toteż E.J. otworzył na oścież iluminator.

Na stoliku odnalazł kilka jasnych włosów - zwinął je w kłębek. Włożył je do pamiętnika jako swoiste memento: oto męska decyzja wyparła chłopięce marzenia o niedosiężnym ideale, dorosła umiejętność rezygnacji zwyciężyła ulotne fantazje.

Przez cały dzień kapitan Stanley Lord zamartwiał się lodem. Nigdy nie widział takiego nagromadzenia luźnego lodu i tak masywnych brył. Ogromne kawały niczym groźne, drapieżne białe bestie wynurzały się z wodnej otchłani na kursie statku, a potem z ociąganiem rozstę-powały się przed dziobem - łapczywe, przyczajone, zaborcze.

Trzy wielkie góry przedryfowały o zmierzchu wzdłuż prawej burty w odległości nie większej niż sto jardów. Na szczęście mieli je już za rufą. Przez trzy godziny *Californian* brnął przez paskudny, lodowy szlam. Po zmroku niesamowity pas jasności rozświetlił ciemny horyzont, jakby uwięzione w lodzie słońce połyskiwało het, aż po krańce świata.

To chyba dryfujący lodowiec, pomyślał kapitan Lord. Lepiej nie pchać się tam po ciemku, przeczekać tu noc. Jutro, w blasku dnia, znajdą sposób, żeby się stąd wydostać.

Wydał rozkaz wyłączenia maszyn i już miał opuścić mostek, kiedy po wschodniej stronie spostrzegł nagle światło.

- Zobacz, Groves - zwrócił się do oficera wachtowego - chyba jeszcze jeden statek usiłuje się przedrzeć przez to cholerne lodowe pole.

- To raczej niemożliwe, sir. - Trzeci oficer Groves spojrzął we wskazanym kierunku.— Według map żadna jednostka nie płynie tak bliskim kursem. To pewnie któraś z gwiazd. Są dziś wyjątkowo jasne.

Kapitan Lord dokonał w myślach przeglądu pozycji statków znajdujących się w pobliżu - *Antillian*, no i *Titanic*... Prztelegrafował obu obecną sytuację. Choć zakazano mu komunikowania się z *Titanikiem*, musiał zaalarmować wszystkie najbliższe jednostki o niebezpieczeństwie, inaczej sprzeniewierzyłby się panującym na morzu zasadom. Kapitan *Antilliana* podziękował depeszą za ostrzeżenie, lecz kapitan Smith nie wykazał się podobną kurtuazją.



Ech, do diabła z *Titanikiem*, jego załogą i pasażerami!

A zwłaszcza z lady Pomeroy...

To chyba jednak statek, myślał, patrząc uparcie w ciemną przestrzeń rozciągającą się za prawą burtą. Na Boga, żaden parowiec nie powinien w tych warunkach pędzić jak szalony, to nie wyścigi.

Przeszedł do pomieszczenia dla oficerów, zdrętwiały mimo ciepłego płaszcza, zamówił whisky i wezwał inżyniera Mahana. Polecił mu trzymać kotły pod parą na wypadek, gdyby trzeba było dokonać szybkiego manewru i nie dopuścić do wmarznięcia burt w lodową pokrywę.

- Jasne, kapitanie, jeszcze tego by brakowało, żeby ten lodowy chłam nas przyblokował - odparł Mahan i nalał sobie grogu. - Pół wieku pływam, a nie widziałem takiego dziadostwa. Sakramencki ziąb, nie z tej ziemi, no nie? Ale nie ma to jak noce na północnym Atlantyku, to ci dopiero bajka! Niech się schowają wszystkie cizie świata - westchnął z rozmarzeniem, po czym umoczył osłonięte sumiastym wąsem wargi w szklance z gorącym napojem.

Kapitan Lord dumiał właśnie o Nicole lady Pomeroy, toteż od razu pomyślał, że Mahan nie spotkał widocznie równie pięknej „cizi”, jak piękna Nicole, skoro z taką pewnością wygłasza podobne opinie. Ta pieprzona dziwka mogła śmiało rywalizować urodą z pięknem morskich krajobrazów.

- Nie ma co się gryźć, kapitanie - mówił tymczasem Mahan - damy sobie radę. Lód to betka w porównaniu z tropikalną burzą. Jak ta cię przyskrzyni, to grób.

- Nie martwię się. Wiem, że jesteśmy w dobrych rękach.

Wyszedł znów na mostek i ponownie spostrzegł, tym razem nieco bliżej, niezidentyfikowany parowiec z prawej burty, który spieszył się, jakby gonili go wszyscy diabli.

Kapitan zajrzał do pomieszczenia radiowego.

- Evans - zwrócił się do operatora - czy wszystkim statkom wysłaliśmy ostrzeżenia przed lodem? Dziesięć mil na południe od nas jakiś parowiec grzeje, jakby mu powariowali palacze.

- To chyba *Titanic*, sir.

*Titanic?* Nie, myślał kapitan Lord, chyba nie *Titanic*, za mały. Tak czy inaczej, trzeba jakoś dać im znać.

- Niech pan spróbuje, Groves, skontaktować się z nimi lampą sygnałową.

Trzeci oficer wzruszył ramionami i zabrał się za nadawanie. Żadna odpowiedź jednak nie nadeszła, więc po pewnym czasie kapitan polecił zaniechać sygnalizacji i udał się do swojej kwatery.

- To nie *Titanic* - powiedział do papugi. - A nawet jeśli, to ich ostrzegłem. Jestem w porządku, no nie?

- Hej, hej! - zaskrzeczał ptak - Hej, hej, Davy Jones!

Kapitan Lord ściągnął buty i nalał sobie whisky.

Skoro to nie *Titanic*, nie przestawał łamać sobie głowy, to gdzie w takim razie podział się ten cholerny liniowiec? Gdzie jest Nicole o płomiennych miedzianych włosach i wysmukłych, silnych udach? Dla kogo je rozwiera, kogo całuje?

- Davy Jones! Davy Jones! - przedrzeźniał papugę. A potem siedział w ciemnej kabinie i pił.

## Rozdział 18

---

**T**ory VanVoorst leżała na boku z odsłoniętą do karmienia piersią i po raz kolejny odtwarzała w pamięci to, co przed chwilą się stało. Urodziła dziecko. Burt jej przebaczył. Och, Boże...

Niekiedy wydaje się, myślała, że człowiek kocha kogoś bez pamięci, całą duszą, na zabój. A potem dochodzi do wniosku, że nawet sobie nie wyobrażał, do jakich poświęceń zdolna jest prawdziwa miłość - na dobre i na złe, w bólu i w cierpieniu.

Potem zaś, kiedy jest już po wszystkim, ten ból, to cierpienie wydaje się zaledwie błahostką. Jak dobrze jest wtedy leżeć sobie wygodnie, kiedy skacze koło niej ukochany mężczyzna, jej Burty, do cna wyczerpany, oddany bez reszty, kochany Burtykins z rozdartym, popękany na kawałki sercem...

Ale ona pozbiera i pozlepia te rozsypane, najdroższe okruchy, napełni je otuchą, tchnie w nie nową siłę i nową wiarę.

- Och, Burtykins - ścisnęła mu dłoń - poradziliśmy sobie. Sami sobie daliśmy radę, prawda?

- Nic nie mów, Tory, odpoczywaj - szeptał, a ona widziała szczęście na jego twarzy. Szczęście i miłość. Bo Burty ją kochał i wcale nie dbał o kolor jej skóry!

- Burty... tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, najmiłsza.

Dziecko przywarło mocniej do piersi matki, ssąc i sapiąc komicznie. Jego skóra miała odrobinę ciemniejszy odcień niż matczyzna złocistość - kolor kawy z mlekiem.

- Możemy ją oddać, a potem adoptować - zaproponowała Tory.

Podniósł głowę, spostrzegła spływające po jego policzkach łzy. Nigdy nie widziała, żeby Burty płakał. Zdjęła dłonią rześistą kroplę.

- Tak mi przykro, kochanie. Chciałam, żebyś był dumny, chciałam ci dać.

- Daj spokój. - Burty sam otarł łzy.
- Jest śliczna, ma twoje oczy. Skinął potakująco głową.
- Wiem, że chciałeś chłopca. Zasłonił dłonią jej usta.

Tory zamknęła oczy. Jakież ma teraz znaczenie fakt, że wyjdzie na jaw jej murzyńskie pochodzenie, a mała Mulatka jest widowym tego świadectwem? Najważniejsza dla Tory była odzyskana miłość Burty'ego.

Dziecko zakasało i odrobina ciepłego mleka z bulgotem ułała się na pierś matki.

- Ma dosyć?
- Nie mam pojęcia - odparła. - Nie znam się...
- Ja też nie.

Burty patrzył z zadumą na tę małą, dziwną istotkę. Z puszystym, miękkim, złocistorudym meszkiem na czubku głowy, zamkniętymi oczkami i delikatną, gładką buzią, niepodobna była do żadnego z rodziców. Może wyrośnie z niej piękna kobieta?

Drobne, wiotkie ciało, całe płowe. Piękny kolor...

Poczuł, jak serce wzbiera mu czułością, jak miłość napływa i przepętnia mu duszę.

- Nazwiemy ją Wisdoms. Wisdoms Victoria VanVoorst. I jeśli zechce, zostanie prezydentem.

Tory już niemal spała, nie zauważyła płomienia ojcowskiej miłości w oczach męża. Myślała o tym, że Burty ją kocha i że ona znów będzie miała płaski brzuch, znów będzie mogła nosić ulubione suknie... Jutro, najdalej w środę... kiedy przybiją do portu...

- Jak? - mruknęła ostatkiem sił.
- Wisdoms - powtórzył Burty, głośno i dobitnie, choć wiedział, że Tory już go nie słyszy. Podniósł córeczkę i przytulił ją do serca. Nie płakała, otworzyła jedwabiste oczka i wyciągnęła ku niemu drobne śniade ramionka.

To było coś, do cholery.

Odebrał poród własnymi rękami!

Popatrzył jeszcze na małą, a potem ułożył ją delikatnie obok matki. Uśmiechnęła się, a może tylko ściągnęła wargi i... usnęła.

Postanowił odnaleźć barmana i powiedzieć mu, jakie imię nadał córce, która zostanie prezydentem. Postawi Wisdomsowi kolejkę, a co! Albo nawet dwie, a może i trzy kolejki.

- Witaj wśród ludzi, mała Wis!

Chryste Panie, został ojcem. Ojcem! Musi poszukać Baya i Audrey, podzielić się nowiną, pokazać im małą...

Odsunął gwałtownie fotel i wypadł do salonu. Audrey i Bay siedzieli w milczeniu, przytuleni do siebie i nieruchomi. Na jego widok podnieśli się z niepokojem.

- To dziewczynka! - oznajmił radośnie Burty. - Teraz obie śpią. Jest śliczna, koloru kawy z mlekiem. Nazywa się Wisdoms. Wisdoms Victoria VanVoorst.

- I zapewne zostanie prezydentem, zgadza się, panie VanVoorst? - Bay poczęstował Burty'ego cygarem.

- Nie ulega kwestii! - Burty ucałował Baya w same usta.

- Może byłoby łatwiej, gdyby wyszła za mąż za prezydenta - zasugerowała Audrey.

- Wykluczone! Sama obejmie tron i będzie rządzić. Poświęcę temu życie. Chodźcie, poszukamy jej imiennika, to fajny gość. Musimy oblać to wydarzenie.

- Weź płaszcz - powiedziała Audrey. - Na dworze jest potwornie zimno.

- Co mi tam! Nie potrzebuję płaszcza, nie dzisiaj! Mam zamiar urznąć się w trupa.

Audrey chciała zapytać o Tory, ale zmilczała. Wyprostowała ramiona i wzięła Baya za rękę, a potem wspólnie wyszli na korytarz.

- No i tak to jest, bracie - westchnął Danny Bowen. - Ze mną już koniec. Wylecę na zbity pysk, bez pudła. Mam spanie, żarcie, mogę się kręcić tu i tam, ale z orkiestry White Star jak nic mnie wyleją.

- Cholerny niefart - zasępił się Jock Hume, który dzielił z Dannym wspólna kajutę. - Niebrzydka ta twoja Swan, ale za dużo cię kosztuje.

- Tak bywa - Danny z zapalem pucował szmatką swoje skrzypce - trudno się mówi i żyje się dalej. Nie przejmuję się tym.

- W ogóle? Na tych liniowcach można nieźle się odkuć. A jak dasz

jej spokój, to znowu cię przyjmą?

- Nie wiem. Ale mam to gdzieś. Kochamy się. Nie wolno nam się widywać ani rozmawiać, ale mogę do niej pisać. Pisałem do niej do Ameryki, to i napiszę dziś wieczór. Coś tam wykombinujemy.

Potraktuję to jako sprawdzian.

- To nie dla mnie, stary.

- Dla niej warto, mówię ci. Gdybyś wiedział, jaka ona jest...

- Chodźmy na górę - zaproponował nagle Jock. - Można się udusić w tej klitce, a tak może uda ci się zobaczyć ją z daleka.

- Tak, jak tańczy z innym facetem. - Danny z trzaskiem zamknął skrzypce w futerale.

- Bez muzyki? Coś ty. No, nie marudź, idziemy.

Okutani w ciepłe płaszcze i szaliki, wspięli się tylnymi schodami na otwartą promenadę na górnym pokładzie. Nikogo nie spotkali, ale nie zdziwiło ich to zbytnio - zbliżała się północ i ziąb zagonił z pewnością wszystkich do środka. Natomiast na mostku aż roiło się od marynarzy. Może też nie mogą spać, cholera wie.

Danny oparł się o barierkę prawej burty i pełną piersią wdychał powietrze mroźne aż do bólu. Najmniejszy powiew wiatru nie rozpraszał dojmującej ciszy, nie marszczył falą gładkiej tafli wody.

Noc była piękna. Wznosiła się niczym niebotyczny kościół zwieńczony sklepieniem bezkresnej czerni, połyskującej kandelabrami odległych gwiazd. *Titanic*, niczym pływająca kościelna ława, unosił bogatych i biednych ku ich przeznaczeniu...

Danny wychylił się przez reling. Statek, nie bacząc na lód, pewnie parł do przodu z zawrotną prędkością. Wtem prosto przed dziobem pojawił się jakiś niewyraźny czarny cień, jakby wielki, widmowy galeon, wymarły i milczący. Wychynął z mroku wprost na kursie liniowca i niczym upiorna zjawa skradał się zdradziecko, podpełzał coraz bliżej, rósł, potężniał...

Nagle trzy ostre, przenikliwe uderzenia w dzwon rozdarły zmrozoną ciszę. Trzy trwożne szarpnięcia dzwonu alarmowego na bocianim gnieździe.

Danny rozejrzał się z niepokojem. Jock gdzieś zniknął; oficer na

mostku porwał słuchawkę telefonu. Jeszcze raz przechylił się przez burtę i wtedy ją spostrzegł - ogromną lodową górę, wypiętrzoną wysoko w czarne niebo, górującą nad pokładami *Titanica*, gładką, wypolerowaną, odbijającą światła niczym gigantyczne lustro... Dwa wierzchołki pływającej góry sterczały złowieszczo na kształt jadowitych kłów w oprawie z krystalicznego lodu.

Na miłość boską, zmiążdży nas, pomyślał i w tym samym momencie usłyszał, jak dyżurujący na mostku pierwszy oficer wydaje błyskawiczny rozkaz: „Cała wstecz! Ster na lewo burt!“. Zaraz potem z wnętrza statku doszedł go huk gwałtownie zatrzymywanych maszyn.

Niestety, rozpędzony *Titanic* zbliżał się do góry lodowej z prędkością sprintera. Dziób kolosa o wiele za wolno odchyłał się od kursu. Mijały kolejne sekundy mrozącego krew w żyłach oczekiwania...

Miniemy ją, pomyślał Danny i odetchnął głęboko, wypuszczając z ust obłok szarej mgiełki.

Góra coraz szerzej rozwierała drapieżną paszczę morskiego potwora. Monstrualna bryła iskrzącego się lodu ogromniała, pęczniała, dźwigała się w górę. Zaraz skoczy, zaatakuje, uchwyci w szpony...

Danny rzucił się do tyłu. Zgrzyt, trzask, chrzęst rozrywanego poszycia - biały kolos przeciągnął pazurami wzdłuż prawego boku *Titanica*. Tysiące srebrzystych lodowych okruchów spadło migoczącą kaskadą na przedni pokład studniowy.

Bestia pozostała w tyle, niczym rozpostarte skrzydło pikującej po zdobycz mewy. Maląta, nikła, ciemniała, najpierw szara, potem czarna, aż w końcu rozplynęła się w ciemności, jakby nigdy jej nie było.

Okruchy lodu zmoczyły Danny'ego i lekko podrapały mu twarz, ale nie wyrządziły krzywdy, nie zmiotły z pokładu. Otrzeptał się i spojrzał w stronę mostku. Jak rany! Ależ to było ekscytujące! Dzięki Bogu nic się nie stało. *Titanic* sunął dalej, a oficer na mostku spokojnie rozmawiał przez telefon.

Mogła być z tego niekiepska katastrofa. Ale przecież *Titanic* jest niezatapialny. To istny cud techniki, tak mówili. Szkoda, że Jock się zmył. Miałby niezły ubaw...

Kapitan Smith odebrał telefon w kabinie Dove po drugim dzwonku. W pośpiechu sięgnął po spodnie. Po co w ogóle dał się tu zwabić? Dlaczego nie został tam, gdzie jego miejsce, w swojej kajucie obok mostka?

Och, bowiem Dove, wiedząc, że ją porzuci - uległa, poddała się, skapitulowała. Zadzwoiła do niego po kolacji, prosząc słodko:

- Dobrze, kochany E.J., wracaj do niej, jeśli chcesz, ale spotkajmy się u mnie, ten jeden ostatni raz. Nicole, na moją wyraźną prośbę, specjalnie poszła spać do rezerwowej kabiny Bruce'a Ismaya...

I wtedy chłopięca część jego natury znów wzięła górę. E.J. pospiesznie zarzucił coś na siebie i popędził na spotkanie. Jeszcze szybciej pozbył się ubrania, przynaglany gwałtowną żądzą, a potem zanurzył się w rozkoszy, dał się zagarnąć pachnącym perfumami ramionom, lubieżnym nogom, udom ściskającym w zapamiętaniu jego biodra.

Teraz zaś meldowano mu właśnie, że Hitchens, z rozkazu pierwszego oficera Murdocha, przełożył ostro ster na bakburtę, a maszynownia dała całą wstecz. *Titanic* po tym manewrze odchylił się lekko w lewo, lecz nie uniknął kolizji.

Kolizja! A niech to piorun...

Kapitan Smith pędem wpadł na mostek.

- Z czym się zderzyliśmy? - zapytał Murdocha.

- Z górą lodową, sir. Kazałem zamknąć wodoszczelne grodzie.

- Załoga zaalarmowana?

- Tak jest, sir.

- Niech pan zostanie na mostku, Murdoch, a pan, Boxhall, proszę ze mną.

Skrupulatnie zlustrował pokład od strony prawej burty, lecz oprócz chaotycznej sterty lodowych odłamków niczego nie zauważył. Pozornie wszystko było na swoim miejscu...

Wysłał Boxhalla na inspekcję pod pokład, po czym wezwał



inżyniera Bella. Potem już tylko czekał na meldunki o rozmiarach katastrofy, zgrzytając z wściekłości zębami i dopinając guziki munduru.

Jakie wyrządziła szkody?

Dobry Boże, byle nie takie jak na *Hawke*...

Główny palacz Fred Barrett wiedział już, jakie szkody wyrządziła góra lodowa. Podczas gdy EJ. pieścił w miłosnym zapamiętaniu piersi ukochanej, on walczył w kotłowni numer 6 o swoje życie.

Ledwo zdążył wykonać rozkaz i polecić zamknięcie wszystkich przepustnic, by te odcięły dopływ powietrza do palenisk, gdy usłyszał nagle ogłuszający grzmot. Zaraz po nim rozległ się przeraźliwy dźwięk dartej blachy. Tutaj, na samym dnie statku, od wody osłaniała go jedynie sześciocalowa powłoka burty. I teraz te zbawienne sześć cali rwało się i pękało, gruchotane i miażdżone jakąś ogromną siłą.

Jeszcze chwila i lodowaty ocean wdarł się z przeraźliwym hukiem do kotłowni i runął na Barretta, który na szczęście kilka sekund wcześniej rzucił się do ucieczki. Widział, jak zamykają się wodoszczelne grodzie, drżał z trwogi, że nie zdąży, że zostanie uwięziony. Lodowata woda podchodziła mu do kolan, do bioder, do pasa, zaś nasiąknięte ubranie ciążyło, ścigało w dół...

Chryste!

Oszalałe strugi niczym macki waliły go po plecach, wczepiały się i wsysały w szatański wir. Barrett rzucił się rozpaczliwie w stronę drabinki i w ostatniej niemal chwili zdołał uchwycić jej pręt. Ocean wyrывał mu ją z dłoni, ale palacz nie puścił. Podciągnął się szczebel wyżej, potem jeszcze jeden...

Wściekła kipiela podnosiła się wraz z nim, wzbierała szybciej niż zdołał się wspinać, on jednak wdrapał się w końcu na samą górę, zgiął w pół i prześlizgnął nad krawędzią grodzi, która na szczęście nie sięgała sufitu.

W piątej maszynowni, gdzie teraz się znalazł, woda sięgała dopiero do kostek. Bez tchu, ledwo żywy, zmusił się do biegu, byle wyżej, tam gdzie sucho i bezpiecznie...

Kapitan Smith wiedział już, co się stało. Boxhall wrócił przed chwilą z inspekcji i nie pozostawił co do tego żadnych złudzeń.

Silniki *Titanica* zamarły, pracowały za to generatory, w związku z czym wciąż paliły się światła i działały windy. Przez zawory bezpieczeństwa z przeraźliwym gwizdem buchnęła para z kotłów, a kominami uleciały kłęby dymu z pospiesznie wygaszanych palenisk. Czwarty oficer Joseph Boxhall ustalił pozycję statku, zaś kapitan własnoręcznie zaniósł dane radiooperatorom.

- Natychmiast wyślijcie komunikat - rozkazał, wręczając Phillipsowi kartkę z wyznaczoną pozycją statku, a ten bez słowa zaczął wzywać pomocy międzynarodowym kodem.

*CQD-MGY, CQD-Titanic. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy... CQD, nasza pozycja - 41° 46'N, 50° 14'W...*

Cholera jasna! Nie upłynął nawet kwadrans, odkąd wyciągnięto go z łóżka Dove, a poziom wody w dolnej części statku podniósł się o kilkanaście cali!

- Ile wytrzymamy? - EJ. zapytał Thomasa Andrewsa ze stoczni Harland & Wolff, jednego z konstruktorów *Titanica*, który niemal natychmiast po kolizji pojawił się na mostku.

- Najwyżej półtorej godziny.

- Boxhall, trzeba odkryć szalupy ratunkowe - polecił kapitan. - Zbierz pasażerów na górnym pokładzie, natychmiast!

Audrey, Bay i Burty od pół godziny bawili się przy barze. Burty stawiał wszystkim - nie wyłączając barmana - kolejne drinki, przyjmował gratulacje i opowiadał o niezwykłej urodzie swojej córki. Odśpiewali właśnie po raz piąty „Alexander's Ragtime Band”, bezskutecznie usiłując nauczyć melodii *Wisdomsa*, który wtórował im fałszywym barytonem, kiedy zabawę przerwał nagle steward

- Wszyscy pasażerowie mają się natychmiast udać na pokład łodziowy w kamizelkach ratunkowych - wyrecytował - stan alarmowy. Wszyscy pasażerowie mają się bezzwłocznie udać na pokład... - poszedł dalej, głośno powtarzając swój komunikat.

- A to co za jeden? - Burty dopił drinka. - Stan alarmowy? No, *Wisdoms*, na czym to stanęliśmy?

Bay roześmiał się z jego słów jak z dobrego żartu, lecz Audrey wcale nie było do śmiechu.

Zaczęło się. Zaczęło się to, co przepowiedziała Esmeralda. Zaczęło się właśnie teraz, kiedy objawiły się wszystkie znaki...

Właściwie poczuła ulgę, że to już. Zbyt długo czekała, w zbyt wielkim napięciu. Odkąd ciało Cyganki pogrążyło się w głębinach oceanu, świadomość, że oto za chwilę rozpocznie się owo COŚ, była coraz trudniejsza do zniesienia.

Za chwilę...

Dobrze, ale kiedy?

No więc teraz, już.

- Co się stało? - zapytała, lecz nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Mniejsza z tym. Nareszcie stanie twarzą twarzą z niebezpieczeństwem. I zrobi wszystko, żeby uratować Baya. Za nic go nie opuści, nie zostawi na środku oceanu. Gdyby nawet musiała nieść go trzy dni na rękach albo płynąc z nim na grzbiecie, doprowadzi go do domu, do Whale Turning na Gilt Hill.

Burty zamówił następną kolejkę, lecz Audrey go powstrzymała.

- Musimy iść po Tory, a potem na górę. Pójdzie pan z nami, Wisdoms?

- Tak, proszę pani, jak tylko posprzątam i wszystko poukładam.

- Statek nie płynie - zauważył Bay. - Chodź, Burty, chyba rzeczywiście coś się stało.

- Dobrze, już dobrze. Wis, zapisz to na mój rachunek - dodał Burty, sięgając po butelkę likieru brzoskwiniowego.

- Niech Bóg błogosławi pańskie dziecko, sir. - Wisdoms błysnął w odpowiedzi diamentykiem spomiędzy białych zębów.

- Wisdoms na prezydenta! - wykrzyknął jeszcze Burty i pozwolił wyprowadzić się z baru.

Po drodze mijali tłum, zdążający na pokład łodziowy. Jedni zdążyli założyć odpowiednie na mróz stroje, inni zarzucili palta wprost na piżamy i nocne koszule, zapominając o skarpetkach i stosowniejszych niż pantofle butach. Niektóre z kobiet usiłowały skryć pod kapeluszami bezładnie potargane fryzury, wiele z nich zmyło już na

noc makijaż. Przy kontuarze intendenta ustawiła się długa kolejka tych, którzy chcieli odebrać z okrętowego sejfu pieniądze i biżuterię.

Audrey dostrzegła w tłumie panią Strauss.

- Ida, czy wie pani, co się stało?

- Chodzą słuchy, że wpadliśmy na górę lodową i dlatego stoimy.

Nic więcej nie wiem.

- Rozumiem. Nie włożyła pani kamizelki ratunkowej?

- Dałam ją Isidorowi, prawda, mój drogi? - Ida uśmiechnęła się do męża, który stał u jej boku z jaskrawym kapokiem pod pachą.

- Wcisnę ją w to, nie ma obawy, pani Lockholm. Twierdzi, że nie chce bez potrzeby krępować sobie ruchów, ale ja jej to przetłumaczę....

- Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby - zdążyła powiedzieć Audrey, zanim Bay pociągnął ją za rękę, by mogli nadążyć za znikającym w korytarzu VanVoorstem.

## Rozdział 19

---

**T**ory obudziło lekkie drzenie materaca.

Co się dzieje? Burty? Nie, nie ma go...

Rozejrzała się po ciemnej, pustej i wyiębionej kabinie.

Wibracja powtórzyła się.

Czy to maleństwo się wierci? Właśnie, gdzie ono jest?

Och, jest, śpi sobie smacznie, wtulone w zagłębienie matczynych pleców. Boże, omal jej nie przydusiła.

Podciągnęła się na poduszkach i wzięła niemowlę na ręce. Nie miała pojęcia, która może być godzina. Chyba już późno, uznała, bo tak ciemno i cicho...

A gdzie się podział Burty, mój drogi, kochany Bur-tykins? Poszedł uczcić narodziny czy pograżyć się w rozpacz?

Rozwinęła córeczkę z ręcznika i podniosła tak, by padający przez iluminator blask oświetlił drobne ciało. Mała była bez wątpienia mieszańcem. Potrząsnęła nią leciutko. Istotka otworzyła śmieszne, bezrzęse, rozbiegane oczka. Nie płakała.

- Nie dopuszczę, żebyś musiała przechodzić przez to, co ja, panno VanVoorst.

Osesek poruszył maleńkimi usteczkami, próbując się uśmiechnąć, a może szukając sutka. Tory badawczo lustrowała rysy nagiej istotki, bezradnie wiszącej w rękach matki. Wisdoms miała czarne oczy i włoski o ton ciemniejsze niż cera, okalające główkę kasztanowo-złocistym puchem.

Ruda czarnucha - to naprawdę rzadkość!

Miała zadarty nosek - trudno jednak wyrokować cokolwiek w sprawie nosa, póki nie urośnie - oraz pełne i ładnie wykrojone różowe wargi. Drobna i wiotka, zapowiadała się na osobę delikatną i wątłą. Oby nie była zmuszona balansować na linie jak jej matka i dokonywać szatańskich sztuczek, by nie dać się zjeść. Jeśli przeżyje...

Tory owinęła dziecko i przyłożyła je do piersi. Spało z otwartą

buzią, wczepiając się w matkę paluszkami.

Jeśli przeżyje...

Czy Burty pokocha tę małą? Czy się o nią zatroszczy?

Z korytarza dochodził tupot wielu kroków. Pewnie skończyło się jakieś przyjęcie i pasażerowie wracają tłumnie do kajut, pomyślała.

- Widzisz? - odezwała się do córeczki. - Przez ciebie ominął mnie jakiś raut.

Och, żaden raut nie mógł się równać z tym, co przeżyła, co dostała od losu. Burty poznał w końcu całą prawdę i nie trzeba już niczego więcej ukrywać. Na świat przyszło dziecko, a jej brzuch jest znowu płaski. Wszystko układało się jak najlepiej. Prawie.

- Niech tylko dojdę do siebie, a wszystko będzie jak dawniej - obiecała trochę sobie, a trochę śpiącemu maleństwu.

Usłyszała pukanie i instynktownie osłoniła małą skrajem prześcieradła. Ale to był tylko Burty. Jej kochany Burty, mocno zaprawiony, lecz w znakomitym humorze.

- Cześć, mamuśka! - ryknął od progu.

- Gdzie byłeś, Burtykins?

- Poszliśmy golnąć sobie co nieco, kochaniutka. Z Aud, Bayem i Wisdomsem.

- Z kim?

- Wisdomsem, imiennikiem naszej córki. Ma takie imię jak nasza córeczka. Wisdoms Victoria VanVoorst, jedno W i trzy V.

Wielkopańskie inicjały, królewskie...

Tory zamarła.

Wisdoms, imię dla kolorowych!

- Burty, nie... - zaczęła mówić, lecz nie pozwolił jej dokończyć.

- Potem pogadamy, księżniczko. Teraz trzeba się zbierać, bo podobno rąbnęliśmy w górę lodową. Pech, no nie? Kazań nam iść w kamizelkach na górny pokład, dranie. Włóż sobole, a małą okutaj szynszylami, jest cholernie zimno.

- To jakaś bzdura.

- Też tak myślę, ale kapitan kazał - odparł Burty i zaczął szukać pod łóżkiem kamizelek ratunkowych.

- Poczekaj, Burty, nie możemy nazwać dziecka Wisdoms.

- A dlaczegoż by nie? - odparł, buszując w szafie. - O, są, ale tylko dwie, duże. A co zrobimy z Wis, do cholery?

- Przestań, Burty!

- Co znowu, o co chodzi? Chcesz fotel na kółkach, żeby wynieść naszą latorośl jak królową?

- Burty, co ty pleciesz?

- Nic nie plotę, Tor, wodą przeciekła już na dziobowe pokłady. Wiesz, co to znaczy? - Przysiadł na skraju łóżka i potarł małą za ucho. - Jak się miewasz, szkrabie?

- Burty!

- Co znowu, księżniczko?

- Co to znaczy... te dziobowe pokłady?

- To znaczy, Tor, że toniemy. - Wstał i przejechał dłonią po nieogolonym policzku. - Musimy się ruszyć, powkładać na siebie te kamizelki i pójść na górny pokład. Może uda nam się jakoś uratować.

- Głuptasie, przecież sam mówiłeś, że *Titanic* nie może zatonąć.

- Potem, Tor, potem... Pospiesz się, proszę.

- Burty? - Tory na moment zamknęła oczy.

- Tak?

- A co byś powiedział, gdyby dziecko... urodziło się martwe?

- Nawet o tym nie myśl. No, chodź już. Szybciej! Spuściła nogi z łóżka i stopami odnalazła pantofle z przepiórczego pierza.

- Założę żółty kostium z wełny, jest najcieplejszy.

- Dobrze, i wszystkie futra, jakie' masz.

- Oprócz szynszyli wszystko jest w kufrach.

- Opatul Wis moim płaszczem, tym z jagniąt. Ja włożę stary moher, gdzieś tu powinien być... - Znow zniknął w szafie. - Jest! No, pospiesz się, Tor. Gotowa?

Usłyszeli ponaglące pukanie do wewnętrznych drzwi, rozdzielających oba apartamenty.

- Już idziemy! - zawołał Burty.

- Szybko! - Bay wetknął głowę do kabiny. - Cześć, Tory - uśmiechnął się na jej widok. - Gratulacje.

Odpowiedziała uśmiechem, ale nie pokazała mu dziecka.

- Rozmawiałem z Bruce'em Ismayem - Bay zwrócił się do Burty'ego. - Mówi, że woda zalała kort do squasha i ładownię pocztową na pokładzie G.

- Na Boga, słyszysz, Tor? Musisz się pospieszyć! Dzięki, Bay, spotkamy się na górze.

- Idź z nim, Burt. Zaraz do was dołączę. Mam jeszcze coś do zrobienia, takie tam babskie sprawy...

- Chodź. Nie chcę zostawiać cię samej.

- Proszę cię, zaraz was dogonię.

- Mam zabrać Wis?

Na dźwięk swojego imienia niemowlę zaczęło płakać.

- Nie, nie, zostaw. - Tory przytuliła małą. - Ja ją wezmę.

- Jesteś pewna?

- Tak, Burt, no, idźże już, proszę...

- Pamiętaj, włóż kapok na futro. Potem ci go zawiążę.

- Nie martw się. Spotkamy się przy pierwszym filarze, na początku promenady - rzuciła, idąc z dzieckiem do łazienki.

Burty zatrzymał się na chwilę w progu.

- Kocham cię, maleńka... - Nachylił się, żeby ją pocałować, ale w ostatniej chwili zrezygnował, szybko zamknął za sobą drzwi i Tory została sama.

Teraz...

Podłoga była lekko przechylona. Musiała przytrzymać się jedną ręką mebli, żeby dotrzeć na prywatny pokład. Stała przy barierce, patrząc w dół. Dziób statku zanurzył się w oceanie aż po luki. W spokojnej, nie tak odległej teraz tafli wody odbijały się światła *Titanica*. Z zaworów z hukiem buchała para, lecz poza tym nic, nawet najmniejszy plusk wody o burtę nie mącił majestatycznej ciszy. Naprawdę toniemy, przemknęło jej przez myśl.

Niemowlę nie przestawało płakać.

Tory przytrzymała je mocniej.

- To znakomita okazja, kochanie... - Ucałowała maleństwo w nosek, po raz pierwszy w swym życiu. Pachniało mlekiem. - Powiem,



że to był wypadek, że biegłam, że statek się nagle przechylił. Ja się potknęłam, ty wypadłaś mi z rąk i...

Twarzyczka noworodka aż poczerwieniała od rozpaczliwego, przeciągłego krzyku.

- Albo nie. Poczekam, aż woda napłynie do kabiny, Wis... Boże, cóż to za dziwaczne imię dla dziewczynki? Nie martw się, jesteś przecież jeszcze taka malutka, nic nie wiesz, nic nie rozumiesz. Podobno tonięcie jest bezbolesne. Zobaczysz, że niczego nie poczujesz, nawet nie będziesz wiedziała, co się dzieje...

Mała odszukała matczyną pierś, przykrytą satynowymi fałdami. Myszkowała po nich buzią, ssąc odruchowo i kwiląc żałośnie.

Tory wysunęła ramiona z dzieckiem daleko za burtę.

Zamrugnęła i zamachała rączkami, oderwane od ciepłej piersi.

- Żegnaj, Wis, z Bogiem... Zacisnęła wargi, rozhuśtała tobołek i...

Ognisty słup wystrzelił nagle w górę z sykiem i gwizdem, po czym na tle nocnego nieba zaczął opadać strumień srebrzystych iskier.

Tory szarpnęła się do tyłu i kurczowo przytuliła do serca małe zawiniątko. Po chwili następna rakietka rozświetliła ciemność.

Boże miłosierny, co ona robi? Kogo chciała omamić, zranić, unieszczęśliwić? Kogo, jak nie samą siebie? Sam diabeł musiał jej podsunąć tę myśl. Boże...

Tuliła i kołysała córeczkę w ramionach, czule podtrzymując słabą główkę. Łzy płynęły po jej policzkach, ciałem wstrząsał szloch.

- Mama cię przeprasza, przeprasza... Och, tak bardzo jej przykro... Twoja mama nie chciała, naprawdę nie chciała. Ale tak bardzo przerażała ją dola odrzuconej, kolorowej, czarnej...

Niemowlę było spokojne. Cmokało, spragnione matczynej piersi

- Musimy się pospieszyć, Wis. Och, i zmienimy ci to głupie imię... - Tory śmiała się i płakała na przemian. - Znajdźmy jeszcze tylko naszą biżuterię i uciekajmy. Uciekajmy...

## Rozdział 20

---

Poniedziałek, 15 kwietnia

**D**rugi oficer Herbert Stone pełnił samotną wachtę na mostku, kiedy na nocnym niebie dostrzegł białą rakietę, wystrzeloną z obcego statku, którego światła oficerowie *Californiana* obserwowali od pewnego czasu mniej więcej dziesięć mil na południe. Z początku zlekceważył ten znak. Jeśli ten statek to *Titanic*, pływający pałac dla kre-zusów, to nie ma się co dziwić, pomyślał. Na pewno mają jakąś huczną libację i urządzili sobie fajerwerki...

Potem jednak podniósł tubę głosową i obudził kapitana Stanleya Lorda, śpiącego w kabinie nawigacyjnej.

- Sir, zauważyłem rakietę sygnałową odpalony z obcego statku.

- Rakiety? - wymamrotał wyrwany ze snu kapitan. - A nie przypadkiem fajerwerki?

- Sądzę, że to rakiety, sir. Są białe.

- Niech pan spróbuje ich wywołać lampą sygnałową. I proszę mnie informować.

- Tak jest, sir.

Stone odwiesił tubę i wziął lampę. Zaczął nadawać świetlne sygnały alfabetem Morse'a w kierunku niezidentyfikowanego parowca. Ciekawe, dlaczego stary jest taki ostrożny, zastanawiał się przy tym. Fakt, manewrowanie w tej lodowej breji, i to w nocy, wymaga nie lada zręczności, lecz on na miejscu kapitana już dawno podpłynąłby do nieznanego liniowca, zamiast sterczeć beczynn timer, czekając na świt. *Californian* to porządna łajba, dałaby sobie radę. Nie raz pływała tą trasą i pole lodowe to dla niej nie pierwszozna.

Białe rakiety...

Białe rakiety oznaczają niebezpieczeństwo. Dlaczego więc kapitan nie wydaje żadnych rozkazów, a tylko każe migać lampą sygnałową? Tymczasem kapitan Lord był pijany w sztok. Zwalił się na koję,

nogi w butach oparł na krześle, a plecy o ścianę. W tej pozycji mógł wygodnie obserwować przez iluminator nieznaną parowiec, który nie płynął, a tylko błyskał raz po raz raketami.

- Może to i *Titanic* - zwrócił się do papugi, odkładając lunetę. - No i co z tego? Zrobiliśmy wszystko zgodnie z procedurą: łączyliśmy się radiem, wysyłaliśmy sygnały lampą... Ale te bubki nie raczą nawet odpowiedzieć! Pewnie mają mnie gdzieś, bo ta głupia pinda kazała mnie odstawić... No i dobrze. Nie będę się wpychać, gdzie mi narobili smrodu. Nie będę tańczył koło baby, która puściła mnie kantem.

Papuzka zaskrzeczała, moszcząc się na żerdzi, kapitan zaś znów przyłożył lunetę do oka i mówił dalej:

- Nie będę narażał swojej załogi i przedzierał się przez to pieprzone lodowe grzędawisko. Niech ktoś inny odstawia chojraka, rozwala łajbę na własny rachunek, nie ja. *Titanic*, psia jego mać... Dla mnie mogą się nawet potopić. Co ty na to, Zeke?

- Hej, hej, Davy Jones! - skrzekliwie zaprotestowała obudzona papuzka, rozpościerając skrzydła jak do lotu.

- Takie jest moje zdanie. - Kapitan Lord nalał sobie następną kolejkę. - Twoje zdrowie, lady Pomeroy!

Dowódca norweskiego żaglowca *Samson*, kapitan Ring, przestraszył się na widok dostrzeżonego przez lornetkę *Titanica*.

- Zauważyli nas, Henrik. Musimy się zmywać - powiedział do pierwszego oficera.

- E, tam... - Henrik Naess zbył te uwagę lekceważącym wzruszeniem ramion. On nie był wystraszony. Jeszcze nigdy żadnej łodzi patrolowej - motorowej ani żaglowej - nie udało się dopaść *Samsona* w tym rejonie Atlantyku. Żaden, nawet najwytrawniejszy sternik nie mógł mu dorównać na niebezpiecznych wodach w okolicy Nowej Funlandii, których wszyscy się bali, a które on znał jak własną kieszeń.

Teraz jednak sytuacja była inna. Obcy statek wcale ich nie ścigał; obcy statek tonął i wzywał pomocy...

Do diaska, nie mogli im pomóc. Barkentyna o podniosłej nazwie *Samson* wyładowana była aż brzegi futrami fok, nielegalnie

upolowanych na objętych ochroną łowiskach. Udzielenie pomocy tym biedakom z *Titanica* oznaczałoby wzięcie na pokład rozbitków, ściągnęłoby publiczną uwagę. Zaczęłyby się inspekcje, wypytywanie, dochodzenie...

A to oznaczałoby koniec jego kariery - straciłby reputację i bez wątpienia odebrano by mu licencję. On i pozostali członkowie załogi nie mieliby z czego wyżywić swoich rodzin. Nie wzbogaciliby się, korzystając z wyjątkowo sprzyjającej w tym roku aury. On, Henrik, nie odłożyłby pieniędzy i nie zbudował własnego statku. Nie nauczyłby żeglarskiej sztuki synów i nie pokazał im, jak kłusować, jak lawirować wśród lodowej kry, by uniknąć spotkań z handlowymi statkami, jak odciągnąć od stada młodą fokę i kijem, żeby nie uszkodzić futra, zatłuc na śmierć; jak zarabiać na godziwe życie.

A jednak na myśl, że *Titanic* tonie, skóra cierpła mu na plecach. Oboje z kapitanem wiedzieli, że lada moment ocean pochłonie tę morską cesarzową w drogocennych klejnotach, pyszną i dostojną nawet w chwili zagłady.

Co postanowi kapitan?

Jak usprawiedliwi swoją decyzję?

A może jakiś przyzwoitszy statek niż ta ich stara łajba chwałebnie pośpieszy na ratunek? Tak, już na pewno gna pełną parą, by przynieść tonącym ocalenie! Nic tu po nich, to nie miejsce dla pocziwego *Samsona*, trzeba się zbierać.

Naess przerzucił dźwignię silnika na większą moc i posterował na północ, gdzie iskrzyła się niebieskawym światłem lodowa powłoka.

Nagle daleki huk przeszył nocną ciszę. *Titanic* oddał ostatni salut. E, tam, mają przecież kamizelki ratunkowe i szalupy. Trochę niewygodny i zaraz ich ktoś powyławia jak kłuski z zupy. Wybrali się w rejs dla przygody, więc będą mieli potem co wspominać.

A mimo wszystko szkoda... Naess nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek ujrzy tak piękny liniowiec. Teraz przechodziła mu koło nosa okazja bycia jego wybawcą.

- Dodaj pary, Naess - polecił kapitan Ring zza jego pleców. -

Musimy odpłynąć jak najdalej stąd. Jak najdalej...

- Się robi, sir! - odparł Naess i otworzył przepustnice. *Titanic* został za rufą, zaś *Samson* pożeglował samotnie na północ.

Dove nie spieszyła się z makijażem. Musiała wykonać go starannie, skoro Eleonora po obejrzeniu zdjęć miała się poczuć wdęptana w ziemię - bo po ich ocaleniu na pewno ukaza się prasie zdjęcia. Wyobrażała sobie, jak to stoi na jednej z tych fotografii u boku kapitana Smitha, jak on obejmuje ją ramieniem, a ona składa wdzięcznie głowę na jego piersi. I jak Eleonora pęka z zazdrości.

- Mamo, pospiesz się! Błagam, nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

- Nie mam takiego zamiaru, Nicole. Mówiłam ci, żebyś już poszła i nie sterczała mi nad głową. To do ciebie niepodobne. I tak trafimy do różnych szalup. Jestem pewna, że kapitan Smith nie opuści statku, póki nie wyekspeduje z pokładu ostatniego pasażera. Ja zostanę z nim do samego końca, więc idź już i nie marudź, moja droga.

Nicole z niedowierzaniem patrzyła, jak matka ze stoickim spokojem przymierza potrójny sznur diamentów i sprawdza, czy klejnoty pasują do jej odświętnej sukni. Nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy płakać. Przecież statek tonie, tak powiedziano...

Ona sama ubrała się jak na polowanie: spodnie, buty do kolan, dwa swetry. Korkową kamizelkę osłoniła sobolowym futrem.

Pomyślała, że niepotrzebnie czeka, skoro wkrótce i tak się przecież zobaczą. Obróciła się na pięcie i wybiegła na korytarz.

W ostatnich dniach doskwierał jej trudny do wytłumaczenia niepokój i niepewność w sprawach, których dotychczas była zupełnie pewna. Zabawny Rolls... Zaciągnęła go do łóżka po tym niefortunnym incydencie z Burtyem VanVoorstem i nie żałowała tego kroku.

Och, tak, wiedziała, że specjalnie dał sobie spuścić manto, żeby wzbudzić w niej litość, jednak nie czuła się oszukana. Przeciwnie, uznała to za przejaw szczególnego sprytu i akt najwyższej odwagi. Podjęła tę grę i dobrze odegrała swoją rolę.

W łóżku Rolls okazał się prawdziwym ekspertem. Był doskonały,

choć była to szczególna doskonałość samca, który brutalnie sięga po swoje. Nie zważała na jego brak ogłady, czuła się przy nim bezpiecznie. Mogła w końcu zrobić z Theodore'a Royce'a dżentelmena, gdyby się pobrali; w towarzystwie ten gbur z pewnością nabierze manier i poloru.

I to właśnie ją niepokoiło - to, że zaczęło jej na nim zależeć; że z jego powodu utraciła swą niezależność i wyniosłość, z której tak była dumna po śmierci męża, a przecież także i wcześniej. Irytowało ją, że w ogóle zainteresowała się jakimkolwiek mężczyzną, że było jej z nim dobrze, że leciała na niego. Jeśli ulegnie umizgom Teddy'ego Royce'a, cóż pozostanie z dumnej i nieprzystępnej lady Pomeroy?

Dotarła na pokład, gdzie bezładnie roili się zdeorientowani pasażerowie. Zauważyła Johna Jacoba i Madeleine Astorów, którzy stali spokojnie z boku, jakby oczekiwali, że ktoś zapanuje nad tym chaosem. Pułkownik trzymał na rękach ulubioną suczkę; młodzianka żona okręciła sobie smycz wokół dłoni w koronkowej rękawiczce.

Nicole przystanęła na chwilę przy Harrym Widenerze.

- Wprawdzie zawsze zamawiałam u barmana dużo lodu, ale to tutaj to chyba naprawdę przesada - próbowała zażartować.

- To jest niedorzeczne, okropnie irytujące. I oni to nazywają luksusową podróżą? - żołądkował się za jej plecami jakiś mężczyzna.

Jednakże większość podróżnych trwała w milczeniu.

Zdeprymowani, bezradni, nie dowierzając zagrożeniu, stali owinięci kocami i płaszczami w pośpiechu zarzuconymi na ubrania.

Zaczęto spuszczać, szalupy. Najpierw prawoburtową numer 7. Potem lewoburtową numer 6. Oficerowie nie mogli sobie dać rady z oblodzonymi bloczkami. Kobiety opierały się i wrywały, oglądając się na mężów, którym kazano się cofnąć. Zupełnie jak na balu, kiedy nikt nie chce pierwszy rozpocząć tańców, pomyślała Nicole.

Ona sama wciąż stała z boku, jakby jej nie dotyczyło całe to zamieszanie. Mimo futra trzęsa się z zimna, z każdym oddechem wypuszczała z ust mroźną mgiełkę. Spostrzegła Benjamina Guggenheima, który podszedł do niej i uśmiechnął się smutno.

- To chyba na nic. Podobno wodoszczelne przedziały są już

zalane. Idziemy na dno.

- Dziękuję, że pan mi powiedział - znów zażartowała, bowiem tylko tak mogła ukryć lęk, który nagle ją ogarnął.

- Niech pani wsiada od razu do łodzi, lady Pomeroy, nie ma co zwlekać. I tak nie starczy miejsc dla wszystkich.

- Nie starczy miejsc?

- Ja tego nie powiedziałem. - Guggenheim uniósł ręce do góry. - Wracam do kabiny przebrać się na spotkanie z konstruktorem.

- Proszę zostać - przytrzymała go za rękę - razem wsiądziemy do szalupy. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, miła pani - Guggenheim pokręcił głową - kobiety i dzieci mają pierwszeństwo. Ja jestem już stary, przeżyłem swoje... Victor? - zwrócił się do stojącego za nim lokaja. - Jesteś gotów? Napatrzyłeś się?

- Tak, sir.

- Więc chodźmy. Żegnaj, piękna Nicole - Benjamin Guggenheim skłonił się z galanterią - i powodzenia!

- Powodzenia, sir - odparła Nicole blada jak płótno. Dopiero teraz dotarło do niej, co się naprawdę wydarzyło i co jeszcze może się wydarzyć. Boże, nie starczy miejsc dla wszystkich...

Tymczasem pan Guggenheim już kierował się do schodów, prowadzących na pokład B.

- Włożymy smokingi, ty też, Victorze - usłyszała jeszcze Nicole - i diamentowe spinki do krawatów. Musimy odejść jak dżentelmeni, nieprawdaż?

- Tak, sir. A płaszcze, czy założymy też płaszcze? Nie starczy miejsc...

Och, trzeba się spieszyć, trzeba ratować życie!

Naprawdę liczy się każda chwila!

Dokumenty. Tak, powinna ocalić dokumenty. Książeczki bankowe, papiery wartościowe, pamiątki po Rolfie...

Co sił w nogach pognęła do schodów dla stewardów. Były zamknięte. Kątem oka zauważyła Audrey, Baya i bliźniaczki w grupie osób zebranych przy jednej z szalup. Ocaleją, pomyślała, po czym

zbiegła na pokład B. Skłębiona, mętna woda sięgała już tu po kostki.

Jej kabina położona była w przodzie statku, przy lewej burcie. Zaczęła brnąć przez wodę w jej kierunku, musiała jednak trzymać się ścian, by zachować równowagę. Statek przechylał się coraz bardziej.

Niektóre z kabin były otwarte, a drzwi chygotały się w rytmie przybierającej fali. Wykwintne jeszcze niedawno pomieszczenia wyglądały dość żałośnie - przewracane meble, nie zasłane łóżka, krzywo wiszące żyrandole.

Drzwi do kabiny B-16 także stały otworem.

Czyżby jej bezrozumna matka wciąż mizdrzyła się przed lustrem?

Nie. Po kabinie myszkował Teddy Royce. Na biurku leżała jego otwarta, skórzana torba, podczas gdy on sam gorączkowo grzebał w szufladach komody, odrzucając za siebie niepotrzebną bieliznę.

Szukał oczywiście pieniędzy. I biżuterii. Znalazł właśnie złotą szkatułkę z wygiętym wieczkiem, otwieraną na kluczyk, który tkwił w zamczku. Nicole trzymała w niej klejnoty warte ponad milion dolarów - turkusowy naszyjnik, pięć sznurów wspaniałych pereł z mórz południowych..;

Rolls wrzucił szkatułkę do teczki, a potem wydobył ze skórkowej portmonetki ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Dopiero gdy statek jeszcze silniej przechylił się na prawą burzę, podniósł wzrok i dostrzegł w lustrze swoją niedawną kochankę.

- Nie ma tu mojej matki? - zapytała Nicole i zaczęła brnąć przez wysoką do pół łydki wodę w stronę nocnego stolika. W szufladzie spoczywał tu naładowany pistolet, niewielki, ale dużego kalibru. Postanowiła go wydobyć, zanim Royce ją uprzedzi.

- Och, Nicole — Rolls nawet się nie spieszył na jej widok - próbuję ratować twoje kosztowności. Szybko, mów, co masz jeszcze cennego?

Jaki przymilny szabrownik, pomyślała. Jaki sprytny.

Jaki podły!

Otworzyła szufladę i zacisnęła palce na wysadzanej masą perłową kolbie pistoletu. Odciągnęła filigranowy srebrny kurek.

- Nie ma tu mojej matki? - powtórzyła.



- Nie, nie ma - obejrzał się na nią, sięgając do kolejnej szuflady - jesteśmy sami, kochanie.

Nicole wymierzyła pistolet prosto w serce mężczyzny.

- Odłóż wszystkie rzeczy na łóżko i wynoś się! - rozkazała. - W przeciwnym razie zginiesz pan, panie Royce.

Wyraz jej twarzy i nieruchoma pozycja dłoni sprawiły, że posłuchał.

- Spokojnie, Nicole...

- Jestem spokojna. A ty jesteś kanciarzem, przystojnym, czarującym draniem, który przebrał miarkę.

- Zgadza się. Dzięki temu żyję tak, jak mi się podoba.

- Do czasu. Jeśli cię teraz zastrzelę, nikt nie oskarży mnie o zabójstwo.

- Niestety, to też się zgadza. Nikt po mnie nie zapłaci, za to ciebie ogłoszą kobietą nieustraszoną, która z heroiczną odwagą broniła się przed bandziorem.

- Milcz! Włóż szkatułkę i portmonetkę do walizki pod łóżkiem. Zdjęcie Rolfa też.

Posłusznie uklęknął w wodzie i wyciągnął spod łóżka walizkę ze strusiej skóry. Położył ją na łóżku i umieścił w niej obok bankowych dokumentów szkatułkę, portmonetkę i zdjęcie nieżyjącego męża Nicole.

- Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić, Nick? - spytał bezczelnie, trzymając dłonie na wieku walizki.

- Satynowe pudełko. Też do walizki.

- Ach, nie, miałem nadzieję, że o nim zapomniłaś. Uśmiechnęła się. Był łajdakiem, ale zabawnym. Nawet wzięty na muszkę nie tracił kontenansu.

- A teraz zabieraj swoją torbę i wynoś się stąd. Strzelę bez wahania.

- Jesteś piękna, kiedy się gniewasz. Mówiłem ci to już kiedyś? - Wyprostował się, poprawił krawat i zaczął brnąć w wodzie w kierunku drzwi. - Uważaj, Nick. Nie marudź zbyt długo, bo się utopisz.

- Sama zadbam o siebie i swoje rzeczy.
- Szkoda, że nie jesteście razem, zadbałabyś wtedy i o mnie. Nie musiałbym się uciekać do tak niecnych postępów.
- Nawet gdybyś splądrował cały statek, i tak niewiele by ci z tego przyszło. Brakuje szalup, a kobiety i dzieci mają pierwszeństwo. Masz nikłe szanse, Rolls...
- Zaraz., zaraz. A równouprawnienie? Nie dalej jak wczoraj Archie Butt przekonywał mnie, że równouprawnienie kobiet oznacza koniec rycerskiej epoki. Nawarżono piwa, ale wypić go nikt nie chce? Ty pewnie byś się za mną wstawiła, gdybym o to poprosił, nieprawdaż, kochanie?

- Wynoś się!

Słuchała jeszcze przez chwilę chlupotu oddalających się kroków, wreszcie schowała pistolet za gors, zapięła walizkę i przewiesiła przez ramię białą torebkę z kosztownościami, której Dove nie zdążyła zabrać ze sobą. Potem zaś, wysoko unosząc nogi, torowała sobie drogę w żółtozielonej, mętnej wodzie.

Miotły nią sprzeczne uczucia. Ten złodziej i szwindlarz z pewnością nie zasługuje na wybawienie. Miejsce w łodzi należy się przyzwoitym ludziom, takim jak pan Guggenheim, albo bezbronnym, jak przerażone, lecz ufne dzieci.

Gdy jednak myślała, że mogłoby zabraknąć na świecie tego bezczelnego łajdaka, robiło jej się ciężko na sercu.

## Rozdział 21

---

**J**ohn Phillips i Harold Bride od dwóch godzin bezustannie nadawali rozpaczliwe wołanie o pomoc. Wzywali stację przekaźnikową w Cape Race, wzywali statki *Mount Temple* i *Frankfurt*. Wszystko na nic.

- Spróbuj tego nowego sygnału - zaproponował Bride. - SOS...  
- Dobra! - Phillips trząsał się z zimna, ale nie miał czasu, by cieplej się ubrać. Zziębniętymi palcami zaczął wystukiwać kolejny komunikat:

*MGY Titanic do MKS Olympic: SOS. Zderzyliśmy się z górą lodową. Toniemy dziobem w dół. Nasza pozycja 41°46'N, 50°14'W.*

Wydawało się im nieprawdopodobne, by nikt nie słyszał ich wezwań. Jak na razie jednak oddepeszował jedynie *Olympic*:

*Płyniemy do was... Jesteśmy 170 mil na północ.*

Phillips z pasją stukał w przycisk nadajnika:

*Pasażerów umieszczamy w łodziach ratunkowych. Maszynownia zalana. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy...*

Nagle aparat Marconiego zabrzączał niepewnie, jakby ktoś próbował przedrzeć się przez ten potok słów.

*Titanic, tu Carpathia, czeka na was fura depesz w Cape Cod. Dlaczego ich nie odbieracie? Nie można się do was dobić...*

Phillips natychmiast zareagował.

*Tu MGY Titanic, mamy awarię. Płynicie natychmiast. Zderzyliśmy się z górą lodową. CQD... SOS... Nasza pozycja...*

*Tu Carpathia, potrzebujecie pomocy?*

*Tak, płynicie natychmiast, natychmiast... CQD, SOS... Wzywamy pomocy.*

Harold Bride szybko sprawdził pozycję brytyjskiego frachtowca. Zgodnie z mapą znajdował się około sześćdziesięciu mil na południowy wschód od nich.

- Jest najbliżej - oznajmił. - Mam nadzieję, że odpowie.

- Została nam tylko nadzieja. Bo czasu już naprawdę niewiele.  
*CQD... SOS... czy ktoś mnie słyszy? Tu MGY, Titanic. Uderzyliśmy w górę lodową. Toniemy szybko. Natychmiast potrzebujemy pomocy. Nasza pozycja...*

Harold Bride podziwiał wytrwałość i biegłość przełożonego. Phillips nadawał bez przerwy, nie bacząc na nic. Nie przestał nawet wtedy, gdy jego towarzysz zakładał mu przez głowę kamizelkę ratunkową.

Jedenastoletni Bobby Powers z miasteczka Webster w stanie Massachussetts bawił się odbiornikiem radiowym, który tydzień wcześniej dostał w prezencie na urodziny. W pogodną noc można było złapać rozmowy statków i rozmaite morskie przekazy aż ze stacji w Cape Code. To było ekscytujące zajęcie. Chłopiec dawno już powinien być w łóżku - rodzice byli przekonani, że smacznie śpi - ale nie mógł się oderwać od aparatu, zaabsorbowany tłumaczeniem kodowanych depeesz. Szło mu zresztą coraz lepiej.

Kilkakrotnie przez szumy i trzaski przebiło się nowe międzynarodowe wywołanie alarmowe - SOS Ktoś tonął i wzywał pomocy. Jezu, kto? Zaraz potem pojawiała się identyfikacja „MGY *Titanic*”, zagłuszająca wszystkie inne sygnały. A potem znowu uporczywie:

*Toniemy szybko. Wzywamy pomocy, pływajcie natychmiast. ..*

Bobby zmarszczył czoło, zaraz jednak jego oczy rozbłyły zrozumieniem.

No jasne! To nie *Titanic* zagłusza wołanie o pomoc, to on sam ma kłopoty!

O rany, *Titanic* tonie! Ten wielki *Titanic*...

Chłopiec wsłuchiwał się jeszcze przez chwilę, by nabrać pewności, wreszcie postanowił powiedzieć o wszystkim tacie.

- Tato, chodź szybko - wpadł do salonu, przerywając towarzyskie przyjęcie - złapałem w radiu *Titanica*] Przesyłają SOS Mówią, że toną...

Matka chłopca nie uznała tej rewelacji za dobry żart.

- Już nie wiem, co mam z nim począć - zwróciła się do sąsiadki. - Z

dnia na dzień jest coraz bardziej nieznośny. Rob podarował mu radio, żeby skończyć z tym fantazjowaniem, no i masz...

- Ale mam, ja wcale nie fantazjuję! Tata, proszę, chodź!

- Może byś mu zmył porządnie głowę, Rob?

- Tata, proszę! - ponaglał Bobby. - Chodź i sam się przekonaj...

Ojciec Bobby'ego był jednak zbyt zajęty zagładaniem Corinne Wilson za dekolt, by zainteresować się odkryciem syna.

- Słuchaj, Bobby. Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Poza tym *Titanic* jest niezatopialny, chłopcze - wtrącił się Guy Wilson, mąż Corinne. - Sygnały, które słyszysz, nie mogą pochodzić z tego statku.

- Ale kiedy właśnie pochodzą! - Bobby z trudem hamował łzy.

- Widzicie go, jaki uparty? Od dwóch godzin powinien już spać - matka nie posiadała się z oburzenia - a zamiast tego urządza nam widowisko. Co za dziecko...

- Posłuchaj, synu - ojciec postanowił wykazać więcej zrozumienia.

- Nawet jeśli *Titanic* tonie, to cóż my możemy na to poradzić?

Bobby wrócił przybity do swojego pokoju.

Mordercy! *Titanic* naprawdę tonął. Z odbiornika dochodził wyraźny, natarczywy sygnał.

*Tu Titanic... Wzywamy pomocy. Płyńcie natychmiast. Nie wytrwamy nawet godziny...*

Audrey kurczowo czepiała się ręki Baya. Nie opuści go, cokolwiek by się wydarzyło. Nie opuści.

Drugi oficer Charles Lightoller pomagał Madeleine Astor wsiąść do łodzi numer 4 na lewej burcie. John Jacob Astor chciał podążyć za żoną, lecz Lightoller zagroził mu drogę:

- Przykro mi, sir. Żadnych mężczyzn, dopóki na statku są kobiety.

Jednak nie wszystkie miejsca w szalupie były zajęte. Poza tym do innych łodzi wpuszczano z jakichś powodów także mężczyzn...

- Chciałbym towarzyszyć małżonce - przekonywał najbogatszy człowiek Ameryki. - Jest w odmiennym stanie.

- Przykro mi, sir. Najpierw kobiety.

Serce Audrey waliło jak młotem. Kominy nie buchały już parą,

wystrzelono wszystkie rakiety i na pokładzie zapadła śmiertelna cisza. Pasażerowie zamarli w bezruchu, oniemiaли i zdjęci trwogą. Nie słychać było nawet szumu podchodzącej coraz wyżej wody. Ciszę przecinały jedynie komendy Lightollera i zgrzytliwy odgłos spuszcanych z żurawików szalup.

Pułkownik Astor głośno ucałował żonę, pozwolił jej pogłaskać ulubionego szczeniaka i jak przystało na dżentelmena, bez słowa protestu dołączył do stłoczonych przy wejściu na schody mężczyzn.

Audrey zaczęła się modlić. Przypomniała sobie, że w trakcie pakowania zdążyła w ostatniej chwili wsunąć do kieszeni futrzanego płaszcza butelkę brandy. Przyda się. Na rozgrzewkę i dla podtrzymania ducha. Przecież zanim inżynierowie nie naprawią *Titanica* lub póki nie wyłowi ich jakiś inny statek, będą musieli pływać w maleńkiej szalupie na otwartym morzu.

Nie mogła uwolnić się od uporczywie powracającej myśli, że wielu z tych przyzwoitych, porządnych ludzi może zginąć tej nocy. Nie tylko Bay, ale i John Jacob Astor, pułkownik Gracie...

Sprawdziła, czy butelka jest na miejscu. Twarda, okrągła szyjka dawała poczucie trwałości, dodawała otuchy.

Przyszła kolej na Straussów i znów powtórzyła się identyczna scena: Lightoller ujął pod łokieć panią Strauss, by pomóc jej wsiąść do łodzi, ale mężowi nakazał usunąć się tam, gdzie przed chwilą zajął miejsce pułkownik Astor.

- Skoro tak, ja też zostaję! - Ida Strauss uwolniła ramię z pomocnego chwytu oficera. - Nie pozwolę nas rozłączyć.

- Ida, nie rób tego - prosił ją mąż. - Poczekał na miejsce w innej łodzi i spotkamy się później. Nie martw się o mnie.

- Nie popłynę bez ciebie. Żyliśmy razem przez wiele lat i razem umrzemy.

- Proszę, niech pan pozwoli mi płynąć! - Audrey rzuciła się do Lightollera ze ściśniętym gardłem. - Jest starym człowiekiem, musi go pan wpuścić!

Drugi oficer zawahał się, ale Strauss pokręcił tylko głową i oznajmił:

- O, nie. Nie mam prawa korzystać z przywileju, który nie należy się innym - po czym wycofał się na bok, w stronę sterty złożonych leżaków.

- Poczekaj na mnie, Isadorze! - Pani Strauss oswobodziła się z uchwytu oficera i podążyła za mężem. Przystanął, wyciągnął ku niej ramiona, ona zaś objęła go w pasie. Usiedli obok siebie na leżakach i w milczeniu przyglądali się ewakuacji.

Teraz przyszła kolej na Audrey. Lightoller podał jej rękę, by pomóc zejść do szalupy, lecz i tym razem napotkał komplikacje.

- Ja też nie popłynę bez męża - oznajmiła zdecydowanym tonem, mocniej ściskając Baya za ramię.

Drugi oficer spojrzał porozumiewawczo na Baya i skinął głową.

- Dobrze, pani Lockholm, niech będzie. Najpierw zejdzie pani, a potem pani małżonek. Ostrożnie, proszę zrobić krok...

- Tak, kochanie, jestem przy tobie - usłyszała za sobą uspokajający głos Baya. - Idź, moja droga, i nie martw się o nic. Trzeba się spieszyć, inni czekają...

Uwolnił ramię z jej dłoni i chwycił ją w pasie. Przez chwilę zawisła nad wąską czeluścią między burtami, poczuła od dołu lodowaty powiew - i wylądowała bezpiecznie na pokładzie szalupy. Od razu usiadła na ławeczce i zgarnęła fałdy sukni, by zrobić obok siebie miejsce dla męża.

Lecz zamiast niego zaczęła wsiadać do łodzi inna kobieta.

Dlaczego? I gdzie jest Bay?

Jest! Dostrzegła go, pomagał Smoke przedrzeć się przez tłum. Skurczona na krawędzi ławki, Audrey zaczęła przyzywać go wzrokiem. Serce kołatało w jej piersi jak szalone, strach chwycił za gardło. Modliła się żarliwie, by Bay jej nie zostawił, by wrócił, by zdążył wsiąść do tej samej łodzi.

Smoke była potulna, speszona, jakże inna od tej małej buntowniczkii sprzed kilkunastu godzin. Stała właśnie na chybotliwym pokładzie szalupy i chciała ulokować się obok matki, lecz Audrey ofuknęła ją z gniewem:

- Nie siadaj tu. To miejsce dla ojca.

Smoke otworzyła szeroko oczy, ale posłuchała bez słowa. Okryła się szczelniej płaszczem i usiadła z boku z kamienną twarzą, wpatrzona nieruchomo w milczącą wodę.

Następna miała być Swan...

Nie, przepuszczono najpierw wysoką, starszą kobietę w czerni, w kapeluszu z woalką.

Audrey aż dech zaparło. Przez chwilę owładnęło nią wrażenie, że ma przed sobą Cygankę - ta sama przyczajona ostrożność w ruchach, to same ukradkowe spojrzenie, ten sam nieodgadniony wyraz twarzy. Otrząsnęła się z przerażenia dopiero wówczas, gdy uzmysłowiła sobie, że to zapewne jedna z pasażerek drugiej klasy, które właśnie wpuszczono na górny pokład *Titanica*.

Bay cały czas pomagał drugiemu oficerowi wprowadzać do szalup kolejne niewiasty, nie straciła go z oczu ani na moment.

Niewątpliwie przepuści Swan, tego była pewna, ale w końcu sam wsiądzie do którejś szalupy. A za nim Astor, Straussowie, pułkownik Gracie... Na pewno wsiądzie. Przecież Bay by nie skłamał. Zawsze mówili sobie prawdę.

Choć ona nie zawsze była z nim szczerą...

Och, Bay! Nie opuszczaj mnie!

Kobieta w czerni usadowiła się w odległym końcu łodzi, od strony oceanu. Audrey chciała ją uspokoić, pokrzepić, lecz ta ani razu nie podniosła oczu. Przyciasny i przykusy płaszczyk ledwo sięgał kolan, odsłaniając... męskie spodnie oraz buty!

Bay?

Czy uciekł się do podstępu, by znaleźć się obok niej?

Nie, niestety. Na szyi nieznajomej dostrzegła srebrny błysk.

Bizuteria... Bay nie zakładałby bizuterii. Przyjrzała jej się dokładniej i wzdrygnęła się natychmiast.

Księżyc! Sierp księżycyca spinający sznur pereł.

Boże...

Kobieta wyczuła chyba niespokojne spojrzenie Audrey, bowiem poprawiła nerwowo kosmyk włosów, który wymknął się właśnie znad kołnierza. Kapelusz przekrzywił się, woalka zsunęła, kiedy zaś



dama uniosła ręce, puściły szwy przyciasnego płaszcza i z trzaskiem zaczęły odpadać guziki...

Audrey wydała okrzyk grozy - na szyi nieznajomej lśniło pięć sznurów pereł spiętych zapinką w kształcie półksiężyca! A spod kapelusza wypływały rude, płomien-noczerwone włosy...

Wszystko jak w przepowiedni starej Cyganki.

Madame Romany nie powiedziała jej tylko, że gwiazdy i księżyc zdobić będą naszyjnik z pereł подарowany Audrey przez Baya i że będzie on przylegał do grubej, świeżo ogolonej szyi. Że rude, płomienne włosy będą peruką, osadzoną na głowie mężczyzny.

Tak, to był mężczyzna!

Nie krył się zresztą z tym dłużej. Szybko odrzucił kapelusz z przymocowaną do niego woalką, zerwał perukę i cisnął ją do wody. Do zdumionej Audrey zaśmiały się bezczelnie ciemne oczy Teddy'ego Royce'a. Uśmiechnął się czarująco, nieco odmieniony po zgoleniu czarnych wąsów, poprawił na niewielkiej ławeczce...

Audrey nie czuła nic prócz nienawiści. Uniosła spódnicę i rzuciła się do przodu, by obić podłego oszusta. Łódź zawieszona na długich linach zachybotła się gwałtownie, a ludzie wrzasnęli ze strachu. Ona też się przeraziła i zawahała przez moment. Musiała przytrzymać się burty, żeby nie upaść. Zaraz jednak dopadła Royce'a i zdzieliła go z całej siły w tę uśmiechniętą, przystojną twarz.

Miał na sobie jej płaszcz, ukradł perły, a Bayowi miejsce w łodzi! Łajdak! Tchórz! Morderca!

Szalupa znów się zakołysała i Audrey upadła na znenawidzonego wroga. Bloczki zazgrzytały jęklonie pod ciężarem naprężonych lin i w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk, któremu zawtórował podniesiony, zatrwożony głos Baya. Audrey odwróciła głowę i ujrzała...

Boże, to Swan! W roztrzepotanej powodzi wydętych jedwabii spadała do oceanu jej córka!

Rozkołysana łódź uderzyła ją, zmiażdżyła, wcisnęła w czarną burtę statku. Swan chwyciła się kurczowo krawędzi szalupy, ale zdołała się utrzymać tylko chwilę. Łódź zadygotała i jeszcze raz

rzuciła dziewczyną o burzę. Swan krzyknęła... rozluźniła uchwyt... puściła. Rozpostarty obłok halek i spódnic powolutku zaczął pogrążyć się w mrocznej toni...

Audrey skuliła się na dnie łodzi, sparaliżowana, wstrząśnięta, ogłuszona. Och, to przez nią... Zabiła własną córkę...

Chciała odszukać wzrokiem Baya, lecz zamiast niego napotkała rozpalone wzgardą spojrzenie Smoke i natychmiast odwróciła oczy.

I wtedy spostrzegła, jak Danny Bowen, w samym swetrze, spodniach i butach, skacze do wody z najwyższego pokładu; jak szybuje w dół z wyprostowanymi ramionami niczym nurkujący rybołów. Czyżby umiał pływać? A może skoczył niesiony odwagą i miłością.

Audrey znów spróbowała odnaleźć wzrokiem Baya, lecz jej mąż zniknął w tłumie i nie była w stanie go wypatrzyć. Tymczasem Swan młóciła zaciekle wodę, z determinacją walcząc o życie.

Danny, och, Danny... Pospiesz się, chłopcze, modliła się Audrey. Ona zamarznie, jeśli się nie pospieszysz.

Jakimś cudem Danny zdołał pochwycić tonące ciało jej córki. Z górnego pokładu i z małej łodzi podniosły się wiwaty i oklaski. Swan spokojnie zawisała chłopcu na piersi, on zaś czekał, szczekając zębami, aż podpływie szalupa, która ich wyłowi.

Wreszcie łódź, w której była Audrey, zakołysała się lekko na wodzie. Odrzucono liny, odepchnięto szalupę od burty *Titanica*. Byli wolni.

- Odpływajcie! - krzyknął ktoś z góry. - Szybko!

Teddy Royce i Smoke zgodnie ujeli wiosła i powiosłowali w stronę Danny'ego, który wciąż unosił się na wodzie ze Swan w objęciach.

## Rozdział 22

---

**W** białej sukni z miękkiej wełny i futrze ze srebrnych lisów Dove wyglądała olśniewająco. Stała u boku ukochanego E.J. Smitha i z zapartym tchem przyglądała się ewakuacji z wysokości kapitańskiego mostka. Na tę szczególną chwilę E.J. włożył na siebie galowy mundur i gruby, marynarski płaszcz, zapinany na złote guzy z podobizną orła. Nieprzeniknionym, kamiennym wzrokiem obserwował, jak wraz z tonącym statkiem pogrąża się w odmętach jego kapitańska kariera.

- Widzisz, moja kochana - mówił - kapitan ma obowiązek zostać do końca ze swoim statkiem. Nawet iść z nim na dno, jeśli zaistnieje taka konieczność.

- Wiem, E.J. - odparła głęboko poruszona Dove. Ona też czuła dramatyzm sytuacji. Wiedziała, że choć pokonała Eleonorę, to ostatnie w swoim życiu zwycięstwo okupi być może najwyższą stawką. Nie była jednak przerażona, raczej podekscytowana tą nagłą odmianą losu.

Owszem, mogłaby spokojnie starzeć się, wspominając wzloty i triumfy. Lecz po stokroć wolała odejść w glorii chwały, stać się częścią legendy o kapitanie Smithcie i jego statku.

Cóż ją czekało na starość? Powolne dogorywanie, śmiertelna nuda, obraźliwa słodycz i uprzejmość Nicole, której nigdy nie lubiła. Wyniosła i pyszna Dove, u której stóp leżało niegdyś całe Newport, zasługiwała na stosowniejsze rozstanie z tym światem.

- A myślisz, że taka konieczność zaistnieje? - spytała.

- Cóż, droga Dove - kapitan postanowił nie odpowiadać wprost - na pewno nie starczy szalup dla wszystkich. Najbliższy zaś statek jest o sześćdziesiąt mil stąd. Nawet płynąc pełną parą, dotrze do nas najprędzej za kilka godzin. A wtedy będzie już po *Titanicu*. Zostało nam może pół godziny.

Dove spojrzała na niego z przejęciem. Stał dumny i nieporuszony,

jak przystało na dowódcę, lecz ciepłe łzy spływały mu po zdrętwiałych od mrozu policzkach.

- To z zimna - próbował zatuszować wzruszenie.
- Nie opuszczę cię, najdroższy...
- Ależ musisz!
- Chciałam zostać z tobą na zawsze i teraz moje życzenie się spełnia.

Serce kapitana wypełniła nieprzeparta czułość dla tej odważnej kobiety. Czyż nie na tym polega prawdziwa miłość, bezinteresowne oddanie, wznioślejsze niż namiętność, szlachetniejsze niż czyste pożądanie?

- Zawsze istnieje iskra nadziei - próbował ją przekonać. - Zwolnię jeszcze załogę z obowiązków, a potem zaprowadzę cię do szalupy...

- Nie, Edwardzie. Zostanę z moim dzielnym kapitanem.
- Nie warto, najdroższa. Ja... chciałem cię zostawić. Wrócić do Eleonory i małej Helen.

- A teraz zostawisz tu swoje serce.
- Muszę iść. Niedługo wrócę.
- Pospiesz się. Sam mówiłeś, że mamy niewiele czasu.

Kapitan odszedł bez słowa. Najpierw zajrzał do kabiny radiowej, gdzie Phillips i Bride, brodząc po kostki w wodzie, niestrudzenie usiłowali nawiązać łączność z jakimkolwiek statkiem, który by ich ocalił.

- Zostawcie to już, chłopcy. Spełniliście swój obowiązek. Teraz niech każdy myśli o sobie. Powodzenia.

Zniknął, nim zdążyli się pożegnać. Potem obszedł pokład, powtarzając te same słowa napotkanym członkom załogi.

„Niech każdy myśli o sobie. Powodzenia...”

Tory nigdzie nie mogła znaleźć Burty'ego. Nie było go na pokładzie A, choć szukała go gorączkowo od lewej do prawej burty, przeciskając się przez tłum garnący się do łodzi ratunkowych. Na próżno - Burt przepadł jak kamień w wodę.

Wychyliła się przez reling, nad czarnozieloną toń, w której odbijały się światła *Titanica*. Przecież by go zauważyła, gdyby

siedział przy wiosłach w którejś z szalup?

Och, chciałyby, żeby znalazł w jednej z nich bezpieczne schronienie. To była niemal ostatnia szansa, by choć jedno z nich mogło się uratować. Chociaż nie... Do tej pory spuszczone już wprawdzie wszystkie duże łodzie ratunkowe, a woda sięgała zaledwie kilku metrów poniżej pokładu A, lecz na *Titanicu* zostały jeszcze cztery składane łódki z brezentu.

Dwie z nich, łodzie C oraz D, udało się właśnie umieścić na żurawikach przy lewej burcie. Natomiast z łodziami A i B nie poszło tak łatwo. Marynarzom nie udało się zwolnić z zamocowań łodzi B, a łódź A umocowano wprawdzie na żurawikach, jednakże zaraz potem została zmyta z pokładu i odpłynęła pusta.

I tak na *Titanicu* pozostały dwie ostatnie łódki.

Dwie szanse...

Ale Burty nie ustawił się w kolejce do żadnej z nich.

W pobliżu przejścia z pokładu łodziowego na Wielkie Schody wciąż przygrywała orkiestra Wallace'a Hartleya. Wystrojeni jak na bal w czerwono-złote garnitury muzycy już od półtorej godziny grali skoczne ragtime'y ku pokrzepieniu serc. Czy wypuszczą instrumenty z rąk dopiero wtedy, kiedy fale wyrwą im pokład spod stóp?

- Prędko, pani z dzieckiem, do szalupy! - zawołał do Tory jeden z oficerów.

- Nie mogę znaleźć męża - odparła, postępując kilka kroków w jego kierunku.

- Jestem pewien, że się uratował. Szybko, niech pani wsiada!

Po chwili znalazła się na płaskim dnie brezentowej łodzi w towarzystwie skandalizującej lady Lucile i jej męża sir Cosmo Duff-Gordona, którego nikt nie lubił. Była też tutaj pani Twigg.

- Nie widziała pani mojego męża? - spytała ją Tory. W szeroko otwartych oczach guwernantki malowało

się śmiertelne przerażenie. Spojrzała błędnym wzrokiem na Tory, potem na dziecko, i pokręciła w milczeniu głową. Po chwili przesunęła się, by zrobić miejsce Nicole, której jeden z oficerów pomógł właśnie wejść do łodzi. Tuż za nią wemknął się na pokład

**Bruce Ismay. A gdzie podział się Burty?**

- Ach, więc to z tego powodu nie pokazywałaś się tak długo. - Nicole wzięła od niej niemowlę i odwinęła róg osłaniającego buzię koca. - Śliczne maleństwo... Mam nadzieję, że to dziewczynka.

Tory, która w oczekiwaniu na Burta zapomniała o swej śniadoskórej córeczce, zeszywniała nagle, słysząc te słowa.

- Tak... śliczna. - Spojrzała na Nicole z napięciem.

- Naprawdę! Urocza i słodka!

- Nick, czy ty... wiedziałaś?

- O czym? Że jesteś kolorowa? - Nicole wzruszyła ramionami. - Kicham na to. Ty też się nie przejmuj.

- Bałam się, że nie urodzi się białe. I tak się stało.

- No i co z tego? Jesteś bogata, masz śliczną córkę i nikomu nic do tego. Jak jej dasz na imię?

- Jeszcze nie wiem... - Znow rozejrzała się niespokojnie. Pokład *Titanica* pustoszał, a Burty'ego wciąż nie było obok niej. - Panie Ismay, nie widział pan mojego męża?

Ismay obracał nerwowo w dłoni nie roztopioną grudkę lodu.

- Widziałem, pani VanVoorst - odrzekł, nie podnosząc wzroku. - Rozmawiał jakiś czas temu z Bayardem Lockholmem i Jacobem Astorem. Proszę się nie martwić, na pewno nic mu się nie stało. Dostał się na pokład innej łodzi...

- Dobrze, rozumiem, dziękuję panu.

Tory zabrała dziecko z rąk Nicole i przycisnęła mocno do piersi. Zmasakrowany kadłub *Titanica* dygotał, dziób wchodził pod wodę, rufa unosiła się coraz wyżej, ukazując siedmiometrową śrubę. Składana łódka drżała, wciąż zawieszona na żurawikach.

- Spuście nas wreszcie! - wrzeszczał sir Duff-Gordon.

- Zaraz, są jeszcze wolne miejsca - oponowała Tory. - A tam zostało tyle ludzi!

Nikt nie odpowiedział na jej protest. Łódź powoli zaczęła zjeżdżać w dół.

I wtedy Tory zobaczyła Burty'ego. Stał z gołą głową, oparty o reling obok Baya Lockholma. Chciała zerwać się i pobiec do niego,

lecz Nicole złapała ją za rękę i usadziła z powrotem na ławce.

- Przestań, bo nas wywrócisz!

- Burty, Burty! Jestem tutaj! - wołała rozpaczliwie Tory. - Tutaj! Zauważył ją. Obaj z Bayem uśmiechnęli się i pomachali jej, jakby wybierała się na przejażdżkę .

- Przecież są wolne miejsca! Dlaczego ich zostawiamy? Nie możemy ich zostawić!

- Zabierzemy ich później - fuknął sir Cosmo, trzęsąc się pod fałdami bobrowego futra.

Och, nie!

Dlaczego?

Przecież w szalupie, która mogła pomieścić czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt osób, było ich nie więcej niż dwadzieścia...

Burtykins wciąż machał do niej i przesyłał pocałunki.

Pomyślała, że rozchoruje się, stojąc na mrozie bez kapelusza.

Wyglądał z daleka tak nieporadnie, tak bezbronne. ..

Burty zginie dzisiejszej nocy, była już tego pewna.

Straci go na zawsze...

Przycisnęła mocno córeczkę do piersi. Otulone szynszylami niemowlę westchnęło cicho przez sen.

## Rozdział 23

---

**T**itanic zanurzał się coraz głębiej dziobem w dół. Woda zalała już górny pokład, z hukiem uderzyła o mostek, z bulgotem wdarła się do przedniego luku. Z odmętów wychynęła ogromna płetwa sterowa. Ocean łapczywie i nieubłaganie pochłaniał dumnego kolosa.

Pasażerowie, którzy pozostali na statku, rozpaczliwie czepiali się relingów albo zsuwali się wprost w fale pod gradem toczących się beczek, krzeseł i donic z palmami. Tylna część liniowca, wciąż iluminowana setkami przygasających świateł, nieuchronnie wstawała do pionu, przypominając gigantyczną latarnię. Spośród kłębiących się na rufie setek ludzi co chwila ktoś odrywał się i spadał z krzykiem w lodowatą toń.

Tymczasem Archibald Butt, doradca amerykańskiego prezydenta, rozgrywał w palarni ostatnią partyjkę ze swoim przyjacielem Arthurem Ryersonem.

- Mój majątek przeciwko twojemu - zaproponował właśnie, rozdając karty.

- To niesprawiedliwe - zachnął się Ryerson. - Mój wart jest o wiele więcej niż twój.

- Już nie - odparł spokojnie Butt.

Pięciuset nieszczęsnych pasażerów zostało uwięzionych we wnętrzu statku. Tutaj podłogi stanęły dęba. Meble przewracały się, uderzając o ściany. Z sufitów spadały kandelabry, tłukąc się w drobny mak. Obrazy i zegary z rumorem leciały ze ścian. Wyrwane ze śrub umywalki i sedesy turlały się, miażdżąc wszystko po drodze. Potężny nurt wody rozpruwał i patroszył wnętrzności kolosa na wszystkich dziewięciu kondygnacjach.

Z łoskotem pękały fundamenty ogromnych kotłów i maszyn. Z mrozącym krew w żyłach grzmotem wyrwane zostały z zamocowań kotły, wały korbowe, tłoki, cylindry i turbiny, trzaskały ćwieki i nity.



Całe to kłębowisko runęło w dół z przeraźliwym hukiem i porwane wodnym wirym szalało pod pokładami, miażdżąc grodzie.

Na zewnątrz orkiestra zagrała ostatni utwór - chorał episkopalny „Jesień” - który był niczym rozpaczliwe błaganie o boskie miłosierdzie. Muzycy z trudem utrzymywali się w pionie, gdyż pokład pod ich stopami przechylał się coraz bardziej, a woda podpływała coraz bliżej.

„Wesprzyj mnie, Panie, w tych przepotężnych odmętach!” Jeszcze chwila i ostatnie dźwięki podniosłej pieśni umilkły na zawsze.

Danny Bowen wciąż unosił się w wodzie, przewieszony przez burtę szalupy, w której siedziała Audrey. Swan słabła w jego ramionach z minuty na minutę.

- Danny... w ogóle nie czuję nóg. Chyba mam strzaskane biodro... coś strasznie chrzęści.

Wiedział, że powinien ją dźwignąć i przerzucić do środka, ale bał się wykonać jakikolwiek ruch, by jej nie urazić. Wisiał więc, uczepony wolnym ramieniem burty, a drugą ręką podtrzymując ranną.

- Może ja spróbuję, jestem silna - zaproponowała Audrey.

- Dobrze, ale najpierw odpłynijmy na bezpieczną odległość. Wir może wciągnąć nas w głąb.

- Nie trudź się, mamo - głos Swan był słaby, niemal niedosłyszalny. - Szkoda zachodu. I tak umrę...

- Nie pozwolę ci umrzeć, siostrzyczko! - Smoke znalazła się tuż nad jej głową. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Tylko jeszcze trochę wytrzymaj. Jeszcze trochę!

- Odpływajmy, na miłość boską, prędko! - krzyknął jeden z palaczy, wymachując wiosłem. - Statek tonie! Wciągnie nas za sobą!

Teddy Royce przypadł do drugiego wiosła i obaj zaczęli młócić czarną wodę. Swan złożyła głowę na ramieniu Danny'ego i zamknęła oczy.

Natomiast Audrey wciąż bez wytchnienia lustrowała spojrzeniem stalowy sarkofag, którego rufa unosiła się coraz wyżej i wyżej wraz z ludźmi kłębiącymi się na szczycie niczym pszczele rój. Potem

próbowała przeniknąć wzrokiem głęboką ciemność, gdzie poza kręgiem światła unosiły się na wodzie zbawienne szalupy, dryfujące niczym upiorna ławica lodowych rzeźb, przyozdobionych frędzlą kryształowych sopli.

Nagle potężny komin pękł z hukiem w kłębach dymu i syjąc iskrami zwałił się z głośnym pluskiem do wody. *Titanic*, król mórz, zastygł na chwilę bez ruchu w majestatycznej pozie, niczym płonący na tle czarnego nieba palec boży. Ludzie masowo odpadali od rufy, z hukiem uderzając o powierzchnię lodowatej wody. Ci, którzy od razu nie utonęli, wzywali jakiś czas pomocy, szamocząc się w lodowatej wodzie, a upiorne echo ich krzyków niosło się daleko i spotęgowane wracało, zwiększając grozę...

I wtedy, na moment, zapadła grobowa cisza. *Titanic* po raz ostatni zatrzęsł się w śmiertelnej konwulsji, po czym powoli, łagodnie, nie mącąc jedwabistej toni, bez wirów i kipieli zaczął osuwać się w głębinę.

E.J. i Dove stali na mostku kapitańskim, trzymając się za ręce. Nagły przechył podciął im nogi i zmiotł metalowy pokład spod ich stóp. Wpadając do wody, Dove słyszała w uszach niebiańską muzykę. Potworne zimno zaparło jej na chwilę dech, ale zaraz potem zrobiło się jej ciepło i błogo. Palce E.J. wyślizgnęły się z jej dłoni, widziała jednak, jak kapitan zawisł w jarzającej się zielono wodzie. Toń zakryła jej nienaganną jak zawsze fryzurę, lecz ona uśmiechała się jeszcze - do niego i do siebie. Wreszcie zwyciężyła, odebrała nagrodę za miłość...

Po chwili E.J. zniknął w obłoku żółtozielonych bąbelków. Dove zdawało się, że widzi twarz zmarłego męża. Niemal słyszała, jak Percy przyzywa ją z łagodnym, wybaczącym uśmiechem na ustach. Pozbyła się futra i zaczęła płynąć w jego kierunku. Otworzyła usta, chciała mu coś wyznać - a potem wszystko stało się wielką rozjarzoną światłością.

Kapitan Smith wciąż widział cudowne ciało Dove, lecz w ostatniej chwili przed śmiercią przed oczami stanęła mu Eleonora. Wyglądała przez kuchenne okno domku w Southampton i z cierpliwym

spokojem wyczekiwała jego powrotu.

Tymczasem wokół tonącego liniowca raz po raz rozlegały się przerażające krzyki zamarzających rozbitków. Tu i tam woda kipiała od uderzeń ramion, ale też coraz większa liczba spośród walczących o życie cichła, milkła, zastygała w bezruchu...

I wtedy ostatnie światła *Titanica* znikły w mrocznej głębi. Atlantyk połknął ostatecznie swoją ofiarę. Pozostała tylko chmura dymu na gładkiej tafli oceanu i ten przeraźliwy, nieludzki wrzask, dobywający się z setek gardeł.

Audrey nie mogła dłużej tego znieść.

- Pilnuj siostry - powiedziała do Smoke. - Ja muszę poszukać ojca.

Smoke, biała jak kreda, skinęła tylko głową i posunęła się nieco, robiąc matce miejsce. Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, Audrey przechyliła się przez burtę i zanurzyła w lodowatej wodzie. Mężczyzna, który dowodził szalupą, krzyknął za nią, ale było już za późno, by mógł ją powstrzymać.

Zimna woda paraliżowała członki, lecz Audrey nie bała się skurczy. Już w dzieciństwie co roku wczesną wiosną śmiało wyruszała na podbój spienionych grzywaczy w Zatoce Narragansett. Płaszcz wydał się wokół niej, krępując ruchy. Jeśli zbyt mocno nasiąknie, będzie musiała go odrzucić. Ale jeszcze nie teraz. W kieszeni płaszcza tkwiła bowiem butelka brandy. Kiedy znajdzie Baya, zawlecze go na lodową krę, napoi rozgrzewającym alkoholem, przykryje futrem z norek i osłoni własnym ciałem.

Boże, daj mi tylko siłę...

Dalekie, wysoko zawieszony gwiazdy połyskiwały zimnym blaskiem. Audrey poruszała się niezdarnie wśród krzyków i jęków, podpływała do tonących, zaglądała im w twarze. Na widok trupa męczyzny szarpnęła się w tył i wówczas poczuła lodowaty prąd wokół kolan, zabójczy, zimniejszy jeszcze niż woda na powierzchni.

- Boże święty, zaraz umrę - głośno wypowiedziała myśl, która przemknęła jej przez głowę.

Płynęła jednak dalej, rozgarniając wodę długimi, miarowymi ruchami. Spostrzegła dwa dryfujące ciała, dwoje dzieci. Długie

ciemne włosy dziewczynki kołysały się na fali niczym rozczapierzony wodorost; chłopiec, mały i drobny, leżał twarzą do góry. To dzieci Millera, osierocone przez matkę. Spotkała je na pokładzie trzeciej klasy. Ich martwe ciała obracały się teraz bezwładnie, związane sznurkiem za nadgarstki. Catherine, zdrobniale Keely...

Obejrzała się za siebie. Łodzie odpłynęły i została sama pośród czarnej otchłani pływającego cementarzyska. Ocean roił się od walczących ostatkiem sił rozbitków i od nieruchomych ciał tych, którzy nie wytrzymali zimna. Jakiś mężczyzna chwycił się drewnianej belki, zbyt kruchej, by mogła go utrzymać. Jedna z szalup dryfowała dnem do góry niczym ogromna skorupa żółwia, którą obsiadły przemarznięte ludzkie grona. Pewnie nie przetrwają nocy, pomyślała, wystarczy niewielka fala...

Nie czuła już gniewu ani żalu. Tliła się w niej ostatnia isierka nadziei, resztką woli. Płynęła, bo gdyby przestała, poszłaby na dno. Wyciągnęła z kieszeni płaszcz butelkę brandy, wetknęła ją za gors i pozbyła się ciężącego niemiłosiernie futra. Zdrętwiałymi palcami rozwiązała buty i rzuciła ze zmartwiałych stóp.

Obok niej przepływało martwe ciało Burty'ego VanVoorsta. Dotknęła go i wydała z siebie przeciągły, dziki okrzyk grozy. I wtedy usłyszała jakiś znajomy dźwięk... potem kolejny...

Co to było?

- Audrey, Audrey, tutaj...!

Jakiś zgarbiony, niedźwiedziowaty kształt przycupnął na skrawku lodu. Niedźwiedź? Nie, to on! Bay, kochany Bay!

Żyje!

To on, bez płaszcz, z opadającym na czoło chłopięcym kosmykiem. Bay, najdroższy, kochany...:

Rzuciła się do przodu, gwałtownie roztrzając i kopiąc ciała rozbitków - kucharza w bieli... starszego mężczyznę... dwóch stewardów w uniformach... Próbowała przytrzymać się kry, lecz poszarpane brzegi poraniły jej palce.

- Bay, nie mogę wejść...

Nie dbała o nic, znalazła Baya, tylko to się liczyło.

- Pomogę ci - powiedział spokojnym głosem, choć cały dygotał. Położył się na tafli i z trudem wyciągał do niej, cal po calu, sztywne, zgrabiące, niemal zamarznęte na kość ramiona. - Złap... złap mnie za rękę!

Resztką sił odepchnęła się do góry i uchwyciła jedną dłonią zbawienne ramię. Palcami drugiej wczepiła się w zgrabiące palce Baya, który zacisnął je kurczowo i zaczął ciągnąć. Ciągnął tak długo, aż oboje potoczyli się po lodowej powierzchni.

- Ależ ty jesteś ciężka - zażartował i potem śmiali się cichutko z tej piekielnej, niewiarygodnej nocy, ze swojego szczęścia, z ocalenia.

- Bay... sięgnij za bluzkę... moja bluzkę... Mam brandy.

Wydobył mokrą butelkę, przytulił Audrey do siebie i ścisnął jak najcenniejszy skarb. Usadowili się na lodowej krze i czekali, sami nie wiedząc na co.

Swan nie zgadzała się, by Smoke i Danny wciągnęli ją na łódź.

- Nie, proszę, cała jestem pogruchotana. Nie jest mi zimno i w wodzie nie czuję bólu.

Trwali więc tak, uczepieni burty, podczas gdy Teddy Royce i palacz silnymi pociągnięciami wiosł kierowali szalupę jak najdalej od miejsca tragedii.

- Danny, wejdź do łodzi - odezwała się znowu Swan. - Zostaw mnie tutaj.

- Zostanę z tobą - odparł, skostniały, lecz dziwnie spokojny.

Opasujący mu tors pas ratunkowy, obwiązany wokół ławeczki, na której siedziała Smoke, ułatwiał holowanie rannej. Danny wdzięczny był opatrności, że nie pozwoliła mu zginąć i połączyła go z ukochaną, choć nie potrafił przewidzieć, jaki los ich czeka w przyszłości i czy w ogóle będzie jakaś przyszłość.

- Bądź co bądź jesteśmy zaręczeni, czuję się za ciebie odpowiedzialny.

- Och, nie...

- Przestań, Swan, o co chodzi?

- Swan? - odezwała się z niepokojem Smoke. - Posłuchaj, Swan,

matka nie znajdzie ojca. Oboje zginą. A ty wyjdiesz za mąż za Danny'ego. Cholera, znów zostanę sama. Chyba zatrzymam Twiggusię, żeby mieć towarzystwo - próbowała nieśmiało żartować.

- Nie, Smoke...

- Tak!

Okrzyki tonących przycichły. Słysząc było jedynie rytmiczny plusk zanurzanych i wynurzanych wiosł oraz lekki skrzyp dulek.

- Smoke?

- Słyszę cię, Swan.

- Smoke... ja umieram. Posłuchaj mnie...

Smoke położyła się na dnie szalupy, by znaleźć się bliżej siostry. Wychyliła głowę i pocałowała ją w czoło. Miała wrażenie, że całuje bryłę lodu, śliską, moką, zamarzną.

- Nie bój się, siostrzyczko. Jestem z tobą. Widzisz, jestem tak blisko, że nawet mogę cię pocałować.

- Musisz wyjść... za Danny'ego. Obiecuj, że to zrobisz... przez wzgląd na mnie.

- Co ty mówisz, Swan?

Danny wykonał gwałtowny ruch, ale nie odezwał się ani słowem. Odwrócił tylko głowę, wpatrzony w czarny horyzont.

- Ja i tak pewnie umrę.

- Swan, nie mów tak!

- A nawet jeśli przeżyję, będę kaleką i nigdy nie wyjdę za mąż. Nie chcę zostać sama... Wyjdź za niego, proszę. Danny? Obiecuj mi, że się z nią ożenisz... będę miała przy sobie was oboje. - Swan przekręciła się nieco, by móc spojrzeć w oczy ukochanemu, a potem siostrze. - Proszę, obiecujcie mi... nie chcę żyć przykuta do wózka, sama, bez przyjaciół...

- Oczywiście, że wyjdiesz za mąż! - parsknęła Smoke z rozdartym sercem. - Ja mam zamiar zostać kapitanem, a ty wyjdiesz za mąż. Za Danny'ego. To ty go kochasz, nie ja.

- Tak, Swan - zapewnił Danny. - Ożenię się tylko z tobą. Kocham tylko ciebie. Wszystko będzie dobrze.

- Mam pogruchotane kości, nie będę mogła mieć dzieci...

**Posłuchaj, Smoke, musisz urodzić dzieci, bo inaczej zginie ród Lockholmów... Błagam, obiecaj mi! Obiecaj!!!**

**- Tylko spokojnie, dostała ataku hysterii. - Danny czuł, że Swan wymyka mu się z uścisku. - Wiesz co, Smoke, zgódź się. Zgódź się, bo jej nie utrzymam. Dobrze - zajrzał w oczy Swan - jeśli tego sobie życzysz, zgadzam się, kochana. Ale pod warunkiem, że jak będzie już po wszystkim i wyjdziemy z tego cało... obietnice będą nieważne. Co ty na to?**

**- Zgoda - Swan uspokoiła się nieco. - Smoke, przysięgnij... na grób naszych rodziców.**

**- Jezu, Swan....**

**- Przysięgnij albo natychmiast umrę!**

**- Co mam ci przyrzec?**

**- Że poślubisz Danny'ego i urodzisz mu dzieci. I że nigdy mnie nie opuścicie, do końca moich dni...**

**- Ale ja go nie kocham.**

**- Nie wymagam, żebyś go kochała. Wystarczy, że ja go kocham. I chcę, żebyś za niego wyszła... jako część Lockholmów, jako część mnie...**

**- Mogę urodzić dzieci bez wychodzenia za mąż - opierała się Smoke. - Co ty na to?**

**Ale Swan nie odezwała się więcej. Dłuższą chwilę trwała w bezruchu, z głową przechyloną do tyłu, a jej jasne włosy kołysały się na wodzie na kształt morskiego wachlarza.**

**Danny też się nie poruszył. Zdawać by się mogło, że stracił przytomność. A może tylko odpoczywał...**

**Smoke dygotała, nie mogąc zdobyć się na najmniejszy wysiłek. Mężczyźni przestali wiosłować i łódka huśtała się teraz łagodnie na fali. Smoke poczuła się nagle straszliwie samotna wśród tych ciemności i lodu, opuszczona przez wszystkich prócz garstki obcych, którzy wraz z nią ocaleli. Zamknęła oczy. Usnęła...**

**Kiedy się ocknęła, niebo było jaśniejsze, jak przed świtem. Wszędzie wokół rozciągał się niezmierny szmat oceanu, poprzetykany lodowymi odłamkami.**

- Swan? - Smoke potrząsnęła siostrą i potarła jej policzki. - Swan, obudź się, proszę. Boję się...

Nachyliła się nad siostrą i wówczas ujrzała, że Swan zwisa bezwładnie z otwartymi ustami. Nie żyje? Och, nie...

- Swan!!!

- Smoke... - Siostra z wysiłkiem uniosła powieki, nadaremnie próbując się poruszyć.

- Jestem, Swan, jestem...

- Obiecuj mi, proszę...

- Dobrze, wszystko, co chcesz, tylko nie umieraj. Błagam cię, nie umieraj!

- Postaram się... - Głowa Swan opadła, oczy znów się zamknęły.

- Widzisz coś, Smoke? - wychrypiął cicho Danny.

- Niby co? - prychnęła, ale zaraz złagodniała. - Wszędzie woda, Danny. Trzymaj się. I nie puszczaj Swan. Na pewno ktoś zaraz przybędzie, musieli przecież usłyszeć SOS, już niedługo...

Gwiazdy wtopiły się w zimny bezkres nieba, które przybrało odcień lodu. Wstawał nowy dzień, a oni dryfowali samotnie wśród szarej arktycznej pustki.

- Jest nas tylko dwanaścioro - błagała Tory. - Proszę, zawróćmy i zabierzmy, kogo się da. Mój mąż został na pokładzie. Musimy go odnaleźć!

Wciąż przyciskała niemowlę mocno do piersi. Twarzyczka Wisdoms mimo okrycia z futra i koca stawała się coraz bardziej lodowata i nieruchoma. Mała ani razu nie zapłakała, nawet nie zakwiliła - od jak dawna?

W łodzi dowodził mężczyzna o imieniu Symons, który na statku sprawował funkcję obserwatora. Mianował się dowódcą tej „bandy szczurów lądowych, którzy nie odróżniają rumpla od płetwy rekina”, i to on decydował o wszelkich poczynaniach.

Symons słyszał błagania Tory, ale nie był pewien, co począć. Z jednej strony bał się wracać - co będzie, jak *Titanic* wybuchnie albo wciągnie ich wir? Z drugiej strony gdyby wrócił i uratował któregoś z tych ważniaków, stałby się bohaterem. Kto wie, może nie musiałby



już bać się o pracę, o rodzinę, i o to, kto wypłaci mu pensję?

- Nie możemy zawrócić - stwierdził sir Cosmo autorytatywnym tonem, jakim zwykli odzywać się przedstawiciele jego klasy. - Byłoby po nas. Wiosłujcie dalej, koledzy. Wydostańmy się już stąd nareszcie.

- Daj mu pięć dolarów, Cosmo. - Lady Lucile wyznawała zasadę, że kiedy nie można być pewnym bezwzględności posłuszeństwa, na wszelki wypadek należy za nie zapłacić.

- Dobrze - powiedział sir Cosmo, świdrując pojaśniałą nagłą twarz marynarza chytrym spojrzeniem. - Ale masz nas zawieźć w bezpieczne miejsce, dzielny człowieku - dodał i upewniwszy się, że rozkaz został przyjęty, sięgnął dłonią odzianą w rękawiczkę z jagnięcej skóry po wypchany portfel.

Tory nie miała siły protestować. Czuła się kompletnie wyczerpana. Zbyt wiele zdarzyło się w zbyt krótkim czasie. Burty, trucizna, poród, ciemne dziecko...

Karuzela dziwacznych myśli i obrazów kotłowała się w jej umyśle, przyprawiając o zawrót głowy. Czuła się jak ptak, któremu zdjęto kaptur i który otrząsa się i drży ze strachu, oślepiiony nagłą, budzącą grozę wolnością. Och, gdyby mogła wznieść się, ulecieć jak ptak, pod niebo...

- Czyje to dziecko? - usłyszała za sobą pytanie lady Lucile. - Uratowała pani dziecko służącej? To bohaterstwo!

- Nie wzięłam służącej w ten rejs - odpowiedziała Tory, wpatrzona tępo w połyskliwą tafłę oceanu. - Posłuchajcie, musimy zawrócić, są jeszcze wolne miejsca...

- Czym więc jesteś dzieckiem, biedaku? - Lady Lucile połaskotała futrzane zawiniątko, nie zwracając uwagi na natrętne prośby Tory.

- Ono nie jest biedakiem! - Tory ujęła się za Wisdoms. - Jest jedyną córką Burtona Kingsleya VanVoorsta, wartą ponad milion dolarów. Musimy po niego wrócić!

Jedyna córka, jedyne dziecko. Jedyne ślad po Burty, choć i ten nie wiadomo czy przetrwa.

- To dziecko pani VanVoorst, ty stara jędzo! - parsknęła pani Twigg, która ocknęła się nagle z odrętwienia.

Lady Lucile aż zatkało z oburzenia, zaś jej mąż zmierzył panią Twigg piorunującym spojrzeniem i oznajmił:

- Nie życzę sobie podobnych zniewag.

- A co, też mi pan da piątaka, żebym się przymknęła?

- Coś podobnego! - zachnęła się lady Lucile. Była nieszczęśliwa, że musi znosić podobne uwagi. Obiecała sobie, że już nigdy nie popłynie liniami White Star. Osobiście wystosuje odpowiednie pismo z reklamacjami. - Cosmo! Zrób coś z tym, proszę!

Mąż poklepał ją po kolanie.

- Spokojnie, kochanie. A ty wiosłuj - rozkazał Sy-monsowi.

Tory nie słuchała dalszego ciągu.

- To moje dziecko - powtórzyła tylko, jakby sama chciała usłyszeć te słowa. - Ma mieszaną krew, po mnie - dodała głośno, a potem wsparła się na ramieniu Nicole, zaś niemowlę przywarło do niej ciasno, jakby chciało się znaleźć z powrotem w ciepłym, zacisznym, bezpiecznym brzuchu. Poły futrzanego płaszcza ześlizgnęły się, ukazując światu ciemną buzię.

Buzia ta, śniada twarzyczka malutkiej Wisdoms, była ostatnim widokiem, jaki dane było oglądać barmanowi z *Titanica*. Wisdoms ostatkiem tchu pokonywał poszarzałe przed świtem polarne wody Adantyku. Chciał dopłynąć do widocznej z oddali pustej niemal szalupy i tam *znaleźć* ocalenie. Lecz łódź oddalała się nieuchronnie, nikła w mglistej szarości.

Wzmógł wysiłek. Dobrze, zaczyna się zbliżać. Mógł już rozróżnić twarze kilku osób na pokładzie. Czuł się ogromnie zmęczony. Palce u rąk i u nóg kompletnie mu zgrabiały. W pewnym momencie dostrzegł niemowlęcą twarz, zwróconą do nieba z wyrazem chłodnego spokoju.

Czyżby to była ona, jego imienniczka, Wisdoms VanVoorst? Zaśmiał się w duchu i zaczął powtarzać w myśli ulubione wersety z Biblii. Był coraz bliżej, zawołał...

Czyżby nie słyszeli? Dwaj mężczyźni chwycili w tym samym momencie za wiosła, pracując gorączkowo.

Boże Wszechmogący, to koniec.

Nie zdoła ich dogonić.

Odprężył się. Ujrzał oczami wyobraźni swoją imienniczkę, niewinną duszę, zrodzoną na chwałę Pana, i przygotował się szybko na spotkanie z Bogiem.

Przyjdź, Panie mój, i weź do siebie moją duszę...

Po chwili po raz ostatni rozbłysnął na powierzchni wody diamentowy okruch w jego zębach.

Skrawek lodu, na którym schronili się Audrey i Bay, zaczynał pękać. Mróz aż trząsał, ale im było ciepło. Audrey przyszło do głowy, że to może ostatni wysiłek walczącego o życie organizmu; że lada moment zamienią się na zawsze w dwa lodowe sopte.

Otworzyła oczy. Na tle nieprzeniknionej szarości dostrzegła jakiś mglisty, ciemny zarys. Zbliżał się do nich powoli i jednostajnie niczym żałobny kondukt. Majaczyły przed jej oczami martwe ciała, trumny... trupy, trupy i jeszcze raz trupy... każdy jak wydęta czarna spódnica madame Romany... coraz bliżej i bliżej... nadchodzą... niosą śmierć...

Chciała zamknąć oczy, ale nie mogła. Chciała odegnąć od siebie obraz Esmeraldy i kryształowej kuli, która ich otoczyła, opasała i wchłoneła; wielkiej kryształowej kuli z lodu, z której nie dało się wyczytać nic prócz kresu istnienia; wielkiej kryształowej kuli nieba i oceanu, w której pływały teraz wśród szarej kry ciała zmarłych.

Jeszcze raz popatrzyła przed siebie, wyostrzyła wzrok. Teraz widziała zbliżający się zarys góry lodowej, wysokiej, gładkiej, ostrej jak nóż. A więc to tylko bryła lodu, nie żaden kondukt. Wszystko jedno. Potężny kawał lodowca sunął wprost na nich, ciął zmrożone wody, roztrącał lodowe odłamki. Za chwilę ich zmiażdży, pochłonie...

Przywarła kurczowo do Baya.

- Najdroższy!
- Zobacz, Audrey. Czy widzisz to, co ja? - wymamrotał.
- Tak.
- Brandy nas uratowała.

Uratowała? Co on bredzi? Przecież to koniec. Kryształowa kula Esmeraldy opasze ich za chwilę, wchłonie, zabierze na wieki.

- Góra lodowa.

- To nie góra - głos Baya zadrżał ze wzruszenia. -Spójrz, to statek. Statek? Jaki statek?

- Nie płacz, kochanie - przytulił ją czule. – Twoje piękne złociste włosy są zupełnie siwe... - Ucałował ją w czoło i ogrzewał oddechem zamarznięte rzęsy.

- Nie, Bay, mylisz się. To mgła i lód... we wnętrzu kryształowej kuli.

- Możesz wstać, najdroższa? Przyjrzyj się dobrze. Statek. Jesteśmy uratowani.

Chciała się roześmiać, ale nie mogła. Bay oszalał. Nic nie szkodzi, ona też zaraz oszaleje. Poszukała wzrokiem widma Cyganki, lecz wokół rozciągał się jedynie bezmiar oceanu. Niebo pojaśniało złociście, rozświetlone odcieniami przejrzystego różu i brzoskwini. Lodowe bryły na kształt marmurowych posągów połyskiwały srebrzystymi iskierkami, lśniły niczym wypolerowana kość słoniowa. Poranny brzask ukazywał nowy, zachwycający, bajeczny świat.

- Czy już umarliśmy i jesteśmy w niebie? - zapytała, próbując oprzeć się na jednej nodze. Druga, strzaskana o lodową krawędź, zwisała bezwładnie z biodra.

- Teraz widzisz?

Ostrożnie uniosła wzrok, aby blask jej nie oślepił.

To niemożliwe!

Wprost na nich naprawdę płynął statek. Kłęby dymu unosiły się z kominów, tłumy ludzi wyległy na pokład. Dziób niestrudzenie ciął morską toń, prosto i zuchwale.

Odczytała napis na burcie - *Carpathia*.

- Och, Bay...

- Wspaniały poranek, prawda? Boże, ten świt jest jak początek nowego istnienia. - Bay przytulił zgrabiałe palce żony do swoich skostniałych policzków. – Wracamy do domu, kochanie, przeżyliśmy. Dzieci są bezpieczne, wszystko będzie dobrze...

Audrey przejął dreszcz. Przypomniała sobie skok Danny'ego i

Swan miażdżoną o burzę *Titanica*. Zaraz jednak wróciła radosna świadomość ocalenia.

Żyją. Bay żyje - to jest najważniejsze.

Bay zeskrobał nieco śniegu z lodowej kry i utoczył z niego kulkę.

- Na lepsze jutro! - zawołał i cisnął kulę w niebo. Podniecony tłumek na pokładzie statku przywitał ten gest gromkimi wiwatami i oklaskami.

Na pokład *Carpathii* wprowadził Nicole Teddy Royce.

- A, to pan, panie lepka rączka - odezwała się, kiedy podawał jej pomocne ramię.

- Wyjdź za mnie, to nie będę więcej kradł.

- Jesteś oszustem. Zagrajmy o to w karty, zgoda?

- Tak się składa, że mam talię przy sobie.

- Nie twoimi. Steward, ma pan świeżą talię? Kapitan Rostron nie zdziwił się, słysząc to pytanie.

Wiedział, że po rozbitkach można się spodziewać najdziwaczniejszych zachowań. Skinął stewardowi głową na znak zgody i za chwilę przyniesiono nie rozpieczętowaną talię.

- Umie pan tasować? - zapytała Nicole stewarda.

- Tak, proszę pani. - Chłopak sprawnie potasował karty i położył talię na stole.

- Niech pani zaczyna, markizo. Damy mają pierwszeństwo - Royce uśmiechnął się do niej przebiegle.

Nicole wyciągnęła waleta karo.

- Nie będzie łatwo go pobić. - Zwilżyła wargi, podekscytowana, i czekała, aż Rolls odwróci swoją kartę. - Nie do wiary! - szepnęła, gdy przykrył jej waleta triumfującą królową - królową karo.

- Będiesz miała ze mną pełne ręce roboty, Nicky - powiedział Royce, obejmując jej szczupłą kibić.

- A ty ze mną - odparła, podając policzek do pocałunku.

Kapitan Rostron uśmiechnął się tylko i skierował *Carpathię* na zachód. Niebo było jasne, pogodne. Zapowiadał się piękny dzień.